

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 7/382-8/383

1979



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

L.B. : **PO WIZYCIE PAPIEŻA**

G. HERLING-GRUDZIŃSKI : **DZIENNIK PISANY NOCĄ**

J. MACKIEWICZ : **WŚRÓD POSZUKIWACZY BOGA**

D. MOSTWIN : **OMÓWIENIE**

ANKIETY MŁODZIEŻOWEJ

B. HEYDENKORN : **SPOTKANIE Z W. MOROZEM**

SPIS RZECZY

L. B.:	Po wizycie Papieża	3
Aleksander Zinowiew:	Wschód i Zachód	13
Gustaw Herling-Grudziński:	Dziennik pisany nocą	22
Zbigniew Romaszewski:	Moja podróż do Moskwy	39
Józef Mackiewicz:	Wśród poszukiwaczy Boga	48
Aleksander Hertz:	Wyznania starego człowieka	63

ARCHIWUM POLITYCZNE

Zbigniew Byrski:	Amerykańskie lęki nuklearne	83
Zbigniew Rapacki:	Refleksje niemieckie	90
Leopold Unger - Brukselczyk:	Widziane z Brukseli	106

SPRAWY I TROSKI

Danuta Mostwin:	Młodzież polska na Zachodzie	128
-----------------	------------------------------------	-----

K R A J

Maciej Poleski:	Tak i nie	159
Józef Czapski:	Do kraju tego... ..	175
—	400 lat Uniwersytetu Stefana Batorego	175
—	Centrum Zdrowia Dziecka	178

SĄSIEDZI

Benedykt Heydenkorn:	Spotkanie z W. Morozem	181
—	Wdzięczność dla Brzezińskiego	187
Adam Kruczek:	W sowieckiej prasie	188
—	Jan Paweł II żąda wolności religijnej dla unitów Ukrainy	195
BEO:	Chiny o Ukrainie	195
E. Żagiełl:	Kronika litewska	197
Andrzej J. Chilecki:	Kronika niemiecka	198

WOŁANIE NA PUSZCZY

Kisiel:	Szkola debilizmu, czyli WTD	200
---------	-----------------------------------	-----

KSIĄŻKI

Włodzimierz Brus:	Problemy gospodarcze Polski	205
—	Nadesłane nowości wydawnicze	216



Zofia Hertz:	Humor krajowy	218
--------------	---------------------	-----



—	Wydarzenia miesiąca	220
—	Apel Pulsu	224



A. Balko, G. Herling-Grudziński, St. Kisiielewski, A. Koraszewski, A. Sutkowski, St. Wąsik i odpowiadają Redaktor, dwie czytelniczki z Polski:	Listy do Redakcji	225
—	Odpowiedzi Redakcji	232
—	Sprostowanie	232

DOKUMENTY

Wydział Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR:	Zasady akredytacji dziennikarzy polskich i obsługi prasowej wizyty papieża w Polsce	233
---	---	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec-Sierpień - Juillet-Août 1979

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Vladimir Brylewski, Hollywood, Cal. (USA), po raz 4-ty	F. 44,03
Andrzej Brzeski, Davis, Cal. (USA), po raz 41-szy	F. 226,00
A. Z., New York — zamiast kwiatów dla Pani Wiktorii B. Lewilin	F. 220,00
Z. W. Dembscy, Pld. Australia, po raz 2-gi	F. 97,00
Teodor Farbisz, Flying (Szwecja), po raz 9-ty	F. 98,00
M. A. Perth, Zach. Australia, po raz 6-ty	F. 235,00
Wiktor Marciniak, Menlo Park, Cal. (USA)	F. 35,00
Monika Mieroszevska — w trzecią rocznicę śmierci Ojca ..	F. 88,00
Paweł Musiołek, Taberg (Szwecja)	F. 70,00
Maria Rasiej, Bogota, N.J. (USA), po raz 6-ty	F. 35,00
Inż. L. W. Skonieczny, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 11-ty	F. 100,00
Bezimiennie z Panorama, S.A. (Australia), po raz 10-ty	F. 100,00
Bezimiennie z Santa Monica, Cal. (USA), po raz 4-ty	F. 660,00
Bezimiennie z USA	F. 11.357,85

Witold Osinski, Lund (Szwecja) — na pomoc dla opozycji ..	F. 200,00
Bezimiennie z Panorama, S.A. (Australia) — na pomoc dla opozycji	F. 200,00
Ku pamięci Aleksandra Poncet de Sandon, zmarłego 10 czerwca 1979 w Bulder, Colo — przyjaciele z Colorado (USA), na Ruch Oporu w Polsce.	F. 88,00
Od Czytelników Pomostu, Chicago, Ill. (USA) — na Bratniaka	F. 88,00
Od Czytelników Pomostu, Chicago, Ill. (USA) — na Drogę ..	F. 88,00
Od Czytelników Pomostu, Chicago, Ill. (USA) — na Puls ..	F. 88,00

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA KSS „KOR”

Bezimiennie z Australii	F. 24,00
Bezimiennie z Sydney (Australia)	F. 487,00
J. Forkasiewicz, Toorok (Melbourne)	F. 162,33
Grupa Przyjaciół Polski z Getyngi (RFN)	F. 506,68
Tomasz Strzyżewski, Lund (Szwecja)	F. 100,00
Maria i Alfred Tarscy, Berkeley, Cal. (USA) — ku pamięci szlachetnego człowieka i drogiego przyjaciela Ireny Grosz	F. 175,00
Wojtek z Chicago	F. 175,00
W. Z. (USA)	F. 220,00
Lucyna i Stefan Zalewscy, Chicago, Ill. (USA)	F. 440,00

WPLATY NA P.P.N.

Tadeusz Brzostek, Paryż — w 36-tą rocznicę tragicznej śmierci Naczelnego Wodza gen. Władysława Sikorskiego	F. 200,00
--	-----------

(Ciąg dalszy Wpłat na str. 240)

Po wizycie Papieża

Pytanie, czy papież pojedzie do Polski, pojawiło się w prasie zachodniej nazajutrz po wyborze kardynała Wojtyły na Stolicę Piotrową. Rząd PRL zaskoczony i skonfundowany tym wyborem zdobywał się tylko na kolejne sprzeczne oświadczenia. Pierwsze brzmiało: tak. Następne już: tak, ale...

Sam fakt, że władze warszawskie nie liczyły się z wyborem kardynała Wojtyły i nie szczędziły mu do końca pobytu w kraju szykan policyjnych, świadczy o niebywałym prowincjonalizmie politycznym PZPR, o braku orientacji w Kościele katolickim i o — jak zaśmiewają się ludzie w kraju — fatalnym wywiadzie. Podśłuchuje on nieważne rozmowy w Krakowie lub Wadowicach, a nie sięga w ogóle pułapu spraw politycznych o poważniejszym znaczeniu. Tak jednak być musi, gdy wywiad służy nie racji stanu kraju, a ujarzmianiu jego obywateli.

Interpretacja polityczna wybrania papieżem kardynała polskiego też nie przyniosła władzom PRL chwały. Trudno było bardziej ośmieszyć się niż to uczyniła prasa partyjna i państwowa, wywodząc, że Polak został papieżem ze względu na prestiż PRL i znaczenie socjalizmu w świecie...

Powszechne pragnienie społeczeństwa spotkania ze „swoim” papieżem i nacisk światowej opinii publicznej, nie wyobrażającej sobie, by do Polski nie wpuszczono Polaka tylko dlatego, że został papieżem, spowodowały zgodę rządu na Jego przyjazd. Ale natychmiast zaczął się nowy akt „amatorskiej”, własnowolnej kompromitacji rządu PRL. Wybuchł mianowicie spór o termin przyjazdu papieża. Władze nie zgodziły się na dzień 8 maja, rocznicę św. Stanisława męczennika, wywołując tym w całym świecie wielkie zainteresowanie nie za bardzo znaną osobą polskiego świętego, jego sporem z królem sprzed 900 laty. Przy-

1979 W 2356

pomniano sobie także zaraz, że to po słynnym liście Episkopatu do rządu 8 maja 1953 roku, protestującym w Krakowie, od grobu św. Stanisława męczennika przeciw gwałtom wobec kościoła i narodu, aresztowany został Prymas Polski kardynał Wyszyński. Rząd stawiał się w nader dwuznacznej sytuacji, bał się świętego zgładzonego przez króla przed 900 laty i nie chciał odciąć się od okresu stalinowskiego, kontynuując w istocie ówczesny zatarg z Kościołem na tle osoby św. Stanisława. Rząd zaszkodził, jak zwykle, sam sobie. Kardynał Wyszyński wynegocjował inny korzystny termin przyjazdu papieża, a ten po ucałowaniu ziemi polskiej powiedział, że przybywa na przeniesione uroczystości męczeństwa św. Stanisława. Zapyta ktoś dlaczego rząd PRL prowadzi tak samobójczą politykę. Odpowiedź jest bardzo prosta. Polityka prowadzona przeciw pragnieniom i dążeniom społeczeństwa musi być samobójcza.

Kolejna „wpadka” propagandowa nastąpiła już w dniu przyjazdu Jana Pawła II do Warszawy. Ogólnopolskie transmisje telewizyjne z pobytu papieża przewidziano tylko w pierwszym dniu, kiedy władze witały go na lotnisku, a potem w Belwederze i kiedy papież składał wiązanek kwiatów przy grobie Nieznanego Żołnierza. Potem przewidziano jeszcze transmisję z Oświęcimia i z pożegnania papieża, znów z udziałem władz państwowych. Wielu ludzi było tymi machinacjami zdenerwowanych. Nie speszły one tylko papieża Wojtyły. Podziękował komu trzeba i to szczerze, bo władze różnych szczebli zadały sobie wiele trudu, by zorganizować tak trudną podróż wśród rozentuzjasmowanych tłumów. Oddawszy wszystkim, co im się należy, Jan Paweł II wysłuchał spokojnie obowiązujących partię wywodów Edwarda Gierka o sojuszu ze Związkiem Radzieckim itp. Następnie z wielkim taktem i kulturą powiedział rządzącą Polską, że są przed historią i własnymi sumieniami odpowiedzialni za suwerenność Polski, sprawiedliwość jej wzajemnych stosunków z innymi krajami we wszystkich odniesieniach, za prawa człowieka i za porozumienie z Kościołem, które jakoś chyba można osiągnąć. Wszystko to zostało wyłożone w sposób jednoznaczny moralnie i politycznie, a jednocześnie tak, że nikomu nie uchybiło, nikogo nie mogło obrazić w najmniejszym stopniu. Świat i Polska mogły się przekonać, jak wielkim mężem stanu jest Jan Paweł II. Jego polityka wschodnia ma dyplomatyczną kulturę płynącą z doświadczeń Sekretariatu Stanu, ale zarazem czuć w niej wielkie siły polskich tradycji historycznych i rozmach ducha misyjnego, który w Watykanie do niedawna zamarł omotany arkanami formulek grzecznościowych. Jan Paweł II zachował kulturę dyplomatyczną, ale wniósł ducha chrześcijańskiego apostołstwa do polityki wschodniej Stolicy Apostolskiej. Oznacza to nową epokę

w jej historii. Rządy komunistyczne muszą się z tym faktem pogodzić, w przeciwnym bowiem wypadku, zabiegając o współistnienie z Zachodem, będą same sobie podcinały pokojową gałąź, na którą próbują się wdrapać ze strachu przed Chinami.

Serca tysięcy Polaków zgromadzonych na Placu Zwycięstwa w Warszawie zamarły ze zgrozy, gdy przed Grobem Nieznanego Żołnierza narzucono Ojcu Świętemu spotkanie z notablami komunistycznego ruchu kombatanckiego, z ludźmi o fatalnej reputacji, z wyłączeniem prawdziwych przedstawicieli polskiego czynu zbrojnego na wszystkich frontach drugiej wojny światowej. Papież zniósł to ze spokojem. Klęknął przed Grobem i ucałował jego płytę. Ale miał w swym kazaniu na Placu Zwycięstwa przygotowaną także ripostę na kombatanckie manipulacje władz. Nawiązał do tego, że uroczystość odbywa się opodal Grobu Nieznanego Żołnierza. Przypomniawszy wojnę i Powstanie Warszawskie, stwierdzając krótko, że sojusznicy nie pospieszili wtedy na pomoc niszczonej Warszawie. Kilkaset tysięcy ludzi usłyszało na Placu Zwycięstwa, a miliony Polaków w telewizorach, że sojusznicy, w danym wypadku Rosjanie, nie pospieszili nam z pomocą. Ta straszliwa dla komunistów i ich machinacji propagandowo-telewizyjna prawda została powiedziana z prostotą i smutkiem, z jakimi się mówi o prawdach oczywistych. Był to styl papieża, który miłuje wszystkich ludzi, ale który nie cofnie się przed mówieniem prawdy i całej prawdy. Wielkie emocje targły narodem polskim w tym historycznym dniu 2 czerwca 1979, przerosły one nasze najlepsze oczekiwania.

Kazanie Jana Pawła II przerwano na długo — na ponad 15 minut — oklaskami, pieśniami religijnymi, entuzjastycznymi pozdrowieniami, gdy rzekł, że nie może być miejsca bez Chrystusa, Polski bez Chrystusa i naszych dziejów narodowych bez Chrystusa. Jakżeż ludzie dobrze rozumieli słowa i intencje papieża, jak trafnie, niezawodnie na nie reagowali. Wszystko to świadczy o sile i znaczeniu katolicyzmu polskiego, który okazał się główną zaporą moralno-ideową przeciw sowietyzacji społeczeństwa.

W życiu nie słyszałem kazania powiedzianego tak prostymi słowami, tak ściśle religijnego, a jednocześnie tak brzemienneho w treści społeczne, w wartości narodowe i tak absolutnie trafiającego do wyobraźni słuchaczy. Takich rzeczy dokonuje się tylko w oparciu o wielkie moce duchowe. Jan Paweł II jest ich nosicielem. Jest osobistością, która się dopiero wyłania, której jeszcze w pełni nie znamy, ale która zapewne odegra olbrzymią rolę w duchowym i kulturalnym zjednoczeniu Europy rozdartej sztucznymi, a przecież wyrastającej z jednego pnia wartości chrześcijańskich.

Kazanie Jana Pawła II w Warszawie było bardzo polskie,

pełne akcentów narodowych, historycznych, nawiązywało do Millenium, do kościelnego i narodowego programu Prymasa Polski. Papież kilkakrotnie w tym kontekście zwracał się bezpośrednio do Prymasa. W tych silnych akcentach narodowych było jednak tyle prawdy historycznej o Polsce, włącznie z przypomnieniem ofiar getta warszawskiego, że absolutnie nie dziwiły nawet cudzoziemców. Papież mówił o narodzie w kategoriach systemu wartości humanizmu chrześcijańskiego. Jednocześnie demonstrował wręcz swoją duchową jedność z Prymasem Polski na przekór dwudziestoletnim nadziejom komunistów na ich poróżnienie. Papież i Prymas dali właściwie swoisty koncert akcentów i niuansów, które nie zawsze były zrozumiane przez nieorientowanych dziennikarzy zagranicznych i przez niedokształconych rządców PRL. Zaczął kardynał Wyszyński, który witając papieża na Placu Zwycięstwa, przypominał gorące słowa Piusa XII do Polaków w okresie Powstania Warszawskiego. To pozwoliło papieżowi Wojtyłce dać do zrozumienia, kto przyglądał się biernie dogorywającej Warszawie. Starsze pokolenia polskie dobrze pamiętają, że zaraz po wojnie komuniści próbowali zniesławiać Piusa XII, jako papieża antypolskiego i proniemieckiego, aby w ten sposób uderzyć w więzy łączące Kościół polski z Watykanem. Wtedy to ks. Wyszyński napisał całą rozprawę o stosunku Piusa XII do Polski w okresie wojny. I nie przypadkiem teraz kardynał Wyszyński zaczął od tej sprawy, która była bodaj pierwszym cieniem na ciernistej drodze powojennej kościoła w Polsce.

Autorem następnego ważkiego akcentu moralno-politycznego, stawiającego rządzących pod pręgierzem, był papież, zaczynając swoje przemówienie od opowieści o tym, jak bardzo Paweł VI chciał przyjechać do Polski na Millenium. Jak pamiętamy, Gomułka nie wpuścił go wtedy do Polski. Sprawa nie jest więc dla obecnej ekipy rządzącej tak drastyczna. Ale w oczach opinii dzieje PRL mają swoją złowieszczą ciągłość i chyba właśnie rozpoczęcie przez Jana Pawła II przemówienia od sprawy zakazu przyjazdu Pawła VI stworzyło niezwykłą atmosferę, która kazała zgromadzonemu przerywać papieżowi i oklaskiwać go niemal po każdym wypowiedzianym przez niego zdaniu. Społeczeństwu szczególnie podobała się konkluzja papieża, że Paweł VI tak bardzo chciał przyjechać do Polski, że ta wola sprawiła możliwość przyjazdu jego — Jana Pawła II do Ojczyzny. Ludzie podpowiadali sobie w tym momencie nieco po świecku: wola Pawła VI i głodowa sytuacja kraju.

Następnego dnia na rannym spotkaniu papieża z młodzieżą stolicy, przed kościołem św. Anny, Jan Paweł II zadawał sobie pytanie, dlaczego wszyscy w Polsce tak go oklaskują i dlaczego największe oklaski otrzymał poprzedniego dnia, gdy mówił

o Chrystusie, a teraz, gdy mówił o Duchu Św. — Papież powiedział, że Polacy chyba stają się narodem teologicznym. W słowach tych niektórzy dopatrywali się tylko żartu. Myślę, że były one czymś więcej i z całą pewnością nie miały wymowy antypluralistycznej. Papież mówił w Gnieźnie o tym, że przetrwaliśmy rozbiory jako naród, bo mieliśmy własną kulturę, sięgającą źródeł chrześcijańskich i pierwszego polskiego hymnu — pieśni: „Bogurodzico Dziewico...”. W czasie rozbiorów Polska ostała się dzięki swej kulturze, a teraz broniąc swej tożsamości duchowej i kulturalnej, opiera się sowietyzacji. Nurt chrześcijański naszej kultury narodowej okazał się jedną z głównych tarczy broniących nas przed totalizmem. W tym ostatnim sensie myślenie teologiczne i tradycje chrześcijańskie w Polsce nie są obce nawet ludziom od religii dalekim.

Podawane przez dziennikarzy zachodnich liczby pielgrzymów przybywających do poszczególnych miast na spotkania z papieżem były szacunkowe. Partia te liczby programowo zaniżała, gorliwi katolicy chcieli widzieć je bardzo wysokimi, ale tak czy inaczej co czwarty, a już najmniej co piąty Polak uczestniczył w ciągu tych dziewięciu dni w spotkaniach z Janem Pawłem II. Odliczając dzieci, starców i zastraszonych partyjników była to bardzo pokaźna część społeczeństwa. Z niektórych rodzin szli wszyscy, z innych jedna lub dwie osoby, które dzieliły się potem z pozostałymi członkami rodziny swoimi przeżyciami. W ten sposób przez cały naród polski przeszedł potężny impuls, wzmacniający ludzi duchowo, prostujący ich moralnie i przywracający im poczucie godności. To wszystko nie pozostanie bez konsekwencji, choć politycznie chwilowo niewiele się zmieni. Ale tak zwana „władza ludowa”, czyli rząd PRL popracował solidnie, aby zwiększył się polityczny ładunek emocjonalny wizyty papieskiej. Rząd jak zwykle działał przeciw sobie.

Jan Paweł II został wybrany papieżem 16 października 1978 w dniu św. Jadwigi. Z tego powodu chciał pojechać do jej grobu w Trzebnicy. Partia nie rozumiejąc jego motywów, czy też kierując się jakimiś innymi motywami, nie zgodziła się na to. Było to zupełnym absurdem z punktu widzenia polskiej racji stanu, bo jak wiadomo Trzebnica leży na Ziemiach Zachodnich. Ale władze były w tej sprawie tak zaciekle, że podjęły nawet różne podstępne kroki utrudniające ludziom z Dolnego Śląska, Opol-szczyzny i Ziemi Lubuskiej dojazd do Częstochowy. To samo następnego dnia dotyczyło pielgrzymów z Piekar i w ogóle z Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego. Mimo to zjawily się pielgrzymki bardzo liczne, a z Górnego Śląska przyjechały wręcz niezliczone tłumy ludu robotniczego. Papież zaś spokojnie i godnie wytłumaczył, dlaczego chciał uczcić w Trzebnicy patronkę

dnia swego wyboru, św. Jadwigę, dlaczego chciał odwiedzić Piekary i Górny Śląsk, miejsca szczególnej religijności i najcięższej pracy Polaków. Pielgrzymi przyjmowali to wszystko z entuzjazmem, zrozumieniem i owacjami na cześć Jana Pawła II. Władze PRL znalazły się znów, z własnej winy, na cenzurowanym.

Mniej więcej w połowie wizyty papieża w Polsce, przedstawiciel władz państwowych oświadczył, że rząd jest zaskoczony dużą ilością akcentów politycznych w wypowiedziach papieża, ale zasadniczo podróż jego ocenia pozytywnie. Rząd był w tym momencie wyraźnie zdenerwowany napięciami emocjonalnymi, które sam wywołał swoimi zakazami i ograniczeniami. Drugim powodem zdenerwowania był entuzjazm tłumów i masowe przybycie pielgrzymów do Częstochowy, mimo przemysłnych przeszkód jakie im stwarzano.

Raptem jednak stał się cud i władze doszły do wniosku, że wizyta jest wspaniała, papież przemawia mądrze, a jego akcenty polityczne są jak najbardziej na miejscu. Stało się to w Oświęcimiu Papież i teraz nie myślał o polityce, lecz o tym jak najlepiej oddać cześć milionom ludzi tam zamordowanych, a zarazem nie zranić żadnego narodu i żadnego człowieka. Z licznych tablic oświęcimskich upamiętniających męczeńską śmierć poszczególnych narodów wybrał więc trzy: żydowską, rosyjską i polską. Każdej z tych tablic i każdemu z narodów, o którego cierpieniach one świadczą, poświęcił kilka pełnych miłości refleksji. Powiedział też — i słusznie — o cierpieniach i udziale w wojnie przedstawicieli narodu rosyjskiego. Te słowa zmieniły całą polityczną percepcję wizyty. Gierek odetchnął, przedstawiciel agencji TASS oświadczył publicznie, że nareszcie ma o czym napisać, w oczach wielu przestraszonych funkcjonariuszy znikło widmo katastrofy politycznej. Gdy zaś papież wyrzekł jeszcze słowa: nigdy więcej wojny — miał już za sobą, przynajmniej na pewien czas, nie tylko cały naród, ale i rząd, dokonał prawdziwie chrześcijańskiego zjednoczenia. Świadczy to wszystko o bezgranicznym strachu władz PRL przed Moskwą, skoro jedno dobre słowo o Rosjanach wyzwoliło rządzących z paraliżu i przestachu, w jaki zostali wepchnięci przez misterium łączności papieża i narodu. Tymczasem papież był zawsze taki sam, otwarty, serdeczny, rozumny, ale i zasadniczy. Do pielgrzymów z Trzebnicy nie zapomniał powiedzieć o pojednaniu z Niemcami. W Oświęcimiu nie zapomniał o zamordowanych i walczących w czasie wojny Rosjanach. Zresztą mówił o nich i przy innych okazjach, ale nie chciano tego zauważyć. Bo jakże można było cieszyć się ze słów wypowiedzianych w Częstochowie do Episkopatu Polski, czy wcześniej w Gnieźnie, że Słowiańszczyzna, a więc i Rosja należy do Europy, że „chrześcijaństwo musi podjąć na nowo swój udział w kształtowaniu

duchowej jedności Europy”. Papież nie zapomniał zresztą o kościołach wschodnich, a wśród nich i o rosyjskim prawosławiu, mówiąc z mocą i powagą o chrześcijaństwie: „Bez względu na różnice tradycji, jakie zachodzą na terenie europejskim pomiędzy jego wschodnim i zachodnim odłamek, jest to przecież to samo chrześcijaństwo, wywodzące się od tego samego, jednego Chrystusa, przyjmujące to samo słowo Boże, nawiązujące do tych samych Dwunastu Apostołów. Ono właśnie znajduje się u korzenia dziejów Europy. Ono kształtuje jego duchową genealogię”.

Słowa te wystarczą za cały program polityki wschodniej Jana Pawła II. Jest on nie tylko dyplomatyczny i skierowany do rządów, ale przede wszystkim misyjny i skierowany do ludów. Celem jego jest odrodzenie jedności Europy i jedności jej spuścizny kulturalnej, obrona jej przed systemem nienawiści człowieka i jego praw. Jakżeż mało zrozumieli z intencji Jana Pawła II ci, raczej zresztą nieliczni, komentatorzy zachodni, dopatrując się w jego subtelnych myślowo hasłach i formułach anachronicznego mesjanizmu, czy polskiego lub ogólnosłowiańskiego partykularyzmu. Intencje były akurat przeciwne. Papieżowi chodziło o jeden wspólny dla Wschodu i Zachodu korzeń kultury chrześcijańskiej i o jeden system wartości gwarantujący wolność i prawa człowieka. Czyżby ci, którzy mają tę wolność i te prawa zapewnione, nie chcieli zrozumieć tych, którzy o nie walczą, a których rzecznikiem stał się papież. Ludzie Zachodu powinni nie zapominać, że prawa ludzkie i wolności polityczne są wartościami niepodzielnymi. Jeśli na Wschodzie trwale ich nie będzie, zostaną także zagrożone na Zachodzie. Nie ma na świecie takiej równowagi politycznej, która by w końcu nie przechyliła się na którąś stronę. Papież z Polski, który jest już dzisiaj Ojcem Kościoła powszechnego, a nie tylko polskiego, czy słowiańskiego, dobrze rozumie tę ostatnią prawidłowość i z wszelką pewnością podejmuje swe dzieło misyjne z myślą o całości, a nie o części swej owczarni.

W związku z tą sprawą usłyszałem refleksję, czy aby papież nie za szybko przyjechał do Polski, czy ta szybka wizyta w Ojczyźnie nie zniekształci percepcji jego uniwersalnego, a nie tylko narodowego nastawienia misyjnego. Nie sędzę, aby tak było. Papież Wojtyła działa dość szybko, ale jak dotąd bez wyraźnych pomyłek. Najpierw był w Trzecim Świecie, teraz w Drugim Świecie, następną podróż odbędzie z wszelką pewnością do któregoś z krajów Zachodu. Wtedy znów zobaczymy uniwersalny wymiar jego wysiłków i ich jedną myśl przewodnią. A w Drugim (czyli komunistycznym) Świecie nie ma znowu za dużo czasu na oczekiwania i zwlekane. Wysiłki sowietyzacyjne idą pełną parą. Któż wiedział to lepiej niż papież Wojtyła. Z pewnością

nie przyjechał do Polski kierując się tylko sentymentami. Dokładnie nie wiedział dlaczego jedzie, co powie i zrobi, *i jakie następnie podejmie decyzje organizacyjne i personalne w Watykanie*. Nie neguję, że papież ma także uczucia polskie, i to uczucia mocne. Ale jego wizyta w Polsce świadczyła, że ma na oku cały świat komunistyczny i cele dalekosiężne. Czerpiąc z tej wizyty swoje polskie satysfakcje, musimy też zrozumieć pewne, nieznaczące raczej, przejawy zazdrości i niezadowolenia niektórych ludzi z najbardziej uprzywilejowanej części świata — z Zachodu.

W ostatnim dniu pobytu papieża w Krakowie chyba ze stu dziennikarzy zapytało mnie, jakie konsekwencje dla stosunków między Kościołem a państwem w Polsce będzie miała jego wizyta. Byli na ogół dość rozczarowani odpowiedzią, że na krótką metę nie będzie zbyt wielkich, spektakularnych skutków. No cóż uprzywilejowani ludzie Zachodu chcieliby widzieć logikę i w „naszym” systemie. Skoro za Kościołem stoi cały naród wywodzący się z władzy, to władze muszą pójść na konkretne koncesje. Nieśmiało tłumaczyłem, że nie jest to takie proste, bo za rządem stoi partia, za partią Moskwa, a za nimi wszystkimi doktryna, która jest co prawda już dawno martwa, ale stanowi jedyny tytuł do sprawowania władzy, więc trudno jest od niej odstąpić.

Papież Jan Paweł II nie pozostawił żadnych wątpliwości, że dialog, czy porozumienie z rządem musi oznaczać: „... pełne poszanowanie przekonań ludzi wierzących, pełne zabezpieczenie ich praw obywatelskich oraz normalne warunki działalności Kościoła jako wspólnoty religijnej, do której przynależy ogromna większość Polaków”. Nie znaczy to, że Kościół w Polsce nie ma planów a papież nie poprze dialogu i porozumienia w sprawach konkretnych, ograniczonych, możliwych do spełnienia już dzisiaj. Ale nie ma co robić komunistom iluzji, że sprawę da się załatwić drobnymi koncesyjami i nic nie znaczącymi ustępstwami. Nie tylko w Polsce, ale w samej Rosji, a częściowo także w innych krajach bloku wschodniego zarysowała się bardzo wyraźna alternatywa. Przyszedł nowy papież, Polak, Słowianin i człowiek znający system wschodni od podszewki, nie mający żadnych złudzeń. Jednocześnie następuje powszechne ożywienie religijności, w Polsce w skali ogólnonarodowej, znaczne w samej Rosji, bardzo silne na Litwie i Ukrainie. Widać już refleksy tej nowej sytuacji niemal w całej Europie Wschodniej. Jednocześnie we wszystkich krajach bloku wschodniego panuje jawne załamanie gospodarcze i występują przejawy kryzysu politycznego. Wszędzie też powstała opozycja świecka, nader dynamiczne ruchy dysydenckie. W sytuacji międzynarodowej pojawiły się też niepokojące dla bloku wschodniego symptomy przesunięć w układzie sił. Nie chodzi tylko o przysłowiową już kartę chińską. Ale, co na przy-

kład oznaczać będzie dla Rosji republika islamska w Iranie, itd., itd. W tej złożonej sytuacji przed rządzącymi nie tylko w Warszawie, ale także w Moskwie wyłaniają się coraz bardziej natarczywe pytania. Czy wystarczy stosowane w akcji przeciw religii środki administracyjne i policyjne? Czy dalsze stosowanie tych środków nie będzie nadmiernie zaostrzało sytuacji? *Czy próby oszukiwania kościoła koncesjami pozornymi lub nieznacznymi nie będą stanowiły wyzwania dla człowieka tak zasadniczego jakim jest papież Wojtyła?* Czy więc, aby nie dopuścić do nowej konfrontacji, a w każdym razie do poważniejszych napięć, nie należałoby poważniej pomyśleć o rozwiązaniach politycznych, a nie administracyjno-policyjnych. Stan personalny kierownictwa: podeszły wiek przywódców sowieckich z jednej strony, a integralnie idąca zależność komunistycznego przywództwa polskiego od Moskwy z drugiej strony nie zapowiadają szybkich decyzji w sprawach polityki kościelnej w krajach bloku wschodniego. Mimo to jest zupełnie oczywiste, że powstała tam wyraźna konieczność wyboru między ryzykowną konfrontacją z religią, kościołami i uczuciami szerokich mas społecznych, a szukaniem kompromisu i *modus vivendi*. Konieczność ta poza Polską najwyraźniej rysuje się na Litwie, ale w innej skali daje o sobie znać także w innych krajach bloku wschodniego.

Co będzie, jeśli kierownictwa polityczne przez dłuższy czas nie będą zdolne do dokonania wyboru, do podejmowania koniecznych decyzji? Wydaje się, że w takim wypadku należy się liczyć co najmniej z dwoma ewentualnościami. Przede wszystkim mogą wystąpić niepokoje, a nawet zaburzenia na tle religijnym. Od dłuższego już czasu nadchodzą z Litwy niepokojące sygnały na ten temat. Najbardziej prawdopodobny wydaje mi się jednak inny scenariusz wypadków, taki mianowicie, jakiego byliśmy świadkami z okazji wizyty Jana Pawła II w Polsce. Ekipy komunistyczne, niezdolne do stworzenia wyraźnej linii polityki kościelnej, będą po prostu stale zaskakiwane rozwojem wydarzeń i co pewien czas będą musiały przed nimi nieco za późno ustępować, nie zyskując sobie tym „kompromisem z przymusu”, a nie z przekonania, zbyt dobrego imienia. Weźmy dwa konkretne przykłady z Polski. Wiemy już, że papież chce ponownie odwiedzić kraj w 1982 roku w związku z 600-leciem przechowywania na Jasnej Górze cudownego obrazu Czarnej Madonny. Kierownictwo PZPR jest wobec tego życzenia nieme. A przecież trudno przypuścić, by odmówiło papieżowi prawa ponownego odwiedzenia Ojczyzny. Ustąpi więc najprawdopodobniej pod przymusem w ostatniej chwili, tak jak było tym razem. A szybka i pozytywna decyzja byłaby przecież w interesie samych komunistów. Ale oni nie znają nawet swego interesu, nie mówiąc o interesie Polski. Druga

sprawa to propozycja urządzenia w Polsce następnego Kongresu Eucharystycznego. Gdyby w Moskwie i Warszawie istniało zdolne do sprawnych i mądrych decyzji kierownictwo polityczne, już teraz usłyszeliśmyby zgodę na tę wielką uroczystość w skali całego Kościoła katolickiego. Ale gdzie tam, komu to dziś w głowie. Tymczasem dziesiątki krajów zachodnich lub Trzeciego Świata czułyby się goszczeniem Kongresu Eucharystycznego w najwyższym stopniu zaszczycone. Kraje bloku wschodniego spętane doktryną, uwikłane w niewolniczy system i bojące się religii jako ruchu masowego, nie są zdolne do żadnej reakcji, są zależnione i skonfundowane każdą nową propozycją, każdym przejawem autentycznego życia. A przecież gdyby się na nie otwierały, zyskałyby bardzo wiele, ich reputacja w świecie mogłaby się radykalnie zmienić.

Tymczasem jednak rządy komunistyczne są zdolne jedynie do ustępowania w ostatniej chwili, przyparte do muru przez nacisk własnych społeczeństw i światowej opinii publicznej. Wizyta Jana Pawła II w Polsce powinna im dać wiele do myślenia. Powinny się serio zastanowić, czy problemów o takiej sile dynamizującej uczucia społeczne, do jakich należy religia, nie należałoby podejmować wcześniej i świadomie. Czas zerwać ze schematem myślenia policyjnego o sprawach wyznaniowych. Pora już, a może nagleca chwila, żeby zacząć je widzieć w kategoriach rozwiązań politycznych. W końcu ani kościołom, ani narodom Europy Wschodniej, ani też rządów nie może zależeć na wzroście napięć na zawiedzeniu obudzonych nadziei i na konfliktach. Powstała jakościowo nowa sytuacja.

L. B.

Wschód i Zachód

Już od pół roku mieszkam na Zachodzie. Przez ten czas poznałem już mnóstwo ludzi najróżniejszego wieku i przekonań, ludzi z najrozmaitszych piętér społeczeństwa. Już miałem możliwość stwierdzenia, że ludzie wszędzie tu przejawiają zainteresowanie życiem Związku Sowieckiego. Przy tym nie jest to zainteresowanie typu etnograficznego, nie takie więc, jakie okazują obywatele cywilizowanych krajów, mając do czynienia z dzikimi wyspiarzami z tropików, albo mieszkańcami dżungli, ani pusta ciekawość turystów snujących się po obcym kraju. Chodzi o zainteresowanie o wiele głębsze, którego przedmiotem jest ustrój społeczny, jaki ukształtował się w Związku Sowieckim po rewolucji Październikowej oraz cały kompleks zagadnień związanych tak czy inaczej z tym ustrojem. Wymienię tu niektóre z nich.

— Czy można rozpatrywać uformowany w ZSSR typ społeczeństwa jako owoc gwałtu nad ludem, popełnionego przez niewielką grupę spiskowców — czy też jest to samorodny wytwór szerokich mas ludności, owoc natury i historii?

— Czy jest to ustrój społeczny trwały?

— Czym ten ustrój stoi, skoro warunki życia w nim są ciężkie, a ludność nie jest z nich zadowolona?

— Jakie są stosunki wzajemne władzy i ludu, partii i ludu, partii i organów władzy?

— Jaką rolę w dziele tworzenia i krzepnięcia tego ustroju odegrała i odgrywa ideologia marksistowska?

— Czy ustrój ten zgodny jest z ideałami marksizmu, czy też nie?

- Czy ustrój ten można nazwać socjalizmem realnym?
 - Na czym polega różnica między socjalizmem a komunizmem?
 - Czy jest to komunizm rzeczywisty?
 - Czy sowiecki marksizm jest marksizmem autentycznym?
 - Co w życiu społeczeństwa sowieckiego ma charakter narodowy albo konkretnie historyczny — a co komunistyczny czy socjalistyczny w szerokim sensie?
 - Jak przedstawia się sprawa swobód obywatelskich?
 - Czy masowe represje ery stalinowskiej były nieodzownym czynnikiem w procesie budowy społeczeństwa? Na czym polega ich osobliwość?
 - Czy braki sowieckiego trybu życia w ogólności są zjawiskiem przemijającym, czy też są naturalnym efektem działania praw, tym społeczeństwem rządzących?
 - Które z cech tego społeczeństwa można uznać za zasadnicze i determinujące charakter konkretnych kształtów jego życia?
 - Jakie ten ustrój ma zalety a jakie wady?
 - Czy w ramach tego ustroju można utrwalić jego zalety, a wady zlikwidować?
 - Czy możliwy jest komunizm z ludzką twarzą?
 - Czy możliwa jest — inna niż w ZSSR — droga do komunizmu lub socjalizmu, wyzbytego wad cechujących jego sowieckie wydanie?
 - Jak przedstawia się sprawa liberalizacji sowieckiego porządku społecznego i jakie są jej perspektywy?
 - Czy można wyobrazić sobie porządek społeczny łączący zalety zachodniej demokracji i sowieckiego komunizmu, a wolny od wad obu tych systemów?
 - Jak rozwiązuje komunizm problemy narastające w krajach kapitalistycznych (na przykład — problem bezrobocia, konflikty rasowe i narodowe)?
 - Współistnienie Zachodu i ZSSR. Opozycja w Związku Sowieckim, jej charakter i widoki.
- Problemów podobnych jest mnóstwo. Wyliczyłem tu wcale nie wszystkie.
- Nie pusta ciekawość każe Zachodowi interesować się tymi problemami, lecz żywy niepokój. Daje się wyczuć obawa, że to samo co dzieje się i dzieje w ZSSR może zdarzyć się także tutaj. Jak się zdaje, ludzie pragną tego uniknąć całkowicie, albo przynajmniej częściowo. W najgorszym razie — przeżyć to w łagodniejszej formie i zachować jakieś wygody związane z zachodnim stylem życia. Stąd się biorą pogaduszki o tym, że socjalizm (albo komunizm) w Związku Sowieckim zbudowany został rękoma w błędny sposób, że na Zachodzie potrafią to zrobić znacz-

nie lepiej (bo w ogóle wszystko tu robią lepiej), że możliwa jest trzecia droga, że marksizm został wypaczony i że należy przywrócić mu cały autentyzm i czystość...

Stąd bierze początek eurokomunizm i obietnice tutejszych komunistów, że w przyszłości, gdy zdobędą władzę, wyrzekną się masowych represji, uszanują swobody obywatelskie, zachowają wysoką stopę życiową i system wielopartyjny itd. Problemy, jak widzicie, poważne. Stąd też to zainteresowanie, pełne niepokoju. I chociaż w związku z tymi sprawami całe oceany słów napisano i wypowiedziano, kwestia, jak się zdaje, jest dalej otwarta, a ciekawość niezaspokojona. To zresztą zrozumiałe, jako że niebezpieczeństwo wprowadzenia takiego nowego ładu, jaki istnieje już w Związku Sowieckim, wydaje się coraz groźniejsze. To widmo, rzecz można, stoi już na progu każdego zachodniego domostwa, już puka do drzwi. Ba, wydaje mi się, że do niejednego domu już wtargnęło.

Nieraz już zabierałem głos w tych i podobnych sprawach. Czyniłem to, rzecz jasna, urywkowo, na różny sposób, w związku z jakimiś innymi problemami, często improwizując. Teraz też nie pretenduję do wyczerpania kwestii ani do przedstawienia jej w sposób systematyczny. Co więcej, myślę nawet, że koncepcja rozbudowana i rygorystyczna, proponująca jakąś definitywną receptę na rozwiązanie tych problemów, sprawiłaby dziś wrażenie martwego, prefabrykowanego schematu. Ludzie zaś, jak sądzę, mają takich schematów dosyć. Mam jednak w zanadrzu pewne ogólne założenia metodologiczne, których trzymałem się zawsze i o których słuszności przekonałem się z biegiem lat.

Aby nie zgubić się wśród problemów wspomnianych wyżej i dojść do wniosków wystarczająco prawdopodobnych, umożliwiających orientację w zawiłej rzeczywistości i wysnucie względnie wiarygodnych prognoz, należy trzymać się pewnych zasad epistemologicznych. Nie tak znów łatwo sformułować te zasady. Wyjaśnię tu tylko pokrótce, co właściwie mam na myśli.

Jeśli chcemy naprawdę rzecz zrozumieć, nie zaś tylko ludziom w głowach mącić i narzucać się w charakterze proroków i wodzów, dyktujących ludności kierunek marszu, powinniśmy za punkt wyjścia brać daną rzeczywistość, nie zaś marzenia piękno- duchów, pragnących siłą uszczęśliwić cierpiące człowieczeństwo, ani obietnanki demagogów i specjalistów od propagandy, ani partyjne deklaracje programowe, ani abstrakcyjne modele i wzory społeczeństwa przyszłości. Wszelkie takie projekty i modele, programy i obietnice mają pewną funkcję w życiu ludzkim, ale funkcja ta nic wspólnego nie ma z potrzebą zrozumienia realnego życia, jego obiektywnych praw i tendencji. Myślę, że dziś liczni ludzie już to rozumieją. Jeśli na przykład partia komunistyczna

w jakimś państwie zachodnim obiecuje, że po zdobyciu władzy zachowa w mocy dodatnie wyróżniki zachodniej demokracji (a więc także swobody obywatelskie i wysoką stopę życiową), nie pozwalając jednocześnie przejawiać się ujemnym cechom komunistycznego (socjalistycznego) ustroju, znanym już z praktyki ZSSR i krajów bloku prosowieckiego — obietnica ta może być uważana za odkrycie, umożliwiające zrozumienie zjawisk społecznych tylko pod warunkiem zupełnego braku zdrowego rozsądku, krzyżującej ignorancji w dziedzinie socjologii oraz całkowitego lekceważenia dla faktów i historii.

Wszyscy wiedzą również, że wizja społeczeństwa, w którym wygasną wreszcie kontrasty społeczne między ludźmi, jest jedną z podstawowych idei marksizmu; wielu ludzi uważa ją za nader słuszną. Tymczasem jest to idea absurdalna z punktu widzenia zarówno teorii, jak praktyki. Takiego ładu społecznego nie sposób zaprowadzić nawet na cmentarzu: jednych chowają w mauzoleach, innych w murze Kremla, owych — na cmentarzu Nowodziewiczym, jeszcze innych — obok klasztoru Dońskiego, tamtych znów — na Wostriakowskim, a są tacy, których kładą do ziemi dziesiątki kilometrów od Moskwy. A iluż to pochowano tak, że nikt ich mogiły nie znajdzie? Cóż dopiero mówić o codziennym, realnym życiu. Komunizm nie likwiduje i nie może w zasadzie zlikwidować społecznych różnic między ludźmi. Zmienia tylko ich formy, doprowadzając konflikty socjalne do monstrualnych rozmiarów, nie ustępujących w każdym razie tym, które dają się we znaki na Zachodzie. Doświadczenie historii przekonywa, że gdy tylko ludzie zaczynają wcielać w życie idealne wzory i marzyielskie projekty, z ich pobożnych życzeń rodzą się najszybsze plugastwa.

Ale rzeczywistość też nie jest pojęciem jednoznacznym. Życie społeczne jest wielokształtne i skomplikowane. Fakty bywają rozmaite, do wyboru, do koloru. Można dobrać je dowolnie, chcąc znaleźć potwierdzenie jakiejś z góry założonej idei. Ponadto — można dowolnie interpretować wszelkie fakty poddane badaniom. Wchodzą na przykład zagraniczni turyści i dziennikarze do jakiejś cerkwi w Moskwie, widzą jak chrzci się tu dzieci, jak młoda para bierze ślub. I już gotowa koncepcja rozkwitu życia religijnego, odrodzenia wiary w Rosji. I znajdują się dziesiątki ludzi, którzy te dobre chęci wezmą za rzeczywistość i zaczną świadczyć na rzecz tej koncepcji. W Związku Sowieckim trudno znaleźć człowieka, który nie krytykowałby sowieckich porządków i nie dawał wyrazu swemu niezadowoleniu. Cóż jeszcze może stanowić lepsze potwierdzenie koncepcji wedle której władza sowiecka nie ma żadnego poparcia wśród ludzi i opiera się tylko na bagnietach (a gdzież te bagnety, kto je widział, mówiąc między

nami?!). W ZSSR nikt nie wierzy w marksizm. I znów gotowa koncepcja, zgodnie z którą społeczeństwo sowieckie, odrutowane marksizmem, już się oto rozpada.

A tymczasem wcale się nie rozpada. I władza, oplatająca społeczeństwo siecią swoich odnóg, trzyma się wcale mocno. I „lud” nie tylko nie myśli o jej obaleniu, ale nawet o jej reformie. I na ideę „odrodzenia religijnego” władze patrzą z drwiną, żyjąc w doskonałej zgodzie z prawosławną cerkwią. I brak wiary w marksizm wcale go nie osłabia, bo marksizm jest tu ideologią, ideologia zaś nie wymaga wiary, tylko akceptacji. I nawet ruch dysydencki wcale nie wstrząsa posadami społeczeństwa, bo to społeczeństwo organizuje się i wegetuje zgodnie z prawami swojej historycznej natury, produkując adekwatny materiał ludzki, który z kolei — całym kształtem i przebiegiem swego życia — stara się reprodukcować składniki tego systemu społecznego.

Mówiąc krócej, fakty same przez się nie rozwiązują jeszcze żadnych problemów. Trzeba je przedtem jeszcze przemyśleć — i to trzymając się określonych reguł. Żyjemy w końcu dwudziestego wieku, wieku nadzwyczajnych osiągnięć nauki. Dyletanckie oceny i wieszczce bzdury daleko nas nie zaprowadzą. Trzeba badać fakty i to posługując się osiągnięciami współczesnej myśli. Trzeba nadto umieć owe poddane obserwacji fakty wykorzystać w interesach lepszego zrozumienia samych tych faktów. W moich książkach, w formie możliwie popularnej i literacko nie całkiem jeszcze nadużytej, starałem się uwagę ludzi, interesujących się naszym życiem, skierować właśnie w tę stronę. Czy próba się udała, czy nie — niech kto inny powie. Poruszam tutaj ten temat jedynie w planie ogólnym.

Z takim to nastawieniem przez wiele lat przyglądałem się społeczeństwu sowieckiemu, rozpatrując je jako klasyczny przykład społeczeństwa komunistycznego. Przekonałem się, że stosunek ludzi do tego społeczeństwa — to sprawa o wiele poważniejsza, niż się na ogół myśli. Zarówno apologety, jak krytycy — i to zarówno w ZSSR, jak na Zachodzie — patrzą na to społeczeństwo w ogromnej większości wypadków w sposób powierzchowny, prymitywny i częstokroć śmieszny. Kiedy w swoich książkach i artykułach pisałem np., że jest to społeczeństwo-monolit, że partia i naród istotnie stanowią tu jedną całość, że ustrój ten uformował się jako owoc spontanicznych wysiłków wielomilionowych mas ludności, że masowe represje za czasów Stalina były dziełem tych samych mas ludności, że przemoc kolektywu nad jednostką jest tylko odwrotną stroną obrony jednostki przez kolektyw, że marksizm — właśnie taki, a nie inny — doskonale służy społeczeństwu — to wielu uznało te twierdzenia za dziwactwa, za paradoksy, albo nawet za obronę sowieckiego modelu

życia. A tymczasem — łatwo wykazać, że to dopiero najniewinniejsze objawy życia w społeczeństwie komunistycznym, że rzeczywistość jest o wiele bardziej paradoksalna i straszna. Można bagatelizować te zjawiska, widząc w nich jedynie pretekst do literackich żartów. Będą jednak tak czy inaczej dawać o sobie znać, są bowiem objawami najgłębszej istoty omawianych tu spraw. I najważniejszą dziś rzeczą nie jest wcale wymyślenie jakiegoś idealnego modelu społeczeństwa, wolnego od wad zarówno sowieckiego, jak zachodniego typu — lecz zrozumienie istoty komunistycznej rzeczywistości i jej obiektywnych tendencji rozwojowych, tak, by móc się jej sprzeciwić wszelkimi dostępnymi siłami i środkami.

W tym aspekcie, uważam narodziny ruchu dysydenckiego w Związku Sowieckim za najważniejsze wydarzenie w jego historii socjalnej, za zjawisko niepomierne ważniejsze, niż loty kosmiczne i opanowanie energii jądrowej. Nie robię sobie żadnych iluzji na temat składu osobowego, poziomu intelektualnego i samych celów tego ruchu. Ale to wszystko nie jest istotne. Najważniejszy jest fakt jego istnienia, fakt, który przekonał ludzi, że można przeciwstawić się od wewnątrz reżimowi komunistycznemu.

Nie baczając na to, że tu, na Zachodzie, rzeczywiście ludzie interesują się komunizmem realnym w ZSSR (tj. praktyką komunizmu), jednak Zachód z dużą, jak mi się zdaje, bez troską odnosi się do całkiem realnego natarcia komunizmu. Wyraz „beztroska” być może nie jest tu całkiem na miejscu, bo wzięty jest z dziedziny psychologii, podczas gdy mnie chodzi o socjologiczny aspekt sprawy. Wyjaśnię konkretnie, co mam na myśli.

Ludność krajów Zachodu (zresztą wcale nie cała) obawia się jedynie siły militarnej Związku Sowieckiego. Ale niebezpieczeństwo sowieckiej inwazji nie jest jeszcze rzeczą najstraszniejszą. O wiele poważniejszy jest sam fakt istnienia krajów komunistycznych, ich pokojowa penetracja odczuwalna na całym Zachodzie, a także fakt istnienia w samych krajach Zachodu zjawisk społecznych typu komunistycznego, ich rozrost. Można odpowiedzieć na to, że przecież ten kij ma dwa końce, że infiltracja jest wzajemna i że w krajach komunistycznych mają miejsce zjawiska z komunizmem sprzeczne, na przykład ruchy religijne czy dysydenckie. To niby racja, ale jest ważna różnica. Wpływ krajów Zachodu na życie krajów komunistycznych i wpływ krajów komunistycznych na życie Zachodu — to zjawiska absolutnie niewspółmierne. Pierwsze z nich zupełnie nie podważa podstaw komunistycznego stylu życia, podczas gdy drugie burzy same fundamenty zachodniej demokracji i w ogóle — całego zachodniego porządku życiowego. Choćby to: z plodów zachodniej kultury,

otrzymywanych w trybie wymiany z Zachodem, korzystają w ZSSR przede wszystkim przedstawiciele uprzywilejowanych i zamoznych warstw ludności, co sprzyja — typowej dla komunizmu — tendencji do rozszczepienia społeczeństwa na warstwy wyższe i niższe, do akcentowania społecznej nierówności. Eksportowane zaś z ZSSR na Zachód wzory zachowań, polityków, biurokratów, działaczy kulturalnych, szeregowych obywateli — sprowadzają analogiczne formy postępowania, ukształtowane na Zachodzie, do niskiego poziomu komunistycznych przykładów. Kraje komunistyczne narzucają światu swoją psychologię społeczną, swój poziom umysłowy, swój typ organizacji, swój styl działania, stopniowo i nieznacznie obniżając — albo w najlepszym wypadku — hamując rozwój zachodniej cywilizacji. Nie mówiąc już o niezliczonej armii szpiegów, posyłanych na Zachód i mających tu znakomite pole do działania, oraz o piątej kolumnie, która w odpowiedniej chwili może odegrać na Zachodzie fatalną rolę. Przeciw zwykłemu wojsku Zachód ma jednak swoje wojska, przeciw współczesnym rodzajom broni — ma swoje własne, nie mniej potężne. Ale tej cywilnej armii cichych najeźdźców z krajów komunistycznych oraz ich miejscowym pomocnikom — Zachód nie może tymczasem przeciwstawić odpowiedniej siły i nie ma nawet skutecznych środków samoobrony.

Spójrzmy teraz na handlowe i kulturalne kontakty Zachodu ze Związkiem Sowieckim. Są pożyteczne, ani słowa. Ale komu i jaki przynoszą pożytek? Kto stara się najusilniej o te kontakty? Z jednej strony — osoby prywatne (*bussinesman*’i, ludzie ze świata kultury), z drugiej zaś — przedstawiciele władz i klasy rządzącej Związku Sowieckiego. Są to zatem partnerzy o wyrażnie niewspółmiernym ciężarze gatunkowym z punktu widzenia ich pozycji socjalnej i roli w swoich krajach. I nikt dotąd nie poddał jeszcze trzeźwej analizie realnych i głębokich następstw tych kontaktów.

Ileż to razy się zdarza, że przedstawiciele zachodniego świata kultury traktują jako kolegów (często tuląc ich dosłownie do wezbranych serc) byłych stalinowskich oprawców, sowieckich, partyjnych i państwowych biurokratów od kultury, współpracowników KGB, przyjeżdżających na Zachód w charakterze uczonych (wiadomo przy tym kim są naprawdę, nieraz sam słyszałem wyznania na ten temat!) a więc ludzi, którzy zawodowo zajmują się rozwalaniem społeczeństwa zachodniego, jego moralności i świadomości zbiorowej. Nie chcę wcale aby te moje słowa uznane zostały za nawoływanie do „zimnej wojny”. Chcę tylko jednego: aby ludzie znali prawdę o komunizmie i realnej jego pozycji w świecie, nie tylko zaś strzępy faktów, na które nie reagują już dziś nawet stalinowcy z czarnym podniebieniem.

Wspomniałem wyżej o przejawach komunizmu w życiu zachodnich krajów. To bardzo istotna sprawa. Nie przypadkiem moje książki tu, na Zachodzie, przyjęte zostały przez wielu jako aktualne przede wszystkim dla świata zachodniego. Powtarzano mi często, że to, co napisałem, ma miejsce także w tutejszym życiu. Nie widzę w tym nic dziwnego. Chodzi o to, że różnicom komunistyczne stosunki społeczne, które obserwować można w organizmach społecznych najróżniejszego typu — oraz komunistyczny typ społeczeństwa, w którym te stosunki stają się obowiązujące. Aby do tego doszło, tj. aby społeczeństwo takiego typu powstało, konieczne są określone warunki. Wiadomo już ogólnie, jakie: likwidacja prywatnej własności środków produkcji i — jako nieuniknione następstwo tego zabiegu — likwidacja swobód obywatelskich, „jednopartyjny” (a właściwie — bezpartyjny) system władzy, kontrola wszystkich dziedzin życia społecznego, przymus pracy, przygwożdżenie jednostki do miejsca zamieszkania i pracy, prawo kolektywu do gwałtu nad jednostką, itp. Obecność na Zachodzie stosunków i zachowań typu komunistycznego stwierdzić można gołym okiem. Zaliczam tu procesy z udziałem wielkich ludzkich mas, na których przebieg nie mają jednak wpływu — a jeśli mają, to przytłumiony — okoliczności związane ze stosunkami własności, z konkurencją i innymi atrybutami kapitalizmu. Ale na Zachodzie ten typ stosunków zagrożony jest w masie związków międzyludzkich innego, dawnego typu i nie przejawia się z taką siłą, jak to ma miejsce w ZSSR. Nie rozwodzą się też nad faktem, że partie komunistyczne są organizacjami zdradzającymi bliźniacze podobieństwo do analogicznych organizacji sowieckich, jeśli porównać panujące wewnątrz nich stosunki.

Mimo wszystko nie wpadam w czarny pesymizm o który często bywam posądzany. Zdołałem w ZSSR przyjrzeć się pewnym objawom, mogącym świadczyć o perspektywach ruchu oporu. To i owo zdążyłem sobie zakonotować. To fakt niezbity: ma teraz miejsce wielki zwrot w ludzkich nastrojach i poglądach. I nie jest to wcale zwrot w stronę komunizmu. Odnosi się to przede wszystkim do młodzieży. Dość często spotykam się tu z młodymi ludźmi. Nie znam całości obrazu, ale to, co zobaczyłem, podoba mi się. Pewien jestem, że młode pokolenie będzie coraz aktywniej opierać się tej fali, która wzbiera, by zalać świat. Myślę, że ten opór jest w interesie samych narodów Związku Sowieckiego. Podkreślam, że chodzi tu nie o opieranie się jakimś działaniom władzy, lecz o ruch znacznie głębszego zasięgu; mam na myśli przeciwstawianie się jednostek ludzkich następstwom i owocom ich wspólnego, kolektywnego działania. Dotyczy to nie tylko Związku Sowieckiego lecz także krajów Zachodu. Granica mię-

dzy „Wschodem” a „Zachodem” to pojęcie nie tyle geograficzne, ile społeczne.

Ruch komunistyczny przeżywa teraz głęboki kryzys. Jest to kryzys szczególny: kryzys SUKCESU. Wyszło na jaw coś takiego, czego przelekli się, czego nie życzą sobie najaktywniejsi działacze i uczestnicy tego ruchu. Ruch wymknął się spod ich kontroli a nie ma żadnych wewnętrznych hamulców i mechanizmów zabezpieczających.

Utrzymać ten ruch w rozsądnych ryzach, wprowadzić go w koryto takie, by można było w ogóle go znieść — ten zamiar da się teraz spełnić tylko przy współudziale wielu milionów ludzi z najrozmaitszych pięt społecznej drabiny; nie wystarczą tu wysiłki samotnych marzycieli.

Aleksander ZINOWIEW

(Tłumaczył Michał KANIOWSKI)

ZAPRENUMERUJ **“AN EKS”** do ocenzonej prasy w Polsce

W nr. 21 m.in. Wywiad z Raymondem Aronem; St. Gomułka: Sytuacja gospodarcza Polski; JĘZYK TOTALITARNY: A. Wat: Semantyka języka stalinowskiego; J. Etkind: Polityka i prawda; K. Mueller: Komunikacja sterowana; L. Bod: Język i polityka; I. Grudzińska-Gross: Świat zaarrestowanych słów; T. Strzyżewski: Zamiast posłowania do „Czarnej Księgi Cenzury PRL”; „WSPÓŁRZĄDZIC CZY NIE KŁAMAĆ” — o książce A. Micewskiego; L. Dembiński, A. Pospieszalski.

Upřednio w nr. 20: L. Kotakowski: Jak być konserwatywno-liberalnym socjalistą; L. Dembiński: Prawo i władza; J. Szadek: Rok 1968 — dziesięć lat później; K. Dorosz: Wędrówki ziemią Ulro; UWAGI O SYTUACJI GOSPODARCZEJ KRAJU ze wstępem E. Lipińskiego, komentarzami W. Brusa, J. Drewnowskiego, St. Gomułki oraz dyskusją w niezależnej prasie krajowej z udziałem W. Niedbała, K. Ostaińca, A. Skrzętnego oraz prof. Karola S..

ROCZNIE 4 numery — \$ 15; F.fr. 50, w Wielkiej Brytanii — £ 6.

ZAMÓWIENIA wraz z wpłatą należy przysyłać na adres:

A N E K S, 61 DORSET ROAD, LONDON W5 4HX ENGLAND.

Dziennik pisany nocą

Maisons-Laffitte, 5 kwietnia 1979

„Chcę dodać, na użytek malarzy którzy bez ustanku wyrzucają literatom ich niezdolność mówienia o malarstwie, ich tendencję przypisywania malarzom zamiarów których nigdy nie posiadali, że jeśli istotnie malarze robią to co powiedziałem, albo — ściślej mówiąc — jeśli Chardin robił to co powiedziałem, nigdy nie miał takiego zamiaru; więcej, jest bardziej niż prawdopodobne, że nigdy nie zdawał sobie sprawy z tego co robi. Byłby może ogromnie zdumiony, dowiedziawszy się że z taką pasją odmalował życie natury uważanej za martwą... Akty kreacyjne wypływają nie ze znajomości ich praw, lecz z ciemnej i niepojętej mocy, którą wzmacniamy rozświetlając ją. Kobiecie nie jest potrzebna znajomość medycyny by rodzić, mężczyźnie nie jest potrzebna znajomość psychologii miłości by kochać, ani znajomość mechanizmu gniewu by...”.

Tak kończy się, urwane w pół zdania, studium Prousta o malarstwie Chardina. Ciekawym, kiedy dokładnie weszło wśród malarzy do dobrego tonu bocyć się (często z odętymi pogardliwie wargami) na literatów, pozwalających sobie pisać „niefachowo” o malarstwie. Jeszcze za czasów Chardina „dyletanckie” notatki Diderota o jego wystawie przeciwstawiano dość skutecznie „fachowemu” zaliczeniu go przez sędziów z Akademii do *genre mineur*, a w następnym stuleciu pokutującą wciąż „rangę kopisty” wyśmiewano z pomocą braci Goncourt, którzy Chardina stawiali obok Vermeera. No więc kiedy sami malarze uwierzyli, że aby pisać o malarstwie trzeba należeć do „parafii”? I czy uwaga Prousta jest dalej aktualna, nawet po tomach Malraux? Nie wiem. Wiem tylko, że na naszym rodzimym podwórku dwie przejrane przeze mnie wczoraj „fachowe” książki Kępińskiego

o moim ulubionym malarzu Potworowskim są mniej warte od króciutkiego szkicu, jaki napisał o nim niegdyś w okresie londyńskim poeta Tadeusz Sułkowski.

Trzy razy na wielkiej wystawie Chardina. Trzy razy uczucie jakby oglądając jego miedziane kotły i rondle, kredensy i stoły zastawione porcelanowymi dzbankami i wazami, kuchenne utensylia, przybory do palenia fajki, szklanki i słoiki, „menu tłuste i chude”, rozpląszczoną rąkę z nastroszonym kotem, czerwone mięsiwa, sery i owoce, instrumenty muzyczne, malarskie i pomiarowe, wreszcie jego samego z głową opatuloną białym czepcem i z daszkiem nad okularami, oglądało się świat doskonale pełny i zamknięty, ciężki od codzienności, i zarazem magiczny; niemy i równocześnie opowiadający coś zagadkowym językiem bez słów. Wystarcza tu proustowska formuła „życia natury uważanej za martwą”?

Za trzecim razem miałem już w pamięci trochę rozpraw o sztuce Chardina. Prawie zawsze wykreśla się w nich linię od Rembrandta i Vermeera, poprzez Chardina do Corota i „metafizycznych” martwych natur Morandiego. Powtarzają się zwroty w rodzaju „poezji nieożywionego przedmiotu”, „malarstwa milczenia”. Odrobinę lepiej brzmi w moich uszach odsyłacz do „zatrzymania gestu” u Vermeera, może dlatego że sam kiedyś napomknąłem w dzienniku o vermeerowskim „zatrzymaniu chwili”. Ale, przy większej czy mniejszej zgodzie na wykresy kologiczne, gdzie źródło odrębności Chardina?

Według jednego z krytyków można na podstawie obrazów Chardina odtworzyć w najdrobniejszych szczegółach wnętrze i dzieje mieszkania państwa Chardin; czyli znowu, choć na odmienną nieco modłę, „życie (i kronika) natury uważanej za martwą”. Ktoś nazywa go „malarzem dzieciństwa”. Dzieciństwa, tak, lecz w bardzo swoistym sensie. Dziecinne spojrzenia, które uparte wpatrywanie się w rzecz łączy z odkrywaniem jej ciągle na nowo; i z jej ciągłą utratą. Dla Chardina, podróżnika przez całe życie dokoła własnego mieszkania, sekret dotykanej rzeczywistości trwa bez ruchu na odległość wyciągniętej ręki. Aby, ledwie schwytyany i przebity okiem, zpowszednieć natychmiast i wymknąć się chyłkiem z palców uzbrojonych w pędzle. Dienne i nocne wyprawy domowe Chardina w pościgu za ukrytą substancją i za innym wymiarem przedmiotów są *fabułą* jego niezwykłego malarstwa.

Neapol, 17 kwietnia

W słynnym esej *Dehumanizacja sztuki* (z roku 1949) Ortega y Gasset postawił pytanie: Jaki typ życia ujawnia się w ataku

na dawną sztukę? I odpowiedział na nie, dla ostrożności, seria dalszych pytań. Atakując całą dotychczasową sztukę, nie występuje się przeciw wszelkiej sztuce? Bo czym ona konkretnie jest, jeśli nie sztuką dotąd stworzoną? Czy ten entuzjazm dla czystej sztuki nie jest aby maską, która zasłania przesyt sztuką i nienawiść do niej? Ale jak do tego doszło? Nienawiść do sztuki nie mogła się rozwinąć jako zjawisko izolowane; musiała towarzyszyć nienawiści do nauki, do państwa, do cywilizacji w ogóle. Wypada nam przyjąć, że współczesny człowiek Zachodu żywi urazę do własnej historycznej istoty? Ze dąży go *odium professionis* mnichów średniowiecznych, wstręt do reguł które ukształtowały ich życie w ciągu wielu lat dyscypliny zakonnej?

Dziś te ostrożne pytanki są zbyteczne. Zresztą sam Ortega mógł być przytoczyć, na dowód słuszności swych podejrzeń, deklaracje dwóch wodzirejów sztuki nowoczesnej. Futurysty Marinettiego: „Gwałt stał się obecnie najlepszym warunkiem prawdziwego zdrowia narodu. Porządek, pacyfizm, umiarkowanie, duch dyplomacji i reform, nie są może symptomami arteriosklerozy, starości?”. I surrealisty Bretona: „Najprostszy akt surrealistyczny polega na wyjściu na ulicę z rewolwerem w garści i na strzelaniu na oślep, dopóki w magazynku są naboje, do tłumu”. Tak na sprawy patrząc, wolno uznać że ideał sztuki nowoczesnej osiągnął bruku; „akty” futurystyczne i surrealistyczne należą, w trzydziestą rocznicę *Dehumanizacji sztuki*, do żelaznego repertuaru Zachodu.

5 maja

W roku 1774, w dwadzieścia lat od ucieczki z weneckiego więzienia *Piombi*, Giacomo Casanova dostał wreszcie zezwolenie na powrót do rodzinnego miasta. Zezwolenie warunkowe, w formie glejtu, za usługi oddane weneckim Inkwizytorom podczas długiego wyczekiwania w Trieście.

Miał pięćdziesiątkę. Amory wyczerpywały go raczej, niż pokrzepiały. Stał się łakomy i prawie żarłoczny. Groziła mu ociążałość. Z czego żyć? Na pierwszy ogień z obłudnej pokory wobec sygnatariuszy glejtu: „Nic mi nie dała fortuna, niewiele mogę się spodziewać po własnej przedsiębiorczości, zważywszy że w talenty wyposażony jestem skąpo, a wiek nie stoi w miejscu”. Doraźną współpracę z policją zdołał tedy zamienić na stałą (w roli konfidenta), co załatwiało potrzeby skromnej egzystencji.

Nie o to mu jednak chodziło, mierzył oczywiście wyżej. Chciał po dawnemu brylować w salonach, czarować, być faworytem marnotrawnym przytulonym po powrocie czule, w odrzu-

chu przebaczenia i admiracji, do piersi ukochanej Wenecji. Ale Wenecja nie kwapiła się do tej oleodrukowo rozczulającej sceny. W salonach przyjmowano go z rezerwą. Opowiadane przezeń przygody z tysiąca i jednej nocy zdawały się, wśród dyskretnych poziewywań, usypiać słuchaczy. Ukradkowymi, ironicznymi uśmiechami kwitowano jego napuszone samochwalstwo. A damom weneckim ich niezawodne anteny erotyczne dyktowały powściągliwość, ledwie maskowaną obojętność na zaloty boskiego amanta. Na domiar złego, po kątach szeptało o jego koneksjach z policją. Czuł się pomniejszony naraz, zdyskredytowany. Pewnego dnia zdarzyło mu się nawet usłyszeć za plecami jadowity syk: *lesto-fante*, szalbierz.

Postanowił sięgnąć po ostatnią broń: pióro. Zawsze uważał się za pisarza w ogólnikowym tego słowa znaczeniu, natomiast w skrytości ducha aspirował do tytułów historyka i filozofa. Zaczął od przekładu *Iliady* w zeszytach dla abonentów. Impreza okazała się niewypałem. Dał upust swoim ukrytym aspiracjom, pisząc prawomysłny pamflet o Wolterze i wiernopoddaną polemikę z jakąś krytyczną historią Wenecji. Też niewypał. Przerzucił się na periodycznie wydawane *Opuscoli miscellanei*. I w tej serii, bez obłonek już i jakby *in extremis* walcząc o swój wenecki honor przeciw miastu które krok po kroku pchało go ku wyobcowaniu, cisnął na stół atutową kartę „polską”. Kartę atutową, bo dzieje opisanego pojedynku miały być w intencji autora nieodpartą „próbką życia” Weneccjanina godnego tego imienia. „Polską”, bo głośny swego czasu pojedynek odbył się w Warszawie w roku 1766.

„Awanturnik z musu” (jego własne słowa) zjawia się w Warszawie i od razu na wstępie „ogłasza się hrabią” (o czym relacja milczy). Stanisław August wita przybysza życzliwie, podobnie większość magnatów polskich. Występują wtedy w Warszawie dwie włoskie tancerki, Anna i Katarzyna, dzieląc dworską i arystokratyczną widownię na dwa obozy. Katarzynę oklaskują król, Czartoryscy, Lubomirscy; obozowi Anny przewodzi Ksawery Branicki. Casanova skłania się ku Katarzynie, prawdopodobnie dlatego, że jej obóz jest znaczniejszy i możniejszy; pewnie i dlatego, że z Anną kuszował za dawnych lat, a nie gustuje zbyt w odgrzewanych kochankach. Któregoś wieczoru pędzi po przedstawieniu do garderoby Katarzyny; po drodze zachciwa mu się nagle wstąpić na chwilkę do garderoby Anny. Zastaje tam Branickiego. Casanova gotów jest wycofać się natychmiast. „To lubię — powiada Branicki, — lecz tchórz który się wycofuje powinien również... (tu prowokacyjna ordynarność)”. Casanova kładzie dłoń na rękojęści szpady, mówi: *c'en est trop* i kieruje się ku drzwiom. Zatrzymują go słowa Branickiego: „Ten we-

necki tchórz dobrze robi zmiatając, lecz powinien również... (tu powtórzona ordynarność)". Na co Casanova od progu: „Wenecki tchórz pośle wkrótce na tamten świat dzielnego Polaka”. Pojedynek nieunikniony. Casanova rani Branickiego dość ciężko w brzuch, sam wychodzi z opresji tanim kosztem postrzelonej ręki. Skandal udaje się zatuszować, następuje pojednanie rywali. Fetowany teraz w Warszawie, Casanova chwytą równocześnie doświadczonym uchem nadciąganie fali „oszczerstw”. Pora zmienić na jakiś czas klimat. Wybiera się na Podole i Wołyń, noszą go tam w polskich pałacach i dworach na rękach. Po powrocie do Warszawy cierpienie mu aż skóra od lodowatej atmosfery. Wraz z królewskim nakazem wydalenia otrzymuje nabita sakiewkę na drogę. Skąd to oziębienie, nie bardzo wiadomo. Albo pokumał się zanadto z przeciwnikami króla na trasie wschodniego wojażu, albo pękła „hrabiowska” mistyfikacja.

Casanova napisał i rozkolportował w Wenecji *Pojedynek* dla jednego właściwie zdania. Przytoczywszy swoją pogroźkę że „wenecki tchórz pośle wkrótce na tamten świat dzielnego Polaka”, dodał mianowicie: „Gdyby Branicki do grubiańskiego określenia *tchórz* nie doczepił był przymiotnika *wenecki*, G.C. przekłnąłby może zniewagę, ale epitetu zniesławiającego własny naród nie zniesie żaden człowiek”. To zdanie miało mu zaskarbić miłość rodaków, miało zmiekczyć twarde serce Wenecji. Niestety! Patriotyczne runięcie do nóg było niewypałem definitywnym, przypiętowało rozstanie. Wenecja ani drgnęła, zmarszczyła tylko lekko brwi. Czemu nie drgnęła, nie otworzyła szeroko ramion? Szkoda czasu na zgadywanie. Każdy argument był dobry, by wpuszczoneму tylnymi schodami banicie uniemożliwić dożycie starości i śmierć w murach nieubłaganego miasta. W roku 1783 autor *Pojedynku* uciekł z „niewdzięcznej ojczyzny”. Tym razem bezpowrotnie.

6 maja

Bogiem a prawdą nie jest dla mnie jasne, dlaczego *Pojedynek* Casanovy przyciągnął moją uwagę zamiast utonąć w lekturach nie odnotowywanych. Nałóg pisanie dziennika zmusza (albo przynajmniej zachęca) do stawiania sobie takich pytań, do tropienia odcisków, jakie w pamięci pozostawiają szybkie i ulotne asocjacje.

Było to w Paestum przed dwoma tygodniami, w ciemny dzień obrysowujący jednak ostro ruiny. Powtórzyło się wczoraj w Cumie, w podobnych dekoracjach ruin: dzień znowu ciemny, kikuty kamieni i murów na akropolach, zabity deskami korytarz kamienny do groty Sybilli, dzikie chaszcze zieleni, morze ocierające

się rytmicznie pasemkiem piany o daleką plażę. W obu wypadkach myśl o śmierci miasta. I w obu wypadkach błysk skojarzenia: miasto które umiera, Wenecja. Tak, chyba to zaprowadziło mnie do książeczki bez większego znaczenia, do narracyjnego *curiosum*, w którym postać i perypetie Casanovy o tyle jedynie są ważne, o ile służą obecnemu wciąż w tle obrazowi Wenecji.

Wenecja ma posmak mitu, legendy o nowożytniej *polis*. Wenecję siedemnastowieczną obrała sobie Simone Weil dla pochwały *polis* w swojej tragedii *Venise sauvée*, wkładając w usta bohatera okrzyk: „W moich niewidzących już oczach jakież piękne jest miasto!”. Wenecką *polis*, żywą jeszcze dziedziczkę dumnej nazwy *Serenissima*, prosił o łaskę obieżyświat i oszust, którego dopadło pragnienie powrotu do źródeł.

Ale Wenecja to także mit dogasający, przecucie śmierci, rozpadu, ruin. Wenecja? Zachwycająca Wenecja? Czy to możliwe? Jak u człowieka na pozór i z wyglądu zdrowego widać czasem w oczach nagły cień śmierci, tak od końca zeszłego stulecia Wenecja stała się dla zakochanych w niej przedmiotem obaw i potajemnych westchnień. Zdawała się coraz bardziej nierealna, zbudowana z materii prześnionego już snu, niezdolna do przetrwania w nadchodzącym świecie. Mówiono o niej „cudowny grobowiec”, szukali często w jej podmywanych i nadgryzanych wodą domach schronienia ci, którzy własne umieranie chcieli zharmonizować z umieraniem miasta. Zapewne, zerowała na obrazie Wenecji przekwitłej i przebrzmiałej, skazanej na stopniową zagładę jako wspomnienie innej epoki, literatura dekadenska. Kto jednak, znając Wenecję, czytał *The Aspern Papers* Henry James'a, przyzna że to wspaniałe opowiadanie o strzeżonych zazdrośnie ruinach miłości nie mogło się rozegrać nigdzie indziej poza „grobowcem” weneckiego *palazzo* (mimo że podniętą doń była dla James'a historia dogorywania w Florencji starej kobiety, za młodu kochanki Byrona).

8 maja

Młodzi prozaicy w kraju, pilni czytelnicy wydanych ostatnio po polsku *Opowiadań* Borgesa, nie podpatrujcie jego finezyjnych, brawurowych i kuglarskich niekiedy sztuczek pisarskich, nie próbujcie stać się jego terminatorami! Nic wam z tej nauki nie przyjdzie. Po pierwsze, nie splądrujcie wszystkich bibliotek świata, a opowiada on o tym głównie co od wynalezienia pisma opowiadali i o czym rozmyślali inni; i nawet gdy pisze o dziełach urojonych, jest przeżuwcem gór zaczernionego papieru. Po drugie,

zgubicie się w jego „labiryntach” i potłuczecie sobie głowy o jego „lustra”, bo to namiętność (czy obsesja) płodna poetycko tylko u pisarza oślepego.

13 maja

Rozdział o okresie 1864-1904 w *Sprawie polskiej* Studnickiego otwierają, jako motto, słowa Worcella: „Zadna klęska, żadne nieudanie się powstania nie będzie śmiercią, dopóki wspomnienie każdego drugie wywoływać będzie”.

Mało już Polaków, po Powstaniu Warszawskim, podpisałoby się pod tak skrajnym twierdzeniem. Ale odarte ze skrajności, z kategorycznego automatyzmu słowa „wywoływać”, twierdzenie Worcella nie traci swej istoty. I dziś oznacza po prostu tyle: dopóki Polacy nie odzyskają niepodległości, impuls powstańczy będzie silniej czy słabiej żył w ich świadomości narodowej; gdyby miał zaniknąć całkowicie, pozostawi ją w stanie atrofii. Rzecz jasna, jeśli potrzebę niepodległości uważa się za podstawowy wyznacznik świadomości narodowej.

Cztery eseje Tomasza Łubieńskiego o powstaniach polskich od Insurekcji Kościuszkowskiej do Powstania Styczniowego, zebrane w tomiku *Bić się czy nie bić?*, zdezorientowały podobno recenzentów. Apoteoza powstań? Ich krytyka? Na miejscu autora byłbym z takiej reakcji zadowolony. W sedno trafia tytuł: bić się czy nie bić, oto jest pytanie. Pytanie (o czym Łubieński nigdy nie zapomina), którego najgłębszy sens tkwił w tym że ciągle, na przekór klęskom, trwało. Odpowiadał na nie jednoznacznie Worcell. Mógł na nie jednoznacznie odpowiadać, gdyż nie przedstawiano go sobie zadawać. W roku 1910 odpowiedź Worcella posłużyła za motto do jednego z rozdziałów książki, której pękate egzemplarze w kilka lat później rozpychały plecaki wielu legionistów (a Studnicki wytknął w niej powstaniom więcej błędów, niż Łubieński w swoim tomiku). Żołnierzom Piłsudskiego towarzyszyło często wzruszenie ramion rodaków, o dość jednoznacznej wymowie: nie bić się. Pytanie dotrwało do naszego stulecia. Dotrwały też różne na nie odpowiedzi. Najważniejsze, że dotrwało samo pytanie.

Tragedia 1944 roku powściągnęła polski impuls powstańczy, ale go nie zabiła. Zgadza się z diagnozą Nowaka w epilogu do *Kuriera z Warszawy*: to że powściągnęła, zwiększyło ostrożność Polaków; to że nie zabiła, zwiększyło ostrożność Moskwy. Ten splot ma w sobie coś z zawieszenia broni. I pozwala tymczasem pracować nad ograniczaniem polskiej podległości.

17 maja

W paczce z Warszawy dwie książki: *Rozmowa z ojcem* Wojny i *Pamiętnik moich książek* Bratnego, z lakonicznym dopiskiem: „szmatławie”. Nadawca wiedział co robi, wysyłając je w jednej kopercie. Powinny być w przyszłości wydawane razem, w jednym dwugłowym (!) tomie; albo, lepiej jeszcze, luzem we wspólnej kasce w czerwono-białe prążki. To jest dwuksiąż PRL, „ideologiczna” biblia „czysto polskiego (nareszcie) komunizmu”. Do wyboru, do koloru: u obu autorów, bliźniaczo w zasadzie do siebie podobnych, składniki czerwieni i bieli są przemieszane w różnych proporcjach. Obaj wychodzą z tego samego założenia i dochodzą do tych samych wniosków. Rozchodzą się trochę po drodze, jeden jest bardziej „ideologiczny” (Wojna), drugi mniej (Bratny). Ale to wolno, to w niczym nie narusza wychowawczej wartości dwuksięgu. Można być dobrym Polakiem i przykładnym obywatelem PRL po wojniaku, można po bratniaku, jak kto woli. Istotne, wciąż dla celów wychowawczych, są punkty wyjścia i dojścia.

Punktem wyjścia jest historyczny wyrok, od którego nie ma i nigdy już nie będzie odwołania. Dla Bratnego „nadszedł czas wyboru Wschód-Zachód, i oni (komuniści) wybrali za nas słuszenie; bo słusznie jest się zgodzić, że się jest tam, gdzie się jest naprawdę”. Wojna po wojnie pyta umierającego ojca: „Jak to się stało, że zaakceptowałeś sojusz z sowiecką Rosją?”. Ojciec wyjaśnia: „To nie ja poszedłem na lewo, lecz historia. Protestowanie na nic się nie zda. Jest oszukiwaniem siebie i narodu. Tak jak patriotyzmem moich czasów był sen o szpadzie spełniony w Legionach, tak patriotyzmem twoich jest stopienie wyzwolenia narodowego ze społecznym. Potrzebny jest nam nowy stop polskości. To najważniejsze. W każdej epoce trzeba umieć chwycić to, co najważniejsze. Teraz chodzi o to, co kiedyś historia potwierdzi. Historia, która wszystkie złożoności sprowadzi do jednozdaniowej definicji, do syntezy. Musisz być, synku, po stronie przyszłości”. Innymi słowy, wyluskawszy perłę z „dialektycznej” ostygi, próżno wierzyć na ościeniu; albo, jak chętnie mawiali więźniowie w łagrach sowieckich, *wyże ch... nie przyniosz*.

Ruszają żwawo przed siebie, nieco odmiennymi choć równoległymi drogami. Bratnemu wystarcza „wybór historyczny”, z umiarkowaną stosunkowo domieszką „ideologii”. Niedostatki i czkawki „ideologiczne” nadrabia rzutkością, cwaniactwem, programowym konformizmem, natężaniem węchu (trzeba mu oddać sprawiedliwość, i uznać za zaletę jego spowiedzi, że gra rozma-

chanym piórem w otwarte karty). Wojnie ojcowski wiatyk przypisania wiatrak. Jak „po stronie przyszłości”, no to na całego, obiema nogami! Jak „jednozdanowa definicja” i „synteza”, no to lu! Uderza więc w wysokie tony liryczne: „Komuniści to przede wszystkim współczesna sublimacja odwiecznego nurtu plebejskich dążeń i marzeń, to esencja polskości, tylko szerzej pojętej niż ta, która nam się jawi w poczcie królów polskich”. Zachłystuje się „uniwersalnymi kryteriami socjalizmu, obowiązującymi pod każdą szerokością geograficzną”, aż go jakiś włoski senator komunistyczny musi przyhamować, że uniwersalne kryteria uniwersalnymi kryteriami, ale liczą się „istnienie i potęga Związku Radzieckiego”.

Drogi obu towarzyszy schodzą się na powrót, gdy „polskości” dane jest usunąć odrobinę w cień utrudzoną ponad miarę i nie zawsze lekkostrawną „ideologię”. Jeżeli trafiały się jakieś potknięcia i nadużycia, to winni byli towarzysze pochodzenia żydowskiego. Ze też partia wcześniej na to nie wpadła! Odtąd Bratnego olśniewają nowe socjalistyczne wartości „weryfikujące polskosc”, oraz „nadzieje na lepsze i bardziej polskie dzianie się naszego życia”. A Wojna z westchnieniem ulgi żegna wyciętą ze zdrowego organizmu partii narośl „socjalistycznej wersji kosmopolityzmu”, narośl odpowiedzialną za otumanienie rdzennie polskich towarzyszy perspektywą rychłego „przewyciężenia uwarunkowań narodowych”. Ba, cofa się w przeszłość, do roku 1920, by kosmopolitom z ówczesnej wierchuszki partyjnej wypomnieć „nieuwzględnienie polskich uczuleń porozbiorowych”; a przecież to owe „uczulenia” sprawiły, że „niejeden późniejszy komunista polski stanął wtedy do walki u boku polskiej burżuazji przeciwko swym sojusznikom klasowym z czerwoną gwiazdą na czapce”, wbrew „logice działań rewolucyjnych i wspólnemu (z towarzyszami radzieckimi) mianownikowi marksizmu-leninizmu”. Dość zatem lekceważenia „uwarunkowań” i „uczuleń” narodowych. Oto bowiem teraz „wychodzą sobie naprzeciw dwa działania: partii zjednującej naród i narodu wchłaniającego partię”. Aby zaś szybciej doszło do spotkania i wzajemnego przeniknięcia się „dwóch działań”, nie zawadziłoby dla dobra „zjednywania” i „wchłaniania” uszanować bardziej tradycyjne przywiązanie Polaków do Kościoła. I „stop polskości” z wiatyku Wojny-ojca gotów: polski komunizm narodowy i katolicki.

U zarania PRL powstał najkrótszy utwór powojennej literatury polskiej, znakomity dramat Gałczyńskiego z *Teatryku pod Zieloną Gęsią*.

Naród: Ustroju, ustroju!
Ustrój (narodowi nie odpowiada).

Zadaniem dwuksięgu jest odegrać go w nowej, poprawionej wersji:

Ustrój: Narodzie, narodzie!
Naród (ustrojowi odpowiada).

Że w końcu naród odpowiada ustrojowi jest spóźnionym triumfem rzeczywistości, skoro uformował się tak jak się uformował i znajduje się tam gdzie się znajduje, a nie da go się — trudna rada! — rozwiązać według recepty Brechta, lub przenieść w dogodniejsze dla ustroju miejsce. Ale co odpowiada, będzie przedmiotem dociekań w pierwszej dekadzie czerwca. Sądząc z uprzedzających wizytę papieską reportaży prasy włoskiej z Warszawy, partia-alchemik „stopu polskości” szykuje się gorąco do przekonania narodu że odpowiada, choćby sobie sam z tego niezupełnie zdawał sprawę, *tak*.

18 maja

Z różnych przyczyn (przede wszystkim awersji do złotych „oceanicznych”) nie pojechałem na dzisiejszy obchód trzydziesto-pięciolecia bitwy montecassinśkiej. Odgrzebałem za to mój artykuł okolicznościowy z roku 1969 o obchodzie ćwierćwiecza. Chciałbym bardzo ocalić jego fragmenty w dzienniku.

„Od opisu Waterloo w pierwszych rozdziałach *Pustelni Parmeńskiej*, które z takim zachwytem czytał autor *Wojny i pokoju*, wiadomo czym jest bitwa dla biorących w niej udział. Nie całością o jasnych i wyraźnych zarysach, ożywioną jednym tchnieniem i posłuszną własnej logice, lecz miazgą chaotycznych, ledwie ze sobą powiązanych, niekiedy całkowicie przypadkowych epizodów...

„Bezładne strzępy wspomnień. Czarna luka podejsia nocą z 16 na 17 maja, w owiniętych workami butach, na wzgórzu 593 aż do chwili gdy Niemcy, zawiesiwszy na niebie rakietę, noc zamienili w jasny dzień a drogę naszego patrolu w jatkę. Jak dobrnęliśmy mimo to, obserwator artyleryjski i ja z aparatem radiowym na plecach, pod sam szczyt wzgórza wśród padających dokoła piechurów? Jak przez cały dzień 17 maja prowadziliśmy ogień artylerii z płytkiej rozpadliny skalnej, w bezpośrednim zasięgu bunkrów niemieckich? Jak o zmierzchu zesłaliśmy do Domku Doktora? W zatłoczonym Domku Doktora strzępy wspomnień stają się ostrzejsze. Pamiętam dialogi w ciemnościach o tym czy bitwa została wygrana czy przegrana: tak mało wiedzieliśmy o niej nocą z 17 na 18 maja, tuż przed zatknięciem zwycięskiego sztandaru w Opactwie. Pamiętam również suplikę jakiegoś żoł-

niezła łączności, który śpiewnym z białoruska głosem usiłował przekonać swego dowódcę, że kabel pod ogniem wyciągnięty z Domku Doktora (wobec przeszkód w komunikacji radiowej) nie zostanie natychmiast posiekany tasakiem bezustannego ostrzeliwania niemieckiego. Nie było w tym błaganu ani cienia brawury, powtarzało się w nim tylko wciąż zdanie: „Ja też się chcę przyczynić”. Być może zapamiętałem obie te rzeczy dlatego, że były (dla mnie przynajmniej) doskonałym skrótem bitwy: jej niepewnych do końca losów, jej wytrzymanego do końca przez wszystkich napięcia, tego co w frazeologii komunikatów wojennych zwykło się nazywać wolą zwycięstwa. Była to bez wątpienia bitwa wielka. Pragnęliśmy jej, żyliśmy myślą o niej w Palestynie, w Iraku, w Egipcie, szkoląc się na pustyni, nasłuchując wiadomości z Polski. Łatwo dziś twierdzić, że w pięć miesięcy po Teheranie była już politycznie zbyt późna. Równie łatwo wydać dziś podobny, jeśli nie bardziej nawet stanowczy, sąd o Powstaniu Warszawskim. Istnieją procesy, które raz wprowadzone w ruch i ciągle podsycane nie dają się powstrzymać o krok od spełnienia bez ryzyka duchowej kapitulacji na długie lata. Historia Armii Krajowej zmierzała od początku ku Powstaniu, jak w historię Drugiego Korpusu wpisana była od początku Bitwa...

„Mieszkam od lat blisko dawnego pobojuwiska, zdarza mi się więc pokazywać je przyjeżdżającym w te strony przyjaciółom i znajomym. Kiedyś powiedziałem komuś, że jest to ostatni cmentarz Rzeczypospolitej. W jakiś czas później dokładnie to samo powiedziały mi, po zobaczeniu cmentarza, Maria Dąbrowska i Anna Kowalska. W dwudziestopięciolecie bitwy odprawiono na ostatnim cmentarzu Rzeczypospolitej cztery nabożeństwa: katolickie, prawosławne, żydowskie i ewangelickie (zapomniano niesłusznie o greko-katolickim). Słowo: ostatni rozległo się wśród wzgórz otaczających Opactwo zwielokrotnionym echem”.

A teraz mszę za dusze wszystkich poległych odprawił Jan Paweł II, „polski papież”. Meandry historii, tej pisanej skromnie z małej litery i zagłuszanej, lecz zaskakującej raz w raz augurów i czcicieli Historii.

21 maja

Holocaust dotarł do telewizji włoskiej, wczoraj pierwszy odcinek do „kryształowej nocy” w Berlinie w listopadzie 1938. Dziś opinie w prasie. Mediolański rabin, krótko i dobitnie: *una americana* (trudno to przełożyć, coś w rodzaju „amerykańskiego numeru”). Krytyk telewizyjny, też krótko i dobitnie: historia ludobójstwa na kopyto *Przeminęło z wiatrem*. Przed tygodniem

telewizja włoska nadała serię błyskawicznych wywiadów z ocalałymi ofiarami całopalenia, które film widziały w całości. Para Cyganów w Paryżu, napięte twarze, kilka słów że kto *tam* nie był i sam tego na własnej skórze nie przeżył, niech nie próbuje sobie „wyobrazić”. Analogiczna, tyle że gwałtowniejsza, reakcja polskiego Żyda w Nowym Jorku; padło nawet słowo *g...* na określenie hollywoodzkiego produktu. Serię zamknął wywiad z panią Simone Veil; podkreśliła walory pedagogiczne filmu (opowiadała mi w Paryżu, że to ona przyczyniła się do zagrozenia drogi do telewizji francuskiej filmowi Ophulsa *Le chagrin et la pitié*, bo występujący w nim Mendes France wspomina o „aryjskim” koledze z palestry, który go zadenuncjował; o nazwisku okrytym dziś we Francji splendorem państwowym).

Na pytanie skąd tak ogromne powodzenie filmu, po setkach wstrząsających i znakomitych często książek jakie na temat całopalenia wydano we wszystkich krajach świata, odpowiada się zazwyczaj: relacja pisana jest niczym wobec ekranu telewizyjnego. I pewnie tak, w dużej mierze, jest. Na miliony egzemplarzy liczą się wydania *Archipelagu* Sołżenicyna na całym świecie, a przecież przeróbka telewizyjna trzech tomów (choćby hollywoodzka) byłaby szokiem stokrotnie większym niż książka. Ale ja osobiście dopatruję się powodów „holocaustowego” szafu w czymś innym jeszcze. Z podświadomości współczesnego człowieka zaczyna powoli przenikać do świadomości ludobójstwo, masowy mord, jako znamię i groźba ery społeczeństw masowych.

Z książki Hanny Arendt *Eichmann w Jerozolimie* (podtytuł: *Raport o banalności zła*) warto zapamiętać sobie refleksję niby marginesową: „Przyczyny, które przemawiają za możliwością powtórzenia zbrodni hitlerowskich, są realne. Prerażająca zbieżność współczesnej eksplozji populacyjnej z odkryciem środków technicznych które, poprzez automatycę, ujawniają „zbędność” szerokich odłamów ludności nawet w kategoriach pracy, i które, poprzez energię jądrową, umożliwiają uporanie się z tym podwójnym niebezpieczeństwem za pomocą instrumentów sprawdzających hitlerowskie urządzenia gazowe do wymiarów niezdatnych zabawek w rękach złych dzieci, powinna przyprawiać nas o drżenie”. Zgoda, jest to drżenie grubo na wyrost w stosunku do ustrojów demokratycznych, lecz nie mniej przez to realne. Realność nadała mu prefiguracja „wieku zorganizowanych ideologii”. Próba — nieudana w wypadku Trzeciej Rzeszy, względnie jak dotąd udana w wypadku ZSSR — stworzenia „człowieka umasowionego”.

Hanna Arendt napisała również przedmowę do sprawozdania z procesu oświęcimskiego w Frankfurcie w latach 1964-65. Pokazała w niej jak sędziowie niemieccy nie mogli sobie poradzić

w oparciu o obowiązujący wciąż kodeks karny z roku 1871, w którym nie było paragrafów o mordzie zorganizowanym jako instytucji rządowej, o eksterminacji całych narodów w ramach polityki demograficznej, o regułach postępowania w państwie nazwanym przez Karla Jaspersa *Verbrecherstaat*. Oskarżonych usiłowano przegwoździć zbrodniami „konkretnymi”, takimi w których dawałaby się ustalić ich „podmiotowość” (i „podmiotowość” ich ofiar „konkretnych”, wymienialnych z imienia i nazwiska), gdy tymczasem i oni jako oprawcy i posyłani przez nich masowo do gazu ludzie znaleźli się „przedmiotowo” w trybach „kryminalnego państwa”, administracyjnej masakry na gigantyczną skalę, wykonywanej środkami masowej produkcji (trupów). „Mord masowy i udział w mordzie masowym były oskarżeniami, które można było i należało skierować przeciw każdemu członkowi SS, niezależnie od tego czy jego noga powstała czy nie w jakimkolwiek obozie eksterminacyjnym”. Lecz zasada masowości „państwa kryminalnego” zaciemniała zasadę odpowiedzialności „podmiotowej” zbrodniarzy „administracyjnych”; i ofiary włączała cyfrowo tylko do masowej produkcji trupów.

Podobnie, jeśli nie identycznie, w ZSSR (z tą różnicą naturalnie, że tam reżym trwa, nikogo ze „swoich” nie sądzi i całą odpowiedzialność zwała na „jednostkę” otoczoną nadmiernym „kultem”). Sprawcy i bezpośredni oprawcy na zasłużonych partyjnych emeryturach. Rodzinom ofiar wystawia się pośmiertne, administracyjne certyfikaty „rehabilitacyjne”, w których śmierć człowieka zarejestrowana jest językiem awarii lub pomyłki technicznej w maszynie masowej produkcji eksterminacyjnej.

Zdaje się, że pierwszy odnotował pojawienie się „człowieka umasowionego” Friedrich Reck-Malleczewen, arystokrata niemiecki zamordowany w Dachau, w swoim za mało znanym dzienniku *Tagebuch eines Verzweifelten — Zeugnis einer inneren Emigration* (on także nazwał hitleryzm „nacjonalizmem bez narodu”, co wcale nieźle pasuje z dodatkiem „socjalizm bez społeczeństwa” do sowietyzmu i jego demoludowych pochodnych). W gruncie rzeczy tego samego „człowieka umasowionego” ma na myśli Zinowiew, kiedy pisze o „skolektywizowanym człowieku sowieckim” w *Zapiskach nocnego stróża* i w ostatnim numerze kwartalnika Siniawskiego *Sintaksis*.

Czy rzeczywiście błąka się, na pograniczu podświadomości i świadomości, poczucie śmiertelnego zagrożenia „podmiotowych” cech ludzkich w „cywilizacji człowieka umasowionego”, którą totalitaryzm doprowadził jedynie do ekstremów? Czy i to jest sprężyną masowego wstrząsu przed ekranami telewizyjnymi, na których przesuwają się blade ognie całopalenia?

27 maja

Wczoraj o północy wybrałem się do *Quartieri Spagnoli*, dzielnicy hiszpańskiej. *Vicolo della Misericordia*, Zaułek Miłosierdzia. W ciepłą sobotnią noc życie nie zamiera tam o dziesiątej. Przed bramami i wejściami wprost z ulicy pojawiają się stoliki, krzesła i leżaki, jarzą się powieszone na gwoździach w murze żarówki, krąży z rąk do rąk wino, o blaty stolików trzaskają wymięte i potłuszczone karty, rozmowy przechodzą w krzyk, zrywają się i szybko opadają śpiewy, wyją zdarte płyty na gramofonach. Przeciąga się to czasem, gdy ciepło przesycone jest lepką dusznością (a było), do drugiej lub trzeciej.

Odszukałem zapamiętany z gazety numer kamienicy. Na bruku czarna plama od wypalenia, wilgotna jeszcze po akcji sikawek poprzedniej nocy, z plastrami brudnych i stwardniałych trocin. Usiłowałem zajrzeć do piwnicznego wjazdu za progiem bramy. Odepchnął mnie natychmiast mdły smród spalizny. W dole błysnęła przelotnie iskra owinięta dymem.

Od pobliskiego stolika na ulicy podniósł się tęgi mężczyzna ze szklanką wina w ręce, podszedł do mnie i rozkraczył się w pozycji oczekiwania. Przerwałem milczenie pierwszy.

— To tutaj?

— Tak, tutaj.

— Znaliście starą dobrze?

— Widywaliśmy ją codziennie, zebrała w naszym zaułku. Starczało jej byle co, kawałek chleba, resztkę na talerzu, była już bardzo stara. Nie odzywała się prawie wcale, nazywaliśmy ją *La Muta*, Niema. Nie pochodziła stąd.

— Gnieździła się w tej piwnicy?

— Tak, w bardzo głębokiej piwnicy.

— Nikt tam nigdy nie próbował wejść?

— Nie, pełno szczurów. Kilka razy chciano starą zabrać, raz nawet zabito deskami wjazd do piwnicy. Nic nie pomagało, wracała zawsze.

— W gazetach piszą, że złąziła do piwnicy na nocleg bardzo późno, taszcząc zbierane przed domami worki plastikowe z odpadkami...

— Tak, dla szczurów.

— Jak wybuchł pożar?

— Miała świecę. Pewnie usnęła na barłogu przed jej zgaszaniem. Pewnie szczury strąciły świecę na kupę plastikowych worków.

— W gazecie piszą, że strażacy wyciągnęli ją pogryzioną przez szczury. Tak pogryzioną, że miała na ciele wyżarte dziury.

— To prawda, sam widziałem. Ale gryzły już martwą. Uduśli ją dym, zanim oszalały szczury. Też z dymu. I ze strachu.

— W gazecie piszą, że taszczyła co nocy te worki z odpadkami, żeby na uwięzi utrzymać szczury. Że karmiła je, żeby jej nie atakowały.

— Właśnie kłóciliśmy się o to przy stoliku. Jedni mówią to samo co napisane w gazecie. Inni, że przywiązała się do szczurów. Była sama, pochodziła niewiadomo skąd, w zaułku nazywaliśmy ją *La Muta*, do kogoś przecież musiała się przywiązać. *Non le pare?* Nie sądzi pan?

28 maja

Jak nazwać ten „akt”? Określenia „surrealistyczny” czy „futurystyczny” brzmią dziecinnie. Wkraczamy w stadium dojrzałe, które wymaga nowej nazwy...

Czwórka młodych Rzymian, trzech chłopcy i dziewczyna. Wiedzą, że w okolicach *Piazza Navona* wałęsa się od pewnego czasu samotny Somalijczyk, przeważnie pijany albo wstawiony. Często wieczorem kładzie się na schodach któregoś z kościołów i zasypia. Czwórka zaopatruje się w bańkę benzyny, z góry załatwia sobie alibi, zajeżdża dwoma motocyklami pod kościół, oblewa śpiącego benzyną, podpała go i błyskawicznie wskakuje na motocykły; zryw, warkot, ale przedtem wzrok przez chwilę bodaj nasycony widokiem żywej pochodni, a słuch rozdzierającym krzykiem. *Happening*, jakiego nie oglądał jeszcze świat.

Nie znali Somalijczyka. Nie wykryto, jak dotąd, żadnych motywów zbrodni. Kiedy Lafcadio z *Lochów Watykanu* Gide'a popełnił *crime gratuit*, uznano go za niepokojącego zwiastuna nowych czasów. Ale Lafcadio dopiero ząbkował, zabił ni stąd ni zowąd, nie przeczuwał że *crime gratuit* można zbiorowo i dokładnie uplanować.

31 maja

Blisko rok temu, wspominając w dzienniku o *Rozmowach z katem* Kazimierza Moczarskiego, napisałem że w przyszłości ta niebywała książka powinna być wydawana z tekstem Anieli Steinsbergowej *Widziane z ławy obrończej* w aneksie. Kto nie wie (a dotyczy to wielu czytelników książki, o czym miałem okazję

się przekonać), że podczas dziewięciomiesięcznego pobytu w jednej celi Więzienia Mokotowskiego z generałem SS Moczarski był nieludzko torturowany przez katów z UB we własnej „sprawie”, kto w trakcie lektury ma przed oczami całego Stroopa i tylko drobną częstkę Moczarskiego, kto nie słyszał o okupacyjnej karcie Moczarskiego w AK i o dziejach jego „sprawy” od aresztowania w roku 1945 do wyroku rehabilitacyjnego w roku 1956, ten nie zrozumie znaczenia *Rozmów z katem*. Znaczenia tak ogromnego, że nie waham się zaliczyć ich autora do najważniejszych świadków z okresu szczytowego nasilenia dżumy totalitarnej.

Rozmowy z katem drukowano w odcinkach na łamach *Odry* w latach 1972-74; ze wstępu Andrzeja Szczypiorskiego cenzura usunęła nawet sentencję wyroku rehabilitacyjnego z roku 1956. Do wywalzonego z trudem przez przyjaciół Moczarskiego wydania książkowego doszło w roku 1977, w dwa lata po śmierci autora; na skrzydełkach obwoluty o postaci Moczarskiego mowa jest w pierwszej połowie pierwszego zdania — „dane personalne” w kilkunastu słowach! — a książkę rekomenduje się piórem Koźniewskiego jako tajemniczy (dla niewtajemniczonych) „grymas historii, który doprowadził do wspólnych (!) rozmów kata i ofiary”. Czyjej ofiary? Tego właśnie kata ze „wspólnych rozmów”?

Niedawno *Rozmowy z katem* ukazały się po niemiecku w Düsseldorfie z obszerną przedmową Szczypiorskiego, spełniającą do pewnego przynajmniej stopnia rolę, jaką w wyobraźni wyznaczałem aneksowi Steinsbergowej. Bardziej niż przedmowa jest to doskonały szkic — równie wyważony i mądry jak *Polacy i Żydzi* w majowej *Kulturze* — o pełnym tle historycznym i biograficznym książki Moczarskiego. Prócz rozmownego kata hitlerowskiego, do głosu dochodzi wreszcie ofiara. I wiadomo już czyja.

W Warszawie zawrzało. W piśmieku *Perspektywy* jakiś skryba do specjalnych zleceń odsadził Szczypiorskiego od czci i wiary, zrobił z niego prawie zdrajcę i renegata narodowego. Na posiedzeniu Związku Pisarzy zaatakował Szczypiorskiego jakiś wysoki urzędnik partyjny. Pod znakiem zapytania stanęło wystawienie sztuki Szczypiorskiego o Korczaku. I — co najsmutniejsze — córka Moczarskiego, spadkobierczyni praw autorskich, zawiadomiła listownie ZAIKS, że cofa Szczypiorskiemu (przyjacielowi jej ojca) plenipotencje do wydawniczych pertraktacji za granicą, oraz nie zgadza się na dalsze włączanie jego przedmowy do ewentualnych innych przekładów książki i do kolejnych wydań niemieckich. Czyli w praktyce wyrzekła się ojca w wersji Szczypiorskiego (i pośrednio wyroku rehabilitacyjnego), optując na rzecz ojca w ascetyczno-emigmatycznej wersji z obwoluty pol-

skiego wydania *Rozmów z katem*. Trudno uwierzyć, że zdecydowała się na taki krok z własnej nieprzymuszonej woli.

Czemu ta burza? Gdyby ktoś zamiast Szczypiorskiego napomknął w przedmowie do *Rozmów z katem* po niemiecku o „nadużyciach” Różańskiego i Fejgina, uszłoby mu to na sucho; ba, doczekałby się może pokątnej partyjnej pochwały. Jak widać z dwuksięgu PRL, zwłaszcza z *Rozmowy z ojcem Wojny*, na historycznym odcinku „pochodzeniowym” partii trwa mniej lub więcej dyskretne migotanie zielonego światła. Ale Szczypiorski nie wymienił nawet dwóch katów „z mniejszości”, dobrze rozumiejąc że są fałszywym kluczem do katowskiego problemu, podsuwanym usłudze przez katów i ich następców „z większości”. W jego przedmowie — która jest konfrontacją, jak w tekście i podtekście książki Moczarskiego, dwóch twarzy totalitaryzmu, hitlerowskiej i komunistycznej — *punctum dolens* polskości, gorliwie dziś i co chwilę odmienianej we wszystkich przypadkach partyjnej deklinacji, wygląda tak: „Historia stosunków polsko-rosyjskich i polsko-sowieckich jest od ponad trzydziestu lat przedmiotem nieopisanych nadużyć, zakłamania i obłudy. Prawda o tej historii stanowi fundamentalny warunek pojednania Polaków i Rosjan po wielu stuleciach wrogości, uraz i występku. Nie tu miejsce na szczegółowe rozważania w tym względzie. Jeśli temat ten rozwinąłem w odniesieniu do roku 1945, to tylko dlatego by skonstatować, że dalsze losy Kazimierza Moczarskiego należą także do dziejów stosunków polsko-sowieckich i nie są tylko wewnętrzną sprawą Polaków”.

Tego obolałego punktu, w połączeniu z totalitarną istotą systemu, nie zakryją ani tym bardziej nie zagoją plasterki polskiego komunizmu narodowego. Choćby do pomocy w politycznym opatrunku wzywano Boską Opatrzność.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Moja podróż do Moskwy*

Gdy po koniec roku 1978 stwierdziłem, że ciągle jeszcze jestem traktowany jako normalny obywatel PRL i posiadam prawo przekraczania granic na terenie naszego obozu, postanowiłem wybrać się do Moskwy. Moskwa nie jest dla mnie miastem egzotycznym, spędziłem w niej ponad rok na stażu naukowym, a i później utrzymywane kontakty pozwoliły mi na dość gruntowne zapoznanie się z obyczajami ludzi i charakterem miasta.

Wyjazd do ZSSR wymaga albo zaproszenia albo *voucher'a* stwierdzającego zarezerwowanie odpowiednich miejsc hotelowych. Zwróciłem się więc do Orbisu o umożliwienie mi podróży w charakterze turysty indywidualnego. Dość szybko otrzymałem odpowiedź odmowną i wszystko było zgodne z moimi przewidywaniami. Zdumiałem się dopiero wtedy, gdy po upływie około dwóch tygodni pracownica Orbisu poinformowała mnie telefonicznie o tym, że powstała możliwość wyjazdu w innym terminie i czy by mi to odpowiadało. Odpowiedziałem pewnym tonem, że owszem. Takiej uprzejmości i sprawności od Biura Podróży nie oczekiwałem. Zrodziła ona w mojej głowie tysiące wątpliwości. Co na to SB? Liberalizm, czy bałagan, a może ukartowana gra — prowokacja?

Po załatwieniu formalności powstała tylko jedna kwestia, jak wyjść z domu z walizką? Tak się akurat składało, że prowadzona na Śląsku akcja na rzecz uwolnienia Switonia wywołała wzmożoną czujność ze strony SB i nasz dom był od kilku dni pod bardzo ścisłą obserwacją. W tych warunkach pokazanie się z bagażem mogło nasunąć podejrzenie o przenoszenie bibuły, zatrzymanie i uniemożliwienie wyjazdu. Jako pierwsza wychodzi

* *Biuletyn Informacyjny* Nr 2 (28).

z domu żona i albo udaje jej się zabrać za sobą cały ogon, albo też tego dnia zaprzestano inwigilacji.

Pociąg opóźnia się z odjazdem około 40 minut, ale wreszcie ruszamy. Jako towarzyszy podróży mam dwóch panów. Jeden z nich nazywany dalej Warszawianem wybiera się do Moskwy, aby sprzedać tam trzy pary dżinsów i kupić sobie tokarkę do prowadzonego przez siebie warsztatu. Drugi pan jedzie na delegację. Jest to pan w wieku 55-60, przedstawia się jako dyrektor fabryki samochodów w Radomsku, ma upodobanie do piwa i nazywa się Kazimierz W. Nazwiska niestety podać nie mogę, nie ze względu na dyskrecję, gdyż od takiej czuję się w stosunku do niego absolutnie zwolniony, ale po prostu dlatego, że zapomniałem.

Dojeżdżamy do Siedlec. Wsiada kontrola celna i pograniczna. Celniczka ogląda moją deklarację, pyta czy nic nie wiozę. Nic. Stempluje deklarację i odchodzi. Następnie przychodzą WOP-iści. Jeden ogląda mój dowód i kartę przekroczenia granicy, drugi wertuje niesioną książkę. W chwili gdy pierwszy zdążył już podstemplować kartę, na twarzy drugiego pojawił się oczekiwany przeze mnie wyraz ożywienia.

WOP-iści taktownie zamykają drzwi, porozumiewają się między sobą, po czym odbierają ode mnie dowód oraz kartę przekroczenia granicy i znikają na pół godziny w sąsiednim przedziale. Tak więc akcje moje gwałtownie spadają i zanosi się na to że podróż zakończy w Terespolu. Po jakimś czasie wchodzi do przedziału dwaj celnicy, wypraszają moich współtowarzyszy na korytarz wyjaśniając, że muszą przeprowadzić rewizję i zamykają drzwi. Przepraszają mnie również, ale „to już taki ich przykry obowiązek służbowy”. Rewizja przebiega w atmosferze pełnej kultury, wynik oczywisty. Celnicy jeszcze raz przepraszają i wychodzą. Pojawiają się zainteresowani współtowarzysze podróży: czy znaleźli coś. — A o co chodziło? — Szczerze wyjaśniam. Warszawian przejawia dyskretne zainteresowanie natomiast pan dyrektor wyraża szereg wątpliwości. Są one raczej dość standardowe. — Czy nie szkoda życia? — A co z tego mam? — A poza tym to i tak nic nie daje i nic się zmienić nie może. — Udzielam dość szablonowych odpowiedzi i pan dyrektor udaje się podniecony po dalsze piwa. Za chwilę dobiegają mnie strzępy rozmów pana dyrektora z konduktorem i współpasażerami. Co chwila pada moje nazwisko, że on zna je z radia, że taki opozycjonista itd., itd.

Terespol. WOP-iści oddają mi papiery i kartę przekroczenia granicy, odnoszą jeszcze szczegółowo moje personalia. Wyśiadają. Czyli jadę za granicę.

Wsiadają celnicy i żołnierze radzieccy. Zajmują sąsiadujący

z moim wolny przedział i przygotowują się do rozpoczęcia czynności. Za chwilę do ich przedziału wchodzi pan dyrektor, przez niedomknięte drzwi dobiega mnie moje nazwisko. Warszawian, który stał bliżej na korytarzu, wpada i mówi: Panie, on pana normalnie „kapuje” — że opozycjonista, że KOR, że jedzie do Moskwy. Przy okazji „zakapował” na jednym oddechu trzy pary dżinsów wiezionych przez Warszawianka. Coś takiego widzę po raz pierwszy. Starszy, nobliwy pan. Co nim kierowało? Może obawa o własną walizę, którą wioził do Moskwy, a może przyzwyczajenie z UB-owskiej przeszłości, które się zachowało po przejściu do cywila? Nie umiem odpowiedzieć.

Na szczęście rewelacje pana dyrektora nie robią na radzieckich funkcjonariuszach większego wrażenia. Rozkazu nie było, a oni już tam przecie w Moskwie lepiej wiedzą co robią, gdy sprzedają *voucher*. Dość szczegółowa, ale mieszcząca się w normie rewizja ujawnia jedynie dżinsy u Warszawianka, które zostają wpisane do odprawy warunkowej, ja otrzymuję kolejne pieczęcie i nareszcie jestem w ZSSR. Napięcie odpada. Idę na kolację.

Do Moskwy dojeżdżamy z dużym opóźnieniem następnego dnia po południu. Hotel Belgrad. Mogę nareszcie przystąpić do realizacji mojego planu: spotkania z profesorem Sacharowem. Sacharowa oczywiście nie znam. Mam nadzieję, że mojej prezentacji dokona znany radziecki pisarz opozycyjny Wojnowicz. Jednakże Wojnowicza usunięto ze Związku Pisarzy i dodatkowo zdjęto mu, tytułem represji, telefon. W Moskwie brak telefonu to oczywiście duża niedogodność. Ale skoro nie ma innej rady udaję się do Wojnowicza osobiście. Bezskutecznie, nie zastaję go w domu. Decyduję się więc pójść do Sacharowa bez żadnej zapowiedzi. Udaję się pod znany mi adres. Oglądam podejrzliwie okolicę.

Wchodzę. Duży dom przy ul. Czkałowa stanowiącej jeden z odcinków okalającej śródmieście Moskwy arterii, noszącej nazwę Sadowego Kalca, najbardziej przypomina swą solidnością budownictwo lat trzydziestych. Windą wjeżdżam na szóste piętro. Drzwi otwiera mi matka pani Heleny Boner — Andrzeja Dymitrowicza nie ma, pojechał na daczę, nie wie kiedy wróci. Wyjaśniam, że przyjechałem z Polski, jestem członkiem KSS „KOR”, podaję nazwisko. Pani Boner odpowiada, że Andrzej Dymitrowicz będzie niewątpliwie zainteresowany w spotkaniu ze mną i prosi, abym nie przedstawiając się zadzwonił wieczorem. Wychodzę, sprawdzam, nikt za mną nie idzie.

Dzwonię około godziny 9-tej wieczór. Telefon odbiera Sacharow. Proponuje mi abym albo przyjechał od razu, albo też umówił się na następny dzień. Chwilę zastanawiam się. W zasadzie jutrzejszy termin jest znacznie rozsądniejszy, gdyż poz-

wala na dłuższą rozmowę, a dziś uwzględniwszy godzinny dojazd, oznacza 10-tą wieczór. Tym niemniej decyduję się nadużyć uprzejmej propozycji i zjawić się od razu.

Nie będę ukrywał, że czułem się napięty i wolałem to mieć poza sobą. Poza tym lubię wieczór. Czuję się bardziej pewny siebie. Zresztą okazało się, że nadużycie nie było zbyt duże, gdyż Profesor jest człowiekiem bardzo zajęтым i tak czy owak czas do późnych godzin nocnych poświęca bądź pracy naukowej, bądź działalności społecznej. Dotarłem około dziesiątej.

A. D. Sacharowa znałem poprzednio z licznych fotografii, jednakże już od pierwszej chwili, kiedy otworzył mi drzwi, w jego wyglądzie i zachowaniu było coś, co mnie zaskoczyło. Jest to oczywiście kwestia wizji jaką wytworzyłem sobie na podstawie jego publikacji, jego osiągnięć i zasług. Profesor, akademik (szczególnie w ZSRR do tego tytułu przywiązywana jest ogromna waga) to w jakiś sposób w mych wyobrażeniach wytworzyło obraz pewnego dystansu, poprawności, czy nawet krytyczności. Tym czymś, co mnie zaskoczyło była jakaś nieoczekiwana prostota, niebywała naturalność nacechowana życzliwością dla rozmówcy i jednocześnie pozbawiona jakichkolwiek odcieni kokieterii.

Andrzej Dymitrowicz ubrany był swobodnie, po domowemu. Przedstawiłem się. Poprosił mnie do swojego pokoju. Pokój raczej skromny. Stół, biurko, tapczan, półki z książkami. Za szybami fotografie bliskich, między innymi duża fotografia zmarłego tragicznie przed rokiem w Paryżu bliskiego przyjaciela profesora: poety i pieśniarza Aleksandra Galicza. Profesor posadził mnie w fotelu, sam usiadł na biurku i rozpoczęliśmy rozmowę.

Powiedziałem, że moim zamiarem jest przeprowadzenie z nim wywiadu dla wychodzącego w Polsce poza zasięg cenzury *Biuletynu Informacyjnego*, lecz nim do tego przejdziemy chciałem po prostu porozmawiać. Rozmowa dotyczy opozycji w ZSRR, potem nawraca do spraw polskich.

Sacharow wie o toczącej się w Polsce działalności opozycyjnej głównie z audycji BBC i Głosu Ameryki. Stamtąd dowiedział się na przykład o wspólnym telegramie solidarności wysłanym na jego ręce przez uczestników Karty 77 i KSS „KOR”-u. Jednakże wiadomości jego na ten temat są dosyć wyrывkowe, gdyż dająca bardziej kompletny serwis spraw polskich radiostacja „Swoboda” jest na terenie Moskwy całkowicie głuszona. Kiedy opowiadam o nakładach, o czasopiśmie literackich, o działalności TKN zaczynam się czuć wobec Profesora jak przybysz zza „żelaznej kurtyny”. Druga kurtyna biegnie wzdłuż Bugu.

W tej sytuacji przeszła mi ochota na wszelkie wywiady. Jadąc miałem zupełnie inną wizję człowieka. Wywiad mój miał być wywiadem politycznym. Rozmowy Salt, a prawa człowieka,

Carter, Chiny, wybór Papieża, klasyczne pytania zadawane mu setki razy w wywiadach zachodnich dziennikarzy. Wobec Sacharowa wydały mi się one po prostu nietaktem. Sacharow nie jest politykiem. Codziennie rano Profesor udaje się do pracy. Pracuje jako starszy pracownik naukowy w Instytucie Fizyki Akademii Nauk ZSRR. Jest fizykiem teoretykiem, zajmuje się problematyką cząstek elementarnych. Późnym popołudniem wraca do domu i wtedy dociera do niego cała krzywda, niesprawiedliwość i poniżenia nagromadzone latami w Związku Radzieckim. Jest naprawdę bardzo zmęczonym człowiekiem, który postanowił za wszelką cenę wytrwać na swym stanowisku, broniąc pokrzywdzonych, broniąc ludzkiej godności, broniąc człowieczeństwa.

Nie jest w takiej walce osamotniony. Towarzyszy mu w tym grupa przyjaciół. Ludzi tych poznałem nazajutrz. I znowu było to dla mnie zaskoczenie. Atmosfera społeczna Moskwy jest na tyle ciężka, na tyle różna od atmosfery panującej w Warszawie, że i opozycjonistów rosyjskich wyobrażałem sobie zupełnie inaczej niż warszawskich. Tych ludzi już nie chroni ani światowa popularność ani opinia międzynarodowa. W każdej chwili mogą stanąć przed sądem pod sfingowanymi zarzutami i zostać skazani na wieloletnie wyroki łagru i zesłania. W ich zachowaniu nie znalazłem nawet cienia nawisłej nad nimi grozy. A zachowują się jak gdyby terror KGB w ogóle nie istniał. Występują jawnie. Spotykają się. Dzwonią do siebie, za granicę, spotykają korespondentów, wypowiadają swe autentyczne poglądy nie ściszącą głosu. Żyją jak ludzie wolni. Niewątpliwie jest to wynik niebywałej wprost determinacji tych ludzi, których dziesiątki przebywają już w obozach Pot'my, jednakże jest tu również coś czego nie można uchwycić z perspektywy Warszawy czy Paryża.

Trudno to nawet nazwać marginesem swobody. W każdym bądź razie moi rozmówcy nie oczekiwali, że po powrocie do domu zastaną tam funkcjonariuszy z błękitnymi pagonami, co dla każdego mieszkającego na zachód od Bugu wydaje się zupełnie nieuniknione. Jest to w gruncie rzeczy wróżenie z fusów, z atmosfery z jednorazowych spotkań z nieznanymi poprzednio ludźmi, w każdym razie wydaje mi się, że niezależnie od tego, że ekipa breżniewowska przeprowadziła procesy i skazała na długoletnie wyroki Ginzburga, Orłowa i Szczarańskiego, to poniesione przez nią w związku z tym straty polityczne na arenie międzynarodowej uczyniły ją znacznie ostrożniejszą w podejmowaniu drastycznych kroków.

Sytuacja polityczna Związku Radzieckiego, zagrożenie przez Chiny, krytyka ze strony zachodnich partii komunistycznych — uczyniły go bardziej podatnym na oddziaływanie międzynarodo-

wej opinii publicznej. Jedynie prowadzona na Zachodzie, konsekwentna walka o przestrzeganie praw człowieka, jedynie włączenie tego elementu do polityki zagranicznej państw jest tym czynnikiem, który zapewni moim rozmówcom mniej więcej bezpieczny powrót do domu.

Zdaniem Profesora działalność opozycji na terenie ZSRR w niczym nie daje się porównać z szerokim frontem działań podjętych w Polsce. Przyczynę takiego stanu rzeczy Profesor upatruje w rozbiciu ruchu opozycyjnego na niewielkie grupy, występujące w obronie często sprzecznych ze sobą interesów. Linie podziałów przebiegają tu wzdłuż linii narodowych, wyznaniowych, czy wreszcie stosunku do możliwości emigracji.

Jeżeli chodzi o Komitet Obrony Praw Człowieka, to jego działalność ma przede wszystkim charakter antyrepresyjny. Komitet zgromadził kartotekę ponad 400, jak to określił Profesor, „więźniów sumienia”. Jest to dla Związku Radzieckiego określenie najbardziej adekwatne. W pojęciu tym mieszczą się również więźniowie polityczni jak również Adwentyści Dnia Siódmego walczący o prawo wyznawania swej wiary, pięćdziesiątnicy, sekta judajska usiłująca opuścić ZSRR, Tatarzy i Mesczeci, którzy chcą powrócić do swojej ojczyzny, Żydzi zamierzający emigrować do Izraela, a wreszcie tzw. nacjonaliści ukraińscy, litewscy czy łotewscy. Wśród tej ostatniej grupy spotyka się jeszcze takich, którzy odsiadują niekończące się wyroki zapadłe po wojnie, bądź we wczesnych latach pięćdziesiątych. Ogółem liczba więzionych za przekonania w łagrach czy też specjalnych szpitalach psychiatrycznych nie przekracza zdaniem Profesora 2.000 osób. Szczególnie trudna do oszacowania jest w tym wypadku liczba ludzi, którzy za swe pojedyncze wystąpienia mieli sfabrykowane procesy o przestępstwa pospolite i odbywają karę w obozach dla kryminalistów. Los tych ludzi jest najcięższy.

Komitet cieszy się dużym zaufaniem społecznym i każda osoba odwiedzająca łagry, a uwięzieni mają raz w roku prawo do spotkania się z rodziną, uważa za swój obowiązek przekazać Komitetowi wszystkie otrzymane materiały i informacje. Wyjeżdżające rodziny są dokładnie rewidowane, jednakże, jak píše Sołżenicyn w *Archipelagu GUŁag*, „oni nauczyli się szukać, my nauczyliśmy się chować”.

Tak więc Komitet dysponuje pełną informacją o przemieszczaniach, karach i głódówkach jakie mają miejsce w obozach.

Materiały te są gromadzone i publikowane w *Kronice Wydażeń Bieżących*, która ukazuje się co 3-4 miesiące nieprzerwanie od 1974 roku. Kronika obejmuje około 150 stron i ukazuje się w 100 egzemplarzach przepisywanych na maszynie. Inne tech-

niki są bardzo rzadko stosowane zarówno ze względu na trudności obiektywne jak i sypiące się drażniące wyroki.

Sprawami radzieckiej psychiatrii zajęła się współpracująca z Komitetem niezależna grupa robocza do spraw psychiatrii, złożona z zawodowych psychiatrów. Profesor wymienia osiem specjalnych szpitali psychiatrycznych, w których umieszczani są ludzie niewygodni dla reżymu. Sytuacja na tym polu jest już tak dramatyczna, że głównym akcentem rozmowy nie jest już bezprawność działań represyjnych, ale potworne warunki panujące w tych zakładach. Wszelkie rekordy na tym polu bije szpital w Syczewce, którego obsługę stanowią kryminaliści wyżywający swe sadystyczne instynkty. Chorzy są terroryzowani, okradani, bici, nie wypuszcza się ich z pomieszczeń celem załatwienia potrzeb fizjologicznych, a gdy załatwiają je na sali są znowu katowani przez obsługę. Żadne dotychczasowe interwencje nie przyniosły rezultatów.

Rozmowa schodzi na temat brutalności policji. Podobnie jak w Polsce terror fizyczny jest powszechną praktyką milicyjną, wszyscy kryminaliści, jak i przypadkowo zatrzymane osoby są bite. Pobicie często kończy się śmiercią.

Profesorowi nie jest natomiast wiadomo o jakichś przejawach szczególniej brutalności w stosunku do więźniów politycznych. Pytam go o sprawę śmierci znanego z opozycyjnych przekonań poety Bogatyriowa. Został on w nieznanych okolicznościach pobity przy wejściu do własnego domu. Wynikiem odniesionych obrażeń była śmierć. Śmierć ta silnie zaciążyła nad atmosferą w liberalnych środowiskach literackich Moskwy. Stała się ona powodem do plotek o istnieniu powiązanych z KGB grup terrorystycznych o nastrojach silnie antyinteligentkich. Profesor nie ma wyrobionego zdania na temat śmierci Bogatyriowa, w istnienie grup terrorystycznych powątpiewa, natomiast widzi wyraźną celowość w kolportowaniu przez KGB tego rodzaju plotek. Zdaniem Sacharowa przepaść rozciąga się nie pomiędzy ludem a inteligencją, ale właśnie między sterroryzowaną inteligencją a świadomą opozycją. On, jako powszechnie znany opozycjonista spotkał się wielokrotnie wśród ludu z oznakami wyraźnej sympatii i popularności. Stan niezadowolenia wśród prostych ludzi jest bardzo wysoki. Coraz częściej Breżniewowi czy Chruszczowowi przeciwstawiany jest Stalin, przy czym zdaniem Profesora nie należy tego traktować jak wyrazu przywiązania Rosjan do władzy silnej ręki, a raczej jako jedyny bezpieczny sposób wyrażania niezadowolenia.

Wydaje mi się, że odwoływanie się przez prostych ludzi do czasów Stalina jest w pierwszym rzędzie wyrazem rodzących się wśród nich jeszcze nieskrystalizowanych nastrojów egalitarnych,

wywołanych rozrastaniem się burżuazji partyjnej. W atmosferze społecznej izolacji i powszechnej dezinformacji KGB usiłuje przekształcić te nastroje w tendencje antyinteligencjne i jako takie odbierane są one przez zastraszoną inteligencję.

Profesor zaprasza mnie na kolację. Rozmowa staje się luźniejsza, schodzi na tematy bardziej osobiste. W czasie rozmowy staram się przekonać Profesora o rzeczy dla mnie najważniejszej, to znaczy, że ja to jednak ja, a nie prowokator. Wyjaśniam skąd dobrze znam rosyjski, rozmawiam z Sacharowem na tematy zawodowe. Wreszcie na tak przygotowany grunt występuję z propozycją zredagowania przez rosyjskich dysydentów numeru *Krytyki* zapoznającego polskich czytelników z problemami opozycji w ZSRR. Profesor pomysł akceptuje i postanawia poznać mnie ze swymi przyjaciółmi. Dochodzi pierwsza w nocy. Umawiamy się na następny dzień na jedenastą.

Następnego dnia Sacharowa nie ma w domu. Zachorowała mu córka i musiał wyjechać, za to oczekują mnie jego współpracownicy. Zmieniamy mieszkanie na mniej radiofonizowane. Po drodze jakiś pan chowa gwałtownie w futerałe aparat fotograficzny. Rozmawiamy prawie trzy godziny. Dowiaduję się o wy stosowaniu przez nich na trzydziestolecie Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela apelu w sprawie przestrzegania tych praw w ZSRR. Obiecuję spopularyzowanie go w Polsce. Rozmawiamy o reakcjach opinii zachodniej. Moi rozmówcy narzekają, że część z przekazywanych przez nich informacji nie jest następnie podawana przez zachodnie środki masowego przekazu i podejrzewają w tym pewną tendencyjność. Jako przykład podają relacje jakiegoś amerykańskiego dziennikarza, który po powrocie ze Związku Radzieckiego w „Głosie Ameryki” pod niebiosy wynosił praworządność radzieckich sądów. Opinia taka może być wyrazem prywatnej głupoty i nieodpowiedzialności dziennikarza, do której koniec końców każdy ma prawo, ale powtarzanie tego samego tekstu w czterech kolejnych audycjach moi rozmówcy uważają za przejaw pewnej tendencji połączonej ze złą wolą.

Zegnamy się. Następnego dnia wracam do Warszawy. Lecę samolotem. Lotnisko Szeremietiewo. Kontrola celna. Pieczętka i nic więcej. Kontrola graniczna — to samo. Przez cały czas mego pobytu żadnej działalności KGB wokół mojej osoby nie zaobserwowałem. Być trzykrotnie u Sacharowa i nie być ani razu legitymowanym ani śledzonym, to było coś, czego nie mogłem sobie wyobrazić. W warszawskich warunkach byłoby to niemożliwe. Widocznie większa praworządność wpływa również na zwiększoną sprawność policji. Być może KGB uważa, że jak będzie trzeba to i tak każdego można zamknąć na kilkanaście lat, a po cóż tracić czas i siły na bezsensowną bieganie.

Trzeba tu oddać sprawiedliwość, że inwigilacja w Moskwie jest rzeczywiście utrudniona. Szerokie, nawet dwunastopasmowe jezdnie (np. na ulicy Czkałowa), nawroty co kilka kilometrów i wreszcie metro. Ze względu na żelazo-betonową konstrukcję w metrze inwigilujący są pozbawieni łączności zarówno między sobą jak i z kierującą nimi bazą. Nie wiedzą kiedy i gdzie wysiądziesz, gdzie wezwać samochód. Tak więc przyzwolona inwigilacja w warunkach Moskwy wymaga nieprawdopodobnych wprost środków ludzkich i jest wobec tego, jak twierdzą rosyjscy dysydenci, rzadko stosowana.

Okęcie. Ładujemy. Przechodzę kontrolę paszportową i obserwuję powstałe zamieszanie. WOP-iści szepczą celnikom, celnicy między sobą. Zaczynają się kręcić panowie po cywilnemu, których częściowo znam z widzenia. Odbieram bagaż. Natychmiast zostaje uruchomione dodatkowe stanowisko odpraw celnych. Podchodzę. Pan w kraciastym palcie z nadętą miną zniechęca współpasażerów aby się ze mną ustawili. W bagażu nic nie mam. Jeszcze rewizja osobista. Udaję się wraz z celnikami do kabiny. Kraciasty pan nam towarzyszy, ale do kabiny nie wchodzi. Pilnuje na zewnątrz. Rewizja szybka i kompetentna nie ujawniająca ze strony celników żadnego zamiaru dodatkowej szykany. Wy chodzę.

Czeka na mnie żona i przyjaciel. Jestem w Warszawie.

Zbigniew ROMASZEWSKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

WZNOWIENIA

WITOLD GOMBROWICZ
D Z I E N N I K I

(Tomy VI, VII i VIII „DZIEŁ ZEBRANYCH”)

Dziennik T. I. (1953-1956) str. 304 — F. 55,00

Dziennik T. II (1957-1961) str. 256 — F. 50,00

Dziennik T. III (1961-1966) str. 224 — F. 40,00.

Wśród poszukiwaczy Boga

(Z NOTATEK I WSPOMNIENI)

Shukanie Boga nie jest występkiem. Ale nie należy tego czynić na własną rękę. Bez akceptacji władzy zwierzchniej, władzy duchownej, władzy policyjnej; wreszcie władzy opinii publicznej, bywającej, czasem, bardziej dokuczliwą od innych.

— Zaszyć się w lesie... Ale z czego żyć?

Chcę tu przypomnieć — co już kiedyś opisywałem — jak było z tamtym poszukiwaniem w Polsce niepodległej. Gdy wiarę w Boga rozwałała w Rosji rewolucja bolszewicka i poszukiwanie jej nagłym przypiływem przeskokczyło kordon, zagęszczając po tej stronie, wzdłuż sowieckiego pasa granicznego, jak mienie wyrzucone z rozbitego statku na krawędź zbawczej ziemi.

— Z „czego żyć”? — mówisz. Ty zapytaj lepiej: „jak żyć”, bez Boga?

— Hm, trudno powiedzieć...

— Bolszewiki! Bolszewiki, oni rozwalili Cerkiew prawosławną, ale nie wiarę. Wiary w Boga rozwalić nie można-żesz.

Był kiedyś na naszych ziemiach zwyczaj pradawny. Po mojemu piękny: Zdarzał się fest prawosławny w okolicy, i zjeżdżają zgodnie pod cerkiew, na jarmark tam jaki, i z prawosławnych i z katolickich wiosek ludzie; dzwony biją, można i służbę i chóru posłuchać. Był fest katolicki: zjeżdżają tłumnie i z katolickich i prawosławnych wiosek ludzie. Kołyszają się nad drogami duhy. Las hołobli stoi wokół kościoła. Władze duchowne tego zwyczaju za piękny nie uważają. Dla nich piękniejszy jest schludny podział wyznaniowy. A nie tak: żeby gdzie komu bliżej.

Z czego rozrosło się sekciarstwo na naszych ówczesnych, tzw.

„Ziemiach Wschodnich”? Niektórzy tłumaczyli: „bo dusza przeziębiona, chora”.

— Dohtar! A hdzie jon, dohtar toj?! No to i idziesz do znachora.

Brasław, Miadzioł, Wilejka, Dołhinów, Dzisna, Usza, Wiazyń, Chocieńczyce, Mołodeczno, Radoszkowicze, Wołożyn, Stołpce i całe Polesie, i jeszcze... Za rok furmanką nie objedziesz.



Wybrałem się jakoś w początkach lat 30-tych. Łało od przedświtu. Smugi na oknach wagonu. Szaro, prawie nie poznasz pory roku. Niedopałek papierosa wyrzucony w przestrzeń, pokoziołkował od pędu jak paralityk i padł na mokry mech, dysząc ostatnim dymkiem. Nie zapali lasu. A wokół lasy, błota, znów mokradła-rojsty; z dala dachy strzech. Nakryty rogożą pastuch, chłop w kozuchu, choć chyba jeszcze nie koniec lata? Nietęgi parowóz ciągnie mnie po szynach żelaznych powiatu wilejskiego. Wypadnie mi pobyc w wsi Kasuta, Rabuń, Haby, Użuny, Zółtki, Piatule, Rybczyno, Szczuki, Jermolicze, Wałodźki, w Potasznii, Ościukowiczach, Lebiedziewie...

Chłopi, rzekomo, dawno odwrócili się od mamideł komunizmu, odkąd kołchozy rozwiąły ostatnie iluzje. Tam bardzo źle. Ale i tu, jakby, nie najlepiej... Mówią, że w ruchu sekciarskim jest trochę mistycznej reakcji na bliskość właśnie granicy sowieckiej. Na rozpad Cerkwi. Sekciarstwo szerzy się głównie wśród ludności prawosławnej. Wszystko to być może. A oto idą inni ludzie, trzymają w rękę Ewangelię świętą i głoszą coś nowego. — „A moża i praudu jany każuć?”...

Na Wileńszczyźnie było wiele sekt religijnych: Metodyści — głównie w Oszmianie; Misjonarze — w samym Wilnie; Badacze Pisma Świętego też w Oszmianie i pow. Brasławskim; adwentyści — głównie w Wilnie. Najliczniejsi zaś, najbardziej rozpowszechnieni w powiatach granicznych: baptyści i zielonoświątkowcy. Na Polesiu baptyści i szundziści. Stosunek władz państwowych do tych sekt religijnych był na ogół bardziej nijaki, niż tolerancyjny... W braku innych ustaw, za podstawę prawną służył jeszcze „Ukaz” cesarski z roku 1906. W praktyce miały regulować przepisy o zgromadzeniach. Tak więc sekciarski dom modlitwy musiał otrzymać w takiej Wilejce np., zwykłe pozwolenie na zebranie; a sala winna odpowiadać „przepisowym wymogom sanitarnym”, np. ustęp nie może leżeć za blisko... Odmierza się metrami.

Wiele rzeczy nie ułatwia szukania Boga wzdłuż bezbożnej granicy. Oto zjawił się na komisji poborowej w Wilejce chłop,

który przedstawił dokument z pieczęcią i podpisem Niedźwiedzkiego...

— Niedźwiedzkiego?

— Ach, usłyszysz pan o nim jeszcze!

Otóż dokument, iż należąc do sekty zielonoświątkowców, nie może nosić broni, jako że Chrystus powiedział: „nie zabijaj”. A tak opaczne tłumaczenie Pisma świętego wprowadza zamęt i sprzeczne jest z interesami państwowymi. Sieje chaos wśród ludności. — A pan starosta, replikują baby, szerzy zgorszenie, bo pali fajkę publicznie. Ani baptyści, ani zielonoświątkowcy nie palą tytoniu, nie piją wódki. To grzech! — Wtedy nieznanne słowo, dziś powiedziano by: „Dialog”, toczył się dalej. Pewnego razu kobiety z książkami Ewangelii św. wdarły się do procesji Bożego Ciała i uczyniły zamieszanie. Musiały być skazane na krótkie terminy, i odsiedziały więzienie. Niech pan porozmawia z kaznodzieją Minajtem.

Minajto jest dobrym stolarzem, co przyznaje sam wielebny ks. dziekan Śnieżko z Wilejki. Dla pięknego tamtejszego kościoła wykonał sprawnie różne roboty. Owszem, ks. dziekan jest do brego o nim zdania.

— Ale... — rozkłada ręce. — Cóż on, rzemieślnik, ćwierć inteligent. Pismo święte wymaga nauki, studiów teologicznych. Cóż za komentator Pisma może być z takiego Minajty! Stoi w Piśmie np.: „Bracia i siostry”. On komentuje, że Chrystus miał braci i siostry. Herezje to wszystko.

— Dlaczego się szerzy?

— Rozpad Cerkwi prawosławnej. Drożyżna usług. Ludzie są biedni. A na przykład chodzą pogłoski, ja tego nie wiem, słyszałem tylko plotki, że Niedźwiedzki z Radoszkowicz płaci rzekomo po jednym do pięciu dolarów za przystąpienie do sekty,

Więc znów ten Niedźwiedzki... Ale idę do warsztatu Minajty, to niedaleko. Niskiego wzrostu; głowa golona, o bystrych głęboko osadzonych oczach. Przepraszam, że odrywam go od pracy, bo hebluje właśnie deskę.

— Na czym polega wasza religia?

— Na nauce Chrystusa. Żyjemy jak Chrystus przykazał. Czytamy Jewangielje i tak postępujemy. Ot i wszystko.

— Podobno nie wolno wam służyć w wojsku?

— To nie prawda. Przecież powiedziane jest: każda władza pochodzi od Boha. My słuchamy władzy. A jeżeli trzeba na wojnie zabijać... to już zależy od sumienia. — Minajto nazywa baptystów „wierzącymi”. Każdy może uwierzyć, gdy go Duch Święty oświeci. Prawdę mówię?

— A w gminie Wiazyńskiej, w Chocieńcyczach?

— Tam granica wpływów Niedźwiedzkiego. Tam zielonoświątkowcy.

— A kto wami kieruje w sprawach religijnych?

— Jest pastor w Kobryniu, Piotr Jaroszewicz. Światły człowiek, boży. A tu, ot ja. Mikołaja Żółtko jeszcze...



Chwała Bogu i za to, że deszcz przestał padać. Nad poczerniałymi już polami, nisko, jak na swoim, szybują białodziube gawrony. Może szykują się do odlotu. Nie, za wcześniej jeszcze. Pusto jest. Jasno w polu. Na zachód od Wilejki, szerokim traktem co biegnie do Zanarocza, do Miadzioła, do krainy wielkich jezior, trzeba jechać do wsi Żółtko. Wszyscy tam prawie mieszkańcy tego nazwiska. Droga piaszczysta skręca z traktu na lewo i obok cmentarza zbiega do wsi.

— Ej, chłopiec! Nia wiedziesz gdzie tu żywioł Mikołaja Żółtko?

— Jaki Żółtko, toj baptyst? Tam on, skraju.

Ma chatę na końcu wsi, teraz buduje sklep. Kopie łopatą grunt pod fundamenty.

— Boże dopomóż!

— Dziakuj. — Rękę ma uwalaną w ziemi i dlatego nie chce jej podać na przywitanie, choć wytarł ją o spodnie. Patrzy nieufnie, spode łba. Zaprasza. W chacie ani jednej ikony. Już dawno nie jest prawosławny. Tylko tak jak u innych, chleb w serwecie na stole, wiele poduszek na łóżku, ciężkie ławy. Izba nieprzewietrzona; żona ciekawie patrzy zza szafy.

Żyjemy jak Chrystus przykazał. Prawdę mówimy, wódki nie pijemy, tytoniu nie palimy, nie kradniemy. Chrześcijanie my. Trudno żyć... Pan pyta, czy nas lubią? Nie, bo kto lubi żyć według nauki Chrystusa? — Oczy mu się zapalają w ciemnej izbie błyskiem ekstazy. Żona stoi milcząc. — Nu, skażem u balszewikou: to nieprawda, że oni wojują z bogatymi, oni wojują tylko z Chrystusem! Ale nie rozumieją tego ludzie. A i władza nasza, czy tam jaki pan starosta, rozumie? Także samo nie rozumie. A my Ewangelię czytamy. Tu we wsi ja ją tłumaczę i czytam, musi być ktoś kto ludziom prawdę mówi. Przyjdzie królestwo Chrystusowe już niezadługo, bo są którzy Ewangelię głoszą.

Druga izba od frontu jest czysta i próżna od sprzętów domowych. Stoją w niej ławki, ustawione jak w szkole, na ścianach wyjątki z Pisma św. Dużo ich. Po środku z czerwonego papieru wycięte litery pismem słowiańskim:

„Krow' Isusa Christa ocziszczajet nas od wsiakowo griecha”.

Naprzeciw ławek mała katedra. Nie przeszkadza, że w rogu izby stoją garnki z mlekiem i śmietaną. Na oknach broszury w języku rosyjskim i polskim. Tuż sztuczne kwiaty i girlandy. Ot, dom modlitwy w białoruskiej wioszczynie, niedaleko granicy sowieckiej. Żółtko upiera się, że Duch Święty go oświecił.

Pobywałem w Rybczynie, w Jermoliczach, innych wsiach powiatu. Baptysty chrzczą dorosłych wodą, bo Chrystus też ochrzcił się dorosłym. Zapytani odpowiadają to samo: szukają Boga i prawdy, i czynią dobrze. Znać, że głęboko zapadł w ich dusze mistycyzm. A że o nich źle mówią?

— To dziwu niama u tym nijakoho. Wiadomo, ludzi... Szkoła tylko, że i u nas jedności za mało. Teraz zielonoświątkowcy biorą górę. — Dlaczego? Bo Niedźwiedzki...

Któż jest ten tajemniczy Niedźwiedzki, o którym ciągle słyszę, gdzie mieszka? Jedni mówią, że w Pieciulach, inni że w Uszy, czy Wołokach. Ale najpewniej to w samych Radoszkowiczach. — Jadę go szukać.



A wokół lasy, lasy. Poletka marne. Przelatuje wrona: „Krha, krha...”

— Może też Boga chwali, po swojemu. — Mówi mój pobożny woźnica.

Zając kica. Przysiadł słupkiem, i nagle wyciągając skoki, prędko wpoprzek naszej drogi do przeciwnego zagajnika. Woźnica przeżegnał go krzyżem św.

— Na co to?

— A ot, żeby przebiegając drogę, nam by nie zaszkodził. A raz przeżegnany, to już jak Pan Bóg zechce.

— Acha, rozumiem.

W dół Dźwiny na południe, wzdłuż sowieckiej bezbożnej granicy, wpoprzek Niemna, Prypeci, aż het na Wołyń... poszły różne „od Boga pouczenia”.

Odkąd się to zaczęło? W każdym razie po roku 1920. Mniej więcej w latach 1925 do 1927. Terminu ustalić nie podobna. Początkowo głównie baptysty, którzy sami siebie nazywają: ewangeliczni chrześcijanie. Później zapanował nowy ich odłam — zielonoświątkowcy — „Piatidiesiatniki”. O sobie mówią, że „o jeden stopień naprzód”. Różnica w rozłamie jest niewielka. Głównie polega na interpretacji tego ustępu Ewangelii, który mówi o zesłaniu Ducha św. i obdarzeniu apostołów cudowną znajomością języków, iżby mogli głosić Słowo wśród różnych narodów. Baptysty mówią, że teraz są szkoły, i każdy jeden może nauczyć się jakiegoś języka.

— A jeżeli baćka nia ma, czy tam skąpi hraszej na nawuku,

a? — I zielonoświątkowcy utrzymują, że podczas modlitwy wstępuje w niektórych Duch Święty, i wtedy siłą boską obdarzeni zdolni są modlić się w obcych wyrazach, dla Boga tylko zrozumiałych.

We wsi Mitrycze byłem na ich nabożeństwie. Ludzie poważnie starsi, większość kobiet, siedzą w ławkach i słuchają czytania i komentowania Ewangelii. Następnie śpiewają. Śpiewają psalmy w cerkiewno-słowiańskim, przeciągle, smutno, jak ich dola własna, na melodię powłóczystej pieśni białoruskiej. Później się modlą coraz głośniejszym, chaotycznym, oderwanym. W tej chwili opiewają niektórych ekstaz. Chłop stary, brodaty, mówi coś wpatrzonego w werseł Ewangelii na ścianie, głowa zaczyna mu się trząść, otula się świtką jakby mu zimno było i woła nagle: „Ałaj, ałaj, ałaj!”

— Co to znaczy? — Boga chwali. — Dlaczego w ten sposób? — Taki mu Duch Święty zesłał język.

Obserwuję go jak po nabożeństwie wychodzi na podwórze, konia oparł, kolanem wspierając o chomąt zaciska supon, podciąga rzeczowo podpinę na podsiedziółku. Spokojny człowiek.

Ilu ich jest? Obliczyć nie można. Ich kaznodziej nie zakazują chodzenia do cerkwi, czy kościoła. A ludzie są wzajemnie pomieszani. — No, ale tak, powiedzmy, ilu zorganizowanych? — Heta wiedając chyba tolki Niedźwiedzki.

Wrogowie jego, jak to wrogowie, mówią o nim bardzo źle: *Wor i żulik*. Inni, że tylko typ podejrzany. Bo skąd ma pieniądze? Iz Ameriki. Ale chto jemu daje 200 dolarów miesięcznie? Nie — 600! Przekupuje ludzi, płaci po 5 dolarów za wstąpienie do sekty. Hipnotyzer. Zahipnotyzował, mówią, pewną nauczycielkę i ta, modląc się, skakała o metr od ziemi. — Żydówka, Pomerancowa, co ma sklepik w Radoszkowiczach, mówi o nim z zawiścią: „Nu i co on taki, Niedźwiedzki, chodzi z rękami w kieszeniach i nic nie robi, a pieniądze ma”. — Wielebny ksiądz proboszcz Franciszek Cybulski, na moje pytanie rozłożył ręce: „Ja o nim, broń Boże, złego słowa powiedzieć nie mogę, bo nie wiem. Ale ludzie mówią, że ma pięć żon...”

Wypogodziło się. Przez lży deszczowej zasłony padły promienie słońca na niezgrabnie brukowane ulice Radoszkowicz. Pusty o tej porze rynek; śmiecia kupy, bydłęcego nawozu i obzarpane tynki żydowskich kamieniczek, które pamiętały lepsze czasy. Ważne było miasteczko na starym trakcie z Wilna do Mińska, nad rzeką Rybczanką. I dawna linia kolejowa „Libawo-Romenska-Zeleznaja-Doroga”, przebiega stąd niedaleko. A teraz kilka wiorst i sowiecka granica odrutowana. Tuż, niedaleko wieś Wołoki. Po nocnym deszczu stoją jeszcze kałuże. To przy tej drodze. Pachnie jesiennym latem. W zagajniku skrzeczą sówki.

Naprzeciw idzie wyprostowany, ubrany z miejska, otyły nieco jegomość w cyklistówce.

— Przepraszam, gdzie tu mieszka Niedźwiedzki?

— To ja jestem — i grzecznie się uśmiecha.

Zaprasza uprzejmie do siebie. Domek mały, w niewielkim sadziku; tuż i ogródek warzywny.

— Jablek w tym roku dużo, aż gałęzie łamie — mówi Niedźwiedzki i znowu się uśmiecha.

Wszędzie czysto, schludnie, porządek wzorowy. — A to moja żona, wskazuje kobietę, która z koszem poszoru znika właśnie w przysadzistym chlewku. — Pan pozwoli do domu.

Przedsionek. Dalej czysta izba która jest kuchnią i stołowym zarazem. Od razu rzucają się w oczy białymi literami na czarnym papierze wycinane ustępy z Pisma św. Nad każdymi drzwiami i nad wielkim stołem. Następny pokój mały, w miejskim stylu meblowany. Krzesła, stół z wyszywaną serwetą, pełno kwiatów, wielkie metalowe łóżko, wszędzie dużo książek. Na stole pod oknem maszyna do szycia; przy niej starsza kobieta w zielonej sukni, o kruczonych włosach i pomarszczonej twarzy.

— Przepraszam, że tak ciasno — mówi Niedźwiedzki i uśmiecha się po raz trzeci. — A to „siostra”, która przyjechała ze Szwecji. Mówi tylko po szwedzku i po niemiecku.

Pchnął małe drzwi, na których wisi chustka z wytkanymi ustępami Ewangelii, i powiedział do wewnątrz:

— Niech brat pozwoli, mamy gościa.

Wychodzi stamtąd młody Żydek, o wyraźnie semickich rysach twarzy. Kędzierzawe włosy, czysty kołnierzyk z czarną muszką, nieskazitelny garnitur, tylko buty zdeptane. To „brat” Gancweich z zagranicy. Teraz mieszka w Wilnie, gdzie jest też dom modlitwy. Ma przy sobie jakoweś zaświadczenia gminy łódzkiej na kolportowanie broszur.

Zaczyna się rozmowa. Niedźwiedzki mówi o sobie. Ma wyraz nijaki; oczy wąskie i dobrodusze. Dziesięć lat temu wrócił z Ameryki i zaczął głosić Ewangelię. Wie wszystko co o nim mówią. Niech pan temu nie wierzy, to wszystko kłamstwo. Prawda, zarobiłem trochę pieniędzy w Ameryce, wróciłem kupić posesję, zbudowałem domek modlitwy. Pomagałem temuowemu. Teraz pieniądze na ukończeniu. Ciężko być prawdziwym chrześcijaninem. — Bo to, czyni szeroki ruch ręką, to tylko zapisani w książkach metrycznych. Do cerkwi, do kościoła chodzą, a piją, kradną, mordują, w karty grają, palą, złorzeczą. Czyż to chrześcijanie? Niech pan sam powie, czy ja mieszkam wśród chrześcijan skoro muszę zamykać dobytek na siedem zamków?! — Mówi szybko jak kaznodzieja, a chwilami przypomina mi mowę wróżących cyganek.

Bierze ze stołu ciężki tom i czyta, a coraz to mówi do Gancweicha: „Niech brat otworzy 'do Łukasza', 'Mateusza'. Ot co on znaczy, ten ustęp...”

Potem jest znowu gościnnym gospodarzem. Chce go sfotografować. — I tego Żydka też? — pyta. — Naturalnie.

Gancweich opowiada o swej misji nawracania Żydów. Niedawno był w miasteczku Ilja i tam rozdawał na rynku broszury. Zebrał się tłum Żydów, który wołał: „Powiedz ile tobie za to płacą?! Czemu nie pójdziesz do rabina?” — Na to im Gancweich: „Pójdę, a czy rabin też nie potrzebuje być zbawiony?”

Poszli tedy do rabina w Ilji i tam wywiązała się dysputa. Żydzi nie chcieli jednak jego słuchać: „Powiedz najpierw ile tobie płacą?”

— Dobrze, powiem, ale czy mnie uwierzycie?

— Uwierzymy.

— Nic mi nie płacą.

— To my nie wierzymy.

„No i czy z takimi ludźmi można mówić o Ewangelii? Niech pan sam powie?” — pyta mnie Gancweich.

Niedźwiedzki zna prawie całe Pismo św. po łacinie na pamięć. Liturgikę, zarówno katolicką jak prawosławną. O innych sektach wypowiada się różnie. O metodystach, adwentystach, baptystach, że nie chcieli „zrobić jeszcze jednego kroku naprzód”. O „badaczach Pisma” w Oszmianie, że to zwyczajni grzesznicy, jak każdy inny. Sam jest główny kaznodzieja zielonoświątkowców na powiaty Wołczyński, Mołodeczański, Wilejski, Postawski i Dzisieński. Zadeklarowanych wyznawców jest 1.017. Płacą po 20 groszy miesięcznej składki. Istnieje jeszcze Komitet Siedmiu, który prowadzi księgi metryczne i sądy duchowne. Ale trzeba starać się, żeby władze świeckie chciały ich uznać... Dużo dobrego można by zrobić.

— No, ale tysiąc ludzi — zauważam — to jednak kropla w morzu...

— Ale kropla Boża. — Odpowiada.

Poczęstunek był skromny, ale solidny. Z modlitwą przed i po jedzeniu.



Przyjechał po mnie gospodarz z wyglądu solidny, choć zaprzęg jego skromny. Zwyczajna drabinka, słomą wypchane siedzenie, ale uprząż cała rzemienna. Cmoknął na konia, poruszył lejcami i lekkim truchtem zjechaliśmy z bruku miasteczka w piaszczysty tor Czarnego Traktu. Tego samego co z Wilna, przez Soły, Smorgonie, zniszczenia pierwszej wojny, Mołodeczno i Radoszkowice, biegł ongiś do Mińska i dalej. Jeszcze za czasów gdy Napoleon szedł tedy na Moskwę w 1812 roku.

Ciężko się zamykają powieki dnia i długo trwa szarość wieczorna. Noc się przywleka ospale, jakby spać się jej nie chciało. — Nu! paszoł — Koń pobiegł rażniej po miękkim gruncie. Z pół pociągnęło zapachem przejrzałych kwiatów, i *czut'* jakby miodem od nich. Odwieczne, dwurzędne szeregi brzoź skłaniają się ku sobie koronami, gdzieniegdzie położył listeczką, ale zamknąć sklepienia nad drogą nie dadzą rady, bo trakt jest szeroki. Nad końskim łbem kołysz się duha, a powyżej pierwsze gwiazdy.

Ładny trakt.

— On i ładny, on i wygodny. Cienia daje, jest gdzie konia popaść, i dla ludzi także samo tropinka między drzewami.

Pojechali w ciemniejszą noc. Wielka cisza wokoło. Czasem sowa się odezwie.

Nic nie wiem o człowieku, który mnie wiezie, i on o mnie nie wie nic, choć dwóch nas tylko na tej furmance, w tej pustce, ciszy i nocy. — Nie pamiętam od czego zaczęła się rozmowa, bodaj znów od Niedźwiedzkiego. — Ponoć to kiedyś zły człowiek był?

Woźnica mój, nazwiskiem Kraczkowski, człowiek około 60-ki, tutejszy, ale bywały, poderwał lejcami, pojechał prędzej. Myślałem już, że nie chce rozmawiać na ten temat. Ale on, widocznie, rozważał odpowiedź.

— Zły, pan mówi? Możliwe i zły, ale kiedyś. Prawda sam powiedzieć mogą, pamiętam, że był i pijak, i awanturnik, i ukraść mogł także samo. Ale ot Bóg zechciał i nawrócił. I zobacz pan, ten człowiek dziś Jewangelia głosi! Czy to nie jest dopust Boży?

Więc Kraczkowski jest też zielonoświątkowcem?...

Zwolna, bardzo zwolna, w takt chrzęstu kopyt po miękkiej ziemi, rozwijając się zaczęła rozmowa i szła między nami ze wszystkimi skrętami drogi, a drogę mieliśmy długą, jak długa jest noc jesienna.

Kraczkowski małym chłopcem uczęszczał do szkoły prawosławnej.

— Z rannich lat przyszła do mnie zastanowienia taka. Utrudniał życia katolikom. Pop wszystko pyta: a czy do kościoła nie chodzisz? Powiesz, że zachodziłś niekiedy, to kiedy narzuci się, że to wielki grzech, mówi. Dzisiejsza pora, jak panu wiadomo, wszystko odmieniło się i ksiądz teraz z ambony, czyli też na spowiedzi, pyta: czy do cerkwi nie chodzisz? I znów to teraz grzech. A cóż tam w kościele, czy cerkwi złego? Ludzie modlą się. Boga, można powiedzieć chwalon. Czemu nie zapyta, czy do karczmy nie chodzisz?! Wódka, czy pijesz!...

— A przecież — wtrącam — i Chrystus zamienił wodę na wino.

Kraczkowski znów targnął lejcami, znów pojechaliśmy prędzej.

Myślałem, że chce uchylić się od odpowiedzi. Ale on po chwili:

— Tak ot i ksiendzy i popi mówio. No i co to za gadania! Czy to Chrystus był pijak jaki, czy co! Owszem, powiedzieć, był prawda trafunek taki, że Chrystus zaproszony na gody weselne, zamienił tam jakiś kubetek wody na wino. Ale to z wody zrobił wino, nie ze zboża, czyliż z kartofli, jak dziś samogon pędzą. Po drugie co wino, to nie wódka. Wiem, że wina i na lekarstwa używają, bo ono jakąś siłę, zdrowie na podtrzymanie, od słońca, choremu daje. A upijać się, to za wszystkim co innego.

I Kraczkowski dalej opowiada, jak to się rozczarował do zewnętrznych obrządków religijnych. Jak w cerkwi „grzech”, i w kościele „grzech”, to znaczy nie chodź ani do jednego ani drugiego. I takim porządkiem przystał do zielonoświątkowców.

Noc zapadła niepodzielnie. Majaczą cienie brzoź Czarnego Traktu. Jedziemy pod górę. Ledwo dostrzec kołyszącą duhę i uszy końskie na tle gwiazd, które mrugają po jesiennemu. Hen, z dala, rozświeca horyzont blask latarni.

— Ot, kiedy widać daleko — Kraczkowski wskazuje batem — toż to Rajówka, papiernia pana Bohdanowicza, światło stamtąd idzie, a wiorst będzie dwanaście, trzynaście... A na lewo znowu granica bolszewicka, też tylko dwanaście, trzynaście wiorst... — Ściąga lejce i patrzy na wschód. — Mienska nie widać, a bywa czasem noc taka podchodząca... Ale przyjdzie i światło Królestwa Chrystusowego, pomyśleć, to chyba w prędkim już czasie...

Zjechalśmy z góry. W ciemności nocy przejmują chłodem wilgoci. Przed nami wieś Krasowszczyzna. Na jej skraju, w poprzek traktu, jakby świetliste szlagbauny przecinają nam drogę pasma od oświetlonych okien. Okna duże. Domu nie widać bo blask lamp oślepia.

— Co o tej porze robią tam ludzie?

— Modlą się.

Koń stanął w promieniu lampy. Złazę z drabinki i idę po omacku. Kałuża, kamień, schodki. Otwieram drzwi cichutko, zdejmuję czapkę. Nie poznać kto taki. Mam tylko podrobną burkę i ledwo wystają z niej końce długich butów.

— Można pałuszać? — pytam grzecznie.

Dom modlitwy zielonoświątkowców. Z katedry czyjaś twarz patrzy ku mnie i przykrywa ręką blask od lampy. Na przednich ławach odwracają się chłopci, bliżej ku wejściu siedzą kobiety w chustkach.

— Nia można — mówi szorstkim głosem starzec z brodą.

— Czamu nie?! — zawołały nagle kobiety. — Puszczaj pałuszajet!

— A wy adkul? — zapytuje kaznodzieja, starając się rozeznąć.

— Ja z darohi.

— Tak widnoż szto z darohi — odzywa się młoda kobieta — niechaj słuszaje, jeśli achwota.

Przysiadam na rożku tylnej ławy i słucham. Ludzie przestali już śpiewać psalmy. Teraz czytają Ewangelię. Nic nowego, wciąż o Bogu, o tym samym. Za chwilę wychodzę cichutko, bo przede mną jeszcze długa droga.

— Nie śpiewali? — pyta Krackowski.

— Nie, już skończyli.

— A to niech pan posłucha, kiedy łaska, jakie jest ładne psalmy poniektóre.

Jedziemy teraz przez czarny las. Krackowski z lekka ruszając biczem, śpiewa w ciemną noc psalmy.



W trzydziestych latach był dumny pociąg o bardziej symbolicznej niż praktycznej nazwie: „Tallin - Bucuresti”. Znad Zatoki Fińskiej biegł przez Rygę - Dyneburg - Wilno - Lidę - Baranowicze - Łuniniec - Sarny - Lwów - Czerniowce - Bukareszt. Coś jakby wzdłuż już dawno pogrzebanej koncepcji politycznej antybolszewickiej *Cordon sanitaire*.

W przedziale I-szej klasy tego pociągu zastałem pewnego, niewątpliwie wyższej rangi pana, który wszelako z dużym sceptycyzmem odnosił się do ówczesnych zarówno narodowościowych jak religijnych wytycznych wewnętrznej polityki polskiej. To mnie nie zdziwiło. Były to jeszcze czasy — mimo wszystkie usterki tzw. „sanacyjnych rządów” — gdy nierzadko wypowiadało się głośno własne zdanie. Co mnie zaskoczyło bardziej, że temat „sekciarstwa” w jego obecnym stadium, nie był mu obcy. Zaczęliśmy rozmowę minąwszy Baranowicze. Przyznam, że raczej potakiwałem mu milcząc.

— ... Mylą się — mówił — zarówno komuniści jak nasi pesymiści, że bieda z nędzą wsi tzw. „kresowej” pcha ją w objęcia wyłącznie materialistycznej idei, czy materialistycznego egoizmu. Gdyż mamy oto do zaobserwowania niespodziewane zjawisko: ulotki sekciarskie, broszury treści religijnej, wypierają czasami bibułę komunistyczną. Przyczyna?... Ach, wiele; ale sądzę, że koniec końców tkwi w samej naturze ludzkiej. Naturalnie można traktować sekciarstwo u nas, i to szerzące się akurat wzdłuż samej bolszewickiej granicy, jako zjawisko ujemne, że niby rozbijające front oficjalnego Kościoła. Natomiast nie można zaprzeczyć, że każdy członek sekty poszczególnie, jako człowiek jest zjawiskiem dodatnim: jednostka uczciwa, przeciwstawiająca bezbożnej agitacji na granicy, pełnię wiary w Boga i etyki życia.

wej. Wszelkie restrykcje, czy to ze strony władz duchownych, czy administracyjnych, wydają mi się nie na miejscu. No, w końcu, ludzie szukają Boga. Co w tym złego?...

Pociąg zaczął raptownie hamować. Wstałem, zabierając rzeczy.

— A pan dokąd? — zapytał.

— Łuniniec już. W Dawidgródku zdarzył się cud... Mam jeszcze daleką drogę przed sobą, i furmanką i wodą.

— No widzi pan! O wilku mowa, a wilk... Choć przepraszam, może niezbyt właściwe dobrałem w tym wypadku przysłowie. Cud Boży do wilka nie pasuje...

— Nie szkodzi.



Więc znów jestem w Dawidgródku na Polesiu. Minąłem właśnie drewniany budynek magistratu idąc w kierunku wysoko na wzgórzu położonej cerkwi prawosławnej, gdy uwagę moją przykuł następujący widok: W obszernym sadzie stoi mała, drewniana kapliczka. Tłoczą się do niej ludzie poprzez wyłamany parkan.

Był to piękny ranek wiosenny. Miasteczko w puszczech i błotach, hen na rubieżach państwa. Żyje jakoś. Lasy, ryby i ptaki. Ludzie są tacy sami jak przed wiekami. Jak to ludzie: każdy zajęty swoim. Ale co za przyczyna gromadzi ich w ten cichy powszedni poranek wokół starej kapliczki?

Pytam spotkaną dziewczynę, co stało się?

— Ikona abnawiłaś. — I opowiada o cudzie.

Baby jęklivymi głosami zawodzą w kaplicę. Pali się tam kilka świeczek, drzwi stoją otworem. Tłum.

— Rzeczywiście cud?

— Pahladzicie sami...

Zdejmuję czapkę. Przez dwa okna sączy się dosyć światła, by rozeznąć wnętrze. Na wprost dwa obrazy święte. Jeden, na lewo szerniały ze starości, drugi na prawo podobny, ale lśni świeżą farbą olejną. Po bokach złożone ikony, mocno też nadzarpnięte czasem, czy złą wolą ludzką.

— Aaaaa, Boże-sz ty moj!

— Hospodi pomiłuj! Hospodi pomiłuj!

— Ach, ach, ach! — postępują stare kobiety.

— Ach, praklatyj żydowin!

Nic z tego wyrozumieć nie jestem w stanie. Jedna przez drugą, wszystkie kobiety mówią razem. Jedna drugiej przerywa, wreszcie staje na tym, że będzie mówiła Hanna Kołoszko.

— Ty pra son, pra son raskazi!

Jest to stara kobieta o płaskiej twarzy, wydatnych policzkach.

Nos również spłaszczony. Oczka małe biegają pod naciągniętą chustą niespokojnie. Mówi głosem przyciszonym, co chwila wzno-
sząc źrenice w błękitne niebo, jakby stamtąd oczekiwała potwier-
dzenia słów swoich. Baby jej przytakują i też obracają twarze
ku niebu. Wokół coraz tłumniej poczynają zbierać się ludzie.
Wieść o cudzie obiegała już łodzią w dół i górę Horynia, skrętami
Wietlicy dotarła do i za Prypeć... Nie wszyscy temu wierzą, to
prawda.

Przed wielu laty stała tu cerkiew. Ale dokonano zamiany
gruntów. Cerkiew przeniesiona została na wzgórze opodal, pięk-
nie ją widać z daleka. Rytuał nakazuje, aby w miejscu gdzie
stała poprzednia cerkiew, a ściślej ołtarz, postawiony był krzyż.
Dobra wola ludzi pobożnych stawia czasem w takim punkcie
nawet kapliczkę. Krzyża ruszyć nie wolno, kapliczki też. Cóż
kiedy ziemia dostała się w ręce Żyda, niejakiemu Murawczyka.
Sad, który ongiś otaczał cerkiew pozostał, i z sadu tego czerpał
Murawczyk korzyści doczesne. Podobno długa była historia
kłótni pobożnych ludzi z Murawczykiem. Dokumenty wskazy-
wały, że przy sprzedaży gruntu zawarowany był dla parafii pra-
wosławnej dostęp do kapliczki i ścieżka na trzy arszyiny szeroka.
A miejsce święte. Legenda mówiła, że tu gdzieś w pobliżu były
groby Dawidowiczów, z książąt kijowskich, sprzed lat tysiąca.

Ale Murawczyk nie chciał o niczym słyszeć. Postawił wokół
sadu parkan i nikogo nie puszczął. Okna i drzwi kaplicy zabił
deskami. Wewnątrz zostały nieme ikony, przed którymi nikt
już nie zapalał łampadek. Tak trwało wiele lat, ponieważ ka-
pliczka wzniesiona została w roku 1915. Zwolna ludzie zapo-
minają zaczęli o niej i zapomnieliby na zawsze, gdyby nie pewna
noc, której to nocy... przyszedł umarły.

Nudnym, wyuczonym głosem opowiada Hanna Kołoszko o
swym widzeniu sennym. Przyszedł do niej, zmarły już dawno,
poprzedni proboszcz prawosławny i wziął ją za rękę. — Wiesz,
powiada, dlaczego przyszedł? Oto Bogurodzica płacze w kaplicy.
Zamurował ją Żyd deskami, ona teraz niby w więzieniu. Ani
świata Bożego, ani ludzi prawosławnych nie widzi.

— Ach, Bożeczka moj! — wtórują łzawo baby.

„Chodź, powiada do niej, pójdziemy, ukłękniemy na świętej
ziemi. Poszli (w widzeniu sennym). Przyprowadził ją batiuszka
za rękę aż pod stopnie kaplicy, tam ukłękli na zmurszałej desce
i zaczęli się modlić. A wtedy wielka jasność zstąpiła z nieba
i słońce poczęło świecić pośród nocy nad samą tą biedną, porzu-
coną kapliczką. Hanna Kołoszko się obudziła, była jasność, ale
poranka, bo słońce rzeczywiście weszło znad dalekich błot, co
teraz pod Sowiekami”.

Gdy Kołoszko opowiedziała swój sen sąsiadce, a później

drugiej i trzeciej, a tamte opowiedziały jeszcze innym, powszech-
nie uznano, iż jest to wskazanie Boże! Ludzie wzięli tedy siekiery,
obalili parkan Murawczyka, poszli do kaplicy, odbili deski z drzwi
i okien, wkroczyli do wnętrza.

I oto stało się.

Poczerniała od lat i brudu ikona Bogurodzicy, zrobiła się nowa,
jakby wczoraj malowana.

— Widzi pan sam — pokazują mi ludzie: Istotnie, obraz
w sposób cudowny uległ odnowieniu, odzyskał dawne barwy,
dawną wymowę nieudolnego malunku.

Nie jestem ani teologiem, ani malarzem. W ocenę cudu ani
kwalifikacji malarskich wdawać się nie mogę. Światło pada z boku
przez okna. Obraz nie jest w cieniu, błyszczy świeżą olejną farbą.
Istotnie: „Ikona abnawiłaś”... Ale, czy sama?... — Rzuciłem
i ja na tacę przed nią stojącą, swój skromny datek.



Popłynąłem w górę Horyniem, a później przeskoczyłem na
rzeczkę Wietlicę, która od południa wpada do Prypeci i niby to
„skraca drogę”. Woda jest ciemna, ale ciemnością lustra. Odbija
drzewa, krzaki, sitowia. Ze wszystkich stron wołają kaczki.
W wiosnę jest tu jak w raju, tyle ptaków różnych krzyczy,
piszczy, śpiewa, klekoce. Łódź sunie w labiryncie tego zielonego
raju.

— Ech! — westchnął mój przewoźnik, wyciągając się na
słomie pokrywającej dno łódki. I zaciągnął do wtóru ptaków:

„A ja leżu i dumaju,
szto krasnuju żynku maju...”

Przez to spóźniliśmy się na parostatek do Pińska. Skrepo-
wany rozkładem jazdy, nie byłem w stanie złożyć osobiście wizyty
Jego Wysokości w Pińsku. Przepraszając, pozwoliłem sobie zatelefono-
wać, pytając jego zdania o cudzie w Dawidgródku.

— No, cóż... — przeciągnął zastanawiając. — Rzecz nale-
żałoby jeszcze sprawdzić... Ale może i być, że tak Bogu ugodno...



Miedzy nami mówiąc, mam pewne wątpliwości. Gdyby
„Bogu ugodno”, to chyba nie dopuściłby zarazem do tej polityki
restrykcji wobec prawosławia — a częściowo i unickiej Cerkwi
ukraińskiej — która spadła wkrótce potem, w końcu lat trzy-

dziestych, na wschodni pas graniczny. Nie chciałbym tu o tym pisać, gdyż temat sam w sobie wydaje mi się pożałowania godny. (Artykuł mój przeciwko wysadzeniu kaplicy prawosławnej w Radoszkowiczach przez członków „Legionu Młodych”, dynamitem zapożyczonym z KOP-u, został wówczas skonfiskowany przez prokuraturę wileńską).

Ale, naturalnie, nie znane są zamiary Boskie. Wbrew temu co mówił „Wielki Inkwizytor” w powieści Dostojewskiego, że nigdy „chleb niebiański nie może zastąpić chleba ziemskiego”, zdarza się, rzadko, to prawda, ale odwrotnie. Tak np. jeszcze od roku trwającej sowieckiej okupacji, zjechały na 17 czerwca 1941 roku ze wszystkich połaci kraju mnogie tysiące ludzi do Puszczy Rudnickiej, na oczekiwany cud we wsi Popiszki. Kościół odniósł się doń chłodno. A władze sowieckie po prostu wywiozły „cudotwórcę”. Opisałem to zdarzenie w swojej książce „Droga Donikąd”, i rekapitulować tu tego opisu nie będę.

Daleko bym wybiegł poza ramy tych luźnych fragmentów, gdybym zechciał im przydawać jakowyś styl dydaktyczny.

Czasem tylko, gdy się tak często dziś słyszy utyskiwania na nieznaną rzecz, i błędy obcych, nachodzą trochę niewczesne refleksje.

Ale wolę zakończyć westchnieniem mego przewoźnika z Wietlicy: „Ech!...”.

Józef MACKIEWICZ

PRZEMIANY

PISMO POLSKIEJ PARTII SOCJALISTYCZNEJ

Wydaje Komitet Główny PPS w Niemczech.

ARTYKUŁY, OPINIE, WIADOMOŚCI I OCENY Z KRAJU.

Ukazuje się od roku 1974 raz na dwa miesiące.

Prenumerata roczna razem z przesyłką DM 15,00 lub równowartość.

Przesyłka lotnicza do USA i Kanady — dopłata DM 10,00

Do Australii — dopłata DM 15,00.

Cena numeru pojedynczego (16 str.): DM 1,00, podwójnego: DM 2,00

Zamówienia prosimy kierować:

T. PODGÓRSKI — 8 MÜNCHEN 40, UNGERERSTR. 47.
W. GERMANY

Wyznania starego człowieka

DE CONSOLATIONE PHILOSOPHIAE

I

Moje lata uniwersyteckie przypadły na czasy jednej z największych katastrof historycznych, jakie spotykały ludzkość. Pierwsza wojna światowa, rewolucja bolszewicka w Rosji, powszechne załamanie się tradycyjnych, ustalonych instytucji i form bytowania, wszystko to stanowiło atmosferę czasów mojej młodości i dojrzewania. Były w tym i momenty wiary, momenty oczekiwań i nadziei. Wierzyło się w przyszłość mojej ojczyzny, wracającej do samodzielnego bytowania, wierzyło się, że z powszechnego chaosu wyłonią się jakieś nowe wartości, bogate i twórcze. Te nadzieje były jednak stale mącone, stale podważane przez wypadki, które je konfrontowały. W sumie poczucie katastrofizmu ciążyło na naszych postawach i ocenach.

Miało to wyraz i w książkach, które wtedy się ukazywały, w książkach, które ja i moi współcześni pilnie czytaliśmy. Spenglerowski „Der Untergang des Abendlandes” był tylko jedną z takich książek. Przestudiowałem ją uważnie i ponury jej wydźwięk na długo zachował się w mojej duszy.

Nie mniejsze — a może nawet większe — wrażenie zrobiły na mnie dwie niewielkie książki rosyjskie, pisane przez ludzi o bardzo znanych i głośnych nazwiskach. Jedna z nich to „Krugoworot istorii” znanego historyka rosyjskiego R. Wipperera. Druga „Nowoje sredniewiekowje” wybitnego rosyjskiego filozofa N. Bierdiajewa. Książki te były bardzo różne i w pewnym sensie ze

* Rozdział z książki, która w niedługim czasie ukaże się w Oficynie Poetów i Malarzy w Londynie.

sobą sprzeczne. Miały jednak pewne zasadnicze wspólne elementy. Wipper sięgał do Gianbattisty Vico i jego koncepcji „nawrotów” historycznych, widzenia dziejów jako spirali. To były owe *corsi i ricorsi* wiecznie powracające w historii. Wipper sądził, że jego czasy były ilustracją teorii Vico. Następuje nawrót do czasów średniowiecza, do czasów barbarzyństwa, upadku ustalonego porządku prawnego, rozwijającej się tyranii, zniszczenia swobód indywidualnych. Może to być epoka bardzo długotrwała, jest jednakże nadzieja nadejścia nowego „nawrotu” do wartości przez nowe średniowiecze brutalnie odrzucanych. Wipper był Rosjaninem i żył w Rosji, wstrząsanej przez konwulsje rewolucyjne. Później Wipper pogodził się z nowym systemem, znalazł w nim dla siebie wygodne miejsce i pod koniec życia (żył bardzo długo) napisał obrzydliwą książkę o Iwanie Groźnym, która w rzeczywistości była apologią Stalina i stalinizmu.

Bierdiajew nigdy nie zeszedł z drogi odrzucania bolszewizmu i rewolucji. Jego postawa była głęboko religijna, był filozofem wiary i religijnego odrodzenia, myślicielem bardzo poważnym i był przekonany, że epoka, której dziełem były największe wartości naszej kultury, ma się ku szybkiemu końcowi. W rzeczywistości sama się ona unicestwia, tworząc także wartości ujemne, które oderwały człowieka od Boga i uczyniły z niego samoniszczyciela. Tak już kiedyś było — u schyłku świata starożytnego. Świat ten stworzył wspaniałe wartości, które jednak w ostatecznym wyniku doprowadziły go do zagłady. Rezultatem tego było średniowiecze, które nie było epoką ciemnoty i barbarzyństwa. Człowiek przez próby, poszukiwania i cierpienia wrócił do Boga, odnalazł nowe prawdy.

Z zamętu, w którym żyjemy, wyłoni się nowe średniowiecze. Bierdiajew *implicitie* przyjmuje tu filozofię Vico. Następuje nowy nawrót w dziejach, który na innym poziomie spirali będzie odpowiednikiem dawnego średniowiecza. Ale, inaczej niż Wipper, Bierdiajew widzi w tym nowym średniowieczu odrodzenie człowieka i jego największych wartości, widzi zapowiedź lepszej przyszłości.

I w tym Bierdiajew jest bliski książce, która w tym czasie zrobiła na mnie bardzo silne wrażenie. Nie wydaje mi się aby dziś ktoś o niej pamiętał, nawet w Niemczech, gdzie była napisana i gdzie przez czas pewien cieszyła się dużą popularnością.

Jest to powieść Ulitza „Ararat”. Napisana była przez niemieckiego pisarza pod koniec wielkiej wojny, po wybuchu rewolucji bolszewickiej. Jest to powieść wizjonerska. Wielka wojna się nie kończy. Przechodzi ona w niszczycielskie rewolucje, prowadzące do powszechnej ruiny ludzkości. Świat zupełnie zdi-

czał. Ogromna część ludzkości ginie od kul, głodu i chorób. Europę pokrywa dżungla. Wszelkie dotychczasowe formy organizacyjne ulegają zniszczeniu. Z dawnych narzędzi zachowała się jedynie jakaś broń, wystarczająca do zabijania ludzi.

W puszczy, która pokryła dawną cywilizację, snują się bandy zdziczałych uzbrojonych ludzi. Bandy te polują na siebie, napadają na siebie, mordują się nawzajem. Jest to kompletna anarchia, powszechne *bellum omnium contra omnes*.

Jednakże szczątki ludzkości zostaną uratowane. Albowiem zjawia się nowy przywódca, nowy prorok-wizjoner, który umie trafić nawet do tych zdziczałych istot ludzkich. Jest to stary Żyd, człowiek o niezwykłej mądrości, szlachetności i zdolności przekonywania innych. On stanie się przywódcą tych resztek ludzkości i on je doprowadzi do góry Ararat, góry symbolicznej, oznaczającej nowe wyjście człowieka z katastrofy nowego potopu. Nowy Noe założy podstawy nowego życia, jak to uczynił Noe dawny.

W powieści istnieją silne tony biblijne, prorocze. Jest uderzające, że nowym przewodnikiem ludzkości jest stary i mądry Żyd. Książka była pisana w czasach przedhitlerowskich. W Niemczech żyła wciąż tradycja Lessinga i Ulitza wyraźnie zwraca się w kierunku *Nathan der Weise*.

Nie jest dziwne, że powieść ta była wtedy bardzo pilnie czytana. I nie jest dziwne, że uległa pełnemu zapomnieniu. I to nie tylko z racji hitleryzmu, który z takimi książkami załatwiał się bezceremonialnie. Przypuszczam, że gdybym ją teraz przeczytał na nowo, uznałbym ją za bardzo naiwną i lichą napisaną. Wtedy jednak wydawała się proroczą. Wydawało się, że katastrofa jest tak zupełna, iż tylko jakaś wizja mesjanistyczna może dać jej jakiś sens i przebłysk nadziei. Pamiętamy, że katastrofa drugiej wojny światowej miała dopiero przyjść. Dopiero czasy późniejsze miały pokazać, czym naprawdę jest wojna nowoczesna. Ale ludzie, którzy przeszli pierwszą wojnę, nie byli jeszcze odpowiednio zahartowani i przygotowani do okropności które miały nadejść. Mieli poczucie katastrofy tylko swego czasu, swojej cywilizacji, swojego sposobu istnienia, szczególnie w krajach pokonanych. Literatura taka jak Ulitz, Spengler, Wipper, Bierdiajew miała swoje pełne uzasadnienie. Ale mogła trafiać i do krajów innych, tak zwanych zwycięskich.

Żyłem w kraju, który był „zwycięski”. Wojna światowa zrobiła go wolnym. Osiągnął zwycięstwo militarne w wojnie z Sowietami. Były to niewątpliwe sukcesy. Nie mogły one jednak zasłonić gorzkiej rzeczywistości. Literatura narodów pobitych mogła do nas przemawiać, jak przemawiał Barbusse, reprezen-

tujący świat „zwycięzców”. Dopiero później można się było przekonać, jak iluzoryczne było owo zwycięstwo. Ale i wtedy byli już ludzie, którzy rzeczywistość widzieli prawdziwie.

W tym też czasie przeczytałem pewną rozprawę, która odąd stała się moją towarzyszką, i do której stale powracam. W pewnym sensie mam prawo mówić o kompleksie, jaki we mnie wytworzyła. Jest to Boecjusza „De consolatione philosophiae”.

II

Zanim jednak przejdę do Boecjusza i jego rozprawy, muszę zatrzymać się przy dwóch autorach, którzy w umyśle moim kojarzą się z „De consolatione philosophiae”. Skojarzenie to w pierwszej chwili może się wydać zaskakujące czy dziwaczne. Dla mnie jednak jest ono zupełnie oczywiste czy naturalne. Mam tu na myśli Zamiatina i Orwella.

Książka Zamiatina „My” jest pokwitowaniem czasów, które przyniosła ludzkości pierwsza wojna światowa i uzupełniła rewolucja bolszewicka. Orwella „Animal Farm” i „Nineteen Eighty-Four” są pokwitowaniem czasów, jakie zostawiła po sobie druga wojna światowa. Związek obu autorów ze sobą jest oczywisty. Orwell zresztą czytał „My” we wczesnym angielskim tłumaczeniu i sam podkreślał wpływ tej książki na jego pisarstwo.

Trudno powiedzieć, jaki gatunek literacki reprezentuje „My”. Czy jest to powieść? Czy długie opowiadanie? Czy jakaś literacka refleksja? Ale to jest bez znaczenia. Jest to w każdym razie rzecz wizjonerska, znakomita w swej nieubłaganej szczerości i prostocie.

W pewnym sensie jest ona uzupełnieniem powieści Ulitza, ale bez jej optymistycznego zakończenia. Rewolucja trwa nadal i nadal. Duża część świata jest w ruinie. Zachowała się jedynie oaza życia zorganizowanego, oaza od reszty gruntownie izolowana. Izolowana fizycznie (murem, który jest jakby przeczuciem muru berlińskiego), społecznie, cywilizacyjnie, politycznie. Albowiem jest nowe społeczeństwo, wytworzone przez zwycięską rewolucję, społeczeństwo pod każdym względem doskonałe. Ale czy naprawdę pod każdym względem? I czy ta doskonałość nie jest absolutną niedoskonałością?

Jest to społeczeństwo skonstruowane organicznie, tworzące jednolity organizm zbiorowy, podporządkowujący całości bez reszty każdą jednostkę ludzką. Jest to absolutny kolektyw, jednolity, zdyscyplinowany, nie znający i nie uznający odchyleń. O wszystkim i o każdym decyduje wola całości, uosobiona w Dobroczyńcy-wodzu i jego najbliższych współpracownikach. To

kierownictwo jest tajemnicze, dalekie, wszechwiedzące i wszechpotężne. Ono decyduje o losach, o życiu, o szczegółach życia każdego członka zespołu organicznego, ono decyduje o tym, czym jest każda komórka ludzka, co robi, co myśli, co i jak czuje. W rzeczywistości jednostka przestaje być jednostką. Staje się robotem, mrówką, żyjącą dla mrowiska i w nim całkowicie zamkniętą.

Indywidualizm przestaje istnieć. Nie ma już „ja”. Jest tylko „my”. Nie ma nazwisk, odróżniających jednego od drugiego, są numery, pozwalające każdą ludzką mrówkę traktować jako jednostkę statystyczną, wypraną ze wszelkiej osobowości. W obrębie tego zagubienia się w świecie „my”, w tym anonimowym mrowisku toczą się uregulowane, wyznaczone z góry szczegóły życia codziennego każdego z „my”. Włączając w to oczywiście jego czy jej życie seksualne.

W rzeczywistości można by zakwestionować, czy „my” jest właściwym określeniem tego zbiorowiska i każdej z jego żywych komórek. Na pewno żadna z tych komórek nie jest „ja”. Pojęcie to jest w ogóle odrzucone, nazwa wygnana z mowy potocznej. Ale czy „my” nie jest tu jeszcze zbyt indywidualne, zbyt personalne nawet w odniesieniu do tak zautomatyzowanego zespołu ludzkiego? Czy nie byłoby bardziej właściwe mówić tu „oni”? To byłoby jeszcze bardziej bezosobowe niż „my”. Zamiatin o tym nie mówi. Ale taki wniosek wypływa z jego straszliwej wizji.

Książka Zamiatina była refleksją Rosjanina nad rewolucją, która miała miejsce w jego własnej ojczyźnie. Rewolucja ta rzucała cień na resztę świata i miała być zapowiedzią czy awangardą rewolucji światowej. Odbywała się pod znakiem klasy, pod znakiem kolektywu i szukała nowej ludzkości, służącej ideałom kolektywu i zbudowanej na zasadzie supremacji kolektywu. Miała to być organizacja doskonała i w całej pełni rozumna. Miało to zarazem przynieść wyzwolenie jednostki. Albowiem dialektycznie rozumiana pełna wolność oznaczała pełne zniewolenie, całkowite przekształcenie się „ja” w „my”. Zamiatin, patrząc na rewolucję, widząc początki wyłaniającego się z niej systemu, nie wątpił, że dalszy rozwój wydarzeń tylko w takim kierunku będzie mógł postępować i że tylko do takich wyników doprowadzi.

Książka ta była pisana w stosunkowo wczesnym okresie tworzenia się systemu sowieckiego. Było to przed szczytem epoki Stalina. Ale dla Zamiatina cały rozwój wypadków mógł iść tylko w stałym kierunku pochłaniania „ja” przez „my”, albo — stosując moją własną poprawkę — przez bezosobowe „oni”. Jednostka musiała przestać być jednostką, aby się stać anonimową drobiną w organicznym zespole.

Możemy śmiało powiedzieć, że w rzeczywistości oznaczało to atomizację jednostek, zanik w nich tych tradycyjnych powiązań, z których wyrastało oblicze każdego z nas, które warunkowały i umożliwiały rozwój naszych osobowości. Świat „my” przez to samo że jest tak organicznie stopiony, oznacza zanik żywych powiązań międzyludzkich, oznacza stan powszechnej alienacji każdego z uczestników tego świata. I tu jest bodaj najgłębsza myśl Zamiatina.

Dostrzegł on bowiem bardzo wyraźnie i bardzo wcześniej, że system, który głosi prymat zbiorowości nad jednostką, w rzeczywistości prowadzi do desocjalizacji jednostki, do jej atomizacji i do jej całkowitej alienacji. Że tak jest w dzisiejszym systemie sowieckim, o tym mówi współczesna literatura sowiecka i to nie tylko dysydencka. O tym mówią uwagi tak znakomitych obserwatorów życia sowieckiego, jak Hedrick Smith, autor świetnej książki „The Russians”, wysoce przenikliwej analizy zbiorowego życia narodów Związku Sowieckiego. Im jednostka bardziej staje się „my” czy „oni”, im jednostka bardziej zatracą poczucie swego „ja”, w tym większym stopniu przestaje czuć swe związki z całością, tym bardziej jest odizolowana od innych, tym dalej postępuje jej alienacja. Wieczna nieufność i wieczny strach są tego zasadniczymi symptomami w życiu codziennym każdego. I dlatego to tak przejmujący jest krzyk trwogi Sołżenicyna.

Orwell jest dalszym krokiem w tym kierunku. Jest to już bardziej rozwinięta analiza ustroju, w którym „ja” całkowicie zanika, zostaje się tylko „my” czy „oni”. Jest to ustrój powszechnego, usankcjonowanego, obowiązującego kłamstwa. Wszystko jest odwrócone do góry nogami. Co wczoraj było uważane za kłamstwo, dziś jest oczywistą prawdą. Dawna oczywista i bezsporna prawda jest teraz błędem, fałszem, nieprawością, złośliwym czy szkalującym kłamstwem. Nic nie jest tak, jak jest. Wszystko jest tak, jak ma być czy być powinno. Jednostka z entuzjazmem przyjmuje fikcję swego istnienia jako podmiotu historii. I działa tak, jak gdyby fikcja ta była absolutną prawdą. A olbrzymie zespoły biurokratyczne stale, systematycznie zajmują się przerabianiem pisanej historii, uzależniając to od takiej czy innej koniunktury politycznej. Wczorajszy „odwieczny wróg” staje się dziś „odwiecznym wiernym przyjacielem”. Jest to powszechne udawanie, powszechne oszukiwanie samego siebie i innych. Pod czujnym okiem „Wielkiego Brata” każdy kłamie i uznaje to za coś oczywistego, normalnego, nie mogącego budzić wątpliwości. Niech zresztą ktoś ośmieli się mieć wątpliwości! Kłamać jest cnotą, jest jedynie właściwym sposobem myślenia i działania. W rzeczywistości zatracą się poczucie różnicy między prawdą i kłamstwem. Słowa te tracą wszelki sens. Albowiem wszystko

jest kłamstwem i tylko kłamstwo jest uznawane. I uważane za prawdę.

Jest to kapitalne uzupełnienie i rozwinięcie straszliwej wizji Zamiatina. Obaj ci pisarze odczuli zgrozę tego co się dzieło w pewnych krajach, ale co mogło grozić całej ludzkości, każdemu z nas i naszym przyszłym pokoleniom. I obaj pisarze wydali rozpaczliwy krzyk przerażenia i ostrzeżenia. Do nich później dołączyli się i inni z wielkim Sołżenicynem na czele.

Zatrzymanie się przy Zamiatinie i Orwella jest mi niezbędne dla wyjaśnienia mego stosunku do Boecjusza i jego rozprawy. Myślę bowiem, że i on, gdyby żył, znalazłby wspólny język zarówno z autorem „My” jak z autorem „Animal Farm” i „Nineteen Eighty-Four”. Albowiem i on żył w epoce, w której wielkie wartości ludzkości były śmiertelnie zagrożone, w której „my” zaczynało panować nad „ja” i stan alienacji był powszechny. I on był tego w zupełności świadom. I był pełen głębokiego niepokoju.

III

Było coś wysoce pociągającego w tym Anicjuszu Manliuszu Torquacie Sewerinie, lepiej znanym pod nazwą Boethiusa. Albowiem był on człowiekiem o zdumiewająco wszechstronnych zainteresowaniach i rozległej skali działalności. Był wysokim dygnitarzem na dworze Teodoryka. Zajmował się praktyczną działalnością państwową, był czynnym politykiem. A jednocześnie był wybitnym intelektualistą, stale studiował, czytał i pisał. Tłumaczył na łacinę pisma Arystotelesa i Porfiriusza. Pisał do nich własne komentarze. Napisał szereg rozpraw z dziedziny logiki, która go szczególnie pasjonowała. Zajmował się matematyką i teorią muzyki. Jego prace logiczne w wiekach późniejszych były podstawą dla studiów nad Arystotelesem i były podstawą dla wskrzeszenia arystotelizmu w późnym Średniowieczu. Słowem, był to człowiek rozległej i wszechstronnej działalności.

Nie był myślicielem oryginalnym. Był eklektykiem, próbującym pogodzić Arystotelesa z Platonem i szczególnie z neoplatonikami, a ich wszystkich z chrześcijaństwem. Boecjusz był chrześcijaninem i był zarazem neoplatonikiem. Próbował dać syntezę chrześcijaństwa i neoplatonizmu. Nie był w tym oryginalny. W jego epoce takich prób syntetyzowania chrześcijaństwa i antycznej filozofii było więcej. A jeszcze więcej było ich w tysiąc lat po jego śmierci, gdy nastąpił rozkwit Odrodzenia. Boecjusz w jakiejś mierze przygotował teren dla Odrodzenia i jego rozkwitu.

We wszystkim tym jednak największe znaczenie miała jego rozprawa „De consolatione philosophiae”. Ona zachowała się w stopniu bez porównania większym niż inne jego pisma. Była wielokrotnie wydawana i tłumaczona na wszelkie języki. I nadal jest czytana, szczególnie przez studiujących filozofię. Wielu profesorów filozofii uważa ją za lekturę obowiązującą dla swych uczniów. I bardzo słusznie.

Albowiem „De consolatione philosophiae” zajmuje w dziejach myśli ludzkiej miejsce bardzo ważne. I jest lekturą wstrząsającą. Czytałem ją z obowiązku jako student filozofii i uczestnik seminarium prof. Tatarkiewicza. I od razu zrobiła na mnie potężne wrażenie. Tak potężne, że przez całe życie do niej wracałem.

Rzecz polega nie na oryginalności i głębi zawartych tam myśli. Boecjusz i tu jest eklektykiem, umysłem mało oryginalnym, trzymającym się tradycyjnych wzorów. Rzecz jest w klimacie tego dzieła, w zasadniczej postawie moralnej jego autora. I to czyni z „Consolatio” coś zupełnie wyjątkowego, głęboko wstrząsającego czytelnikiem.

Szczególnie czytelnikiem, który ma historyczne podstawy odczuwania, pokrewne Boecjuszowi. Autor „De consolatione” miał pełną świadomość końca epoki w której żył. Na najbliższą przyszłość patrzył wysoce pesymistycznie. Ten możny dygnitarz ostrogockiego króla nie miał złudzeń co do nowych władców Rzymu. Rozumiał, że wielka epoka *Imperium Romanum* się kończy, że wspaniały świat, który wydał Ateny i Rzym, jest w ruinie, z której już się nie podniesie. Postawa Boecjusza była głęboko pesymistyczna i tragicznie wizjonerska.

I z tego wypływała interesująca dwoistość jego działalności, zachowania się i odczuwania. Z jednej strony był uczestnikiem tego nowego, rodzącego się świata; odgrywał w nim poważną rolę — państwową, dworską, polityczną. A jednocześnie w świecie tym czuł się obco i w jakiejś postaci szukał od niego ucieczki. Była to zasadnicza ambiwalencja postaw i uczuć, była w tym zarówno pełna alienacja jak i chęć przynależenia, trwania w obcej rzeczywistości. Boecjusz był człowiekiem tragicznie samotnym. Żył wśród ludzi, z którymi duchowo miał bardzo mało wspólnego, którzy go nie rozumieli, dla których dalekie i obce było to, co dla niego było najważniejsze.

I stąd płynęła świadomość pełnego odosobnienia historycznego.

Rozprawa Boecjusza mówi o tym bardzo wyraźnie. To był człowiek tragicznie samotny, a jednocześnie czynnie zaangażowany w świecie, z którym go tak mało łączyło.

W tym świecie brał jednak udział bardzo aktywny. Dlaczego? Czy kierowały nim względy życiowe, ambicje, chęć robienia ka-

riery? Czy można na to odpowiedzieć? Człowiek jest istotą tak złożoną, tak pełną sprzeczności. Jest jednak wysoce prawdopodobne, że Boecjusz przez swoją działalność państwową chciał zachować coś z tych wartości, w które tak wierzył, że chciał je jakoś utrwalić z myślą o przyszłości.

Tu jest rzecz najważniejsza. Jego rozprawa jest wyrazem eskapizmu, ucieczki, schowania się w sobie samym, znalezienia dla siebie jakichś własnych, całkowicie własnych treści. To była ucieczka do umierającego antyku, ucieczka do filozofii antycznej. Boecjusz żył w świecie Arystotelesa, Platona, neoplatoników i stoików. Zenon wywarł na niego znaczny wpływ. I nic w tym dziwnego: ascetyzm stoicki był bliski wielkiemu samotnikowi.

Ale to była tylko jedna strona samotności Boecjusza. Drugą było poczucie misji wobec przyszłości. Boecjusz wierzył, że ma przed sobą jakieś doniosłe zadanie, że jest powołany do spełnienia jakiejś wielkiej misji. Wielkiej? W jakim sensie? Wielkość jej będzie polegała na przekazaniu potomnym zasadniczego zrębu myśli antycznej. W tym Boecjusz widział swe zadanie. Nie miał ambicji w kierunku oryginalności. Chciał być po prostu popularyzatorem, zwykłym pośrednikiem pomiędzy tym co wielkie a prostym czytelnikiem, odbiorcą, może niezbyt okrzesanym, ale mogącym znaleźć drogę do wielkości. Zadanie mało ambitne, ale jakże ważne!

W filozofii szukał dla siebie pociechy. Pociechy i ucieczki przed rzeczywistością, która go niepokoiła i napełniała jego serce obawami o przyszłość. Ale jednocześnie wierzył, że najgorsza przyszłość kiedyś musi się skończyć, że po złej nocy przyjdzie pogodniejsze rano. Boecjusz przeczuwał nadejście innych czasów. I tym czasom chciał coś od siebie zostawić. Ze na te czasy trzeba było czekać bez mała tysiąc lat, tego oczywiście przewidzieć nie mógł.

Zresztą te inne czasy nie przyszły nieoczekiwanie. Wiemy, że Odrodzenie w rzeczywistości zaczęło się wcześniej, już w wiekach przez podręczniki szkolne określanym jako Sredniowiecze. W rzeczywistości przez całe Sredniowiecze Boecjusz był czytany, nieraz bardzo pilnie. I w ten sposób spełniało się to, co sobie założył jako cel życia. Stał się pomostem między wielką myślą antyku i nową epoką Odrodzenia.

IV

Poczucie katastrofizmu historycznego, poczucie, że epoka w której się żyje jest pod znakiem załamania i upadku, że kończy się jeden okres w dziejach i zaczyna drugi, niepokojący czy groźny,

było właściwe nie tylko czasom Boecjusza i czasom, w których żyje ja i moi współcześni. W wieku XIX, w czasach zdawałoby się pełnej stabilizacji, pełnej równowagi stosunków życiowych, Dostojewski miał straszną wizję czasów mających nadejść, czasów panowania Biesa nad człowiekiem. I Dostojewski nie był wyjątkiem. Wizja „Griaduszczo chama” była oczywiście szczególnie powszechna w ówczesnej Rosji. W jakimś stopniu miał ją już nawet Gogol. Jasno to wynikało z zakończenia pierwszego tomu „Martwych dusz”. Ale była ona i na Zachodzie. We Francji katastrofa wojny roku 1871 stworzyła wizję Zoli, pełną pesymizmu i niepokoju.

A w wiekach poprzednich? Wizja utraconego raju, wizja złotego wieku Saturna, po którym przyszedł wiek srebrny, a ten jest zapowiedzią mającego przyjść wieku żelaznego — zawsze towarzyszyła człowiekowi, nawet w jego okresach zadowolenia z rzeczywistości. Okresów tych było zresztą mało i z reguły zadowolenie z nich ograniczało się do pewnej tylko części ludzkości. Pesymizm w odniesieniu do przyszłości był nieodłącznym towarzyszem człowieka w wędrówce przez dzieje. Niekiedy panowały ideologie, które nakazywały mu patrzeć w przyszłość jak najbardziej optymistycznie. Tak jest dziś w krajach rządzonych przez komunizm. Czy jednak ten oficjalny optymizm uwalnia człowieka od trwogi przed przyszłością? To jest arcywątliwe. Nie przypuszczam, żeby Pasternak i Sołżenicyn byli zjawiskami odosobnionymi w swym poczuciu apokaliptycznej trwogi przed tym, co ma przyjść.

Tragiczny sens istnienia, tragiczny sens historii nie od dziś jest towarzyszem człowieka w jego wędrówce dziejowej. Mówiła o tym tęsknota za utraconym rajem, mówiło poszukiwanie w takiej czy innej formie Graala, mówiły utopie wszelkiego rodzaju. Mit Atlantydy jest innym przykładem takiej postawy i takich poszukiwań.

Ale każdy z nas odczuwa epokę, w której żyje, jako swoją, jako własną, jako jedyną. Tak ją odczuwał Boecjusz, tak i ja ją odczuwam i inni ludzie czasów jego i moich. On szukał ucieczki od rzeczywistości, która budziła w nim trwogę i której przyszłość oceniał tak pesymistycznie; ja mam podobne odczucia w stosunku do siebie i moich czasów.

Nie od dziś odczuwam alienację w stosunku do epoki, w której wypadło mi żyć. Nie oznacza to, by wytworzyła się we mnie jakaś obojętność, jakaś pogarda wobec ludzi i rzeczy, stanowiących treść moich czasów. Tego w stopniu najmniejszym nie ma. Sprawy moich czasów pochłaniały mnie przez całe moje długie życie. W jakiejś mierze, w granicach mych arcyskromnych

możliwości, starałem się w nich uczestniczyć. Boecjusz w sprawach swoich czasów uczestniczył na nieskończenie większą skalę. Ale ja — podobnie jak on — miałem wyraźny lęk przed tym, co się dokoła mnie dzieje i w stopniu jeszcze większym lęk przed tym, co ma dopiero nadejść.

Jest rzeczą możliwą, iż ten mój „kompleks Boecjusza” miał wpływ na wytworzenie się we mnie pasji do pracy popularyzatorskiej. Popularyzacja naukowa jest ważną formą pracy wychowawczej. Jej zadaniem jest zachowanie ciągłości pokoleń, przekazywanie nowemu pokoleniu doświadczenia i bogactwa pokoleń dawnych. Z im większym niepokojem myśli się o losach tego nowego pokolenia, tym bardziej chciałoby się dać mu jakąś podstawę duchową w postaci paucizny po pokoleniach minionych. Tak na swoją działalność filozoficzną patrzył Boecjusz.

Nigdzie nie mamy dowodu, by uważał się za umysłowość twórczą, prawdziwie oryginalną. Jego ambicje były dość skromne. Chciał przekazać coś ze skarbnicy myśli antycznej nowym pokoleniom, o które tak się lękał.

O Boecjuszu nieraz myślałem w czasach, kiedy z całą pasją oddawałem się pracy oświatowej i popularyzatorskiej. Praca ta dawała mi dużo przyjemności i poczucie robienia czegoś bardzo ważnego, obliczonego na złą przyszłość. Wiele lat byłem związany z miesięcznikiem popularno-naukowym *Wiedza i Życie*, który był wydawnictwem znakomitym, skupiającym dokoła siebie ludzi powołanych, utalentowanych i gorąco oddanych idei popularyzatorstwa. Mieliśmy zespół dobrych, oddanych czytelników, ludzi dla których wartości kulturalne były czymś naprawdę ważnym.

Miałem silnie rozwinięte poczucie, że dajemy tym ludziom coś, co powinno być przekazane, zachowane i rozwijane. Nie chodziło tu w żadnym razie o jakieś gotowe, zachowane i rozwijane. Nie chodziło o rozbudzanie umysłów, o krytyczny stosunek do rzeczywistości, o zachowanie największych wartości naszej cywilizacji. Nie miałem wielkich złudzeń co do przyszłości. I takich złudzeń nie mieli moi przyjaciele z pracy oświatowej. Wiedzieliśmy, że idą złe czasy dla całego naszego dorobku duchowego. Nie wiedzieliśmy jednak, że będą to czasy aż tak złe.

Groza drugiej wojny światowej i okupacji swym apokaliptycznym ogromem przekroczyła nasze najgorsze przewidywania. Z przyjaciół mych, którzy razem ze mną patrzyli na swoją pracę w duchu Boecjusza, wielu wojny nie przeżyło. Nie jeden poniósł w jej czasie śmierć męczeńską. Ze smutkiem, ze wzruszeniem, z serdecznością myślę o nich, przywołując duchy ich do siebie. Boecjusz przynajmniej uniknął tak straszliwych doświadczeń i tak straszliwej śmierci.

Dziś, kiedy doszedłem do głębokiej starości, znów stale wracam

do Boecjusza. Przed laty mój „kompleks” znajdował dla siebie jakieś ujęcie czy rozwiązanie w działalności oświatowej i popularyzatorskiej. Dziś jestem całkowicie na marginesie życia i ujęcia takiego już nie mam. I stąd sprawa Boecjusza dla mnie osobiście staje się tak szczególnie ciężka. Nie mogę nawet łudzić się jakimś działaniem. A do tego jest to połączone z wizją przyszłości bodaj jeszcze bardziej ponurą niż przed laty czterdziestu.

V

W swej działalności popularyzatorskiej Boecjusz szczególnie zajmował się logiką. Starał się w ujęciu możliwie prostym przedstawić poglądy wielkiego mistrza — Arystotelesa. Przede wszystkim syllogistyka wysoce Boecjusza interesowała. W dorobku swym zostawił kilka traktatów na tematy logiki arystotelesowskiej. Traktaty te odegrały dużą rolę historyczną. Przez blisko tysiąc lat służyły one za źródło wiedzy logicznej, za podstawę, na której opierali się wielcy myśliciele Średniowiecza. A i Odrodzenie sięgało chętnie do rozpraw Boecjusza.

Boecjusz zdawał sobie sprawę z faktu arcyzasadniczego: droga do poznania, droga do prawdy prowadzi przez racjonalne myślenie, w czym głównym narzędziem jest kunszt używania syllogizmów. Miał też przecucie, że w czasach które nadchodzą, kunszt ten ulegnie pogardzie i zapomnieniu. Przynajmniej jeżeli chodzi o ogół rodzaju ludzkiego. Barbarzyńcom — napatrzył im się z bliska na dworze Teodoryka — subtelności myślowe są obce i sami myśleniem się nie kierują. Ale nawet w mroku tych złych czasów mogą znaleźć się ludzie, dla których myślenie jest ważne i tak potrzebne jak powietrze.

Okres między obu wojnami światowymi rozbrzmiewał koncepcjami antyintelektualnymi, odrzucającymi supremację rozumu, głoszącymi prymat irracjonalnego. Sięgano tu do Schopenhauera, do Nietzschego, sięgano oczywiście i do Bergsona. W niektórych wypadkach bardziej do Bergsona niż do innych myślicieli. Pojęcie intuicji, ograniczenia myślenia dyskursywnego, rola bezpośredniego doświadczenia — wszystko to silnie przemawiało do wyobraźni młodej generacji pierwszych dwóch czy trzech dziesięcioleci wieku dwudziestego. Ze wyciągano stąd wnioski, do których Bergson sam nie dochodził i które były sprzeczne z całą jego koncepcją, jest zupełnie inną sprawą. Wyznawcy Schopenhauera i Nietzschego też dość bezceremonialnie obchodzili się ze swymi mistrzami i z nauk ich wyciągali wnioski raczej dowolne.

Była to niewątpliwa reakcja na naiwny racjonalizm poprzed-

niej epoki. Taką samą reakcją był zresztą i pragmatyzm. Ostatnim bodaj epigonem tego racjonalizmu był chyba Lord Bertrand Russell. Uproszczenia, które robił, rzeczywiście mogły niejednego irytować. Przyznam się, że i mnie one często drażniły.

Faktyczny stan rzeczy, jaki powstawał w wyniku pierwszej wojny światowej, był wyzwaniem rzuconym racjonalizmowi poprzedniej epoki. We wszelkich dziedzinach. W polityce Woodrow Wilson starał się nadać światu jakąś postać racjonalną. Starania te przyniosły Prezydentowi katastrofę osobistą, i wyniki ich są nam wszystkim dobrze wiadome. *New brave world* — wojna, która miała położyć kres wszelkim wojnom — o rzeczach tych myśli się dziś z uczuciem bolesnej goryczy.

Przyszło odrodzenie wszelkiego rodzaju filozofii irracjonalizmu. Źródła dla nich szukano u filozofów, o których przed chwilą była mowa. Ale szukano ich i u Sorela, u pragmatystów, nawet u Proudhona, wszędzie tam, gdzie koncepcja czynu, działania wysuwała się na miejsce pierwsze, podporządkowując sobie myślenie. Do głosu dochodziły ideologie Czynu przez duże C.

Francja była bodaj pierwszą pepiniarą tej filozofii. Ojczyzna Descartes'a, ojczyzna racjonalistów i encyklopedystów wieku XVIII, Francja na przełomie wieków XIX i XX stała się także ojczyzną Maurras'a, była także ojczyzną *Action Française* i *Camelots du Roi*. Oczywiście Barrès i Maurras byli intelektualistami bardzo wysokiej klasy. Ale też tylko intelektualści bardzo wysokiej klasy mogą dojść do konkluzji, idealizujących czyn i podporządkowujących mu myślenie. Filozofia anty-myślenia i antynauki jest wciąż filozofią...

Uczniowie tych intelektualistów i uczniowie ich uczniów niekoniecznie muszą się wykazywać wysokimi walorami intelektualnymi. Zresztą do takich walorów najczęściej odnoszą się pogardliwie i wrogo. Niektórzy odbezpieczają rewolwer, gdy słyszą słowo „kultura”. W rzeczywistości ich irracjonalizm i ideologia czynu sprowadzają się do zwykłego barbarzyństwa czy do gloryfikowanego chamstwa. W praktyce barbarzyństwo to czy chamstwo bywają znacznie gorsze niż to czego obawiał się Boecjusz.

Przyszły czas filozofii czynu. Był to w rzeczywistości jak najbardziej wulgarny pragmatyzm, sprowadzony do poziomu burdy ulicznej. Ze burda ta doprowadziła do katastrofy dla całej ludzkości, jest inną sprawą. Jeszcze faszyzm włoski, który po *Action Française* wysunął hasła czynu narodowego i gardził intelektem, miał swe wyraźne korzenie intelektualne. Mussolini prymitywem nie był. Ale niemiecki narodowy-socjalizm filozofię czynu i pogardę dla intelektu doprowadził do ostatecznych granic. Burda uliczna, rynsztokowy *Uebereich* i aryjskość doprowa-

dziły do Dachau i Oświęcimia jako symbolów ostatecznej deprawacji człowieka. Kończącą tego konsekwencją był dla hitlerystów *Götterdämmerung* roku 1945. Z niewiele odmiennego gatunku deprawacji intelektualnej wyrastał Archipelag Gułagu, który przetrwał swój hitlerowski odpowiednik i faktycznie zachował się po dzień dzisiejszy.

Nigdy nie uważałem się i nie uważam za racjonalistę wieku XVIII. Zachowałem wielki kult dla Kartezjusza, nie mam szacunku dla Encyklopedystów i nie traktuję poważnie Voltaire'a. Jak już przed chwilą zaznaczałem, Bertrand Russell jest dla mnie postacią wysoce irytującą. W swych pracach socjologicznych stale podnosiłem rolę i znaczenie czynników irracjonalnych w naszych działaniach zbiorowych. Mistrzem moim był Wilfredo Pareto, który nauczył mnie oceniać rolę momentów irracjonalnych w życiu ludzkim i ich wpływ — często decydujący — na postawy „racjonalne”. Dokładniej — chodzi tu o postawy pseudoracjonalne.

Ale filozofia „czynu” z okresu międzywojennego była mi zawsze obca i stale odnosiłem się do niej krytycznie. Powołując się na Chestertona powiedziałbym, że atakowanie rozumu jest złą teologią. Jednym z wielkich moich mistrzów był także Kartezjusz. „Clara ac distingua idea” była dla mnie ważnym drogowskazem. Nie tyle w sensie epistemologicznym, ile w sensie dydaktycznym. Nie mam zaufania do idei mętnych i sformułowanych bez liczenia się z mądrością starego Arystotelesa.

Faszystowska filozofia czynu zbankrutowała na tle wydarzeń lat 1939-1945. Ale czy aby na pewno *zupełnie* zbankrutowała? Niedopałki jej wciąż się tlą w postaci różnych filozofii partyzanckich, terrorystycznych, „wyzwoleńczych”. Przy całej swej „lewicowej” frazeologii i zachwycie dla marksizmu, grupki i grupy wyraźnie mi się kojarzą z faszyzmem i w szczególności z hitleryzmem. Zresztą niektóre z nich uczciwie nawiązują do Hitlera, przynajmniej w pewnych jego aspektach. Ich antysemityzm — jest on wspólny prawie dla wszystkich — swe treści ideologiczne czerpie wyraźnie z hitleryzmu. A i filozofia czynu, irracjonalizm czy antyracjonalizm są dominantą w ich mizernym myśleniu. Są to niedopałki. Ale niejeden wielki pożar był następstwem niedogaszonych niedopałków.

Faktycznie w kierunku filozofii czynu i irracjonalizmu poszła filozofia komunizmu, w swych założeniach tak wybitnie racjonalistyczna. Komunizm — sowiecki czy wszelki inny — wyszedł z marksizmu, który uważał się za system *naukowego* socjalizmu. Marks był racjonalistą, starającym się ująć w kategoriach rozumu całą rzeczywistość tworzoną przez człowieka. Myślenie Marksa było ukształtowane przez Hegla, było racjonalistyczne, starające się

ująć procesy społeczne w ramy logiki. Dialektyka była kluczem dla zrozumienia historii.

Następcy i uczniowie Marksa starali się wyeliminować momenty irracjonalne z obrazu rzeczywistości i szczególnie ze sposobów jej pojmowania. Dla większości z nich „irracjonalne” było w ogóle nieporozumieniem, przesądem, przeżytkiem, było czymś co przez naukę powinno być ignorowane albo sprowadzane do kategorii logicznych. Dialektyka materialistyczna, materialistyczne pojmowanie dziejów nie zostawiało miejsca na nieracjonalne, alogiczne widzenie życia historycznego człowieka. Najdalej w tym kierunku poszli komentatorzy Marksa ze szkoły Lenina. Całe widzenie historii było tu ujęte w ramy zdecydowanej konstrukcji racjonalnej. Kultura, religia, sztuka, nauka — wszystko to tworzyło nadbudowę, wyznaczoną przez bazę materialną i tylko przez nią dającą się wytłumaczyć.

W praktyce jednak cały ten racjonalistyczny system stawał się martwą choć stale obowiązującą formułą, wypraną z żywych treści. Zarazem na czoło wysuwały się momenty, w coraz większym stopniu przypominające filozofię faszyzmu.

„Kult jednostki” nie mieścił się i nie mógł się zmieścić w ramach tradycyjnego marksizmu. I sprowadzanie go do indywidualnego wybryku pojedynczego człowieka wzbudziłoby zdumienie w samym Marksie. Na taką interpretację nigdy by się on nie zgodził. „Kult jednostki”, kult Stalina, Mao Tse-tunga, Breżniewa, Tito czy masy innych — to była koncepcja roli bohaterów w dziejach, to był zbastardyzowany Carlyle. Ale w żadnym razie nie Marks. A przecież na „kulcie jednostki” przez długie lata opierał się cały system komunistyczny i — może tylko w nieco bardziej zmodernizowanej formie — nadal się opiera. Racjonalnego w tym na pewno jest niewiele. Jest to *kult*, jest to *religijna* postać stosunku masy ludzkiej do jednego człowieka. Cały system jest przepełniony elementami irracjonalnymi. Przede wszystkim odzuca on postulat krytyki w stosunku do siebie. Jako jedynie „naukowy”, jest on jedynie prawdziwy i dlatego krytykowanie go w jakiegokolwiek bądź postaci jest zbrodnią przeciwko prawdzie. Niczym się to nie różni od koncepcji, jaka kalifowi arabskiemu kazała spalić Bibliotekę Aleksandryjską.

Rzeczywisty racjonalizm zakłada swobodę myślenia. Czyli zakłada regułę krytyki, a więc prawo do krytykowania wszystkiego. *De omnibus dubitandum esse* jest kamieniem węgielnym racjonalizmu i logicznego myślenia.

System sowiecki przeobrażający się w monstrualną maszynę państwową i militarno-policyjną, prześladowający dysydentów, wysyłający krytykujących go do więzień, wyganiający ich za granicę

— system ten wywodzi się z tych samych alogicznych założeń, z których wychodziły wszelkie systemy faszystowskie. Czym racjonalizm hitleryzmu ma się różnić od racjonalizmu komunizmu — jest dla mnie zagadką. I jeden i drugi nie mają nic wspólnego z myślą krytyczną, badawczą i prawdziwie racjonalną.

Logika Arystotelesa była atakowana w okresie między dwiema wojnami. I nadal jest atakowana. Jest i była atakowana przez barbarzyństwo, obojętne w jaki kolor się ubierające. I stąd Boecjusz jest nadal aktualny, a dzieła jego nadal potrzebne. I dlatego „kompleks Boecjusza” jest nadal we mnie żywy i — w takiej czy innej formie zewnętrznej — wśród bardzo wielu moich współczesnych. Nasze największe wartości: prawo do swobodnego myślenia, reguła *de omnibus dubitandum esse*, cały wielki spadek po Arystotelesie, całe to kolosalne bogactwo, jakie — mimo że stale pustoszone — jednak przetrwało przez tysiąclecia — wszystko to dziś jest znów zagrożone przez bezczelne barbarzyństwo.

VI

Boecjusz pisał dla przyszłości. Wierzył, że coś z tego co pisze zachowa się i będzie wydobyte na światło dzienne. Gdy fala barbarzyństwa opadnie.

Pisał ręcznie, na papirusach. Co pisał, było przepisywane przez jego skrybów. A co się z ich pisanie zostało, było przepisywane przez innych i innych. Pisma Boecjusza zachowały się po klasztorach, były przez mnichów mniej lub więcej starannie kopiowane. I jakoś trwały i jakoś przetrwały.

A przecież dobrze wiemy, że z wielkiego dorobku przeszłości zachowała się stosunkowo drobna część. Kolosalna ilość dorobku rękopiśmiennego antyku i średniowiecza, dorobku artystycznego, jest dla nas na zawsze stracona.

Płomień rozgryzie malowane dzieje,

Skarby mieczowi spustoszą złodzieje,

Pieśń ujdzie cało...

Ale czy ujdzie? Dobrze wiemy, jak często nie uchodziła. Albowiem żeby przetrwać, musi być jakoś fizycznie zabezpieczona. W postaci trwałego zapisu, w postaci trwałego materiału, na którym słowo pisane zostało utrwalone. Hieroglify egipskie ryte na kamieniu czy malowane na ścianach przetrwały nie najgorzej. Ale już z papirusami egipskimi czy późniejszymi greckimi jest znacznie gorzej. Ileż z nich zaginęło bezpowrotnie!

I nie często zdarzają się takie zdumiewające odkrycia, jak

Zwoje z Martwego Morza. Użyto do nich bardzo trwałego materiału, a i tak nie wszystko daje się odczytać. Wielki i „mieczowi złodzieje” są wrogami naszej wielkiej przeszłości.

Przyszły czasy druku. Zaczęły powstawać wielkie biblioteki, starające się utrwalić dla potomności wielkie słowa przodków. I powstały wielkie, wspaniałe muzea, starające się robić to samo w odniesieniu do skarbów sztuki czy techniki.

Zbiory te jednak nie są i być nie mogą zabezpieczone przed „mieczowymi złodziejami”. Ile wspaniałych kolekcji uległo zagładzie w czasie ostatniej wojny, tego nikt dokładnie określić nie potrafi.

Ale nawet bez wojen, bez katastrof i „mieczowych złodziei” szanse przechowania i zachowania naszego dorobku są dziś mniejsze niż za czasów Boecjusza. Przyczyną tego jest nietrwałość materiału, który się złożył na naszą książkę. Technologia nowoczesna spopularyzowała książkę, robiąc ją dostępną dla każdego. Ale jednocześnie zabiła trwałość tej książki, do minimum redukując szanse jej przetrwania. To nie jest tablica kamienna, ani papyrus, ani pergamin, ani nawet papier bezdrzewny — materiały trwałe, zachowujące się na bardzo długo. Dawna książka drukowana, od inkunabułów poczynając, zachowuje się całkiem dobrze. Była bardzo droga, dostępna tylko dla ludzi zamożnych, ukazywała się w małych nakładach. Była jednak trwała.

W czasach nowożytnych przyszła nowa książka i w ogóle nowa postać słowa drukowanego. Rodzicami jej byli współczesna demokracja i współczesna technologia. Demokracja wymagała udziału w życiu publicznym jak największej ilości obywateli. Wymagała zarazem, żeby obywatele ci byli świadomi funkcji i zadań życia publicznego, aby byli do nich jakoś przygotowani. Powinni byli mieć jakieś wykształcenie szkolne i powinni byli umieć posługiwać się słowem drukowanym. W rzeczywistości wszystko to zaczęło się wcześniej niż sukces — zresztą bardzo wątpliwy — demokracji współczesnej. W krajach uprzemysławiających się szybko zauważono, że analfabeta nie jest dobrym pracownikiem. I to miało dalsze następstwa. Wojnę roku 1870 wygrał dla Niemiec nauczyciel ludowy. Tak wtedy mówiono i zapewne było to prawdą. W każdym razie baza czytelnicza wybitnie się rozszerzała. Książka nie mogła być przedmiotem zbytku dla nielicznych. Musiała być masowa — czyli tania.

Aby jednak książka stała się tania, wygląd jej musiał gruntownie się zmienić. O tym zadecydowała technologia współczesna, która stworzyła książkę tanią, a także gazetę, jeszcze tańszą. Ale jedno i drugie bardzo nietrwałe.

Przed wszystkim skończyły się czasy drogiego papieru, bez-

drzewnego, robionego ze szmat. Papier taki został zarezerwowany dla wydań specjalnych, luksusowych, obliczonych na bogatych amatorów. Jako przedmiot masowego obrotu, książka dostała papier drzewny, o wysokim procencie zawartości wodnej, tani ale jakże nietrwały. W pewnych okresach, zwłaszcza zaraz po pierwszej wojnie światowej, w Niemczech, w Sowietach i nawet we Francji do książek był używany papier bardzo nietrwały, szybko żółknący i kruszący się. Książki z tego okresu są dziś w stanie rozpaczliwym. Wielkie biblioteki robią z nich mikrofilmy, żeby jakoś je utrwalić. Dodajmy, że mikrofilmowanie *wszelkich* książek, które chce się zachować, jest dziś powszechne. Niestety i współczesna taśma mikrofilmowa nie jest bardzo trwała. Wszelkie dane przemawiają za tym, że za jakieś sto lat cała masa książek w ogóle zniknie ze zbiorów bibliotecznych. Po prostu rozsypią się w proch.

Technologia drukarstwa umożliwiła powstanie taniej książki, obliczonej na masową konsumpcję. Dawny wytwórny skład ręczny zastąpiony został przez skład linotypowy. A ten jest dziś wypierany przez technikę fotograficzną, offsetową czy pokrewną. Zły i nietrwały papier ma swe uzupełnienie w tanim i brzydkim składzie.

Boecjusz mógł wierzyć, że coś z jego pisaniny przetrwa. „Za panowania panteizmu druku” my tej pewności nie mamy. Przeciwnie, możemy być pewni że kolosalna większość naszego dorobku drukowanego zginie bez śladu, nie będzie znana przyszłym pokoleniom. Zachowa się znikoma ilość rzeczy wybranych, specjalnie drukowanych, specjalnie zabezpieczonych przez użycie drogiego, luksusowego papieru. Czy wśród tych uratowanych książek będą najważniejsze pozycje twórcze naszych czasów, nie jest rzeczą pewną. Mogą tam doskonale znaleźć się owoce snobizmu bogatych grafomanów.

Nad Boecjuszem unosił się cień nadchodzących czasów zwycięskiego barbarzyństwa. Barbarzyństwo które nam grozi może być — i na pewno będzie — znakomicie wyposażone w największe zdobycze naszej technologii. Niekoniecznie nawet będzie przychodziło z zewnątrz. Może wyjść z nas samych, z naszej cywilizacji, z naszej technologii. Będzie to barbarzyństwo zmotoryzowane, zelektronizowane, nuklearne. Wobec niego hordy germańskie czy mongolskie wyglądały rozbijając idyllicznie. Hordy te nic nie wiedziały o bombie atomowej.

Płomień rozgryzie malowane dzieje...

Każda wojna jest zniszczeniem. Każda wojna jest katastrofą dla wartości kultury. W Bibliotece Aleksandryjskiej zginęły niezwyczajne skarby. Ale coś się zachowało poza nią, coś się uratowało

z pożogi wojennej, przez niedbalstwo barbarzyńców, którzy nie dopatrzili żeby zniszczenie było kompletne. Ideologia planowego zniszczenia nie była wtedy jeszcze znana. Co zostanie po wojnie nuklearnej? Wiemy co się zostało z Hiroszimy i Nagasaki. A przecież wobec nowych i najnowszych bomb nuklearnych tamte były bardzo skromne...

Nad Boecjuszami naszych czasów i nad całą dzisiejszą ludzkością ciąży widmo wojny atomowej. A w parze z tym idzie obłęd ideologicznego niszczenia.

Nie jestem przekonany, że trzecia wojna światowa rozpocznie się jako wojna nuklearna. Według wielu danych, będzie ona prowadzona przy pomocy tzw. środków konwencjonalnych. Ale jak się zakończy? Trudno sobie wyobrazić, by strona przegrywająca w rozprawie konwencjonalnej nie użyła jako ostatecznego argumentu broni nuklearnej, jeżeli będzie ją posiadała. A w wielkiej rozprawie międzynarodowej będą walczyły narody znakomicie wyposażone w najbardziej przemyślną broń nuklearną.

Jeżeli po takiej wojnie zachowają się jeszcze jakieś formy zbiorowego życia ludzkiego, to niewiele tam zaiste będzie miejsca na wielki spadek duchowy przeszłości. I co z tego spadku zostanie w jego czysto fizycznej postaci? Co z tego spadku zostało w świecie „My” Zamiatina? A poatomowa przyszłość może być okropniejsza od wizji Ulitza, Zamiatina czy Orwella.

Takie myśli stale do mnie wracają, gdy myślę o Boecjusz i jego dzisiejszej misji. On mógł wierzyć, że „późny wnuk” go oceni, że w „De consolatione philosophiae” i w innych pismach znajdzie dla siebie jakieś oparcie, jakiś przewodnik, jakiś punkt zaczepienia. Dzisiejsi Boecjusze takiej nadziei nie mają. Ale trwać muszą. Ale wierzyć muszą.

Przy całym moim pesymizmie staram się i ja wierzyć, że szaleństwo człowieka musi mieć jakiś kres, że w człowieku istnieje jakiś instynkt samozachowawczy, który go ostrzeże i zatrzyma. Choć nie zatrzymał go ani w roku 1914 ani w roku 1939.

Największe szaleństwa ludzie popełniali w imię wiary w lepszą przyszłość, w przekonaniu, że taką przyszłość tworzą. Dla siebie i dla innych. Mam potężny lęk przed ideologiami wyzwolenicznymi, wzywającymi do walki w imię doskonałej przyszłości. Nie kwestionuję najlepszych intencji ludzi, którzy takie ideologie przyjmują. Ale będąc człowiekiem bardzo starym, który niestety żył w epoce niezwykle bogatej w wydarzenia i ideologie, wytworzyłem w sobie bardzo dużo sceptycyzmu, niepewności i wątpliwości. Niestety znam nie najgorzej historię człowieka, które jest przede wszystkim historią jego szaleństwa.

Dla mnie osobiście ciągłość naszej kultury jest ważna. Dla

mnie skarby, którymi obdarzyła mnie przeszłość, są arcyważne. Im wszystko zawdzięczam, one ukształtowały mnie, moją osobowość, moje życie wewnętrzne. Pamiętam też, że znaczną część tego spadku po minionych pokoleniach stanowią annale szaleństwa człowieka, zanotowane w takiej czy innej postaci — poematu, tragedii, symfonii, pieśni, obrazu, rzeźby, tradycji ludowej. I pisanej historii. Bywały tam zanotowane szaleństwa bardzo wielkie, ale nie kończące wszystkiego, ale zachowujące jakieś perspektywy na przyszłość. O przetrwanie wielkich wartości walczą Boecjusze wszystkich czasów, zmagając się z nowymi falami szaleństw ludzkich. Boecjusze czasów dzisiejszych mogą z przerażeniem myśleć o nadejściu fali, której już nie sprostają.

Aleksander HERTZ

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 299 — LESZEK KOŁAKOWSKI

GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

Powtanie — Rozwój — Rozkład

Tom III

Zawiera m.in. rozdziały: Pierwsza faza marksizmu sowieckiego. — Początki stalinizmu. — Spory teoretyczne w marksizmie sowieckim lat 20-tych. — Marksizm jako ideologia państwa sowieckiego. — Antonio Gramsci — rewizjonizm komunistyczny. — Georg Lukács — rozum na służbie dogmatu. — Lucien Goldmann. — Szkoła frankfurcka i teoria krytyczna. — Herbert Marcuse — marksizm jako utopia Nowej Lewicy. — Ernst Bloch — marksizm jako gnoza futurystyczna. — Rzut oka na przemiany marksizmu lat ostatnich.

Str. 536.

Cena F. 110,00.

Tom II-gi — zawierający 544 strony kosztuje F. 110,00.

Archiwum polityczne

Amerykańskie lęki nuklearne

Ostatnio pojawiły się w Stanach Zjednoczonych koszulki z napisami, które w tłumaczeniu polskim brzmią: „Przeżyłem wypadek na 3-milowej wyspie”. Chodzi tu oczywiście o wypadek, który zdarzył się w marcu br. w elektrowni atomowej w Harrisburgu. Przybysz z obcej planety pomyślałby, że miała tu miejsce potworna katastrofa, która pochłonęła setki tysięcy ofiar — i oto widzi szczęściarzy, którym udało się wyjść cało. W istocie, jak wiemy, katastrofy nie było, choć mogła się zdarzyć. Wypadek w Harrisburgu nie jest czymś nowym przez grozę swych potencjalnych konsekwencji. Jest czymś nowym tylko dlatego, że miał miejsce w elektrowni atomowej. Liczba ofiar, którą mógł za sobą pociągnąć, wahała się, według oceny Sekretarza Zdrowia, Califano, pomiędzy dziesięcioma dodatkowymi zgonami na raka w ciągu nieokreślonej liczby lat, a kilkoma tysiącami ludzi, którzy mogli zginąć w wypadku, gdyby paliwa nuklearnego nie udało się „ostudzić” obłudze technicznej stacji. Cała sprawa, jeśli mierzyć ją liczbami potencjalnych ofiar (bo rzeczywistych nie było), nie powinna była wywołać ani zbyt gwałtownej paniki ani takiego wstrząsu w opinii publicznej, którego byliśmy świadkami. Nie powinna — jeśli się uwzględni doświadczenia przeszłości. Koszty cywilizacji w przeliczeniu na życie i zdrowie ludzkie z której Ameryka i świat zachodni korzystają obecnie, są w ogóle bardzo wysokie. Ci, którzy wystąpili przeciwko dalszemu korzystaniu z energii nuklearnej, wiedzą dobrze, że ofiary, które pociąga i pociągało za sobą wydobywanie węgla, nie mierzy się liczbą górników, którzy zginęli przy wybuchach gazu lub zalaniu kopalń, ale milionami przedwczesnych zgonów w wyniku zatrucia płuc pyłem węglowym. Wiedzą, że setki tysięcy robotników przechodziło jeszcze w latach pięćdziesiątych na przedwczesne emerytury w

przemysłu samochodowym na skutek zatrucia ołowiem. wiedzą, że spośród 300 tysięcy Amerykanów, którzy umrą na raka płuc w bieżącym i przyszłym roku, co najmniej 200 tysięcy mogłoby tej śmierci uniknąć, wyrzekając się palenia papierosów. Ze co-rocennie ginie w Ameryce 50 tysięcy ludzi w wypadkach samochodowych i że liczbę tę można by wydatnie zredukować przez zakaz wydawania prawa jazdy osobom poniżej 19 lat i wprowadzenie surowszych przepisów ruchu drogowego.

Ale wszystkie te w nieskończoność powtarzane argumenty, które nakazywałyby bardziej racjonalną, a w każdym razie mniej historyczną reakcję na wydarzenie w Harrisburgu, były grochem rzuconym o ścianę. Nie miały one żadnego wpływu na stan umysłów pewnej części opinii amerykańskiej, ponieważ przysłowiowy pies był gdzie indziej pogrzebany.

W Harrisburgu nie doszło do żadnej eksplozji. Natomiast eksplozja nastąpiła w niektórych sektorach społeczeństwa amerykańskiego, albowiem wydarzenie na 3-milowej wyspie spełniło po prostu funkcję detonatora — lub, jeśli kto woli bardziej cywilne określenie — pretekstu. Wyzwolilo ono nostalgiczne i bynajmniej niewygasłe nastroje i uczucia z lat sześćdziesiątych i ostatniego okresu prezydentury Nixona, kiedy znaczna część klasy średniej, nie mówiąc już o elicie intelektualnej, zaangażowana była w wojnę przeciwko amerykańskiemu *establishment*. Koniec wojny w Wietnamie, kres afery Watergate, usunął częściowo grunt spod nóg pryncypialnych przeciwników systemu amerykańskiej demokracji. Co więcej — zmanifestował się on okresem politycznego letargu liberalnej lewicy, a nawet wzrostem nastrojów, afirmujących system. W tym miejscu nasuwa się obiekcja: czyż obecny żalosny stan gospodarki amerykańskiej — spadek dolara, inflacja, problemy energetyczne — nie są wystarczającym paliwem przeciw niekompetencji sfer rządzących? Przeciw niekompetencji administracji — tak. Przeciw ustrojowi — nie. Istota bowiem sprawy polega na tym, że pogrążona w swej obsesyjnej nienawiści do systemu amerykańskiego (jak również zachodnich demokracji) część tutejszej opinii publicznej, w dużym procencie należącej do warstw lepiej uposażonych, nie jest zainteresowana w terapii zle funkcjonującego systemu, ale w jego zniszczeniu. To, i tylko to, determinuje jej stanowisko w polityce zagranicznej, praw tak zwanych mniejszości etnicznych, roli Ameryki w świecie, ochrony środowiska naturalnego i wielu innych¹.

1. Wyjaśnienie tego socjo-patologicznego zjawiska, którego treścią jest fakt, że panujące w tym ustroju sfery zupełnie świadomie przyjmują na siebie rolę grabarza systemu, powinno być wdzięcznym tematem dla socjologów i historyków. Sam wspominałem o nim marginesowo w artykule pt. „O rewolucji i terroryzmie” nr 12/375 *Kultury* z grudnia 1978 r., str. 42. Nienawiść do demokratycznego kapitalizmu przypisałem, jeśli chodzi o młode

Amerykański publicysta George F. Will formułuje to w nr. 16 *Newsweek'a* w następujący sposób: „Wielu oponentów energii nuklearnej nie życzy sobie również alternatywy węglowej. Poprzez nową alternatywę stylu życia rozumieją zwolnienie tempa wzrostu ekonomicznego i obniżenie dobrobytu współczesnej cywilizacji. Wielu z tych ludzi należy do warstwy panującej i z komfortu współczesnej cywilizacji korzysta bardzo szeroko. Ich największą troską i zawodem jest to, że ich program, polegający nie na mnożeniu dóbr, ale na sprawiedliwszej redystrybucji, nie doznał takiego sukcesu jakiego oczekiwali”.

Wyrażona tutaj przez konserwatywnego publicystę opinia, choć zbliża nas nieco do sedna zagadnienia, jest nadmiernie ostrożna. Temperatura negacji systemu jest znacznie wyższa, a obsesja egalitarna przysięgłych przeciwników energii nuklearnej jest o wiele bardziej gwałtowna. W rzeczywistości występują oni nie tylko przeciw alternatywie węglowej². Są przeciwnikami wszelkich alternatyw z wyjątkiem wykorzystania energii słonecznej. A ponieważ technologia bezpośredniego wykorzystania energii słonecznej (nie poprzez wiatraki lub spadek wód, ale w formie dostarczenia elektryczności z promieniowania dla celów przemysłowych i komunikacyjnych) jest obecnie w stanie przedembrionalnym, nie powinno być najmniejszych wątpliwości, że celem najbardziej aktywnie zaangażowanych w antynuklearnym ruchu ludzi jest nie tyle troska o zapewnienie bezpieczniejszych źródeł energii, ale dalsze okuliawienie Stanów poprzez likwidację tych elektrowni, które dostarczają obecnie Ameryce około 15 % prądu.

To, że ugrupowania, o których piszę, pragną zniszczenia syste-

pokolenia warstw hierarchicznie najwyżej uplasowanych, brakiem bodźców społecznych u ludzi, których rodzice osiągnęli materialne optimum w istniejącym układzie. Wydaje mi się, że taki motyw alienacji między warstwą, która tradycyjnie była gwarantką systemu, jest wystarczający i zrozumiały. Niemniej mechanizm całego procesu i jego psychologiczne implikacje wymagają osobnego studium.

W wielu zaawansowanych krajach kapitalistycznych ślepa nienawiść do systemu, której towarzyszy brak programu, szuka dróg ujęcia. W Japonii i we Francji demonstracje obrońców środowiska naturalnego stanowią substytut walki z systemem. W Niemczech Zachodnich, we Włoszech — funkcje te spełniają terroryści. W Ameryce były również takie próby, ale chybione. Dlatego część tutejszej klasy średniej znalazła stosowniejszy instrument odpowiadający bardziej humanitarnemu duchowi tego kraju. „Broni go” przed energią atomową, Lepse to niż terror, bo nie zagraża ludziom, lecz przeciwnie — „chroni ich przed radioaktywną śmiercią”. Zaś przy okazji, spycha system jeszcze głębiej w otchłań kryzysu energetycznego.

2. Nawet w formie zastosowania nowej technologii, wprowadzonej już z konieczności przez rząd Republiki Południowo-Afrykańskiej. Technologia ta chroni ludzi i naturalne środowisko przed skutkami spalania węgla, ponieważ w drodze dość kosztownych procesów chemicznych, nie przekraczających cen OPEC-u, przerabia węgiel na olej o wyższej wartości energetycznej niż ropa naftowa.

mu demokracji kapitalistycznej, nie rozporządzając żadną inną alternatywą i nie troszcząc się o skutki, świadczy nie tylko o temperaturze ich uczuć. Jest ponadto dowodem zdumiewającej ślepoty historycznej. Gdyby w wyniku ich akcji (i przy udziale innych czynników) zawałił się cały system, anarchia trwałaby krótko. Na po-amerykańską schedę czeka gromada zgłodniałych wilków — krajów Ameryki Łacińskiej, z których wiele ma śmiertelną urazę do Stanów o to, że wyprzedziły je na każdym polu. Ale nie im przypadłby w udziale po-amerykański spadek. Czuwa nad nim ZSSR. Trzyma on na smyczy swojego wytresowanego wilka — Republikę Kubańską, pod rządem Fidela Castro. W wypadku katastrofy, miodowy miesiąc politycznych nienawistników nie trwałby nawet 4 tygodni.

Nie sugeruję tu bynajmniej Czytelnikowi tego co byłoby grubym uproszczeniem problemu, że cała masa wielomilionowej rzeszy, domagającej się zamknięcia siłowni nuklearnych świadomie dąży do zniszczenia państwa, w którym żyje. Oczywiście wielu z nich wierzy święcie w to, że chronią ludzkość przed groźbą radioaktywnej śmierci, nie troszcząc się w swej niefrasobliwości o skutki jakie pociągnąłby za sobą pełny sukces ich kampanii. Chodzi mi o tych zaangażowanych aktywistów, którzy po prostu uważają istniejące państwo za wroga amerykańskiego narodu — i całego świata. Jeśli się uwzględni niekwestionowane przez nikogo cyfry z wielu źródeł — w tej liczbie podane przez dr. Edwarda Tellera (tzw. „ojca bomby wodorowej”), to trudno czołowych aktywistów i prowodyrów ruchu posądzać o naiwność i niefrasobliwość. Przeciwnie, wiedzą dokładnie do czego zmierzają i są jak najbardziej frasośliwi. Według danych przedstawionych przez dr. Tellera w *Chicago Tribune* z dn. 11. 4. 1979 r. 72 czynnych wówczas elektrowni nuklearnych zaopatrywało Amerykę w ekwiwalent energetyczny 3 milionów baryłek ropy dziennie (126 milionów galonów), co stanowiło jedną trzecią importu z krajów OPEC. To wszystko jednak w wypadku spełnienia postulatów antynuklearnego *lobby* należałoby z inwentarza energetycznego Stanów wykreślić. W obecnej niezmiennie chwiejnej sytuacji Ameryki, która przeżywa energetyczne konwulsje, wywierające decydujący wpływ na całą ekonomię i jej polityczną rolę w świecie — dodatkową i gwałtowną utratą owych 15 % elektryczności dla mieszkańców miast i przemysłu doprowadziłaby do groźnych i trudnych do przewidzenia następstw.

Choć cytowana przeze mnie opinia George'a Will'a nie trafia w sedno sprawy, ukazuje nam dość trafnie jakie środowiska społeczne w USA są najbardziej w kampanii antynuklearnej zaangażowane, dlaczego mogą sobie na ową kampanię pozwolić. Przy całym swoim reklamowanym idealistycznym współczuciu dla „cier-

piącej biedoty”, nie bardzo ich wzrusza ewentualność zmniejszenia globalnej masy wyprodukowanych dóbr materialnych — nieuchronny skutek braków energetycznych — ponieważ ich własny udział w konsumpcji jest na tyle pokąźny, że skutki zwolnienia tempa produkcyjnego nie będą dla nich wyczuwalne. Ujmując sprawę w pewnym świadomym uproszczeniu, można w konkluzji orzec, że w systemie kapitalistycznej demokracji tylko bogatym i idealistom-abnegatom najłatwiej przychodzi totalna negacja systemu. Skądinąd te dwie kategorie nie wyłączają się całkowicie. Co więcej, w ostatnich latach naszej epoki abnegatów najłatwiej można było spotkać nie wśród tych, którzy cierpieli na niedosyt, ale — na przesył. „Abnegaci” są zresztą bardzo często okresowi, tak jak to bywało w czasach rozkwitu ruchu *hippis'ów*. Wielu z nich, po miesiącach wyrzeczenia się dobrodziejstw cywilizacji, wracało w charakterze marnotrawnych synów na łono *establishment'u* — a ściślej na łono swych nieźle prosperujących rodzin.

Sprawę o której pisze George Will krócej i prościej od niego przedstawiła p. Thatcher — premier nowopowołanego do władzy konserwatywnego rządu Wielkiej Brytanii: „Są ludzie w naszych związkach zawodowych i poza nimi, którzy chcą zniszczyć naszą tradycyjną od wieków wolność przez wysuwanie postulatów dystrybucji dóbr materialnych w formie absolutnie przekraczającej możliwości naszej ekonomii. Żeby dzielić sprawiedliwie, trzeba wytwarzać więcej. Gdybyśmy zaś uwzględnili postulaty tych ludzi, musielibyśmy produkować coraz mniej³”.

Cała ofensywa sfrustrowanych przeciwników demokratycznego *establishment'u* nie jest oczywiście nowa. Nabrała ona tylko szczególnych barw i świeżej dynamiki po wypadku w Harrisburgu. W ten sposób klątwa rzucona na energię atomową jako źródło energii stała się z miejsca sprawą polityczną, do której włączyły się amerykańskie *mass media*. Nie tylko by widzów, słuchaczy i czytelników informować, ale by potęgować histerię. W nich, jak w zwierciadle, ukazało się nostalgiczne pragnienie wprowadzenia opinii publicznej w stan napięcia, który zmusza widzów do przekręcenia gałki telewizora z zapartym oddechem. „Harrisburg stał się nowym symbolem” — pisał w nowojorskim *Nowym Dzienniku* Zdzisław Bau. I oczywiście wybór nie był przypadkowy, skoro dla milionów ludzi katastrofa, do której nigdy nie doszło, kojarzyła się z Hiroszimą i tysiącami, porażonych udarem nuklearnym, martwych lub powolną śmiercią konających, ludzi.

— Telewizja nie ogranicza się do podania wiadomości i komentarza — pisał 18 kwietnia Zdzisław Bau. „Jak podczas woj-

3. Tłumaczę fragment oświadczenia p. Thatcher, zasłyszany w radio. Nie gwarantuję jego dokładności, taka jednak była myśl wyrażona przez premiera Wielkiej Brytanii.

ny wietnamskiej i później — afery Watergate, jesteśmy świadkami zjawiska z literatury fantastycznej, przypominającego ulubioną metaforę argentyńskiego pisarza Jorge Luisa Borgesa o obrazie odbijającym się w nieskończoność między dwoma lustrami. Podobna interakcja wiąże reportaż telewizyjny z rozmnażającymi się w reakcji łańcuchowej demonstracjami antyatomowymi”.

W momencie gdy piszę te słowa, odbywają się właśnie demonstracje w szeregu miast amerykańskich, gdzie manifestanci próbują bezskutecznie wdrzeć się do elektrowni i prawodopodobnie zniszczyć urządzenia. Ta w Waszyngtonie — sprzed kilku tygodni — była jednak najliczniejsza. Przed Białym Domem pojawiło się wówczas około 100 tysięcy demonstrantów, przybyłych z najodleglejszych zakątków kraju. Przytłaczającą ich większość stanowili ludzie o zupełnie określonej orientacji politycznej, co można było rozeznaczyć po rzucanych hasłach. Jak informowała prasa — byli to biali, wywodzący się z warstw średnich. Spośród licznych grup, niosących transparenty, wyróżniała się agresywnością organizacja pod nazwą: „Młodzież przeciw wojnie i faszyzmowi” — znana zresztą powszechnie jako ekspozytura pro-sowieckiej amerykańskiej Partii Komunistycznej. Co mają elektrownie atomowe wspólnego z wojną i faszyzmem? Mają, ponieważ młodzieńcy, walczący z „faszyzmem i wojną” domagali się natychmiastowego ich zamknięcia, ale nie na całym świecie, a więc między innymi w ZSSR i NRD, gdzie właśnie przystąpiono do rozbudowy ich sieci, ale tylko w Ameryce. Nie dlatego — że koniec końcem byli Amerykanami i demonstrowali przed Białym Domem w Waszyngtonie, a nie na placu Czerwonym w Moskwie, ale dlatego, że kapitalistyczne elektrownie są groźne, a socjalistyczne bezpieczne jak świeczki na choince. O tym już przedtem poinformował świat stosowny komunikat TASS’a. Nie należy jednak przeceniać udziału komunistów w kampanii antynuklearnej. W istocie stanowili oni tylko bardzo wąski margines. Ton bowiem całej kampanii nadają ci, którzy pod hasłem troski o bezpieczeństwo Amerykanów przed groźbą radioaktywnych skutków, walczą nie z Carterem, nie ze złą administracją, ale z instytucją kapitalistycznego państwa. A nienawidzą jej tym bardziej i tym namiętniej, że nie mają żadnej innej alternatywy. W tym celu starają się uwielokrotnić amerykański strach, któremu tutejsza publiczność niezmiennie łatwo ulega. — Jeśli mamy błagać szejków arabskich na czworakach, by sprzedali nam ropę po niższej cenie — wolę to od śmierci atomowej — oświadczył w telewizji nowojorskiej pan, wysiadający z dość pokaźnych rozmiarów samochodu. Widok Amerykanów na czworakach, błagających o ropę, byle by nie korzystać z elektrowni nuklearnych jest z pewnością bardzo malowniczy i u niejednego szejka serce rosnęło z dumy.

Bieda w tym, że czołganie się czy błaganie na klęczkach mało kiedy bywało skuteczne. Na ogół czołgający się otrzymują kopniaki co zdarza się już obecnie i zdarzać się będzie w przyszłości.

Amerykanie z dawna uważani byli za ludzi odważnych i kochających ryzyko. Jeśli to wszystko nie było legendą, to należy jedynie żywić nadzieję, że nie tracą odwagi do reszty. Obecnie powinni sobie uświadomić, że istnieją ugrupowania, które w swej pasji przeprowadzenia generalnej rozprawy ze znieprawdowanym systemem, usiłują szerzyć kult strachu. Strach zaczyna uchodzić za cnotę wśród narodu, który jeszcze przed wiekiem uchodził za prototyp zdobywców i awanturników. Oczywiście propagandy strachu nie szerzy się ostentacyjnie. Nie mówi się jak to pięknie i wspaniale być tchórzem. To byłaby za ciężka do strawienia dawka. Nawet przeciwnie — amerykańskie programy telewizyjne ukazują odważnych w ich tradycyjnych kształtach — pozytywnych bohaterów. Ale to wszystko nie jest przecież rzeczywistością, tylko fikcją scenarzystów. W życiu szerzy się kult niepodejmowania żadnego ryzyka. Nazywa się to nie strachem, ale troską o ludzkie życie i zdrowie. W takim ujęciu wygląda to na cnotę i w wielu wypadkach bywa nią rzeczywiście. Niestety gdy troska ta przekracza pewną temperaturę krytyczną, staje się groźną obsesją, która stawia naród nad granicą przepaści. Amerykanie nie chcą podejmować ryzyka. Już nie w obrobie ideałów — bo tego od nich nikt nie oczekuje — ale w obrobie swych pięknych samochodów, uroczych domków okolonnych ogródkami — słowem całego, nieraz ciężką pracą zdobytego komfortu cywilizacyjnego. Jednocześnie, jak pokazują ostatnie tygodnie kryzysu energetycznego, nie chcą się niczego wyrzec i z niczego zrezygnować.

Ale nawet ta sytuacja nie powinna nikogo nadmiernie dziwić. Pozbawieni chleba lub elementarnych praw, ludzie potrafili i potrafią walczyć do upadłego. Podobnie jak fanatycy gotowi są przelewać krew za złudne lub wręcz fałszywe cele, dyktowane nieraz wyłącznie nienawiścią. Ale ci, którzy osiągnęli bogactwo i pełny komfort materialny — czyli używając przerośniętych — obrośli w tłuszcz, nie są już zdolni ani do walki ani do poświęceń. Historia potwierdziła tę gorzką prawdę wielokrotnie. I tu ujawnia się groźny dylemat narodu, którego losy decydują o przyszłości naszej cywilizacji. Prezydent Carter, który również nie chce zrezygnować z kandydatury w następnej kadencji (której jeszcze oficjalnie nie zgłosił) wciąż nie zdaje sobie sprawy, że Biały Dom, będący przedmiotem westchnień tylu polityków, stał się dla każdego wchodzącego w jego progi, groźną pułapką.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 2 czerwca 1979 r.

Refleksje niemieckie

1. Nowy etap „Ostpolitik” przez pryzmat okularów nieustrzonego Komiwojżera

Przed blisko siedmiu miesiącami* polemizowałem z wywodami Socjusza i z tezami memorandum P.P.N., podejmując równocześnie próbę naszkicowania kontekstu, w którym przebiega obecna faza stosunków polsko-niemieckich. Było też wówczas moją ambicją zastanowienie się nad tym, w jakim świetle ukaże się problem polsko-niemiecki kiedy zmieni się układ sił, na którym zasadza się pojałtański, czy raczej po-teherański *status quo* w Europie.

Tymczasem osobliwość ewolucji, która dokonywuje się na naszych oczach tkwi w tym, że mimo iż na zmianę *status quo* bynajmniej się nie zanosi, sprawa niemiecka już obecnie nabiera rumieńców i wchodzi tym samym na wokandę polityki europejskiej.

Postulat jedności Niemiec nie jest — rzecz jasna — aktualny, ale zaczyna być brany w rachubę zarówno przez publicystów jak i kancelarie dyplomatyczne, gdyż nie sposób w dalszym ciągu trzymać tego problemu w lamusie, skoro układ sił do tego stopnia się zmienia na korzyść Niemiec, że stały się one samodzielnym czynnikiem polityki światowej. Ponadto zachodnioniemiecka *Ostpolitik* próbuje uruchomić nowy etap, jako logiczne przedłużenie starań podjętych uprzednio i wyników już na tym torze uzyskanych.

Jesteśmy świadkami prób perswazji pod adresem wschodnich partnerów Niemiec Zachodnich, a więc Moskwy, Berlina Wschodniego, Warszawy i nawet Budapesztu (na Pragę przyjdzie niedługo kolej), że „budowanie mostów” między dwoma częściami Niemiec nie narusza interesów bloku sowieckiego i że może się dokonać na zasadzie wielostronnych korzyści. Ci sami ludzie, którzy zbudowali system *Ostpolitik* przed przeszło dziesięciu laty próbują wywalczyć obecnie prawo obywatelstwa dla jego dalszej fazy. Są to Herbert Wehner, przewodniczący frakcji S.P.D. w Bundestagu i Egon Bahr, sekretarz generalny S.P.D.; należą oni do wąskiego grona przywódców socjalistycznych, ale nie sprawują oficjalnych funkcji rządowych. Rząd formalnie nie ponosi odpo-

* Kultura Nr 11/374 (1978).

wiedzialności za ich inicjatywy i deklaracje, kiedy jednak ta — równoległa do rządowej — dyplomacja przynosi skutki uznawane za pozytywne, to następuje po niej oświadczenie rządowe o pokrewnej, a nawet i identycznej treści. Gdy się więc okaże, że wysiłki pp. Wehnera i Bahra i in. trafiają na żyzny grunt rząd federalny zaangażuje swój własny autorytet celem stopniowego urzeczywistnienia postulatu jedności Niemiec, dowodząc że wywiązuje się w ten sposób z obowiązku określonego wyraźnie w konstytucji Republiki Federalnej.

Wolno się pokusić o sprecyzowanie dwóch dodatkowych przesłanek, które wydają się służyć za punkt wyjścia do omawianych usiłowań. Pierwszą jest konflikt chińsko-sowiecki, w miarę jak się zaostrza i wzmacnia zainteresowanie Pekinu technologią zachodnioniemiecką. Z kolei Kreml, postawiony w obliczu takiej sytuacji, ma do wyboru między polityką pogroźek lub uśmicheń pod adresem Bonn. Ta druga ewentualność bardziej odpowiada sowieckiej polityce wobec Europy Zachodniej, która zostaje wyłączona z płaszczyzny antagonistycznej konfrontacji między dwoma blokami: skoro nie sposób równocześnie grozić i Chinom i Niemcom Zachodnim, to świadomość śmiertelnego zagrożenia z Dalekiego Wschodu prowadzi do orientacji odprężeniowej w Europie*. Zresztą ewolucja w tym kierunku znajduje uzasadnienie w drugiej przesłance, a mianowicie w tragicznej sytuacji gospodarczej bloku sowieckiego. Wszystko to razem zachęca Kreml do gestów pojednawczych pod adresem Bonn i do prób wzmożonej współpracy gospodarczej z Europą Zachodnią.

W tym punkcie zachodzi więc zbieżność obu polityk: sowieckiej i zachodnioniemieckiej; wprawdzie każda zmierza do wykozystania stanu odprężenia — o ile uda się go stworzyć — dla celów sprzecznych z dążeniami drugiej strony, ale sam fakt stanu odprężenia leży w ich wspólnym interesie.

Jeżeli tak można odczytać przesłanki *Ostpolitik*, to wypada się z kolei zastanowić nad środkami tej polityki i jej konkretnymi zadaniami na najbliższą przyszłość.

Niemcy Zachodnie są obecnie jedynym krajem w Europie i — po społu z Japonią — jednym z dwóch na świecie, który może sobie pozwolić na stworzenie ogromnej masy manewrowej *via* posiadane zasoby i możliwości techniczne, bez zachwiania równowagi gospodarczej. Ta ostatnia okoliczność nie jest bez znaczenia dla obiektywnej wartości tego, co Niemcy Zachodnie mogą zaofe-

* Można tu się powołać na ciekawy precedens, choć na niepomierne skromniejszą skalę: swego czasu konflikt z Japonią sprowadził Sowiety na drogę ugodowej polityki wobec Polski — na ten okres przypadła wizyta Radka w Warszawie i podpisanie polsko-sowieckiego paktu o nieagresji (25. 7. 1932 r.).

rować potrzebującym. Strumień dóbr inwestycyjnych i konsumpcyjnych ma zostać skierowany do Niemiec Wschodnich a także do Rosji jako *sui generis* premia ubezpieczeniowa, zapewnić w ten sposób powodzenie *Ostpolitik* i udowodnić opinii zachodnioniemieckiej jej celowość pod kątem niedalekich już wyborów (jesień 1980).

Za punkt wyjściowy tak pomyślanej strategii służy układ RFN-NRD z listopada 1978 roku o ulepszeniu linii komunikacyjnych z Berlinem: Niemcy Wschodnie, które mają te roboty przeprowadzić, uzyskują z tego tytułu olbrzymie, zakamuflowane subwencje idące w miliardy marek. Chodzi więc o stworzenie coraz silniejszych więzi organicznych między dwoma częściami Niemiec tak, aby wszelki postęp na drodze do dobrobytu Niemiec Wschodnich był funkcjonalnie zależny od zacieśnienia ich współpracy gospodarczej z Niemcami Zachodnimi. Wprawdzie wytyczony cel jest jeszcze bardzo odległy (najoptymistyczniejsza perspektywa przewiduje jego osiągnięcie najwcześniej w ostatnim dziesiętku naszego stulecia), ale prawidłowości obranego kierunku mają dowieść kolejno pokonane etapy. Na odpowiadających im drogowskazach widnieją napisy: niemiecka wspólnota gospodarcza a następnie konfederacja dwóch państw niemieckich.

Program pan-niemieckiego zbliżenia nie jest pomyślany jako proces samoistny. Może przebiegać pomyślnie w szerszym kontekście tj. przy zacieśniającej się współpracy gospodarczej — a z czasem i politycznej — między dwoma częściami Europy oraz przy postępującym odprężeniu w stosunkach sowiecko-amerykańskich. Jeżeli ta tendencja utrzyma się, to jej skutkiem będzie redukcja sił zbrojnych i zbrojeń po obu stronach linii podziału Europy.

Na brak środków nacisku i perswazji pod adresem opieszłych partnerów Niemcy Zachodnie nie mogą się uskarżać: wszyscy „siedzą u nich w kieszeni”, nawet jeżeli nie wszyscy są do tego stopnia zadłużeni i niewypłacalni jak PRL. Na Kremlu od dawna panuje przekonanie, że trudności gospodarcze Bloku są nie do przewyciężenia i wszystkie plany zakładają rozszerzony dostęp do technologii zachodniej, a przede wszystkim zachodnioniemieckiej. Niemcy Wschodnie — najbardziej uprzymysłowiony kraj obozu sowieckiego — odczuły najdotkliwiej konsekwencje kryzysu energetycznego: skoro za naftę przyszło płać tak drogo, to jej niezbędny import musi być kompensowany wzmożonym eksportem dóbr inwestycyjnych, konsumpcyjnych i usług, co pociąga za sobą symetryczne braki na rynku wewnętrznym i osłabia tempo przyrostu dochodu narodowego. Grozi to nowymi powikłaniami na odcinku wewnętrznym a sygnałów ostrzegawczych dostarcza tu świeżo powstały ruch kontestatorski.

W tych warunkach tylko w oparciu o masową pomoc z Bonn Berlin Wschodni może się wywiązać z zadań, które Moskwa na niego nakłada (a od których uchylić się nie sposób), poprawiając równocześnie warunki bytowe własnej ludności, zapatrzonej we wzorce konsumpcyjne zza miedzy. Ten aksjomat znalazł ponoć poparcie w osobie samego Honeckera i to do tego stopnia, że powodzenie planów zachodnioniemieckich zakłada jego utrzymanie się przy władzy. Skoro subsydia z Bonn stają się nieodzownym składnikiem równowagi gospodarczej, a duża część zasług za tę mannę przypada w udziale Honeckerowi — zapisuje się to na jego korzyść — co jednocześnie nie przysparza mu popularności na Kremlu, jako że ta manna nie tylko wzmacnia jego pozycję, ale — i to jest nieporównanie ważniejsze — wydatnie poszerza margines swobody Niemiec Wschodnich wobec Moskwy.

Promotorzy nowej fazy *Ostpolitik* notują z zadowoleniem korzystne symptomy, które zdają się nieść dobre wróżby zarówno na bliższą jak i na dalszą przyszłość. Powołują się w pierwszym rzędzie na gesty i publiczne aluzje dygnitarzy reżymu wschodnioniemieckiego, którzy przestali naciskać na „rozgraniczenie”, i to definitywne, obu państw niemieckich, a pojęcie ogólnoniemieckiej wspólnoty kulturalnej, a nawet poczucia narodowego nabiera w ich ustach dodatniego znaczenia. W listopadzie 1978 roku Kreml mianował ambasadorem w Bonn Vladimira Siemionowa, jednego z czołowych sowieckich ekspertów do spraw Niemiec, który ponadto cieszy się opinią rzecznika zasady jedności Niemiec — oczywiście w perspektywie wygrania tego imperatywu na korzyść polityki sowieckiej. Siemionow sprawował już swego czasu funkcje radcy ambasady sowieckiej w Berlinie: został mianowany na to stanowisko w 1940 roku, kiedy nic jeszcze nie zdawało się zakłócać — przynajmniej ze strony sowieckiej — sielanki stosunków niemiecko-rosyjskich po układzie Ribbentrop-Mołotow... Można by przypuszczać, że licytacja o względy niemieckie została już otwarta.

Próbowałem zarysować zręby koncepcji, o której zdefiniowanie wolno się pokusić, studiując: wywiad udzielony przez Wehnera 31 stycznia br. dziennikarzowi holenderskiemu Ben Knapen, wywiad udzielony tygodnikowi *Der Spiegel* (11 września 1978 r.) przez Bahra, wiadomości, które „przeciekły” z podróży Wehnera — niestrudzonego komiwojażera *Ostpolitik* — do prawie wszystkich stolic komunistycznych, jak również czytając między wierszami.

W wypowiedziach Wehnera warto ponadto zanotować dodatkowe akcenty, rzucające ciekawe światło na wstępne warunki przedsięwzięcia.

Jeśli wydaje się rzeczą normalną, że Wehner w wykorzysta-

niu traktatów zawartych przez RFN (z Moskwą, Warszawą, Berlinem Wschodnim i Pragą) widzi cel swoich usiłowań dla osiągnięcia postępów na drodze do rozwiązania kwestii niemieckiej, to budzą zastanowienie jego oceny, będące pewnego rodzaju preliminarami — niewątpliwie koniecznymi dla zapewnienia widoków powodzenia już w początkowym okresie.

A więc trzeba odnotować: potępienie agresji chińskiej w Wietnamie (o wcześniejszej inwazji Kambodży ani słowa), pozytywną ocenę sowieckiej polityki zagranicznej, wyraźną rezerwę wobec polityki amerykańskiej, wreszcie optymistyczną ocenę polityki militarnej Sowietów w Europie, która ma charakter czysto defensywny (!).

Plan polityczny Wehnera nasuwa niemało wątpliwości. Zakłada on mianowicie, że można uruchomić długotrwałą, harmonijny proces mający powoli, ale stale i systematycznie wieść do celu, eliminując czynniki zdolne w każdej chwili zakłócić jego przebieg.

Dalsza wątpliwość dotyczy ceny. Jeśli Niemcy gotowe są sięgnąć do kasy, to można zaufać Sowietom, że tę gotowość skwapliwie wykorzystają, ale że w zamian zaofiarują znacznie mniej niż to, na co Niemcy liczą, żądając przy tym o wiele więcej niż to, co gotowi są obecnie zapłacić. Kreml dysponuje tu dodatkowym atutem tj. wewnątrzno-politycznymi serwitutami RFN, której rząd, w oznaczonych przez prawo terminach, musi wykazać się przed wyborcami swoimi osiągnięciami; a osobliwością zachodnioniemiecką są wybory do *Länder*ów które, mimo na pozór ograniczonego zasięgu, mają wydźwięk ogólnokrajowy. Można sobie wyobrazić pełne napięcia oczekiwanie na gesty sowieckie w miarę zbliżania się któregoś ze złowróżbnych terminów.

Dalej, trudno liczyć na symbiozę panującą i utrwalającą się w Europie — co jest bezwzględny warunkiem wszelkiego postępu sprawy konfederacji obu państw niemieckich — przy równocześnie ostrych formach konfrontacji na pozazuropejskim obszarze styku dwóch światów. Chyba zakładając, że bezwzględny imperatyw pokoju za wszelką cenę, czy niezdolność przeciwstawienia się ekspansji sowieckiej spowoduje, że będzie się w dalszym ciągu odpisywać na straty coraz to inne kraje. Wówczas nastąpi całkowite okrążenie Europy a z nim i załatwienie sprawy niemieckiej, tylko w formie nieco różnej od dezyderatów naszego Komiwojżera. Zresztą Kreml, który na pewno podziela tezę Wehnera o absolutnym priorytecie zagrożenia chińskiego, może dojść do wniosku, że skoro Europa Zachodnia tkwi w stanie kryzysu moralnego, politycznego, a także i gospodarczego, to należy koniunkturę wykorzystać i rozciągnąć nad nią sowiecką kontrolę. Sowiety zyskałyby wtedy wolne ręce na Dalekim Wschodzie i tak dla nich

niezbędny potencjał gospodarczy oparty na nowoczesnej technologii. Takie posunięcie zawierałoby oczywiście wielkie ryzyko, ale ryzyko istnieje zawsze, a okolicznością przemawiającą na korzyść takiej ewentualności są właśnie postępy na drodze do okrążenia Europy Zachodniej od południa i południowego wschodu.

Kiedy ten krąg zostanie zamknięty a Sowiety uzyskają kontrolę dróg aprowizacyjnych ropy i podstawowych surowców, to Europa może z powodzeniem wpaść w ich ręce.

Może by więc nie należało przywiązywać nadmiernej wagi do planów polityki wschodniej SPD? Już w poprzednim artykule zwróciłem uwagę czytelników na to, że nie zawsze zamierzone przedsięwzięcia muszą toczyć się po torze wyznaczonym przez projektodawców. Uruchomienie procesów dynamicznych może wyzwolić energię nie podlegającą już dyspozycji projektodawcy i poddaną samoistnej logice.

Powodzenie *Ostpolitik* zależy od koncesji uzyskanych od Sowietów, czyli od Rosji takiej, jaka jest. Skoro aliantom zachodnim brak w tej materii argumentów, bo nie potrafili sobie zabezpieczyć żadnego „zastawu” na przyszłość — Kreml ma tu szerokie pole do możliwych inicjatyw. Obecny etap uwypukla tę zależność jeszcze bardziej.

Wehnerowska *Ostpolitik* zakłada działanie długofalowe. Może się jednak okazać, że jej tempo w praktyce będzie wyznaczone posunięciami Moskwy wynikającymi z decyzji sowieckiego Politbiura. Rola Wehnera polega na obudzeniu nadziei na pozytywne wyniki proponowanej przez niego, a możliwe że i przeforsowanej orientacji. Można więc sobie wyobrazić, że w pierwszej fazie Sowiety będą tolerować realizację programu *Ostpolitik* wobec NRD za cenę wysokich własnych korzyści, a następnie zaskoczą Bonn przedstawieniem sensacyjnej oferty, której przyjęcie pozwoliłoby na ogromne przyspieszenie osiągnięcia powszechnie upragnionego już celu. Czy wtedy będzie ją można odrzucić ryzykując, że sprawa połączenia Niemiec znowu będzie się przeciągać w nieskończoność? Nawet jeżeli cena okaże się bardzo wysoka, to dodatkowym argumentem na rzecz przyjęcia oferty Moskwy byłby miraż ogromnych rynków zbytu dla zachodnioniemieckiego przemysłu i to w okresie, gdy rynki zachodnie kurczą się coraz bardziej, oraz nadzieja na nieograniczony dostęp do atrakcyjnych surowców, o które jest już coraz trudniej. Oczywiście można mieć zaufanie do Moskwy, że na wysunięcie takiej propozycji wybierze moment dla siebie najdogodniejszy.

Pozostaje ostatni argument: perspektywa zaspokojenia niemieckich ambicji nacjonalistycznych. Może to nastąpić nie tylko przez uzyskanie zgody na połączenie obu państw niemieckich, ale także kosztem PRL, która idąc po linii „przyjaznych sugestii”

Wielkiego Brata zostałaaby zmuszona do ofiarowania „prezentu ślubnego” unii pangermańskiej w nowym wydaniu. Jeśli taki obrót sprawy byłby korzystny dla interesów ZSSR, to wiedząc że nie napotkają na opór ze strony PRL-u, pójdą na to na pewno.

Nie należy jednak zapominać, że chociaż Niemcy Zachodnie stają się ważnym czynnikiem polityki światowej, ale do parytetu z Sowietami im daleko. Nie ma dziś warunków na *partnership*, jaki istniał w okresie konferencji w Rapallo. Mimo wszystkich swoich słabości gospodarczych, czy nawet politycznych, Rosja Sowiecka posiada jeszcze kilka pierwszorzędnych atutów i — jak wiadomo — potrafi się nimi nieźle posługiwać. Potęga gospodarcza Niemiec Zachodnich koncentruje się na wąskim pasku terytorium, podczas gdy wojska sowieckie stacjonowane w Turynii dzieli od Renu tylko 150 km. Rosjanie zwykli twardo trzymać w garści to co mają. Ponadto decydującym elementem dla oceny potęgi sowieckiej jest nie tylko jej potencjał wojskowy, ale i to, że w każdej chwili może go uruchomić dla osiągnięcia zamierzonych celów. Względ na opinię publiczną nie odgrywa — jak wiadomo — żadnej roli. Zapewnia to Sowietom olbrzymią przewagę nad Zachodem, a więc i nad Niemcami.

Stąd wniosek, że realizacja jedności niemieckiej może nastąpić jedynie na drodze podporządkowania się polityce sowieckiej, co zresztą z powodzeniem może przybrać formę finlandyzacji Niemiec Zachodnich choćby z uwagi na konieczność utrzymania wydajności ich gospodarki (!). Innymi słowy Niemcy mogłyby co najwyżej ochronić się przed modelem *demokracji ludowej*, ale to wszystko, na co mogą liczyć. Czy warta skórka za wyprawkę? Cała rzecz w tym, że problem nie przedstawia się obecnie w tych wymiarach, ale gdyby to nastąpiło w przyszłości, mogłoby już być za późno na zawrócenie z dawno obranej drogi.

Do tej pory pozostawaliśmy w dziedzinie spekulacji. Ale nowy etap *Ostpolitik* przedstawia łatwiej uchwytne wymiary na najbliższą przyszłość, a i o nich można powiedzieć, że na pewno nie kształtują się w sposób dla spraw polskich pomyślny.

2. Pozycja Polski w świetle nowego etapu „*Ostpolitik*”

Rzeczą konkretną i istotną są miliardy marek, które już wpływają do wschodnioniemieckiej kasy. Sam ten fakt niweczy resztki nadziei sprzed 5-6 laty na korzystniejszy układ sił między Warszawą a Berlinem Wschodnim. Miałoby to oczywiście znaczenie dla ogólnoeuropejskiej równowagi. Zdawało się wówczas, że pracująca głównie na własnej energii Polska zdoła utrzymać wyższą stopę przyrostu dochodu narodowego. Dwie inne okoliczności

zdawały się potwierdzać tę tendencję: przebieg procesów demograficznych — dla Polski względnie korzystny, a groźny dla Niemiec Wschodnich — oraz gigantyczny program inwestycyjny Gierka. Dziś wiadomo już, że gierkowy eksperyment załamał się i znane są rozmiary bankructwa PRL. Co więcej — w sytuacji konfliktowej RFN - NRD Warszawa mogła być przedmiotem usilnych zabiegów Bonn jako *demokracja ludowa* mniej antagonizacyjnie usposobiona do RFN, a w nie najlepszych stosunkach z NRD. Nowa koniunktura musi jednak powiększyć rozpiętość między względnie zamożnymi Niemcami Wschodnimi a coraz bardziej biedniejszą Polską. W tych warunkach trudno żywić nadzieje na uzyskanie przywilejów finansowych. Warszawa ma pozycję przetargową tak słabą, że niemiecko-polska współpraca gospodarcza będzie podporządkowana warunkom Bonn, co na długie lata ustali funkcje PRL-u jako dostarczyciela żywności i półfabrykatów. Jest to tradycyjna rola, jaką polityka pruska, a potem niemiecka próbuje narzucić Polsce już od dwustu lat.

W Europie Środkowej, gdzie nawet Czechosłowacja zdołała się podnieść gospodarczo i przezwyciężyć w tej dziedzinie tragiczne konsekwencje 1968 roku, PRL jest i będzie elementem najślabszym, co — rzecz jasna — nie pozostanie bez poważnych konsekwencji na odcinku politycznym. Każdy kraj wywiera pewien wpływ na politykę swoich sąsiadów: im jest silniejszy, tym bardziej liczą się z jego interesami i uwzględniają je we własnej polityce; im jest słabszy, tym bardziej jego interesy mogą lekceważyć i dążyć do podporządkowania ich wyłącznie własnym celom. Tak już było przed dwustu laty: ówczesna orientacja mocarstw zaborczych nie była przesądzona z góry; dla polityki wobec Polski istniały koncepcje alternatywne, a argumentem decydującym na rzecz obranych, a dla Polski tragicznych w skutkach, była właśnie polska słabość.

Trudno dzisiaj nie dopatrzeć się zaskakujących i niepokojących analogii do sytuacji sprzed dwustu lat: wówczas dwory państw ościennych sypały groszem na prywatne potrzeby swoich polskich popleczników — wysługa obcym interesom otwierała drogę do bogacenia się (ale i do upadku państwa). Dzisiaj nowe kredyty, o które reżym tak usilnie zabiega, opóźniają tylko chwilę, której przecież nie można odsuwać w nieskończoność, a w której przyjdzie zrobić bilans i... ogłosić niewypłacalność. Obecna niewydolność gospodarcza PRL-u przywodzi na myśl tragizm polskiego bezhołwia politycznego w okresie przedrozbiorowym. Kredyty zagraniczne, które dziś pozwalają na odroczenie chwili konfrontacji z rzeczywistością, zapewniają równocześnie wysoki *standing* klasie uprzywilejowanych, która w przeważającej mierze

składa się z ludzi bezpośrednio odpowiedzialnych za rozmiary bankructwa.

Reminiscencje historyczne uzmysławiają nam m.in., że chroniczny stan słabości nie może przeciągać się w nieskończoność. Jeżeli na skutek reżymowego bankructwa Polska będzie się dalej staczać po równi pochyłej, a dystans cywilizacyjny PRL i Niemiec Zachodnich z biegiem czasu zamieni się w przepaść, to stworzony w środku Europy niż wywoła powszechne wrażenie próżni. Jak wiadomo natura próżni nie znosi. Tymczasem sprawy ewoluują w tym kierunku, a nic i nikt rychłej zmiany nie wróży, zwłaszcza gdy ludzior odpowiedzialnym za ster rządu ani w głowie porzucenie, czy choćby reforma, obecnego modelu gospodarczego, na który zaistniała sytuacja wydaje bezapelacyjny wyrok. Wyjście z matni upatrują oni natomiast w zaciąganiu coraz to nowych kredytów, mimo że reputacja PRL-u jako niewypłacalnego dłużnika jest już powszechnie znana. Pora tu na otwarcie nawiasu: jeżeli swego czasu, na rynku kapitałowym PRL mogła uzyskać bardzo wysokie kredyty, to dlatego że Gomułka rządził finansami kraju jak dziewiętnastowieczny prowincjonalny buchalter finansami małej fabryki — bez zaciągania długów; kiedy zaś ta zasada została przypadkowo naruszona — uważał za punkt honoru jak najszybsze zlikwidowanie powstałej należności. Ponadto Polska posiada pokaźny potencjał gospodarczy, spore zasoby bogactw naturalnych, a w tym olbrzymie złoża węgla pozwalające na *quasi* samowystarczalność energetyczną. Atuty te, według powszechnie przyjętych norm, mogłyby zapewnić wykorzystanie dóbr inwestycyjnych dla wzmocnienia potencjału kraju, a osiągnięte nadwyżki spłatę pożyczek w rozsądnych terminach. Wszystko to zakłada oczywiście administrację z prawdziwego zdarzenia. Nie od razu zauważono na Zachodzie osobliwości polskiego modelu, ale i na to przyszła już pora. Grały też i przyczyny natury pozagospodarczej wyrażające się w sympatii dla kraju, który w czasie ostatniej wojny nadstawiał głowy dla innych i który wbrew imponderabilom geograficznym należy — i to w sposób żarliwy — do cywilizacji zachodniej. Nadto stworzył on kulturę o dużej oryginalności i niemałej atrakcyjności dla tych, którzy się z nią zetknęli.

Otóż paradoks polityki władców PRL-u tkwił w tym, że równocześnie próbowali na zewnątrz dyskontować tradycje narodowe i odrębność jeszcze przez obecną Polskę zachowaną, a na wewnątrz niszczyć — i to w sposób systematyczny i konsekwentny — zarówno polską autonomię kulturalną pod kątem niwelacji do wzorów sowieckich — jak i te wszystkie tradycyjne cechy, które składały się na obraz i pojęcie tożsamości narodowej. Zazdrośny o wpływ Kościoła i rodziny, system komunistyczny robi wszystko

aby ten wpływ najpierw uszczuplić, a następnie wyeliminować, choć miernikiem wygranych na tym odcinku batalii jest obniżenie poziomu moralności indywidualnej i zbiorowej. A wiadomo jak zaplanowana demoralizacja społeczeństwa, ucisk wszystkiego co oryginalne i twórcze, faworyzowanie oportunistów i niekompetencji odbijają się na efektywności gospodarki i na atmosferze życia społecznego. Ponadto zacieranie doktrynerskie prymitywnych aparatczyków prowadzi do systematycznego niszczenia pozostałych jeszcze niezależnych sił i placówek gospodarczych (przede wszystkim rolnictwo, a także drobna wytwórczość i rzemiosło). Proces ten wiedzie do podcinania gałęzi, na której się samemu siedzi: moralne wyniszczenie kraju i obniżanie jego zdolności wytwórczych godzi także w tych, którzy na nim pasażerują. Chwiejna równowaga wewnętrzna uzależniona jest od utrzymania w stanie gotowości całej armii pretorianów, którzy by w razie potrzeby mogli ochronić skorumpowanych władców przed gniewem ludu. Wydaje się, że poziom moralny i umysłowy tych władców jest tak opłakany, że nie są zdolni uprzytomnić sobie, iż na dłuższą metę trudno pogodzić apetyty na dobra materialne z wyniszczaniem ich źródeł.

W tym miejscu zamknijmy nawias i wróćmy do zasadniczego tematu. Skoro perspektywy spłaty zaciągniętych długów przedstawiają się opłakanie a kredyt, jakim Polska z takich czy innych względów mogła dysponować, został całkowicie wyczerpany, to na dłuższą metę rozpaczliwe zabiegi Gierka nie na wiele się przydadzą, mimo że jako argumentem posługuje się groźbą interwencji sowieckiej w Polsce („jeżeli nas zostawicie na lodzie, to bieda spowoduje wybuch, a z kolei wybuch wywoła interwencję sowiecką”). Byłoby lepiej gdyby Gierek spróbował przekonać nie tyle samego Breżniewa, co wszystkich jego potencjalnych następców, że komunizm w Polsce udać się nie może, że jego żałosna polska karykatura nie ma najmniejszego sensu i że w dobrze pomyślanym wspólnym interesie leży racjonalizacja polskiej gospodarki, a więc w pierwszym rzędzie uwolnienie jej od doktrynerskiego balastu i od niedouczonego pasożytnictwa. Tak jak rzeczy przedstawiają się obecnie, PRL może liczyć tylko na *Ostpolitik*, czyli na ochłapy z pańskiego stołu, do tego dostępne na coraz twardszych warunkach.

Pisałem już wyżej o podrzędnych zadaniach narzuconych polskiej gospodarce w ramach programu współpracy RFN - PRL, a poprzednim razem o handlu niewolnikami po szczególnie korzystnej (dla Bonn) cenie. Można założyć z bardzo dużą dozą prawdopodobieństwa, że Warszawa będzie musiała wykazywać coraz większą gotowość do podporządkowywania się dezzyderatom Bonn na obu tych odcinkach. Ale wypada jeszcze zarejestrować

ciekawe meldunki także z potencjalnego „placu boju”. Jak wiadomo kwitnie w Polsce — zwłaszcza na Ziemiach Zachodnich — turystyka z RFN. Otóż znane są wypadki, gdy Niemcy na tych ziemiach urodzeni i wychowani (którzy stanowią spory odsetek turystów) zjawiają się w domach czy gospodarstwach, które kiedyś należały do nich, albo do ich rodziców i proponują osiedłym tam Polakom spore — jak na warunki polskie — sumy na przeprowadzenie remontu, czy nawet dokonanie inwestycji. Można by od biedy wyobrazić sobie zamożnego Niemca, który pragnie aby jego dom rodzinny dobrze się prezentował. U podłoża takiej inicjatywy — o filantropijnym wydźwięku — leżałyby wyłącznie względy natury emocjonalnej. Ale podobne wytłumaczenie może odnosić się jedynie do sporadycznych wypadków. Tymczasem te fakty podobno ostatnio się mnożą, co z kolei nasuwa dwa możliwe przypuszczenia: bądź byli właściciele czują się tak mocno w siodle, jako obywatele dynamicznego kraju, że pod kątem optymistycznie ocenianej przyszłości pobierają inicjatywę indywidualne; bądź też — co wydaje się dużo prawdopodobniejsze — chodzi tu już o akcję zorganizowaną i inspirowaną z góry. Kto jest inspiratorem: rząd — ministerstwo spraw wszechniemieckich, które może w pewnym zakresie uprawiać własną politykę — związki przesiedleńcze z prawicowymi powiązaniami? Brak danych na rzecz takiej czy innej hipotezy. Przede wszystkim nie sposób jeszcze ustalić wymiaru tego zjawiska, ale w każdym razie należy je bacznie śledzić. Gdyby rzeczywiście wchodziła w grę akcja zaplanowana przez władze zachodnioniemieckie, to stanowiłaby ciekawy przyczynek do polskiego rozdziału *Ostpolitik* i wolno byłoby ją odczytać jako nawrót do koncepcji niemiecko-polskiego kondominium na Ziemiach Zachodnich (wysuwanej w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych). Ponieważ prognozy demograficzne dla Niemiec Zachodnich wykluczają możliwość ekspansji ludnościowej na Wschód, więc taki program w aktualnych warunkach zasadzałby się prawdopodobnie na przywróceniu prywatnej własności niemieckiej na tych terenach i to chyba na podstawie tytułów prawnych z 1945 roku.

Oczywiście, analizowana ewolucja może zaciążyć, i to ujemnie, na sytuacji Polski w okresie gdy ponownie będą ważyć się losy tej części Europy. Na razie — mimo że niespodzianek nie można wykluczyć — jest to jeszcze perspektywa odległa. Ale i w ramach aktualnego porządku ewolucja ta rzutuje na pozycję Polski w bloku sowieckim, zarówno obecnie, jak i w niedalekiej przyszłości.

Im PRL jest słabsza, tym się z nią w Moskwie i w innych stolicach mniej liczą i tym bardziej musi w ramach „podziału pracy” między „demoludami” przyjmować zadania najmniej atrak-

cyjne, bo najmniej opłacalne. Tak już było w kluczowym dla dalszego rozwoju okresie lat czterdziestych, tak jest i teraz. Przyczyny się zmieniły, ale skutek jest ten sam. Wówczas polscy przywódcy komunistyczni jako najślabi w Europie, a do tego obciążeni kompleksem polsko-sowieckich stosunków z okresu wojny i zajęci walką z własnym społeczeństwem przyjęli pokornie wszystkie nakazy Moskwy. Polsce przypadła w udziale rola bazy asprowizacyjnej, od czego potrafiliby się uchylić sprytniejsi sąsiedzi. Teraz, kiedy tow. Gierek i spółka są skompromitowani w oczach Wielkiego Brata i kolegów, dzieje się tak samo, a obłędna huta „Katowice” nieźle obrazuje tendencję której dalsze wzmocnienie przyniesie dalsze upośledzenie Polski w porównaniu do sąsiadów.

Na odwrót — NRD, i tak już najbardziej rozwinięty kraj bloku, w sytuacji powstałej w wyniku układów między Niemiec-kich zyskuje rolę rozdzielcy nowoczesnej technologii, której wartość jest proporcjonalna do jej rzadkości w krajach bloku. Temu właśnie Berlin Wschodni zawdzięcza specjalną taryfę w Moskwie: jego głos będzie się tam bardziej liczył. Rola *brillant second*, do której pretendował Gierek, zostaje siłą rzeczy przejęta przez Honeckera i przypadnie w udziale jego następcom. Berlin Wschodni był, jest i chyba pozostanie ośrodkiem antypolskim.

3. Polska w oczach opinii zachodniej: zmiana na gorsze

Jeżeli rozpatrujemy problem polsko-niemiecki należy także nakreślić obraz PRL-u i RFN, taki, jakim widzi go obecnie opinia światowa. Na przestrzeni ostatniego dziesięciolecia obraz ten zmienił się zasadniczo i symetrycznie: reputacja niemiecka bardzo się polepszyła, a polska uległa znacznemu pogorszeniu.

Nie korzystną ewolucję PRL zawdzięcza w pewnej mierze udziałowi w „bratniej pomocy” dla Czechosłowacji w sierpniu 1968 roku, głównie zaś czystkom antyżydowskim rozpoczętym wiosną tegoż roku i trwającym ładnych kilka lat. To obłędne i obrzydliwe przedsięwzięcie wywołało gwałtowną kampanię antypolską, która *nota-bene* trwa do dzisiaj, nie bardzo przebiega w środkach i — co najgorsze — zwraca swe ostrze nie tyle przeciwko reżymowi komunistycznemu (który na to setnie zasłużył), ale przeciwko Polsce jako takiej. Mobilizacja potężnej Diaspory Żydowskiej spowodowała znaczne osłabienie sympatii jaką dla Polski i sprawy polskiej mogły żywić różne, tradycyjnie propolskie czynniki świata zachodniego. Pod koniec lat sześćdziesiątych — na szczęście na ograniczony okres czasu — do tej roboty przyłożyła rękę ambasada RFN w Waszyngtonie, która po społu z miej-

scowymi organizacjami żydowskimi ją finansować antypolskie paszkwile. Wynikało z nich ni mniej ni więcej, że w okupowanej Polsce tylko z braku czasu i możliwości technicznych Niemcy nie mogli się skutecznie przeciwstawić masowej rzezi Żydów zorganizowanej i przeprowadzanej przez Armię Krajową!

Stworzyła się iście paradoksalna sytuacja: odium za ludobójstwo zaczęło spadać na Polskę, podczas gdy Niemcy zaczęli się od niego uwalniać. Mieli to do zawdzięczenia bardzo mądrej i dalekowzrocznej polityce wobec Izraela, któremu wypłacili wysokie odszkodowania, wyraźnie podreperowując sytuację gospodarczą i finansową młodego państwa. W ten sposób udało im się przełamać początkową wrogość tak Diaspory jak i Izraela i z biegiem czasu zacieśnić wzajemne stosunki. Polityka ta została zapoczątkowana pod rządami Adenauera i wówczas także miała antypolskie wydźwięki. W okresie gdy w oficjalnym programie rządowym figurowało odzyskanie prowincji utraconych na Wschodzie, zachodnioniemiecka dyplomacja dała dowód niemałego sprytu, traktując straty poniesione przez polskich Żydów w kontekście stosunków z Izraelem. Daleko idącej ugodowości wobec państwa żydowskiego odpowiadała nieustępliwość wobec komunistycznej Polski. Kto wie, czy ugodowość wobec jednych nie rosła w miarę nasilenia rewizjonizmu wobec drugih.

Oczywiście, w bilansie polskich strat ludzkich i materialnych nasi Żydzi stanowią pozycję olbrzymią. Zastosowana polityka odszkodowań wyłączyła ich z „polskiego rachunku”, osłabiając tym samym, i to w proporcji odpowiadającej rozmiarowi tych strat, uzasadnienie polskich roszczeń finansowych, a zwłaszcza terytorialnych. Uwadze opinii międzynarodowej umknęła przy tej okazji wielce ciekawa okoliczność: rząd Adenauera, kwestionując przynależność polskich Żydów do polskiej wspólnoty państwowej, zastosował wobec nich *ex post* ustawy norymberskie! Tak czy owak ewolucja problemu żydowskiego osłabiła moralną pozycję Polski, a w schematycznym obrazie Polski i Polaków — który na Zachodzie zastępuje wiedzę i uzasadnia kultywowanie ignorancji — polski antysemityzm zajmuje poczesne miejsce. Żydzi w Diasporze i w Izraelu — nasi naturalni sprzymierzeńcy — stali się na dobrą sprawę czynnikiem Polsce nieprzyjazylnym, jeśli nie wręcz wrogiem. Jeszcze jeden tytuł do chwały władzy „Ludowej”. Trudno osiągnąć większe mistrzostwo w sztuce szkolenia własnym interesom.

W sumie problemy natury moralnej między Polską a Niemcami nie kształtują się obecnie w sposób rokujący dobre nadzieje na przyszłość. Wiadomo jakie wrażenie wywarło na opinii zachodnioniemieckiej wyświetlenie filmu „Holocaust” (dobrze przynajmniej, że w wersji pokazanej w Europie Zachodniej znikły

sekwencje, w których żołnierze polscy uczestniczyli w likwidacji warszawskiego getta). Otóż trzeba by drugiego Holocaustu, tym razem poświęconego gehennie jednego z trzech i pół miliona zamordowanych polskich chrześcijan, ażeby do najszerzych warstw niemieckiego społeczeństwa mogła dotrzeć świadomość o ogromie krzywd i spustoszeń, które przypadły w udziale Polsce z niemieckiej winy. Chodzi tu przede wszystkim o młode pokolenie, które wiedzę o tym czerpie jedynie z podręczników szkolnych, gdzie — jak wiadomo — nie uzyskała ona należytego miejsca, bądź ze środków masowego przekazu, które jak dotąd stronią od tej tematyki, a kiedy już nie są w stanie jej uniknąć, to traktują ją w sposób wyraźnie stronniczy.

Jeśli ta konieczna świadomość odpowiedzialności historycznej do umysłów niemieckich nie dotrze i w nich się nie ugruntuje, to pierwszy i główny warunek niemieckiej zgody na *status quo* graniczny nie zostanie spełniony i polityka niemiecka będzie dążyć do jego zmiany, skoro tylko koniunktura na to pozwoli. Żadne zapewnienia i deklaracje tego aksjomatu nie zmieniają. Oczywiście, w fazie zabiegów niemieckich o przywrócenie jedności kraju nie będzie się mówiło o etapie dalszym, a nawet będą składane jak najbardziej uspokajające oświadczenia. I tak np. prof. Horst Ehmke, polityk socjalistyczny, b. minister w Urzędzie kanclerskim za czasów Brandta proponuje — jako posunięcie wskazane na obecnym etapie *Ostpolitik* — definitywne uznanie granicy na Odrze i Nysie, po uprzednim porozumieniu się w tej sprawie z przywódcami NRD. (Dowodzi to, że wbrew zapewnieniom Warszawy i Moskwy oraz wbrew zdaniu... Paryża, sprawa bynajmniej nie została ostatecznie załatwiona Traktatem Warszawskim). Nie zamierzam poddawać w wątpliwość dobrej wiary sympatycznego profesora — wprost przeciwnie — jestem skłonny nawet za nią poręczyć. Pragnę natomiast przypomnieć, że Traktat Wersalski został przez Niemcy podpisany „definitywnie”, a już w roku 1922 było Rapallo, a w 1925 Locarno i wojna celna przeciwko Polsce.

4. Wspólny front niemiecko-polski: hipoteza teoretyczna

Pozostaje druga możliwość tzn. niemiecko-polska wspólnota interesów. System aktualnej *Ostpolitik* wychodzi z opcji tak odmiennych, że podobna możliwość mogłaby być wzięta pod uwagę jedynie w rozwiązaniu alternatywnym w stosunku do obecnie realizowanego programu.

Chodzi o to, że Niemcy mogą się z istniejącym stanem rzeczy pogodzić o ile uznają, że leży to w ich własnym interesie. Sprawy

mogłyby się potoczyć po tej linii, gdyby polityka niemiecka odwróciła istniejący obecnie porządek rzeczy. Nie chodziłoby w pierwszej kolejności o postępy sprawy niemieckiej w Europie takiej, jaką jest obecnie, ale najpierw zostałaby podjęta próba przekształcenia sytuacji europejskiej tak, aby w następstwie sprawa niemiecka mogła uzyskać korzystne warunki rozwoju. Od Kremla, w jego obecnej postaci, nie można niczego oczekiwać. Musiałby zatem zostać stworzony porządek pokojowy na zasadach możliwych do przyjęcia przez wszystkich, oparty na równowadze sił, która niesie najlepsze gwarancje trwałości. Wówczas polski stan posiadania mógłby uzyskać solidne zabezpieczenie.

Droga do tego celu nie wiedzie, oczywiście, przez porozumienie z Sowietami na warunkach prędzej czy później przez nich narzuconych; wręcz przeciwnie, jest uwarunkowana trwałą i konsekwentną orientacją wobec Związku Sowieckiego, która bynajmniej nie wyklucza dbałości o rosyjskie interesy państwowe, a do tego idzie w parze z gotowością pomocy gospodarczej — i to na taką skalę, która nigdy dotychczas nie była jeszcze brana w rachubę.

Oczywiście uwzględnienie rosyjskich interesów państwowych nie oznacza odstępstwa od zasady samostanowienia narodów. Wbrew pozorom właśnie w interesie rosyjskim leży wprowadzenie w życie tej zasady i to póki jeszcze po temu pora. Masowej przed Rosjanami stoi ni mniej ni więcej tylko widmo masowej rzezi ludności rosyjskiej na terenach etnicznie nierosyjskich. Można oczywiście tę perspektywę oddalić, ale żaden terror, nawet najbardziej udoskonalony, nie jest w stanie definitywnie jej wyeliminować. Chyba jeśli uciec się do ludobójstwa na skalę ponadhitlerowską i wymordować ponad połowę obecnej ludności sowieckiej — ale to jest oczywisty absurd.

Jak wiadomo, jedną z trwałych cech obecnej, chwiejnej mimo wszystko, równowagi w stosunkach Wschód - Zachód jest stała pomoc Zachodu, z której Sowiety korzystają w dwóch kluczowych dziedzinach: technologii i środków wyżywienia. W ten sposób zostaje częściowo skompensowana strukturalna niewydolność gospodarki komunistycznej. Kreml może kosztem nieludzkiego wysiłku dotrzymać kroku Stanom Zjednoczonym w dziedzinie zbrojeń, żywiąc równocześnie Armię Czerwoną amerykańskim zbożem. Anachroniczny system polityczny może w takim układzie łatwiej przezwyciężać opory napotymane wewnątrz i przedłużać własną egzystencję. Skądinąd wiadomo, że czynnikiem decydującym, któremu poddana jest polityka tego systemu, jest państwowy interes sowiecki. W miarę upływu lat problemy ideologiczne schodzą na plan dalszy i ich główną funkcją staje się zabezpieczenie partykularnych interesów elity politycznej.

Przywódcy zachodni uzasadniają ten osobliwy model stosunków z jednej strony nadzieją na udobruchanie sowieckich partnerów, aby bezpiecznie korzystać z dobrodziejstw cywilizacji konsumpcyjnej, a z drugiej teorią budowania mostów, które raz oddane do użytku mają ponoć przyspieszyć proces liberalizacji w Rosji.

Świat do tego stopnia przywykł widzieć w komunistach doktrynerów, że trudno mu pojąć pragmatyzm sowieckich przywódców. I dlatego Zachód dostosowuje się do wymagań Kremla, nie uświadamiając sobie, że własną słabością i własnym tchórzostwem sam tę sowiecką politykę w dalszym stopniu wyznacza. Sowiecka góra mogła zająć tak korzystną pozycję wiedząc, że jej zasady zostaną przez Zachód przyjęte. Gdyby zamiast ubiegać się o sowiecką przyjaźń i uprawiać zażartą licytację kto bardziej zaskarbi sobie względy Kremla — główne państwa zachodnie postanowiły zastosować wobec Sowietów orientację konsekwentną i przyprzeć ich do muru, to sprawy mogłyby przybrać zupełnie inny obrót.

Brak zachodniej manny mógłby zaostriżyć antagonizmy między technokratami i biurokracją partyjną, wzmocnić pozycję i posłuch opozycji, ugruntować powszechne przekonanie, że „tak dalej być nie może”, tym bardziej że perspektywa rozwiązania narastających trudności dzięki ofercie zachodniej wzmocniłaby atrakcję modelu polityczno-gospodarczego, zdolnego do realizacji towarzyszących tej ofercie warunków. Dobrze pojęty rosyjski interes przemawiałby na rzecz takiego rozwiązania. Oczywiście dynamizm zachodnioniemiecki znalazłby wdzięczne pole do popisu, bo poważna część zmobilizowanych w tym celu zasobów pochodziłaby z rezerw zachodnioniemieckich. Wolno sądzić, że w ostatecznym rozrachunku operacja taka okazałaby się nieporównanie bardziej opłacalna od obecnej *Ostpolitik*.

Polsce, z uwagi na siłę jej Kościoła, potencjał ludnościowy, położenie geograficzne, ogromny ruch kontestatorski i atrakcję jej tradycji i kultury w Europie Wschodniej z Rosją włącznie (atut o ogromnej doniosłości!), przypadłaby w rozważanym układzie rola pierwszoplanowa. Z pozycji upośledzonego kopciuszka *Ostpolitik* awansowałaby do roli awangardy nowego układu. Oczywiście, poparcie kontestatorów wschodnioniemieckich, stworzenie przez polski katolicyzm zaplecza dla uciskanych Kościołów w NRD, wypracowanie — po społu z ruchami opozycyjnymi w innych krajach — zasad nowego porządku w naszym regionie, to wszystko musiałoby przywrócić nam rangę atrakcyjnego partnera RFN. Dobrze pojęty interes niemiecki wymagałby wówczas liczenia się z naszym zdaniem i z reprezentowanymi przez nas możliwościami a więc i uwzględniania ich w niemieckich planach na przyszłość. Na tej drodze może powstać korzystna zbież-

ność orientacji dyplomatycznej Niemiec Zachodnich z naszymi interesami.

Naturalnie, nawet gdyby się to udało, nie wystarczy przekonać Niemców o zaletach tej perspektywy tak zupełnie różnej od wehnerowskiej. Przedsięwzięcie uzyskałoby widoki powodzenia dopiero wtedy, gdyby stało się przedmiotem konsekwentnej polityki całego Zachodu. Wiemy wszyscy jaki stopień prawdopodobieństwa przypisać podobnej perspektywie. Co prawda w niespodziewany sukurs może nam przyjść bardziej oświecona część opinii zachodniej, w miarę jak coraz wyraźniej zaczną zarysowywać się skutki *Ostpolitik*. My dawno zostaliśmy odpisani na straty i nikt się o nasz los nie troszczy. Ale na ten sam luksus wobec Niemiec Zachód na pewno pozwolić sobie nie może. Skoro ryzyko secesji zachodnoniemieckiej zaistniało z braku zachodniego rozwiązania dla kwestii niemieckiej, to trzeba takie rozwiązanie stworzyć — a może się to stać tylko na drodze rewizji dotychczasowej polityki wobec Europy Wschodniej. Gdyby ludzie Zachodu nie cierpieli na chroniczny brak wyobraźni, uprzytomniliby sobie tę oczywistość dużo wcześniej.

Status quo w Europie, jako sprzeczny z naturą, prędzej czy później musi ulec zmianie i to albo na niekorzyść sowiecką, albo na niekorzyść Zachodu.

Zbigniew RAPACKI

Paryż, dnia 1 maja 1979 r.

Widziane z Brukseli

Mój ostatni samolot

Samuel Pisar, polski Żyd, oświęcimskie dziecko, obywatel amerykański, międzynarodowy adwokat, przyjaciel i doradca super-możnych, jest także pisarzem. W swojej ostatniej książce pod bardzo niedobrym tytułem „Krew nadziei”, stanowiącej sumę jego obozowego doświadczenia i zawierającej jego posłanie do współczesnego zwariowanego świata, Pisar przytacza fragment rozmowy z pewną „dostojną osobą”.

„Nasze demokracje — mówiła dostojna osoba — zagrożone są od wewnątrz i od zewnątrz. Mam wobec mojej rodziny obowiązki podjęcia pewnych kroków zaradczych. Mam już ubezpieczenie na życie, na dom, i na samochód. Jedyną rzecz, której

nie mogę ubezpieczyć jest moja wolność. Czy mógłby mi pan pomóc w otrzymaniu stałej wizy, upoważniającej mnie do wjazdu do USA w każdej chwili. Kiedy wybuchnie dramat, chciałbym mieć pewność, że będziemy mogli wsiąść na ostatni okręt lub na ostatni samolot...”

(Proszę pana — odpowiedział Pisar dostojnej osobie — pan zapewne przesadza w ocenie totalitarnego zagrożenia w Europie. Historia nie jest fatalistyczna. Wiem, że zagrożenie istnieje, ale ucieczka nie stanowi rozwiązania”.

Nie wiem czy Pisar słusznie odpowiedział dostojnej osobie, bo przecież kiedy odchodzić będzie ostatni statek, to już będzie po „zagrożeniu”, ale mniejsza... Pisar przypominał sobie tę rozmowę, kiedy wraz z Henry Kissingerem uczestniczył niedawno w dyskusji przed zgromadzeniem 400 prezesów największych banków świata w Meksyku. „Mimo — wspomina Pisar — naszych podobnych poglądów na *détente*, uderzył mnie skrajny pesymizm Kissingera. A przecież on miał szczęście, on mógł wraz ze swoją rodziną, wsiąść na ostatni statek, w chwili kiedy ja byłem już w mocy sił ciemności. Tak więc jego ojciec miał rację, a mój się mylił. No, a jak jest dziś?”.

Ano... Książka Pisara nabrała specjalnej aktualności po wyświetleniu serialu pt. „Holocaust” i po wizycie Papieża w Polsce. Jest częścią ogromnej dyskusji jaka się toczy przez świat w ogóle i świat polsko-żydowski w szczególności. Mój ojciec się mylił i wraz z całą rodziną padł ofiarą — jak je określa Pisar — „sił ciemności”. Mnie jednak udało się wsiąść na ostatni statek (nie jeden raz w ciągu mojej krótkiej biografii). Dzięki temu mogę dziś pisać do *Kultury* i zabrać głos w tej dyskusji. Będzie to głos dość specjalny: będzie się składał z trzech głosów i z wielu podgłosów.

CZĘŚĆ PIERWSZA: NAJPIERW RDZENNI POLACY

1) Holocaustu czyli zagłady nie można dobrze sfilmować. Nikt nie nie opisze ani nie sfilmuje zagłady tak, aby mogła oddać nasze własne tragedie — tych co zginęli i tych co przeżyli.

2) Holocaustu nie oglądałem, z powodów jak wyżej. Śledziłem jednak bardzo pilnie jego opad i dyskusję, jaka się po serialu wywiązała. Choć bowiem Holocaustu dobrze sfilmować nie można, choć serial amerykański zawiera, jak wynika z dyskusji, ogromne błędy, to spełnił jednak bardzo ogromną rolę. Złamał barierę milczenia, wskrzesił w gniącym świecie — jak to ujął francuski poeta Paul Eluard — „krzyk, który jeśli ustanie, zginie”. Znaczenie filmu wykracza poza kryteria artystyczne czy ścisłość dokumentacyjną. Serial dokonał tego, czego nie dokonało 100 filmów czy książek dokumentarnie ścisłych: wstrząsnął sumieniami, przemówił do wyobraźni.

Dziś obraz rządzi światem i ludźmi wstrząsnąć mogą nie pisa-

ne dzieła o ogromie zagłady, a film o dramacie jednej rodziny. Historia Kaina i Abła na ekranie telewizyjnym jest bardziej przekonująca niż setka tabel statystycznych o wzroście przestępczości. Dzięki temu „westernowi” Amerykanie dowiedzieli się w ogóle o istnieniu słowa „Holocaust”, a młodzi Niemcy „zobaczyli” to czego dokonali ich rodzice. Francuzi, którzy ciągle jeszcze nie rozliczyli się z ich własnej kolaboracji, postanowili właśnie na fali opadu po „Holocauście” wytoczyć nareszcie proces z ustawy o zbrodniach przeciwko ludzkości, uchwalonej jeszcze w 1964 roku. Oskarżonym jest René Bousquet były delegat ministerstwa Spraw Wewnętrznych rządu Vichy przy hitlerowskich władzach okupacyjnych w Paryżu, który przez ostatnich 35 lat robił ładną karierę w *bussines’ie*. Mówiąc w skrócie bardzo dużo brudnej piany wyszło na wierzch właśnie i tylko dzięki trzęsieniu ziemi po wyświetleniu „Holocaustu”...

3) W tej skali detale są nieważne, a liczy się rezultat. Ale oczywiście nie dziwię się oburzeniu Odojewskiego (*Kultura* Nr 3/1979) na „świadome antypolskie fałszerstwa” serialu. Na jego miejscu też napisałbym artykuł. Ale inny.

4) „Pan nie powinien na ten temat milczeć, powiedziała do mnie, jak do Pisara, pewna „dostojna osoba”, której zdanie szanuję. Pisuje pan o wszystkim, niech pan zabierze głos, to w końcu także pańska sprawa. Niech pan Odojewskiego poprze”.

5) Nie chciałem zabrać głosu i poprzeć Odojewskiego, choć to rzeczywiście także moja sprawa. Nie chciałem z trzech powodów.

Po pierwsze, nie odpowiada mi podejście Odojewskiego. Nie lubię i nie podzielam spiskowej interpretacji historii. Odojewski przywykł — jak pisze — „do smutnego faktu, że spora część wypowiedzi pochodzących z kół żydowskiej emigracji ze Wschodniej Europy jest Polsce i Polakom bardziej niż niechętna...”. Ta niechęć tłumaczy — według Odojewskiego — w dużym stopniu i antypolskie fałszerstwa „Holocaustu” i niemożność przekonania rozmaitych telewizji o konieczności poczynienia pewnych skrótów, a także brak obiektywizmu w dyskusjach, jakie się po filmie przed kamerami TV toczyły.

Otóż, ja nie wiem co to znaczy „spora część”, ani co to są „koła żydowskiej emigracji”. „Koła” te nie mają monopolu na fałszerstwa i ignorancję. Pierwszym, który zaprotestował, i to w Polsce, przeciw „fałszerstwom” był Nahum Goldman, prezes Światowego Kongresu Żydów, inaczej mówiąc właśnie „sporej części kół...”. Spore części i koła można znaleźć wszędzie, także i w Polsce, a operowanie w tak delikatnej materii ogólnikami do niczego nie prowadzi, w każdym razie nie prowadzi do rzeczowej dyskusji.

Po drugie, nie odpowiadała mi metoda Odojewskiego. Jego słuszną krytyka antypolskich szczegółów „Holocaustu” jest w swej metodzie odbiciem podstawowego błędu „Holocaustu” właśnie, a mianowicie ahistorycznego podejścia autorów serialu do nazizmu. Hitleryzm wyskoczył tam nagle, nie miał żadnej genezy i prehistorii. Film jest bardzo przejmujący, ale mało uczący.

Artykuł Odojewskiego jest także uczuciowy, ale ahistoryczny. Problem polsko-żydowski nie powstał z powodu wyświetlenia Holocaustu. Cóż za paradoks! Serial, który miał (i częściowo zaczął) wywołać obrachunek Niemców z Niemcami, służy — według i poprzez artykuł Odojewskiego — do porachunków polsko-żydowskich. Trudno przyjąć oburzenie nawet uzasadnione jako sposób dyskusji.

Po trzecie, milczałem, bo uważam, że po wymazaniu polskiego żydostwa z historii, o polskich Żydach powinni pisać tzw. rdzenni Polacy.

Wszystkie te zastrzeżenia znikły naturalnie po przeczytaniu ważnego artykułu Andrzeja Szczypińskiego i wzruszającej wypowiedzi Andrzeja Koraszewskiego w *Kulturze* z maja 1979, a także po otrzymaniu niestety z opóźnieniem numeru *Spotkań* z wypowiedzią Jacka Zaborowskiego. Rdzenni Polacy zabrali głos. Przyszła pora i na mnie. Uważam, jak oni, że można o sprawach polsko-żydowskich, gdzie narosło tyle bólu, uprzedzeń i demagii, pisać spokojnie i poważnie. Oto moja propozycja podejścia do końcowej fazy wspólnej historii Polaków i Żydów.

CZĘŚĆ DRUGA: LEOPOLD UNGER: ZA DUŻO ŻYDÓW CZY ZA MAŁO SOCJALIZMU?

Motto:

„Zamyka się epilog prawie tysiącletniej historii Żydów w Polsce, w kraju, który szczycił się, że zawsze — nawet w okresie barbarzyńskiego średniowiecza — był azylem dla prześladowanej i przepędzanej ludności żydowskiej. Wprawdzie były i w Polsce w różnych okresach objawy antysemityzmu, a największe skupisko Żydów na świecie właśnie na naszych ziemiach stanowiło niełatwy problem społeczny, jednak nigdy przedtem w naszej historii hasło antysemityzmu nie zostało wypisane na państwowych sztandarach, nigdy nie było narodowym programem.

Wydawało się, że po wymordowaniu przez hitlerowców prawie całej trzymilionowej masy Żydów polskich, na zawsze zniknie problem, który można byłoby wygrywać. Okazało się to złudzeniem. Okazało się, że dla stworzenia i wykorzystania problemu wystarczy nawet garstka, jaka ocalał z hitlerowskiego piekła...”

Władysław Bieńkowski, *Motory i hamulce socjalizmu*, Wydawnictwo: „Instytut Literacki — *Kultura*”, seria „Dokumenty”, Paryż, 1969.

To co Bieńkowski nazywa „epilogiem tysiącletniej historii Żydów polskich” już nastąpiło. Ostatni *exodus* żydowski w Europie — jak to obrazowo nazwali reporterzy zachodni — już się dokonał. Tylko ostatnie krople krwi żydowskiej jeszcze się sączą z Polski w kierunku Izraela i Austrii, Danii czy Szwecji; więcej jest w tej chwili odmów ze strony władz bezpieczeństwa, zwłaszcza wobec osób, których żydowskie pochodzenie może budzić

wątpliwości, niż udzielonych „dokumentów podróży”, stwierdzających lakonicznie, iż „posiadacz niniejszego nie jest obywatelem polskim”. Cisza zapanowała nad tą trumną, ślady dramatu garstki ludzi zostały sprawnie zatarte i coraz rzadziej można już znaleźć resztki trującego opadu lat 1967-69 w atmosferze współistnienia i hołubienia *status quo*. I tylko czasem w listach czy w rozmowach odezwa się jeszcze echa tragedii rozdartych rodzin, rozłączonych kochanków, wypalonych nadziei, porzuconych czy zawiedzionych przyjaciół, nie mówiąc już o skutkach bankructw zawodowych, o piekle readaptacji, murze obcości języka i obyczajów.

Świat chce mieć spokój, świat ma inne zmartwienia. Śmiesznie mała grupka polskich Żydów zniknęła, roztopiła się w świecie. Koniec, kropka...

10 przykazań

Nie ma — jak dotąd — próby przedstawienia „ostatniego etapu” historii polskich Żydów w całej złożoności operacji lat 1967-69. I nie ma w tym chyba nic dziwnego. Z wielu przyczyn bowiem, każda podjęta — według do dziś popularnych ale uproszczonych kryteriów — próba przedstawienia wygnania kilku tysięcy Żydów z Polski jako tragedii w wymiarze światowym jest skazana na fiasko. W odczuciu świata, zgodnie z informacjami jakimi on dysponuje, nie jest to ani tragedia, ani żydowska, ani światowa.

1. Nie przesadzaj!

Exodus Żydów polskich wypadł „w złym momencie”. Mimo, że przez jakiś czas przyciągała uwagę tania egzotyka pociągu „Szopen” na dworcu wiedeńskim lub — jeszcze taniej porównywanego do „Exodusu” — statku w porcie kopenhaskim, świat nigdy nie był skłonny uwierzyć w prawdziwe rozmiary tragedii polskich Żydów. Zbyt wiele działało tu „konkurencji”. Białra przytłaczała rozmiarami autentycznego ludobójstwa, Czechosłowacja — głębokością narodowego dramatu. Cynicznie mówiąc — słusznie — jeden Palach wytoczył więcej łez niż wszyscy razem żydowscy emigranci z Polski.

Zachód nie rozumiał również dlaczego wyjazd Żydów z Polski do bogatych krajów kapitalistycznych czy do Izraela ma być tragedią, podczas gdy wyjazd Włochów lub Irlandczyków do USA, Jugosłowian czy Arabów lub Hiszpanów do wszystkich krajów bogatej Europy stanowi ukoronowanie marzeń i ogromną szansę życiową.

Do zatarcia tragicznych rysów polskiego *exodusu* przyczynił się także niewątpliwy dramat setek tysięcy czy milionów Żydów

w ZSSR. Dla zdolnych jeszcze do wzruszeń humanistów na Zachodzie, nie mówiąc już o tym co zwykło się nazywać „światowym żydostwem”, fakt, iż ogromna liczba sowieckich Żydów nie może wyjechać, choć rzeczywiście o niczym innym nie marzy, jest — i słusznie — najprawdziwszym dramatem, natomiast komfortowy wyjazd polskich Żydów stanowił szansę, za jaką w istocie powinni byli być wdzięczni władzy ludowej w Warszawie.

2. Nie znikaj!

Obraz zbiorowiska ludzkiego jaki prezentuje światu emigracja żydowska z Polski, uniemożliwia oddanie konturów niewątpliwego przecież jej dramatu. Przede wszystkim jest to emigracja rozproszona. Niewielkie grupki znalazły schronienie w USA, Kanadzie czy Australii, gros *exodusu* wylądowało w rozmaitych krajach, przede wszystkim w Danii, Szwecji, no i w Izraelu, do którego — chociaż stanowił przymusowe uzasadnienie wyjazdu — dotarło jedynie ok. 30 %.

Jeżeli pominąć związki prywatne — a więc z natury rzeczy liczbowo skromne — emigracja z lat 68-69 nie zachowuje żadnych elementów więzi, nie posiada żadnej organizacji czy reprezentacji, nie odczuwa żadnej potrzeby integracyjnej. Przyczynia się do tego fakt, że wszystkie kraje docelowe praktykują politykę szybkiej absorpcji, ale także i to, że naturalną koleją wspólnota losu prześladowanych znika natychmiast po uwolnieniu się od prześladowców.

Jest to tym bardziej naturalne, że w Polsce przed ostatnią falą antysemityzmu, społeczność żydowska jako taka właściwie nie istniała, a jeżeli chcieć by ją sztucznie odtworzyć to jawiłaby się ona wewnętrznie rozbita: klasowo, zawodowo i środowiskowo. Proces asymilacji był — jak się okazało *pozornie* — bardzo daleko posunięty, interes specyficznie i grupowo żydowski nie istniał, a interesy poszczególnych Żydów miały charakter środowiskowy i zawodowy, a nie narodowy. Żydowski działacz stalinowski był naturalnie związany ze stalinowcem „rdzennie polskim”, który zresztą nierzadko był antysemitą, a Żyd-pisarz razem ze swymi kolegami „aryjskimi” zwalczał albo padał ofiarą polskiego albo żydowskiego cenzora czy dzierzymordy.

Trudno dziś negować że, w większym niż myślano stopniu, antysemityzm w określonych kręgach istniał — zbyt wiele było rozczarowań — ale nie ulega kwestii, że dopiero rzucenie hasła od góry zaktywizowało go i że dopiero szantaż albo związanie określonych korzyści z udziałem w antysemickiej rozróbie nadało akcji masowy charakter i zorganizowane formy.

Tak więc w Polsce roku 1968 grupa żydowska sformowana została przez samych antysemitów dla celów rządowych i partyjnych i nic dziwnego, że rozpadła się natychmiast po przekroczeniu granicy.

3. Nie dziw się!

Spółeczeństwo polskie pożegnało swoich Żydów bez żalu i bez łez. Nie jest to pretensja, a tylko stwierdzenie faktu. Przyczyny tej obojętności wymagają delikatnego podejścia. Każda z ofiar wypędzenia zna przecież przypadki szlachetnej i wzruszającej postawy polskich przyjaciół, no i wiadomo, że w dziedzinie postaw społecznych wszelka próba uogólniania jest niebezpieczna i może być krzywdząca.

Bez aspiracji do syntezy można więc powiedzieć, że społeczeństwo polskie w rozgrywkach ostatnich przedmarcowych lat widziało przede wszystkim konflikt wewnątrz-partyjny, gdzie nie Żydzi padali ofiarą, a komuniści, i to z rąk nie Polaków, a innych komunistów. Potem, po marcu 68, kiedy zjawisko stało się wyraźne i cynicznie antysemityczne, było już za późno, i mimo niesmaku i zawstydzania, chodziło się na antyżydowskie wiecje i zebrania lub po prostu milczało się ze zwyczajnego strachu. Na pomarcowej fali bowiem, wszelka próba przeciwstawienia się ofensywie antysemitycznej kończyła się sankcjami, także ekonomicznymi.

W świetle tego, nie należy się dziwić, że nie znalazło się zbyt wielu Polaków, skłonnych do ryzykowania posady („ja mam żonę i dzieci!”) w imię zwalczania tego, co było dla nich kolejnym etapem degeneracji systemu, który przecież bez przerwy od objęcia władzy kogoś zwalczał, niszczył, prześladował. Mniejsza o to jak nazywane były poszczególne etapy prześladowań: walką z kulkami, z żołnierzami Armii Krajowej, z klerem czy działaczami katolickimi, pisarzami czy ostatnio rewizjonistami, w świadomości Polaków władza komunistyczna utrwalała się w postaci stałej i wszechobecnej przemocy, w kształcie molocha nieustannie wołającego o dalsze ofiary. Zgodnie z tą popularną i niepozabawioną słuszości teorią, musiała przyjść kolej na Żydów. Wyrafinowane rozważania odnośnie różnic między poglądami politycznymi a pochodzeniem rasowym jako motywacja prześladowania, nie miały naturalnie sensu w warunkach, kiedy tak jak nikt nie wybierał sobie pochodzenia, ani nie mógł go ukryć, bo mogło mu być to przypominane w każdym odpowiednim momencie, tak i poglądy bywały z zasady narzucone i rzadko odpowiadały rzeczywistości tym, jakie kolejna ofiara wyznawała na prawdę.

Dla Polaków więc, tych niezaangażowanych w walkę frakcji, heca antyżydowska, aczkolwiek wyjątkowo haniebna i odrażająca, nie była żadnym przełomowym faktem w dziejach systemu socjalistycznego, ani nie może być decydująca w jego ocenie. Dla polskiej inteligencji ów system polityczny nie zdegenerował się nagle przez sam fakt antysemitycznej nagonki. Stalinowski czy neo-stalinowski stupajka, cenzor czy tajna policja były odpychające również bez antysemityzmu, choć trudno negować, iż ten ostatni kwiatusek wymownie upiększył całość bukietu.

Na próby nadania prześladowaniu Żydów wartości nadrzędnej, „normalnej” Polacy odpowiadają, że kiedy skarżyli się żołnierze Armii Krajowej, chłopci, intelektualiści katoliccy to Żydzi jako grupa nie tylko nie protestowali, ale nawet byli obecni wśród prześladowców. Niezależnie od łatwej do dowiedzenia demagogii tego argumentu, rasistowskiego przecież *à rebours* (Żydzi jako grupa nie istnieli, a Polacy też przecież jako „grupa” nie protestowali) nie wolno go nie brać pod uwagę, tym bardziej, że przekroczył on granice Polski.

„Żydowskie żale” traktowane były również jako spóźnione, bo przecież, według polskiej opinii, dla każdego kto miał oczy i chciał widzieć powinno było być widoczne, że formuła socjalistycznej dyktatury — tak jak ją realizuje się w Polsce — była od początku antynarodowa i antypostępowa i nie dawała żadnej szansy rozwiązania kwestii polskiej, żydowskiej, czy jakiegokolwiek innej narodowej.

Zgodnie z tym poglądem, fakt, że Żydzi przejrżeli dopiero kiedy sami stali się obiektem prześladowań, nie daje im prawa do wyjątkowego współczucia. Argument ten jest znowu demagogiczny, niemniej jest popularny nie tylko w Polsce, ale i wśród niektórych kół żydowskich na Zachodzie, w myśl zasady: „nikt im nie kazał tak długo w Polsce siedzieć”.

4. Nie uogólniaj!

Do zaciemnienia obrazu sytuacji, w jakiej doszło do *exodus'u*, przyczyniły się zupełnie zasadnicze błędy ze strony prasy zachodniej, przede wszystkim żydowskiej. Można zrozumieć oburzenie opinii zachodniej w obliczu cynicznego i bezkarnego prześladowania resztki Żydów na największym żydowskim cmentarzu na świecie. Nie można natomiast zgodzić się z wrzucaniem przy tej okazji do jednego worka wszystkich Polaków. Wprost przeciwnie — trzeba było i trzeba jeszcze ciągle wskazywać na głęboki rozłam między władzą a społeczeństwem polskim. Pomijając inne i może ważniejsze świadectwa tego rozłamu, wystarczy wskazać tu na dowód w tym przypadku specyficznie wymowny: zaskakująco szerokie w masach poparcie sprawy Izraela w 1967 roku. Jeszcze większe rozbieżności zarysowało się po brutalnym spacyfikowaniu demonstracji młodzieżowych w marcu 68.

Tymczasem miast podjąć w kampanii prowadzonej przeciw prześladowaniu Żydów w Polsce te właśnie elementy rozłamu i wskazać na wspólnotę losu prześladowanych, niektóre gazety na Zachodzie błędnie i zbędnie obciążały odpowiedzialnością wszystkich Polaków, sięgając nawet do aberracyjnych analogii z hitlerowcami z Oświęcimia.

Było to nie tylko nieprawdziwe, ale i szkodliwe. Mniejsza o rozważania na temat sprawiedliwości i prawdy historycznej. Powiedzmy tylko, że efektem takiej uogólniającej ofensywy był jednolity front wszystkich pokoleń Polaków wobec posądzenia

ich o zbrodnię, do których się nie poczuwali. Po raz pierwszy od 1956 roku, opinia publiczna w Polsce działała solidarnie z władzą, chodziło przecież o dobre imię całego narodu. Polscy attachés prasowi za granicą otrzymali polecenie zbierania najgłupszych choćby antypolskich wypowiedzi z najbardziej nieznanymi i najbardziej nieodpowiedzialnymi piórami świata, które natychmiast cała prasa polska szeroko kolportowała i komentowała.

5. Nie upraszczaj!

Choć, prześladowanie Żydów w Polsce w latach 1967 — i dalszych — było niewątpliwie, prześladowcy z minimalnymi wyjątkami, nie sięgali do metod gestapowskich. Poza brutalną pacyfikacją młodzieży i to w olbrzymiej większości „aryjskiej” (żydowskiej choćby chcieć — nie starczyło), akcja dyskryminacji toczyła się za parawanem ideologicznej akcji „anty-syjonistycznej”, zmierzała do oczyszczenia aparatu władzy i polityki z „elementu niepewnego”, często pod zarzutami ściśle zawodowymi („brak kwalifikacji”) czy wreszcie — jak to było w odniesieniu do profesorów czy dziennikarzy — na zasadzie sporu ideologicznego. Niszczenie pokonanego przeciwnika, autora odrzuconej tezy, niefortunnego krytyka władzy, było zawsze, niezależnie od etapu i pochodzenia ofiary, rzeczą w tym ustroju najzupełniej naturalną. Nikogo nie dziwił przecież i nie oburzał jawnie fakt, że przedtem wyrzucano w Polsce niemarksistowskich profesorów, katolickich dziennikarzy itp. Oczywiście, w rzeczywistości Żydów nie wyrzucano za poglądy, a wyłącznie za pochodzenie i to w prowokacyjnym celu, oczywiście rasistowska motywacja była ewidentna, nie zawsze leżała jednak na powierzchni, czasem trzeba się jej było mozolnie dokopywać.

Tymczasem nierzadkie były wypadki kiedy wydarzenia w Polsce przedstawiano w uproszczony sposób jako *bad guys fighting good guys* przy czym *good guys* to byli zawsze i tylko Żydzi. Nie dopatrzono się np. bardzo specyficznego charakteru polskiego modelu władzy socjalistycznej z drugiej połowy lat 60-tych, kiedy to dokonywał się swoisty sojusz polskiego socjalizmu z polskim faszyzmem, Gomułka i Moczara z Piaseckim i Hrabym, najbardziej autentycznymi z żyjących w Polsce przedstawicielami prawdziwego faszyzmu przedwojennego. W wyniku tego swoistego sojuszu i w poszukiwaniu utraconego „kontaktu z masami” w propagandzie partyjnej można było nawet natrafić na argumenty z arsenału tradycyjnego antykomunizmu w jego najbardziej kołtuńskiej postaci, to jest połączonego z antysemityzmem. Miał to być argument na rzecz ustanowienia forsowanego przez frakcję Moczara jakiegoś komunizmu czy socjalizmu narodowego, jakiejś polskiej odmiany nazizmu. Sprowadzanie wymiaru ofiar takiego systemu do kilku tysięcy Żydów jest naiwnością.

6. Nie zawężaj!

W rzeczywistości więc sprawa żydowska w Polsce po czerwcu 1967, a zwłaszcza po marcu 1968, nie stanowiła wcale *ding an sich*. Był to fragment większej całości, specyficznie polski refleks faszyzacji życia społecznego, ustanowienia hegemonii policji nad partią i rządem, walki o pozycje w kierownictwie partii i państwa — walki, która objęła cały aparat ucisku i cały aparat partyjny i państwowy. Nie ulegało kwestii, że manewr żydowski był tylko jednym ze środków działania w tej bezpardonowej walce i że obecność Żydów miała ewentualnie skompromitować jedną z zaangażowanych frakcji lub też dostarczyć kozła ofiarnego. Mimo tragedii skazanych Żydów, w istocie chodziło nie o ich los, a o los wszystkich Polaków. Mniejsza o szczegóły tej ponurej hecy, wiele razy już ją opisywano, wystarczająco kompromitujący jest fakt, iż obie strony uznały, że odwołanie się do argumentu żydowskiego może im zapewnić większe szanse w rozprawie z konkurencyjnym gangiem. Ważniejsze jest dla naszych rozważań, że dla Polaków myślących i czujących — a takich było znacznie więcej niż się na Zachodzie myślało — sprawa żydowska — choć bolesna — była jednak wtórna w stosunku do sprawy polskiej.

Nic dziwnego więc, że wszystkie próby nadania priorytetu niewątpliwie prześladowanym Żydom z pominięciem ogólnonarodowego aspektu ugruntowywania się (najbardziej chyba ponurej w historii) władzy pogardzanych, zawodowo podejrziwych i smutnych, nieufnych, zawistnych, tchórzliwych i sfrustrowanych bo izolowanych policjantów, były skazane na niepowodzenie i na niepopularność wśród milionów Polaków, głównych ofiar neostalinizmu.

Obojętność Polaków wobec, według nich, nie podstawowych dla owego okresu cierpień Żydów, tłumaczy także fakt, iż wokół prześladowań Żydów powstał natychmiast zjednoczony front na całym świecie, że wielcy ludzie ogłaszali protesty, a organizacje międzynarodowe zaczęły zbierać podpisy — i fundusze, podczas gdy nikt poważnie nie zainteresował się losem zakneblowanej Polski „aryjskiej”. Moralne i faktyczne *auto da fe* literatury polskiej, kafkowskie zdejmowanie z afisza sztuk klasyków, procesy młodych intelektualistów skazywanych na ciężkie roboty za kolportowanie *Kultury*, wszystkie te bolesne ciosy, które w najlepszym razie trafiały do kronik sądowych na dalekich stronach prasy światowej, dla inteligencji polskiej były znacznie bardziej istotne, niebezpieczne i znamienne dla degeneracji władzy, niż niewątpliwie rasistowskie usuwanie oficerów, urzędników czy profesorów o żydowskich rysach twarzy.

Dlatego młodzież wyszła na ulice w obronie ocenzonego Mickiewicza czy w obronie studentów bitych za głoszenie prawa do swobodnego myślenia, dlatego kościół zagrzmiął „w obronie

polskich dzieci katowanych przez komunistyczną policję", natomiast nikt, z wyjątkiem kilku pisarzy i studentów, publicznie nie zaprotestował przeciw antysemityzmowi i dlatego w odważnej pomarcowej interpelacji niezależnych parlamentarzystów katolickich nie znalazło się nawet miejsce dla wspomnienia o krzywdzie resztek polskich Żydów. Dlatego też ci Polacy, którzy ze szczerym oburzeniem i wstrętem mówili w domu o Gomułce i Moczarze, a z pełnym poczuciem ryzyka zanosili żywność strajkującym studentom, obojętnie nieraz wysłuchiwali oczywistych bredni na zebraniach, kiedy wyrzucano urzędników o innych nazwiskach niżby na to wskazywały ich nosy. Tym bardziej, iż zajmowali ci urzędnicy nieraz wysokie stanowiska i należeli do wyobcowanej kasty mandarynów.

Można jeszcze dodać, że napiętnowanie antysemickiego charakteru akcji utrudniał fakt, iż w nagonce brała udział pewna grupa Żydów. Żydowski komuniści byli zawsze zdecydowanymi przeciwnikami syjonizmu czy w ogóle jakiejkolwiek ideologii żydowskiej odrębności i teraz znowu, choć prostacko antysemicki charakter akcji nie ulegał kwestii — towarzyszyli awangardzie „antysyjonistycznej” ofensywy. Pogardliwie traktowani przez starych i nowych faszystowskich sojuszników, choć przyczynili się ci Żydzi do zatarcia antysemickich konoturów całej kampanii, nie uniknęli naturalnie „odstrzału”.

7. Nie rozpaczaj!

Pewna — bardziej prymitywna — część społeczeństwa polskiego nie mogła zrozumieć powodów do alarmu, skoro przed Żydami otworzyły się granice państwa. Nie negując przykrości związanych z przymusowym przesiedleniem, wielu Polaków patrzyło na wyjeżdżających Żydów z pewną zawiścią. Jest to o tyle zrozumiałe, że Polacy (prawie każda rodzina ma kogoś za granicą) znają różnice w stopie życiowej, wiedzą, że przy wielu wadach — ustrój demokracji burżuazyjnej potrafił zapewnić sześciu zakres swobód osobistych, że „jak ktoś dzwoni o 5-tej rano, to jest to na pewno mleczarz...” itd., itp. Zawieść ta rosła w miarę (jeżeli chodzi o maluczkich), jak propaganda inspirowana przez policję donosiła, iż każdy emigrant otrzymuje od razu na dworcze we Wiedniu 5.000 dolarów, mieszkanie z basenem i samochód...

Jest także spora część inteligencji polskiej, która uważa, że po najeździe Czechosłowacji, w którym udział wojska polskiego był dla niej znacznie większym wstydem niż milcząca obecność na wiecu przeciw Dajanowi, Polska znalazła się sama „po inwazji”, jest krajem okupowanym. Wielu z tych Polaków byłoby zadowolonych, gdyby mogło spokojnie i z bagażem wyjechać. Oczywiście, 30 milionów Polaków ani nie może, ani nie chce z powodu garstki gangsterów, przenieść się np. do Kanady, ale rozbicie tragedii z powodu zamiany „krajem okupowanego” i biednego na wolny i bogaty, do nich nie przemawia i ich nie prze-

konuje. Nawet jeżeli ta „zamiana” poprzedzona była falą prześladowań i nawet, jeżeli wygnani Żydzi nie chcieli opuszczać kraju, który uważali za swoją ojczyznę.

Tym bardziej, że wygnańcy nie potrafili oderwać się od indywidualnego wymiaru i materialnego kształtu doznanej krzywdy. Nikt rozumny i uczciwy nie neguje, że krzywda się stała. Ale nie było celowe sprowadzanie do ram dramatu rzeczywiście odrażających metod celnych, poniżającego szantażu pakowaczy, administratorów, łapówkarstwa na rozmaitych szczeblach czy odrażającej atmosfery handlu mieniem pożydowskim. Polskie władze bezpieczeństwa znalazły zresztą na to natychmiast antidotum. Rozesłały mianowicie do polskich placówek zagranicznych spisy rzeczy wywiezionych z kraju przez niektórych, względnie „zasobnych”, emigrantów. W ten sposób, pozbawiony wyobraźni zachodni, nie mówiąc już o krajowym, „kontrahent”, polskiego attaché prasowego, oglądał spis wywiezionego mienia, często przekraczającego jego własny stan posiadania i oczywiście nie sięgał myślą do tego wszystkiego co w dziedzinie pozamaterialnej, a więc trudno uchwytniej, towarzyszyło „emigracji”.

8. Nie zapomnij!

Zachodnie środowiska żydowskie poświęcające swój czas, energię i... pieniądze przesiedleńcom z Polski, miały nieprecyzyjny pogląd na rodzaj prześladowań, jakim podlegali w kraju pochodzenia ich podopieczni. Niektórzy wyobrażali sobie np., że podstawowym elementem terroru było zamykanie synagog i eliminowanie języka żydowskiego. Przez jakiś czas tego typu pretensje — którym towarzyszyło bilansowanie strat materialnych — przysłoniło w zachodniej prasie moralną stronę prześladowań: upokarzanie, izolację, bezradność wobec absurdalnych i oszczerczych oskarżeń, jakie spadły na polskich Żydów.

Równocześnie dla filantropijnych organizacji żydowskich, szczerze oddanych akcji pomocy wygnańcom, podstawowe zadanie sprowadzało się do zapewnienia środków do życia w okresie przejściowym między przekroczeniem granicy polskiej a osiedleniem w kraju docelowym. Wszelkie próby zainteresowania tych organizacji zbieraniem materiałów statystycznych, biograficznych czy rzeczowych w zakresie powodów wyjazdu, procedury dyskryminacyjnej itp. były odrzucane z niechęcią. Jest coś szalenie paradoksalnego i zabawnego w kategorijskiej odmowie *Joint'u* zbierania jakichkolwiek materiałów dotyczących ostatniej fazy istnienia polskiego Żydostwa, paradoksalnego i zabawnego, albowiem chodzi o ten sam *Joint*, który w ogólniejszej propagandzie moczarskiej prasy był główną centralą szpiegowską, połączeniem Dajana i C.I.A. W wyniku tego zafascynowania filantropią zmarnował się niezwykle cenny materiał historyczny, dotyczący w tym samym stopniu Żydów co i Polaków, degeneracji ustroju

demokracji ludowej no i kolejnej klęski socjalizmu w rozwiązaniu kwestii narodowej.

9. Nie poddawaj się!

Zachód, a przede wszystkim niektóre organizacje izraelskie, nie potrafiły zrozumieć, że spora liczba osób pochodzenia żydowskiego zmuszonych do opuszczenia swojej ojczyzny i wyrzeczenia się obywatelstwa, wyjechała z Polski dlatego, że był to jedyny kraj, w którym... nie pozwalano im być Polakami, że ich stosunki z Polską nie układają się w zależności od humoru Gomułki czy stopnia upadku partii komunistycznej. I że, z rozmaitych powodów, wielu z tych ludzi pozostaje Polakami będąc w Szwecji, Danii czy nawet w Izraelu. Nie warto się tu wdawać w zawile rozważania na temat czynników decydujących o przynależności do narodu, wystarczy natomiast stwierdzić, że wielu emigrantów jest nadal z Polską związanych tysiącnymi nićmi osobistymi, że mają tam rodziny, bliskich, a nawet bardzo bliskich przyjaciół, że czekają w Szwecji czy Danii (bo Izrael jest wykłuty przez rząd polski) na brata czy siostrę, dziewczynę czy chłopca.

Rozproszona geograficznie i światopoglądowo mała grupka emigrantów polskich atakowana jest przy tym z Polski — z kraju gdzie utopiła większość swego życia i wszystkie swe złudzenia — przez swych byłych prześladowców, poszukujących obecnie szybkiego alibi. Potrzebują oni tego alibi przede wszystkim wobec opinii w Polsce, albowiem wygnanie Żydów nie przyniosło, bo nie mogło przynieść, rozwiązania żadnego z ważnych problemów społecznych. Szukają też alibi wobec zagranicy, gdzie co jakiś czas ktoś z obrzydzeniem wspomina winowajców *exodus'u* Żydów polskich.

Tak np. propaganda warszawska na użytek krajowy próbuje obarczyć byłych Żydów polskich odpowiedzialnością za fatalną opinię jaką ma ostatnio Polska na świecie, tak jakby można było kogokolwiek rozumnego przekonać, że jakakolwiek grupa żydowska na świecie mogłaby wyrządzić Polsce większą krzywdę niż jej obecni „właściciele”. Wobec zagranicy podejmowane są z kolei próby przerzucenia na całe społeczeństwo odpowiedzialności za hecę antysemicką czyli, jak się to w Warszawie nazywa, „za zdrowy odruch narodu polskiego”, a tym samym za wszystkie niepowodzenia i kompromitacje, za które w istocie odpowiada wyłącznie nieudolne kierownictwo i skorumpowany aparat. W tym retroaktywnym poszukiwaniu alibi, główni odpowiedzialni za „czasy pogardy” 1967-70 w Polsce, nie cofali się przed żadnym draństwem. *Życie Literackie* opublikowało w październiku i listopadzie 1969 serię bredni, mających demaskować antysocjalistyczną działalność żydowskich emigrantów z Polski, należących od dawna do szpiegowskiej siatki, kierowanej z Wiednia przez inż. Wiesenthala. Przy tej okazji pisemko to posunęło się do

profanacji pamięci żydowskich żołnierzy poległych w czasie ostatniej wojny w walce o wolność Polski. Jeden mianowicie ze wspomnianych artykułów oskarża brata jednego z emigrantów o pozostawanie w służbie C.I.A. i przynależność do siatki szpiegowskiej NATO, podczas gdy ów brat, oficer 2-go Korpusu, poległ na włoskim froncie w 1944 roku i pochowany jest na cmentarzu wojskowym w Loretto.

Najśmieszniejsze, ale i najbardziej obraźliwe i niegodne a zarazem reprezentatywne dla taktyki rządu polskiego, były wypowiedzi ministra Spraw Zagranicznych. Ów pan, w czasie oficjalnej wizyty w Paryżu, pozwolił sobie na określenie wygnania Żydów z Polski jako „emigracji wyłącznie zarobkowej”. Według niego, nagle i naraz, wszyscy Żydzi polscy postanowili sobie poprawić byt, spakować manatki i wyjechać, tak jak by nic się nie stało po czerwcu 67 i po marcu 68, jakby nie było „5 kolumny”, „Mośków od Dajana”, „połamiemy im kości”, tak jakby nie było masowych *moralnych* egzekucji, zbiorowych wyroków itd. Prawa gościnności tradycyjne we Francji — a może i jakiś polityczny trend — uchroniły polskiego dygnitarza od właściwej odpowiedzi na miejscu, ale dla sytuacji wygnańczej grupy jest znamienne, że mimo nieukrywanego obrzydzenia, żadna z gazet paryskich nie zareagowała jak należy na ewidentną kpinę ze zdrowego rozsądku gospodarzy, to znaczy francuskich... dziennikarzy. Jedyna znana nam próba reakcji merytorycznej przez redakcję niekwestionowana, została z zażenowaniem odrzucona „bo nie chcemy mieć kłopotów z ambasadą polską”.

10. Nie pchaj się!

I wreszcie — otwarta pozostaje sprawa wymagająca szczególnie subtelnych sformułowań, mianowicie pogląd sprowadzający źródła wielu nieporozumień do dużego udziału ludzi z tzw. żydowskim pochodzeniem w działalności Komunistycznej Partii Polski przed wojną, a potem we władzach partii i państwa socjalistycznego.

Przez parę wieków, aż do drugiej wojny światowej, znaczna część ludności żydowskiej w Polsce faktycznie była grupą narodowościową, odrębną tak przez swój język, co przez obyczajowość i religię. Okoliczność ta była wybitnie wartościowa dla kultury polskiej, która — jak wiele innych wielkich kultur światowych — sporo zawdzięcza ludziom, znajdującym się na przecięciu czy styku kilku formacji kulturowych czy wprost żyjących na peryferiach narodu. Jednocześnie wielu Żydów, zwłaszcza tych świeżo asymilowanych, nie miało tak silnego związku z polską tradycją narodową (dobrą i złą), jak „prawdziwi” Polacy, dzięki czemu posiadali znacznie większą, bo wolną od balastu, ruchliwość umysłową, no i wynikającą z tej ruchliwości, większe zrozumienie dla hasel internacjonalistycznych. Co prawda, w docho-

sistowski program definitywnego rozwiązania kwestii żydowskiej, niemniej dla świeżo niepodległej, w świeżo odzyskanym państwie, opinii polskiej ważny był fakt, że znaczna liczba Żydów włączyła się do działalności organizacji, która w swoim programie proponowała okroić Polskę z połowy jej terytorium, bądź w ogóle przyłączyć ją do wspianącej wspólnoty narodów sowieckich. Po drugiej wojnie światowej, niemniej ważny był udział Żydów w organach ucisku, które spełniały rolę wprawdzie agenturalną wobec ZSSR, przy czym wielu ludzi wyznawało pogląd, iż to Stalin, aczkolwiek sam Żydów nie ubóstwiał, posłał ich do tych organów, zgodnie z wypróbowaną przez niego zasadą, że należy używać ludzi innych narodowości do tępienia Ukraińców, Gruzynów, Litwinów. Być może, że chciano także zapewnić sobie możliwość rzucenia w odpowiednim momencie hasła: „Wszystkiemu winni Żydzi”.

Historycznie teza ta sprawdzała się bez pudła. Przed wojną hasło brzmiało „Precz z żydo-komuną” i było prorządowe. Po wojnie brzmiało ono identycznie, i było antyrządowe. W 1956 roku fakt udziału Żydów w przygotowaniach do polskiego „października” miał skompromitować Gomułkę, a w 1968 — udział Żydów miał m.in. według Gomułki właśnie, zohydzić wspianą zryw polskiej młodzieży i bunt intelektualistów.

Tyle byłoby refleksji po-*exodus*'owych, częściowo choćby uzupełniających znany już z wielu różnej jakości zapisów, faktograficzny opis ostatniego etapu, prawie tysiącletniego długiego marszu Żydów polskich. Nie są to naturalnie wszystkie uwagi, jakie mogą się w tej sprawie nasuwać, ale wydają się one nieodzowne dla zrozumienia głębszych implikacji *exodus*'u.

Pięć etapów

Umieszczenie sprawy udziału Żydów w działalności partii komunistycznej i władz państwa socjalistycznego w ostatnim punkcie powyższego dekalogu nie jest przypadkowe. Jest to bowiem najbardziej drażliwy i kontrowersyjny z tych wszystkich czynników, jakie sprawiły, że mimo upływu lat od „odstrzału” polskich Żydów, mimo opublikowania setek najrozmaitszych relacji z samej akcji wysiedlania, ostatnia fala emigracji, złożona przecież w olbrzymiej większości z ludzi władających piórem, nie potrafiła opublikować syntezy skomplikowanych zjawisk ostatniego okresu, jaki dane było przeżyć Żydom na terenie Polski.

Czynnik ten okazały się mniej drażliwe naturalnie dla „prawdziwego” Polaka, Władysława Bieńkowskiego. W każdym razie nie przeszkodziły mu one, a nawet wprost przeciwnie, skłoniły go do podjęcia próby takiej syntezy. Pozbawiony kompleksów, i pozbawiony złudzeń, Bieńkowski, podchodzi do ostatniego rozdziału historii swego kraju, swojej partii i swojej ideologii spokojnie, bez uprzedzeń, ze znawstwem rzeczy i ludzi, ze znajomością kulis wydarzeń, ich wzajemnych związków przyczynowych.

„Motory i hamulce socjalizmu” to książka znamienna, ważna i interesująca. Jeżeli jednak nią się tutaj zajmujemy, to dlatego, że jest to pierwsza w polskiej literaturze politycznej ostatnich lat próba niesekciarskiego, no i nie antysemitckiego podejścia do sprawy żydowskiej. I to mimo, że oczywiście sprawa żydowska stanowi dla Bieńkowskiego zagadnienie wtórne, któremu, obok sporadycznych odniesień, autor poświęca oddzielnie tylko niewielki i to wysoce kontrowersyjny rozdział. Jednak na tle koszmarnego zalewu pseudo-literatury i pseudo-publicystyki, pełnej po prostaku ukrytej lub też wprost jawnej propagandy antysemitycznej, ten mały rozdziałik zasługuje na uwagę i upowszechnienie. I choć tak z punktem wyjścia, jakim jest dla Bieńkowskiego rażąco wysoki, według niego, udział Żydów w działalności partii komunistycznej i we władzach Polski socjalistycznej, co i z wieloma refleksjami, nie można się zgodzić, to trzeba przyznać, że od czasu publicystyki Leszka Kołakowskiego i tygodnika studenckiego *Po prostu*, nie powstał nad Wisłą tekst, który by na ten temat tyle dawał do myślenia.

W sprawie żydowskiej Bieńkowski stwierdza od razu na wstępie:

„Nigdy w dziejach antysemityzmu nie odgrywał samodziśnej roli, zawsze był osłoną dla programów, które dla ich łatwiejszej przyswajalności odwoływały się... do zabobonów gromadzonych w psychice społecznej od średniowiecza. Wznosząca się fala antysemityzmu zawsze oznaczała przypływ reakcyjnych tendencji społecznych, zawsze wymierzona była w siły lub idee postępu...”.

Dla Bieńkowskiego wygnanie Żydów jest „finałem procesu trwającego równe pół wieku”, a jego główne źródło tkwi „w stosunku między rewolucyjną partią w Polsce a ludnością żydowską i w roli jaką Żydzi w różnych okresach w Komunistycznej Partii Polski i w ruchu komunistycznym odgrywali”.

Rozumowanie Bieńkowskiego zawarte w rozdziałiku, który nosi eufemistyczny tytuł „Przyczyny i preteksty. Refleksje nad sprawą żydowską”, da się rozbić na kilka etapów.

Etap pierwszy — Luksemburgizm: za dużo Żydów

Bieńkowski przypomina to, co się w historii polskiego ruchu rewolucyjnego nazywa błędami luksemburgizmu, a co z grubsza polegało na niedocenianiu hasła niepodległości Polski. To niedocenianie stwarzało ostrą barierę między komunistami a społeczeństwem polskim i izolowało ruch rewolucyjny od ludności. Inaczej było w odniesieniu do Żydów „z natury rzeczy mniej wrażliwych na problem suwerenności narodowej”. Bieńkowski dodaje natychmiast, że „biedota żydowska widziała w Komunistycznej Partii Polski drogę do usunięcia rasowej i narodowościowej dyskryminacji i prześladowań, inteligencja, a także niektóre elementy burżuazyjne, widziały w programie rewolucji socjalistycznej drogę do społecznej asymilacji i jedyną metodę rozwią-

zania kwestii żydowskiej w ogóle". W dalszym ciągu Bieńkowski wskazuje, że również po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. partia pozostawała w izolacji z powodu wyeliminowania z propagandy i ideologii słownictwa i elementów tradycji narodowej. Natomiast, jak pisze Bieńkowski, „przeszkody te w nikłym stopniu mogły odgrywać rolę dla elementu żydowskiego. Nie odma- wiając Żydom Polski, polskości i patriotyzmu... to przecież bariera jaką stanowiła spychająca Polskę i narodowe jej problemy internacjonalistyczna frazeologia komunistów nie stanowiła przeszkody dla Żydów, również dla inteligencji żydowskiej. W efekcie udział elementu żydowskiego był w ruchu komunistycznym nieproporcjonalnie duży, a przeważający w jego kadrze kierowniczej. To z kolei przyczyniało się do wyobcowywania partii w stosunku do społeczeństwa polskiego, stanowiło jeszcze jedną, wykorzystaną przez reakcyjną propagandę, barierę. Niewątpliwie w polityce personalnej Kominternu, a w konsekwencji Komunistycznej Partii Polski odgrywał rolę fakt, iż aktywiści żydowscy w mniejszym stopniu podlegali podejrzeniom o polski nacjonalizm”.

Etap drugi — stalinizm: za dużo Żydów

Jeżeli chodzi o okres po drugiej wojnie światowej, to Bieńkowski stwierdza, że wśród ocalałych Żydów, uratowała się także „spora ilość starego aktywu komunistycznego oraz tacy, którzy się do ruchu włączyli w czasie wojny, często w szeregach armii. W czasie budowy zrębów odrodzonego państwa i budowy aparatu partyjnego, kierującego tym historycznym procesem, udział owych ocalałych Żydów był znaczny, a wśród górnego aktywu oni w dużej mierze stanowili stary wypróbowany ideologicznie trzon”. Po 1948 roku, kiedy to niektórych działaczy (nie Żydów, jak podkreśla Bieńkowski) poddano represjom po posądzeniu ich o tendencje nacjonalistyczne, rola aktywu żydowskiego pochodzenia, jako nie podejrzanego o polski nacjonalizm, wzrosła w całym aparacie. Szczególnie duży był ich udział w niektórych służbach wymagających większego politycznego zaufania, w placówkach służby zagranicznej, zarówno dyplomatycznej jak i handlowej, a nawet wojskowej”. Równocześnie „na klimacie jaki w społeczeństwie wytworzył się dookoła nielicznej ocalałej ludności żydowskiej zaciążył fakt szerokiego użycia Żydów w rozbudowanym aparacie bezpieczeństwa. Polityka kierowana przez pełnomocników Berii, a realizowana przez kierownictwo partii dążyła do tego, aby ostry reżym policyjny realizować przy znacznym udziale Żydów w pewnym sensie świadomie przeciwstawiając ich społeczeństwu polskiemu...”.

Etap trzeci — rewizjonizm: za dużo Żydów

Nadszedł XX zjazd i polski „październik”. Bieńkowski stwierdza, że „załamanie się i częściowe ujawnienie systemu stalinow-

skiego wywołało u większości ludzi ideologicznie zaangażowanych objawy ostrego kryzysu... który dotknął także część partyjnych aktywistów i inteligencji twórczej pochodzenia żydowskiego. Wielu z nich od gorliwej wiary w nieomyślność partii przerzuciło się do nieufności i krytycyzmu. „Rewizjonizm” z tej strony wywołał szczególne rozdrażnienie kierownictwa”. Bieńkowski dodaje, że w „międzyczasie w stosunku do ludzi pochodzenia żydowskiego zaczęła zachodzić zmiana zasadniczej natury”, mając — jak wynika z jego słów — na myśli całą serię aktów antysemitycznych ze strony tego rozdrażnionego kierownictwa. „Zmiana ta — pisze Bieńkowski — nie mogła nie wywrzeć wpływu na postawę aktywistów żydowskich... co przejawiało się w przypadkach ucieczki za granicę Żydów pełniących różne nieraz bardzo poufne funkcje, co z kolei wpływało na atmosferę nieufności i podejrzliwości...”.

Etap czwarty — walka o władzę: za dużo Żydów

Przechodząc do etapu następnego czyli do wydarzeń roku 1968, Bieńkowski pisze, że w chwili otwarcia „ostatniego aktu dramatu, ważną rolę odegrał fakt, iż szczególnie dostrzegalny był udział Żydów w niektórych zawodach twórczych (literaci), w nauce, w tzw. aparacie ideologicznym (prasa, radio, telewizja, wydawnictwa). Kiedy bowiem... przyszło likwidować ostatnie ogniska 'liberalizmu' — w naukach społecznych, wśród literatów, w aparacie ideologicznym — rozprawę z tymi grupami inteligencji trzeba było przesłonić jakimś wygodniejszym pretekstem. Sytuacja sama wsunęła w ręce wysłużony sztandar antysemityzmu, zaktualizowany i przystosowany do bieżących wydarzeń... W autorytatywnym oświadczeniu (Gomułka po wojnie 6-dniowej — dop. L.U.) obywatele polscy żydowskiego pochodzenia zostali uznani za faktycznych lub potencjalnych agentów wrogich imperialistycznych sił...”.

Jak to obrazowo pisze Bieńkowski „zajścia studenckie stały się pretekstem do rozpoczęcia właściwej akcji. Po kilkunastu dniowym huraganowym ostrzale przez prasę, radio, telewizję, w którym nie brakło argumentów czerpanych wprost z tradycyjnego antysemitycznego arsenału, rozpoczęło się polowanie na czarownice... Rozgrywało się to w atmosferze, w której jakkolwiek obrona przed najbardziej absurdalnymi zarzutami była niemożliwa... Atak na Żydów był niezwykle wygodnym parawanem, ponadto obliczony był na pozyskanie poparcia przynajmniej ze strony części społeczeństwa... Organy, których zadaniem było oczyszczenie kraju z Żydów, wiedziały, że akcja ta nie może być przeciągana w czasie, toteż wykazywały pośpiech. Szło o to, aby przez pozbawienie możliwości zarabkowania, stworzenie atmosfery ostracyzmu i zamknięcie wszelkiej perspektywy, jak największą ilość ludzi zmusić do emigracji. Kampania antysemityczna sterrowała, odsunęła i zmusiła do milczenia wszystkich, którzy za-

chowali zdolność myślenia, zwyczajną ludzką uczciwość i obywatelską troskę o losy kraju. Na powierzchnię wypłynęły elementy zdeprawowane, ciemne czarnosecinnie siły, gotowe do pójścia w każdym kierunku. Piętno przez te siły odcisnięte na życiu kraju rozpoczęło nową fazę naszych dziejów....”.

Etap piąty — Polska „Judenrein”: za mało socjalizmu

Swoje refleksje na tematy żydowskie Bieńkowski kończy dramatycznym fragmentem zacytowanym jako motto do niniejszego szkicu. Natomiast kwintesencję, może niezamierzoną, swych rozważań zawarł w jednym krótkim zdaniu: „Okazało się dość nieoczekiwanie, że ustrój socjalistyczny nie rozwiązał problemu żydowskiego, że przeciwnie sam stworzył pożywkę, która utajonym bakteriom antysemityzmu pozwoliła przetrwać i odżyć”.

Gdyby nawet istniał zamiar jakże łatwej, ale z oczywistych przyczyn niemożliwej poemiki z Bieńkowskim, to jego własna konkluzja czyni jakikolwiek spór najzupełniej zbędnym*.

Wynika z tej konkluzji bowiem jasno i niedwuznacznie, że to nie nadmiar Żydów, a niedosyt socjalizmu i demokracji był źródłem izolacji partii, i antysemityzmu w Polsce. Tych kilka słów z książki Bieńkowskiego tłumaczy lepiej źródła antyżydowskiej hecy w Polsce niż najbardziej nawet dokładna — wcale zresztą nie taka jednoznaczna i warta przeprowadzenia — statystyka udziału Żydów w partii komunistycznej, we władzach państwa socjalistycznego, ich proporcje we władzach bezpieczeństwa i w... ucieczkach.

Po prostu, socjalizm, w jego polskim wschodnioeuropejskim czy rosyjskim wydaniu, ten — inaczej mówiąc — narodowy socjalizm, ta swoista wersja nazizmu, ten sojusz prawdziwej prawicy — autentycznej reakcji społecznej, jaką jest kasta kurczowo i kosztem narodu trzymająca się władzy — z aparatem policyjnym, pozbawionym w ogóle ideologii, a ożywionym jedynie chęcią przejęcia i utrzymania korzyści związanych z trzymaniem narodu „za buzię”, taki „socjalizm” pozwala odżyć wszelkim wersjom nacjonalizmu, wstecznicstwa, a w tym i antysemityzmu, tego beblowskiego „socjalizmu imbecyli”.

Można powiedzieć, że to nie w roku 1948, a dopiero w 1968 Gomułka stanął na czele prawdziwego odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego. Obok tego starego modelu, polski neo-stalinizm i jego ideologiczny produkt — „neo-antysemityzm”, wnieśli jednak do historii światowego obskurantyzmu także coś nowego. Bieńkowski mówi o tym na marginesie w całej notce:

* Mimo zbieżności, należy się oczywiście wystrzegać identyfikowania spostrzeżeń Bieńkowskiego z konkluzjami do jakich doszedł Andrzej Werblan w czerwcu 1968 roku. *Miesięcznik Literacki* z tej daty opublikował mianowicie artykuł Werblana o jawnie reakcyjnej treści, gdzie kierownik wydziału oświaty KC PZPR proponuje ustanowienie swoistego *numerus clausus* dla żydowskich komunistów.

„W antysemityzmie współczesnym charakterystyczne jest, że o ile propaganda podsycia nienawiść wskazując na odrębność i obcość Żydów, to w istocie główne uderzenia kierują się w te grupy, które uległy w poważnym stopniu asymilacji”. To znaczy w tych Żydów, którzy myśleli zgodnie z tym co pisał pewien polski Żyd nazwiskiem Izak Deutscher, wskazując na przykłady Freuda, Marksa, Trockiego, Heinego czy Spinozy — że staną się wielkimi „kiedy przekroczą granice judaizmu”.

Okazało się jednak, że w Polsce Gomułka i Moczara jest to niemożliwe i że granic judaizmu Żydzi tam przekroczyć nie mogą. I że jak spróbują przekroczyć, to zawsze im to ktoś uniemożliwi. I że zawsze się znajdzie ktoś — nawet w rządzie i w partii komunistycznej — kto najpierw Żydów polskich napiętnuje, za to że są inni niż pozostali, a potem za to, że starają się ową odrębność ukryć. Najsmutniejsze zaś, że ten ktoś za pomocą hasła antysemitckiego osiąga to co dla niego najważniejsze, a mianowicie neutralizację i zubożenie społeczeństwa.

Według niektórych, a wśród nich — jak widać z cytatów z książki Bieńkowskiego — nie brak nawet najbardziej światłych i potępowych przedstawicieli polskiej inteligencji, wystarczy „nieproporcjonalnie” duża liczba Żydów w jakimś środowisku aby problem antysemityzmu automatycznie powstał. To nieprawda, to krzywdzi naród polski. Jak bowiem wynika z tego co się już po *Endlossung* w Polsce dzieje, nawet całkowity brak Żydów oficjalnego rządowo-partyjnego antysemityzmu nie zlikwidował, a „antysyjonizm” pozostał ulubionym zajęciem ideologów komunizmu polskiego.

Faktyczne i ostateczne oczyszczenie partii, władzy ludowej i Polski z Żydów nie przyniosło spodziewanych korzyści. Dało jedynie kilka tysięcy posad i mieszkań, natomiast pozwoliło ostatecznie obalić mityczną tezę o odwrotnie proporcjonalnej zależności jaka rzekomo zachodzi między liczbą Żydów w partii a jej popularnością w narodzie. Nikt poważny przecież nie posunie się do twierdzenia, że popularność partii jest dziś większa niż była w roku 1967, przed pozbyciem się Żydów. Istotną stratę poniosło też kierownictwo partii. Wyrzucając bowiem resztki Żydów, partia pozbawiła się dość efektywnej możliwości dywersyjnego działania. Już teraz nikt nie da się nabrać na hasło: „Żydzi winni...!”.

W 1956 roku młody, a już znany, polski filozof Leszek Kołakowski, pisał:

„Utrzymywanie antysemityzmu potrzebne jest politycznej reakcji zwłaszcza tam, gdzie chodzi o skupienie uwagi ludności na urojonych źródłach społecznych nieszczęść, w celu odwrócenia uwagi od jej źródła rzeczywistych... Walka z Żydami rzadko bywa celem samym dla siebie... Antysemityzm ma stworzyć uniwersalny symbol zła, który następnie chce się związać w umysłach z tymi zjawiskami w polityce, kulturze, nauce, które trzeba zwalczać. Trzeba z żydostwa uczynić obelgę, którą będzie się piętnować wszystko co ma być unicestwione ... Cokolwiek wtedy

w kulturze, w polityce, w życiu, ma być zohydzone i stać się przedmiotem nienawiści, może być przedstawione jako produkt żydowski”.

Przeczytajcie Bieńkowskiego! Jakże niewiele się z czasem w Polsce zmieniło między 1956 a 1969 rokiem. Bieńkowski i Kołakowski, dwa pokolenia Polaków, dwóch polskich patriotów, dwóch ludzi lewicy, dwóch intelektualistów. Jakże tragiczna jest ta przerażająca identyczność diagnozy!

W 1956 roku Kołakowski tak kończył swój artykuł:

„Kiedykolwiek cień antysemityzmu... przemyka przed bramami naszych domów — uwaga! kanalia stoi za rogiem!”.

W 1968 roku Bieńkowski tak woła:

„Na powierzchnię życia kraju wypłynęły elementy zdeprawowane ciemne, czarnosecinne siły, gotowe pójść w każdym kierunku!”.

Kanalia nie stoi więc za rogiem. Kanalia jest już w domu. Prawda, że ten dom jest *Judenrein*, ale przecież od początku było wiadomo, że tu nie chodzi o Żydów.

Leopold UNGER

CZĘŚĆ TRZECIA: DROGI I KREW

1) Powyżej zamieszczony artykuł Leopolda Ungera napisany został w lecie 1970 roku a wydrukowany w grudniu 1970 roku w naukowym kwartalniku angielskim *Soviet and East European Jewish Affairs* w Londynie. Po 9 latach, mimo, że artykuł pisany był naprawdę na gorąco i tuż po banicji, nie muszę dziś w artykule zmieniać nawet jednego przecinka, co chyba o czymś świadczy...

2) Odojewski pisze, że „fałsz Holocaustu był na rękę pewnym Niemcom” poszukujących współników w odpowiedzialności za zagładę. To prawda, ale czy tylko pewnym Niemcom? A gdzie są w tej wspólnej dla wszystkich Polaków sprawie dobrego imienia narodu, gdzie są, powtarzam władze z Warszawy? Dlaczego Odojewski piętnuje tylko „zachodnich ekspertów”, w tym pewną panią doktor „Żydówkę” i pewnego pana profesora, co „osobiście przeżył getto”? Dlaczego rząd warszawski uniemożliwiał (i w chwili pisania tych słów ciągle uniemożliwiał) wyjazd Bartoszewskiego do USA, gdzie ten najlepszy i najbardziej wiarygodny świadek „Żegoty” był zaproszony właśnie w celu mówienia o stosunkach polsko-żydowskich i w celu obalenia fałszów „Holocaustu”? A przecież Bartoszewski zaproszony był przez polską Fundację Kościuszki przy współpracy *Bnai Brith*, największej żydowskiej organizacji w USA. Gdzie tu spisek „sporej części...”. Komu milczenie Bartoszewskiego jest na rękę? Dlaczego, kiedy najbardziej popularny magazyn francuskiej telewizji (15 milionów widzów) szykował program o warszawskim getcie, to władze polskie, mimo zaproszenia, nie delegowały Bartoszewskiego ani żadnego innego wiarygodnego i prawdziwego polskiego

członka „Żegoty” czy innych akcji pomocy Żydom, natomiast przysłały pewnego korespondenta prasy warszawskiej, znanego raczej z działalności „antysyjonistycznej” przed i po marcu 1968 roku? Kto komu jest tu „bardziej niż niechętny”?

3) Historia polskiego żydostwa jest długa, wspaniała, tragiczna i wspólna z historią Polski, ale — choć Żydów polskich już nie ma — ich historia nie jest zamknięta.

4) Może potrafi ją zamknąć polski papież. Mówiąc o Oświęcimiu jako o Golgocie współczesnego świata i modląc się nad żydowskimi prochami krematoryjnymi, „gdzie nikt nie może pozostać obojętny”, papież tchnął wymiar historii w polsko-żydowską niedolę. Szkoda wielka jednak, że papież, który odwiedził dziesiątki miejsc w Polsce nie przystanął choć na chwilę przed mogiłą warszawskiego getta. Oświęcim jest grobem pewnego etapu europejskiej i chrześcijańskiej cywilizacji. Grób i symbol polskich Żydów mieści się gdzie indziej — w getcie w Warszawie. A może papież chciał pójść do getta tylko władze się na to nie zgodziły? Myślę, że postać polskiego papieża u pomnika getta warszawskiego dałaby prawdziwy znak i symbol pojednania.

5) Odojewskiego „napawa głębokim smutkiem fakt, iż drogi narodów zamieszkujących przez kilka wieków tę samą ziemię, rozchodzą się coraz bardziej”. To nieprawda, nie rozchodzą się. Z braku przechodniów. Dziś już nie liczą się drogi, liczy się tylko krew. Nie ta co w żyłach, ale ta, co została przelana.

Leopold UNGER-BRUKSELCZYK

Pisane 9 czerwca 1979 r.

ZAPRENUMERUJ

ZESZYTY HISTORYCZNE

Jedyny, niezależny kwartalnik poświęcony najnowszej historii Polski.

Dziś, kiedy średnie i młode pokolenie nie tylko w Polsce ale i na Zachodzie, coraz mniej wie o historii swego narodu, albo nieświadomie ulega jej fałszowaniu w Kraju lub równie szkodliwym mitom patriotycznym na Zachodzie — istnienie tego wydawnictwa jest niewątpliwie koniecznością. Niestety — choć nie brak nam komplementów czy słów uznania — brakuje ciągle dostatecznej ilości prenumeratorów, aby nie tylko utrzymać ale i rozbudować **ZESZYTY HISTORYCZNE**.

Przy rosnących kosztach druku i stosunkowo niskiej cenie tylko kilkuset nowych prenumeratorów może być prawdziwą pomocą.

Roczna prenumerata wynosi F.160 (\$ USA 37; \$ Can. 44) a dla prenumeratorów **KULTURY** F. 140 (\$ USA 33; \$ Can. 40), za 4 zeszyty, zawierające każdy 240 stron.

Młodzież polska na Zachodzie

(OMÓWIENIE WYNIKÓW ANKIETY KULTURY)

W 11/362 numerze *Kultury* z roku 1977 rozpisana została ankieta „Młodzież polska na Zachodzie”. Problem badawczy, który zainteresował redaktora *Kultury* był szeroki. Chciał on mianowicie zorientować się w „niewiadomej” jaką jest młode i średnie pokolenie polskie na świecie, to jest poza krajem.

Należy więc od razu zaznaczyć, że ankieta ta i jej wyniki nie mogą być podciągnięte pod skrupulatne wymagania naukowe gdyż ustalona procedura badania grup społecznych nie została zachowana i że wyniki możemy traktować jako badanie wstępne, tak zwane *pilot study*.

Próba badawcza (*sample*) na której oparta jest ankieta — to respondenci, którzy sami wybrali, to jest sami zdecydowali, że na ankietę tę chcą odpowiedzieć. W amerykańskiej nomenklaturze naukowej taką próbę nazywamy *self-selective sample*. Jest to typ badania dość popularny w naukach behawiorystycznych i chociaż wyniki badań nie są precyzyjne, przynoszą jednak ciekawe informacje dotyczące ustosunkowania się badanej grupy do zagadnień interesujących badacza.

Wyniki ankiety *Kultury* są z tego względu ważne, informujące i, jak się przekonamy, dające nam pojęcie o tej „niewiadomej” jaką jest młodzież polska poza krajem. Co ważniejsze, są pierwszym, pionierskim krokiem w kierunku uchwycenia społecznego profilu Polonii Wolnego Świata.

Jedną z trudności w opracowywaniu wyników ankiety było to, że kwestionariusz został sformułowany i wysłany bez uprzedniego skonstruowania konkretnych pytań (hipotez), na które ankieta miała przynieść odpowiedzi (albo które ankieta miała po-

twierdzić lub odrzucić). Pytania takie postawiłam *post factum* po zapoznaniu się z materiałem odpowiedzi. Zanim jednak do tego doszło materiał, który nadesłali respondenci *Kultury* przeszedł przez długi i żmudny proces, który opiszę w „metodzie opracowywania ankiety”. Spójrzmy najpierw na naszą „próbę badawczą” czyli

Kto odpowiedział na ankietę Kultury „Młodzież Polska na Zachodzie”

Na ankietę nadeszło 367 odpowiedzi z dwunastu państw: USA, Kanada, Anglia, Niemcy, Szwajcaria, Francja, Belgia, Holandia, Austria, Argentyna, Szwecja i Nowa Zelandia.

Wiek odpowiadających wahał się w granicach pomiędzy 11 lat a 78 lat. Ponieważ ankieta skierowana została do *Młodzieży*, należało ustalić pewne granice wieku. Granice te ustaliłam pomiędzy 15-tym a 40-tym rokiem życia. Różnica wieku więc pomiędzy najmłodszym a najstarszym respondentem nie przekracza dwudziestu pięciu lat, czyli mamy tu do czynienia z dwoma pokoleniami, młodszą i starszą młodzieżą. Albo lepiej młodszym i średnim pokoleniem polskim na Zachodzie.

Wyniki ankiety opierają się na 336 odpowiedziach. Większość respondentów jest w wieku między 15-19 lat (39,5 %). Następna liczbowa grupa jest w wieku 20-25 lat (20,1 %). Trzecia grupa to ludzie w wieku 26-30 lat (20,1 %). Respondenci powyżej 31 lat stanowią niecałe 5 % całości odpowiadających na ankietę, a ci w wieku pomiędzy 36-40 — 4,5 % respondentów.

Ankieta więc trafiła jednak do młodszej i starszej młodzieży gdyż większość osób 90,7 % to ludzie w wieku pomiędzy 15 a 30 rokiem życia.

Metoda opracowywania Ankiety

Kiedy wypełnione formularze ankiety nadeszły do mnie z Maisons-Laffitte w kilku ciasno związanych pakietach, kiedy je otworzyłam i zaczęłam przeglądać — ogarnęła mnie rozpacz. Odpowiedzi nosiły wyraźne ślady polskiej fantazji, indywidualności, a zupełny brak litości dla „tego socjologa”, który miał je opracować. Przedrukowywane w gazetach, przepisywane na kartkach i karteluszka z numerami tylko pytań dla oszczędności miejsca, pisane „maczkiem” wymagały cierpliwości badacza odczytującego egipskie hieroglify, i powiększającego szkła. A czasem toczyły się długie dysputy nad treścią „znaczką”.

Wyczuwałam jednak w tych odpowiedziach materiał cenny i niepowtarzalny. Czułam się też trochę, jak malarz, który z znalezionej w antykwariacie zamazanej i ciemnej płachty chce wydobyć przez cierpliwe zabiegi ukryte pod mylącą nawierzchnią prawdziwe barwy nakładane pędzlem wielkiego artysty.

Sam kwestionariusz nie był przygotowany do badań komputerowych i wymagał całkowitej adiustacji. Przetłumaczyłam więc najpierw kwestionariusz na język angielski, aby umożliwić jego wstępne przygotowanie do prac komputerowych. Następnym posunięciem było stworzenie karty, którą nazwałam przedkomputerową. Była to jakby nowa forma kwestionariusza (tym razem przygotowanego do późniejszych operacji komputerowych). Po skonstruowaniu tej karty zaczęłam oddychać: badanie nabierało realniejszych kształtów. Następną operacją było ostrożne i umiejętne przeniesienie każdej odpowiedzi na nową siatkę formy kwestionariusza. Była to praca bardzo precyzyjna i żmudna wymagająca nieustannego balansowania pomiędzy polską i angielską wersją ankiety i zatrzymywania się dla wyjaśnienia odpowiedzi, aby wyciągnąć z niej zamierzoną przez respondenta intencję.

Pracę tę trudno by mi było wykonać samej, gdyby nie pomoc Niny Szafrąńskiej-Dyke. Wykształcona w szkole włoskiej, Nina pojechała do Polski na wakacje w roku 1939 i tam została.

Czynny udział w akcji konspiracyjnej i w Powstaniu Warszawskim stał się polską szkołą dla Niny. Jej encyklopedyczna wiedza i pamięć, wykształcenie bibliotekarskie i tradycja rodzinna dyscypliny pracy, odziedziczona po matce, Zofii Kozarynowej, okazały się doskonałymi kwalifikacjami dla tej archiwalnej nieomal i *out od routine* pracy przy dokładnym wertowaniu przeszło 360 odpowiedzi. Nie od rzeczy jest tu wspomnieć, że kilkaset kart przedkomputerowych, wielkości arkusza papieru maszynowego, odbił w swoim biurze (po godzinach służbowych) mąż Niny, Zbyszek. Po wyselekcjonowaniu i przeniesieniu 336 odpowiedzi na karty pierwszy etap pracy był ukończony. Należało teraz ten cenny dokument zduplikować, co znów w swoim biurze uczynił Staś zabierając z sobą po pięćdziesiąt kart dziennie. Piszę o tym, aby czytelnicy orientowali się jak można czasem robić rzeczy, które na początku wydają się niemożliwe.

Następnym krokiem był komputer. Ale nie mógł być to komputer zwykły. Nie chodziło przecież tylko o operacje, które przyniosłyby dane cyfrowe, ale bardziej złożone odpowiedzi, na przykład odpowiedź na takie pytanie: „Jaki układ warunków wpłynąłby na decyzję młodzieży polskiej poza krajem przystąpienia do Polskiej Armii na Zachodzie, gdyby taka armia utworzyła się w wypadku Trzeciej Wojny Światowej?”.

Na znalezienie odpowiedzi na takie i podobne pytania należało mieć nie tylko eksperta-„komputerologa”, ale człowieka, który by rozumiał sprawy polsko-emigracyjne, był im przychylny i co ważne był — jak mój pierwszy współpracownik — Nina — ideowy i ofiarny.

Co zrobić jeśli mój budżet wynosi zero?

Pewnego dnia, gdy odrzucając pomysły i propozycje z różnych względów trudne do przyjęcia, głowiłam się nad tym co zrobić, jeden z naszych przyjaciół wpadł na pomysł, który w skutkach okazał się genialny.

— Jest tu pewien młody człowiek — powiedział — którego matka mówi, że jest zakochany w komputerze.

— To dla mnie! — zawołałam.

I odtąd zaczęła się współpraca poprzez telefon i korespondencję pomiędzy mną a Marianem Janem Krzyżowskim. Marian jest nie tylko zakochany w komputerze, który słucha go jak telewizyjna zjawa — dziewczyna — Genie z bajek arabskich, ale jest właśnie tym, którego badamy, jest przedstawicielem młodzieży polskiej na Zachodzie, możemy go umieścić w grupie trzeciej jeśli chodzi o wiek (20,1 %). Mówi i pisze w obydwu językach i sprawy polsko-emigracyjne bardzo go przejmują. Naturalnie dyskusje techniczne przeprowadzamy w języku angielskim, bo obojgu jest nam łatwiej*. Nasz „komputerolog” chociaż pochłonięty pracą zawodową, znalazł czas na opracowanie dwustu pięćdziesięciu tablic statystycznych dla naszego badania, opatrzonych wyczerpującymi objaśnieniami, oraz na wnikliwe komentarze i wnioski.

Kończąc ten opis metody opracowania Ankiety chcę podziękować Ninie i Marianowi, którzy po raz pierwszy i tu właśnie, na tej stronicie się spotykają, za długie godziny pracy, entuzjazm, a przede wszystkim za jakość pracy i za troskliwy do niej stosunek.

Wiadomości uzyskane z Ankiety, które poniżej, w sprawozdaniu moim przedstawię, uważam za cenny nabytek do naszej wiedzy o polskiej diasporze. Ze względu na charakter badania i na jego zasięg ograniczony i nierówny (o czym pisałam na początku) są to raczej Głosy z Diaspory niż profil młodzieży polskiej na Zachodzie, albo młodzieży polskiej diaspory.

* Niestety ze względów technicznych nie jesteśmy w stanie zamieścić tablic, opracowanych przez Mariana Jana Krzyżowskiego. Zachowujemy je w archiwum redakcyjnym do dyspozycji osób czy organizacji, które problem młodzieży polskiej będą chciały pogłębić i rozszerzyć. P. M. J. Krzyżowskiemu chcemy bardzo podziękować za tak ofiarną i bezinteresowną pracę. — *Redakcja*.

*Pierwszy rzut oka na młodzież polską na Zachodzie
(albo: cechy charakterystyczne próby badawczej)*

Na podstawie odpowiedzi 336 respondentów otrzymujemy obraz młodzieży polskiej na Zachodzie, młodzieży, która 1) na tyle miała dostęp do prasy polskiej (bezpośredni lub pośredni) aby dowiedzieć się o ankiecie *Kultury*, i 2) na tyle była tą ankietą zainteresowana, albo też uległa wpływowi, namowom lub presji starszego pokolenia, aby na pytania odpowiedzieć. Chciałabym raz jeszcze zaznaczyć, że ludzie na ogół niechętnie odpowiadają na wszelkiego rodzaju kwestionariusze, którymi są zalewani na każdym kroku i że muszą być albo bardzo *motivated*, to jest widzieć w akcie wypełnienia ankiety osobistą korzyść, albo są za swój czas płaceni. Dlatego raz jeszcze podkreślam, że odpowiedzi na ankietę *Kultury* należy uważać za duże osiągnięcie.

Obraz młodzieży polskiej na Zachodzie opiera się o analizę następujących czynników, które wytypowałam *post factum* jako „zmiennie niezależne”, albo *independent variables*. Są to:

1. miejsce urodzenia,
2. miejsce zamieszkania,
3. wiek,
4. wykształcenie,
5. znajomość języka polskiego,
6. zadowolenie z kraju osiedlenia
7. znajomość prasy emigracyjnej,
8. stosunek do religii,
9. stosunek do antysemityzmu,
10. wyjazdy do Polski.

Dwie trzecie respondentów urodziło się poza Polską. Najwięcej z nich w Wielkiej Brytanii (23,4 %), mniej (12,4 %) w Kanadzie, a jeszcze mniej (10,8 %) w USA, w Australii (9,0 %), i w Nowej Zelandii (6,3 %). Są to kierunki osiedlania się emigracji powojennej, która zaczynała w Anglii i często z małymi dziećmi wyruszała na dalszą emigrację. Przeszło 90 % odpowiadających to osoby w wieku między 15-30 rokiem życia więc roczniki 1949 do 1964.

Jedna trzecia odpowiadających to studenci uniwersytetów, niecałe 30 % to uczniowie gimnazjalni, mniej więcej drugie tyle to już absolwenci wyższych uczelni, a tylko 13 % odpowiadających zatrzymało się na maturze względnie dyplomie „High School”.

Wniosek, że ci którzy albo przeszli dłuższy proces kształcenia

się, albo w tym kierunku dążą bardziej są zainteresowani sprawami kultury i własnego pochodzenia niż ci, którzy prawdopodobnie zajęci pracą zawodową i dorabianiem się nie uważają tego za rzecz pierwszej potrzeby. Typ wykształcenia stosunkowo mało decyduje o tym czy młody człowiek interesuje się swoją polskością. Do mniejszości należą ci, którzy mają wykształcenie tylko techniczne, ale jest ich prawie 43 % odpowiadających na pytanie dotyczące rodzaju wykształcenia. Tylko 9 osób nie odpowiedziało na pytanie dotyczące znajomości języka polskiego. Grupa młodzieży polskiej na Zachodzie zna język rodziców dobrze (72,5 %) albo średnio (27,5 %). Więcej niż połowa nauczyła się mówić po polsku w domu rodzinnym. Tylko 8 osób nauczyło się polskiego na kursach językowych, tylko 4 osoby na wakacjach w Polsce, a 137 osób spośród odpowiadających (42 %) nauczyło się polskiego w różnych okolicznościach (włączając w to także dom rodzinny).

Zdecydowana większość odpowiadających zadowolona jest z kraju osiedlenia, tylko około 12 % nie czuje się dobrze w kraju zamieszkania. A jednak wśród tych, którzy odpowiedzieli na pytanie dotyczące ewentualnego przeniesienia się do innego kraju, 38 osób na 120 chciałoby się przenieść. Tylko mały procent (15,7 %) chciałby się osiedlić w Polsce, a 16 osób odpowiedziało, że osiedliłyby się w Polsce ale w innych warunkach politycznych.

Jeśli chodzi o powód przeniesienia się z kraju osiedlenia do innego kraju to przeważają względy inne niż finansowe, chociaż 40 osób na 148 odpowiedziało, że owszem, finansowe względy są najważniejsze. Konflikt lojalności (do którego wrócimy później przy omawianiu pytań dotyczących tożsamości) istnieje. Na 301 osób odpowiadających na to pytanie, 26,2 % odczuwa konflikt lojalności pomiędzy krajem osiedlenia a Polską. A jednak tylko 83 osoby odpowiedziały na następne pytanie dotyczące wyboru kraju w konflikcie lojalności. Wśród nich 52 osoby wybrały Polskę.

Prawie 2/3 respondentów czyta prasę polską. Większość (108) czyta prasę emigracyjną, a 81 osób czyta prasę emigracyjną i krajową. Tylko 20 osób czyta cztery albo więcej pism emigracyjnych, 72 osoby czyta tylko jedno pismo. Wśród odpowiadających 86 osób czyta *Kulturę* ale 90 osób „*Kultury*” nie czyta. *Dziennik* londyński czytany jest przez 37 osób, a *Wiadomości* tylko przez 23 osoby. Do analizy czytelnictwa wrócimy jeszcze w dalszej części tego artykułu.

Jak należałoby się spodziewać po *self selective sample*, zainteresowanie naszej grupy młodzieży kulturą polską i polskim językiem jest powszechne. Na 326 osób odpowiadających na to pytanie, 217 jest bardzo zainteresowanych polską kulturą i językiem,

105 — średnio, a tylko 4 osoby nie są w ogóle tym zainteresowane.

Stosunek do religii ma proporcje podobne. Na 325 osób, 66,2 % to ludzie silnie wierzący, 30,1 % to osoby o stosunku neutralnym, a 2,9 %, to jest 9 osób opowiedziało się za stosunkiem wrogim do religii. Należy wziąć tu pod uwagę, że ankieta wypełniana była przed wyborem Kardynała Karola Wojtyły na papieża i że ten fakt, tak doniosły w życiu polskich społeczeństw na Zachodzie, prawdopodobnie zmieniłby proporcję odpowiedzi na powyższe pytanie i, jak sędzę, przyniósłby więcej odpowiedzi na ankietę *Kultury*.

Pytanie dotyczące antysemityzmu postawione było, niestety, zbyt dosłownie, aby przyniosło prawdziwe odpowiedzi. Stosunek do antysemityzmu powinien być omówiony kilkoma pytaniami *indirect* i wtedy moglibyśmy mieć dużo lepsze pojęcie o prawdziwości ustosunkowania się młodzieży na Zachodzie do tego zagadnienia. Postawione otwarcie pytanie to przyniosło następujące odpowiedzi. Na 306 osób odpowiadających, większość, to jest 70,6 % potępia antysemityzm, 25,2 % nie ma wyrobionej opinii na ten temat, a 13 osób, to jest 4,2 % całości, popiera antysemityzm.

Nasz pierwszy rzut oka na grupę młodzieży polskiej na Zachodzie nasuwa pewne refleksje. Młodzież ta, to dzieci i wnukowie pokolenia międzywojennego, wychowane w tradycjach rodziców i dziadków. Nie jest to więc obraz Polonii ale raczej emigracji politycznej.

Ich stosunek do bieżących zagadnień polskich w kraju i na emigracji, jak również ich ideologiczne zainteresowania wykształciły się wcześniej w czasie dorastania i okresu socjalizacji w grupie rodzinnej, albo w organizacjach społecznych (takich jak harcerstwo) i będą zabarwione lojalnością rodzinną. Spróbujemy teraz na podstawie wyników ankiety przyjrzeć się co nasi respondenci myślą o bieżących zagadnieniach czyli

Jaki jest stosunek młodzieży polskiej na Zachodzie do bieżących zagadnień polskich w kraju i na emigracji?

1. Stosunek do ugrupowań polskich na emigracji

Przeszło połowa respondentów jest w stałym kontakcie z organizacjami polskimi na emigracji, prawie 22 % odpowiadających kontaktu takiego nie ma. Przeważa kontakt młodzieży z organizacjami o charakterze etnicznym (65,4 %), tylko 38 osób jest zaangażowanych politycznie, a 18 osób należy do obydwóch rodza-

jów organizacji. Ocena działalności organizacji jest raczej przychylna. Tylko 18,2 % z 253 osób odpowiadających na to pytanie uważa, że organizacje funkcjonują nieudolnie, reszta niemal w równych proporcjach ocenia funkcjonowanie organizacji jako sprawne, albo względnie sprawne.

Większość respondentów odnosi się obojętnie (53,1 %) do tzw. legalnych władz polskich na obczyźnie i związanych z nimi organizacji. Jedna czwarta (z 303 osób odpowiadających) ma stosunek niechętny, a reszta odnosi się do tych władz życzliwie.

Problem Wilna i Lwowa interesuje prawie jedną trzecią odpowiadających na Ankietę. Z 218, którzy odpowiedzieli na pytanie dotyczące sporu o Wilno i Lwów, prawie 60 % przyznało, że do tej sprawy przywiązuje wagę.

Zainteresowanie prasą polską (omówione wcześniej) wpływa na znajomość i ocenę sytuacji w obecnej Polsce.

2. Ocena sytuacji w obecnej Polsce

Wśród odpowiadających można zaobserwować tendencję oceny sytuacji w kraju jako wymagającej radykalnej zmiany (158 osób), a jednak zdania co do tego jak powinna być ta zmiana przeprowadzona są podzielone. Większość (54,8 %) odpowiadających na pytanie widzi tę zmianę poprzez ewolucję, a resztą poprzez rewolucję.

Tylko 6 osób ocenia sytuację w kraju jako dobrą.

Podobna większość odpowiadających śledzi działalność grup opozycyjnych w Polsce (53,7 %). Największe zainteresowanie budzi działalność KOR (106 osób śledzi tę działalność), następnie SKS (59 osób), PPN i ROPCiO otrzymały po 25 głosów.

Biorąc pod uwagę, że dwie trzecie respondentów urodziło się poza Polską odpowiedź 160-ciu osób, że śledzą opozycję w Polsce świadczy o tym, że nie tylko ci, którzy w Polsce się urodzili interesują się obecną sytuacją w kraju.

3. Gotowość czynnego udziału w obronie zagrożonych wartości

Okres wzrastania w atmosferze polskiej (a tylko znikomy procent odpowiadających uczył się języka polskiego poza rodziną), był jednocześnie okresem wchłaniania przez młode pokolenie polskich wartości kulturalnych. Taką czołową wartością jest wolność w sensie niepodległości i w sensie osobistej wolności jednostki.

Dom rodzinny przekazywał najprawdopodobniej przede wszystkim wartość wolności w sensie niepodległości Polski; otoczenie i szkoła na Zachodzie uczyły młode pokolenie polskie wartości

wolności w sensie praw ludzkich. Z uprzednich odpowiedzi możemy wnioskować, że „młodzież na Zachodzie” uważa, że wolności te są w Polsce obecnej zagrożone.

Redaktor *Kultury* postawił w swoim kwestionariuszu dwa niejako wyzywające pytania, które pozwolą nam zorientować się w stosunku młodzieży, która na ankietę odpowiedziała, do czynnego udziału w obronie zagrożonych wartości gdyby do takiego udziału zostali powołani.

Pierwsze pytanie dotyczy powszechnej rewolty: „Czy byłbyś gotów podjąć próbę przedostania się do Polski, gdyby wybuchła tam powszechna rewolta przeciw ustrojowi?”.

Pytanie trudne. Zwłaszcza, że lojalność młodzieży nie zawsze jest lojalnością tylko wobec Polski.

Na pytanie to odpowiedziało 281 osób. Dwie trzecie — nie; jedna trzecia — tak. Ponieważ 104 osoby z 336 osób tworzących naszą grupę badawczą, urodziło się w Polsce, możemy sądzić, że 89, które przyłączyłyby się do ewentualnej rewolty w Polsce znajdują się wśród tych 104-ech.

Następne pytanie przynosi jednak nieco zaskakującą odpowiedź, brzmi ono w ten sposób: „Czy byłbyś gotów zaciągnąć się do ochotniczych wojskowych jednostek polskich na Zachodzie, gdyby powstały w razie wybuchu wojny?”

Na to pytanie odpowiedziało nieco więcej osób: 292. Wśród nich 44,2 % (129) osób odpowiedziało — tak, a 163 osoby — nie. Odpowiedzi: tak, na ewentualny ochotniczy zaciąg do armii polskiej na Zachodzie nie możemy już tłumaczyć urodzeniem w Polsce. Odgrywa tu prawdopodobnie rolę lojalność wobec tradycji rodzinnej i wobec diaspory polskiej poza krajem, jak również modele ideologiczne wybitnych postaci z historii polskiej.

Jakie są wskaźniki ideologiczne młodzieży polskiej na Zachodzie? (fascynujące postacie w historii polskiej)

Najpopularniejszą postacią historyczną, a więc i modelem ideologicznym wśród „młodzieży polskiej na Zachodzie” jest Józef Piłsudski. Wśród odpowiadających 209 osób na pytanie dotyczące „fascynujących postaci”, Piłsudski został wymieniony osiemnastą cztery razy. Później długo nic, a wreszcie pojawia się Paderewski wymieniony 37 razy. Trzecie miejsce zajmuje postać z historii ostatniej wojny, Sikorski, wymieniony 35 razy. I wreszcie pierwsza kobieta, wymieniona 34 razy, Maria Curie. Anders otrzymał 32 głosy, kardynał Wyszyński — 23, Dmowski — 7. Wśród postaci historycznych znalazł się nawet Sienkiewicz wymieniony dwa razy. Jest to echo ogromnego sukcesu Sienkiewi-

cza jako „ulubionego pisarza” wymienionego 131 razy, ale o tym przy analizie odpowiedzi na zainteresowanie literaturą polską. Ogółem wymieniono 70 postaci. Niektórzy (z 209-ciu osób odpowiadających na to pytanie) wymienili jedną osobę (57 % odpowiadających) mniejsza grupa wymieniła dwie osoby (26,8 %). Około 10 % odpowiadających wymieniło 3 osoby, a 6 % respondentów wymieniło cztery i więcej fascynujących postaci w historii polskiej.

Oto osoby, które zostały wymienione, w nawiasie umieszczam ilość głosów, które otrzymały: Kościuszko (10), Ojciec Kolbe (7), Haller (5), Michnik (5), Narutowicz (4), Bór-Komorowski (2), Sobieski (2), Beck (2), Modjewska, W. Sierpiński, Traugutt, Conrad, Rataj, Sucharski, Gombrowicz (2), Rowecki, Rapacki, T. Arciszewski, Koraszewski, Witos, Daszyński, Bohusz-Szyszko, Kuroń, Mikołajczyk, Barańczak, Mickiewicz (2), Ludwik Muzyczka, Maczek, Strzelecki (3), Zb. Brzeziński, Sosabowski, Chopin, L. Stokowski, H. Wars, Hubal, Janusz Bokszański, Jerzy Giedroyc, Batory, Skarga, Kołakowski, gen. Pułaski, Wańkowicz, Gierat, Monter. Pojawiają się też takie ogólniki jak: historia Warszawy, powstańcy, konspiracja. Wymienieni zostali współcześni sportowcy polscy, a także PRL i osobistości takie jak Cyrankiewicz, Gomułka (2), Gierek (2) i Róża Luksemburg.

Popularność Piłsudskiego świadczy o żywotności idei niepodległościowej wśród odpowiadających

Wielu z tych, którzy nie odpowiedzieli — a jest ich 127 osób — mogli nie znać żadnej postaci z historii polskiej na tyle, aby uważać ją za fascynującą. Nie ludźmy się, że młodzież polska na Zachodzie, ta która odpowiedziała na ankietę *Kultury*, a przede wszystkim liczne reszce tej, która na ankietę nie odpowiedziała, zna historię polską. Często nie zna jej „na złość rodzicom” i aby się od polskiego problemu odгородzić, często z braku czasu i wyraźnego zainteresowania tematem. A mimo to jest to też młodzież polska na Zachodzie przechowująca, jeśli nie dla siebie to dla przyszłych pokoleń, wartości kultury polskiej. Niestety, ankietę nie została wydrukowana w obu językach, angielskim i polskim, i dlatego wielu z tej młodzieży na nią nie odpowiedziało. Fascynujące postacie z historii polskiej, które nam nieraz przesłaniają świat i myślą proporcje wartości nie są, niestety, postaciami na miarę światową. Taką postacią jednak stał się papież Jan Paweł II. Wielu z młodzieży polskiej na Zachodzie, którzy niechętnie zajmowali się sprawami polskimi, zostało zafascynowanych postacią papieża.

Poeci i pisarze zajmowali tradycyjnie w kulturze polskiej miejsce obok postaci historycznych. Właściwie trudno taki podział przeprowadzić, gdyż pisarz stawał się jednocześnie postacią histo-

ryczną, modelem ideologicznym, a i sam — jak chociażby Mickiewicz — miał aspiracje polityczne, a wielu z pisarzy — jak Prus, Orzeszkowa, Zeromski — byli jednocześnie reformatorami społecznymi. Wyniki odpowiedzi na pytanie dotyczące znajomości literatury polskiej i „ulubionego pisarza” podpierają i uzupełniają wyniki odpowiedzi na pytanie dotyczące „fascynujących postaci z historii polskiej”. Przyjrzyjmy się bliżej co grupa młodzieży na Zachodzie czyta (jeśli czyta) z literatury polskiej i kogo uważa za ulubionych pisarzy.

Ulubieni pisarze wśród „młodzieży polskiej na Zachodzie”

Pisarze dawni

Na pytanie to odpowiedziało 200 osób. A więc więcej niż jedna trzecia „młodzieży polskiej na Zachodzie” nie zna klasycznej literatury polskiej, gdyż nie mogli wymienić ani jednego pisarza. Z tych, którzy odpowiedzieli 40,5 % wymieniło jednego pisarza, 28,5 % dwóch pisarzy, 19,0 % wymieniło trzech, a 12 % odpowiadających wymieniło czterech albo więcej polskich dawnych pisarzy.

Wymienione zostały 43 nazwiska. Wśród nich, wysunięty daleko na pierwsze miejsce króluje Sienkiewicz. Otrzymał 131 głosów. Nawet Mickiewicz pozostał za nim daleko w tyle, gdyż otrzymał tylko 68 głosów, a Słowacki został wymieniony 22 razy. Ciekawe, a może i znamienne, że trzecie miejsce po popularnym Sienkiewiczu i klasycznym Mickiewiczu zajmuje Bolesław Prus, który został wymieniony 60 razy. Zeromski ma mniej zwolenników, dostał 32 głosy. Kobiety są w wyraźnej mniejszości: Orzeszkowa otrzymała 6 głosów, Konopnicka — 5, a Rodziewiczówna — 3 głosy, Nałkowska została wymieniona dwa razy. Norwid otrzymał 15 głosów, Wyspiański — 11, Kochanowski — 8, Makuszyński — 6, Reymont — 8 głosów, Krąszewski — 6; Conrad, Witkiewicz i Schulz — po 5 głosów; Niemcewicz, Boy i Pasek po trzy głosy, Krasicki, Baczyński, Leśmian i Długosz po dwa. Z pozostałych, wymienionych raz — to Fredro, Morsztyn, Karpiński, Pol, Rej, Przyborowski, Skarga, Staff, Potocki, Jeż, Kondratowicz, Syrokoma, J. Zylińska, Niziarski, Berent, Kaden, Rózewicz, Asnyk, Parandowski.

Jak z tego widać, wśród pisarzy dawnych wymieniono również paru współczesnych.

Pisarze współcześni

Na pytanie dotyczące „ulubionych pisarzy współczesnych” od-

powiedziało 125 osób, jedna trzecia całej „próby badawczej” i o 75 osób mniej niż na pytanie dotyczące pisarzy dawnych. Wśród nazwisk wymienionych panuje duża różnorodność, ale nikt nie zdobył tak wybitnego miejsca, jak Sienkiewicz. Na czoło wysuwa się zdecydowanie Gombrowicz 34-ma głosami. Andrzejewski wymieniony jest 24 razy. Hłasko otrzymał 16 głosów, Brandys — 15, Mrożek — 14, Lem — 12, Miłosz — 11. Po siedem głosów otrzymali Dąbrowska, Konwicki i Iwaszkiewicz. Kisiel — 6 głosów. Po pięć głosów — Herling-Grudziński i Gałczyński. Cztery razy zostali wymienieni: Kuncewiczowa, Łobodowski, Tyrmand, Wańkowicz, Nowakowski, Baczyński i Mackiewicz. Po trzy głosy otrzymali: Pawlikowska-Jasnorzewska, Barańczak, Gołubiew, Szaniawski, Jasienica, Trościanko i Słonimski. Po dwa głosy: Buczkowski, Zukrowski, Stempowski, Strykowski, Wat, Kosiński, Kołakowski, Herbert, Parnicki, Lechoń, Kamiński Bratny. Wymienione zostały następujące nazwiska: Hłakowiczówna, Kossak-Szczucka, Fleczenowa-Muskat, Krystyna Siesicka (?), Hostowiec, Socha, Wojdowski, Pawlikowski, Odojewski, Wierzyński, Mieroszewski, Szczepański, Zbyszewscy, Madej, Marek Nowakowski, Bierezin, Wieniawa-Długoszowski, Bunsch, Parnicki, Łysek, Koraszewski, Rudnicki, Bratny, Orłoś, Wojciechowski, Głowacki, Dygat, Staliński, Fiedler, Wojciechowski, Dobraczyński, Brandstaeter, Gołubiew, Broniewski, Szklarski, Chciuk, Jasienica, Andrzej Kuśniewicz, Mostowicz, Chałko, Kunić, Bartoszewski, Woroszyński, Buczkowski, Kern, Marek Gordon, Karol Borchardt (?), Nizierski, Nienacki, Kern, Andrzej Zbych, Janusz Przymanowski, Bałtyka, Tworek.

Przeszło 90 wymienionych nazwisk — dwa razy więcej niż „pisarzy dawnych” — świadczy o znajomości literatury współczesnej wśród jednej trzeciej naszych respondentów. Czy jednak jednej trzeciej? Czy możemy tę grupę 125 osób zakwalifikować do znawców polskiej literatury współczesnej? Jeśli weźmiemy pod uwagę, że jednego pisarza wymieniło 51 osób, dwóch pisarzy 26 osób, a czterech i więcej tylko 29 osób, to stopień znajomości literatury współczesnej polskiej wśród „młodzieży polskiej na Zachodzie” należałoby właściwie ograniczyć do tych 29 osób, które wymieniły czterech lub więcej „ulubionych pisarzy” współczesnych. Wydaje mi się, że te 29 osób to ludzie urodzeni i wykształceni w Polsce współczesnej gdzie literatura pisarzy (zwykle raz tylko wymienionych) była im dostępna. Ciekawe jednak, że wśród wymienionych czterech lub więcej pisarzy dawnych wystąpiła podobna cyfra 24 osób. Można by na tej podstawie zaryzykować hipotezę, że tylko niecałe 7 % naszej próby badawczej to ludzie odczytani w polskiej literaturze dawnej i współczesnej.

Wprowadzenie drugiego języka (angielskiego) do kwestionariusza pozwoliłoby na szersze ogarnięcie „młodzieży” i sądzę, że uzyskałoby odpowiedzi tych, którzy współczesną literaturę polską czytają w przekładach na języki obce. Na każdym kroku, co już dawniej chciałam zauważyć, brakuje mi w analizie podziału „naszej młodzieży na Zachodzie” według płci. Jest to, przy zmieniającej się roli kobiety na świecie, ważne i mogłoby wnioski analityczne pogłębić.

Wracając do wcześniejszego pytania: „Jakie postacie fascynują młodzież polską na Zachodzie” możemy zauważyć następującą tendencję: Większość odpowiadających identyfikuje polskość z ideą niepodległościową, czynem zbrojnym (Piłsudski, Anders, Sikorski) i mitem bohaterstwa (Sienkiewicz). Mniejszość, bardziej pragmatyczna i nie poddająca się nastrojom, stara się swoją polską tożsamość analizować (Paderewski, Curie, kard. Wyszyński), spogląda na polskość krytycznie (Gombrowicz), a także interesuje się aspektem społecznym (Prus).

Respondenci ankiety *Kultury* czytają swoich ulubionych (i nie ulubionych) pisarzy nie tylko w wydawnictwach książkowych, ale w prasie emigracyjnej. Przyjrzymy się teraz bliżej jak wygląda to czytelnictwo na podstawie odpowiedzi na Ankietę.

Czytelnictwo prasy emigracyjnej wśród respondentów ankiety

Na pytanie dotyczące prasy emigracyjnej odpowiedziało 176 osób, trochę więcej niż połowa całej „próby badawczej”. Wśród nich 40,9 % czyta jedno tylko pismo, 30,7 % czyta dwa pisma, 17 % trzy pisma, a 11,4 % odpowiadających czyta cztery lub więcej pism emigracyjnych. Na czoło wysuwają się trzy pisma emigracyjne: *Kultura* wymieniona 86 razy, *Dziennik* londyński — 37 razy i *Wiadomości* — 23 razy.

Londyński *Tydzień Polski* został wymieniony 17 razy, a *Tygodnik Polski* z Melbourne 15 razy. Następne miejsce zajmuje kanadyjski *Związkowiec*, który otrzymał 12 głosów i również kanadyjski *Czas* — 9 głosów. *Głos Polski* w Argentynie i *Na Antenie* zostały wymienione po 8 razy. *Aneks* dostał 12 głosów. Po siedem razy wymieniono *Dziennik Związkowy* i *Gwiazdę Polarną*. Po sześć głosów otrzymały *Przemiany* i *Narodowiec*; *Wiadomości Polskie* otrzymały 9 głosów. Po pięć razy wymieniono *Nowy Dziennik* nowojorski i *Zeszyty Historyczne*, a *Jedność* otrzymała 4 głosy. Ostatnie *Wiadomości* zostały wymienione 3 razy; po dwa razy: *Zgoda*, *Rodak*, *Wydawnictwo Koła AK w Stockholmie*, *Szerszeń*, *Indeks*, *Przegląd Katolicki* z Sidney. Harcerskie pismo *Na Tropie* otrzymało 5 głosów. Wymienione

zostały: *Polska w Europie*, *Myśl Polska*, *Wici*, *Kulisy* i *Amerika-Echo*.

Marian Krzyżowski przygotował 75 tablic statystycznych, pozwalających na szczegółową analizę czytelnictwa pism emigracyjnych w zależności od 75 „zmiennych niezależnych” wydedukowanych z odpowiedzi na Ankietę. Te „zmienne niezależne”, a więc cechy charakterystyczne naszych respondentów, które zmieniają się w zależności od warunków życiowych i sposobu myślenia jednostki, omawialiśmy już częściowo w analizie Ankiety. Dla porządku i jasności wymienię je teraz wszystkie. Są to: miejsce urodzenia, miejsce zamieszkania, wiek, wykształcenie, rodzaj wykształcenia, znajomość języka polskiego, gdzie respondent uczył się języka polskiego, zainteresowanie polskim językiem i kulturą, zadowolenie z kraju osiedlenia, powody przeniesienia się do innego kraju (w wypadku chęci przeniesienia się), konflikt lojalności, wybór kraju w wypadku konfliktu lojalności, odwiedziny Polski, kontakt z organizacjami emigracyjnymi, rodzaj emigracyjnych organizacji z którymi respondent jest w kontakcie, ocena działalności organizacji, wybór partii politycznej, wybór systemu ekonomicznego jako bardziej sprawiedliwego, jako bardziej efektywnego, stosunek do religii, ocena bieżącej sytuacji w Polsce, w jaki sposób sytuacja w Polsce może być zmieniona, czytelnictwo polskiej prasy, czy respondent czyta prasę emigracyjną, czy czyta *Kulturę*, *Wiadomości*, *Dziennik* londyński. Czy respondent popiera ideę zjednoczonej Europy, czy idea ta jest realistyczna, stosunek do Polskiego Rządu na emigracji, fascynujące postacie w historii polskiej, Piłsudski jako fascynująca postać, Paderewski, Sikorski, Curie, Dmowski, Wyszyński, Anders, Sienkiewicz, zainteresowanie polemiką starszego pokolenia emigracyjnego, emocjonalny stosunek do Wilna i Lwowa, stosunek do antysemityzmu. Czy respondent śledzi ruch opozycji w Polsce, KOR, ROPCiO, PPN, SKS. Czy respondent nawiązuje łatwy kontakt z rówieśnikami w Polsce, czy przyłączyłby się do rewolty w kraju, czy zaciągnąłby się do armii polskiej na Zachodzie, jak reaguje gdy koledzy starają się go odciągnąć od pochodzenia polskiego, czy stara się zainteresować nie-Polaków sprawami polskimi, ulubieni pisarze — Sienkiewicz, Prus, Zeromski, Mickiewicz, Słowacki, Witkiewicz, ulubieni współcześni pisarze, Gombrowicz, Miłosz, Iwaszkiewicz, Andrzejewski, Hłasko, Mrozek, jak wyobraża sobie respondent przyszłe stosunki Polski z USSR, stosunki z Niemcami.

Każda z tych cech określających warunki życiowe, ustosunkowanie się, wybór i sposób myślenia respondentów przeanalizowana została w stosunku do trzech grup-poziomów. Trzy te grupy są następujące:

1. Są to wszyscy, którzy na dane pytanie odpowiedzieli.

2. Ci, którzy na dane pytanie odpowiedzieli i czytają jedno lub więcej pism emigracyjnych.

3. Ci, którzy na pytanie odpowiedzieli i czytają *Kulturę*.

Dla wyjaśnienia postaramy się zanalizować tablicę dotyczącą wieku respondentów.

Czytelnictwo pism emigracyjnych a wiek respondentów

Wiek	1.	2.	3.
	334	175	86
15-19	132 — 39,5 %	49 — 28,0 %	7 — 8,1 %
20-25	104 — 31,1 %	48 — 27,4 %	19 — 22,1 %
26-30	67 — 20,1 %	52 — 29,7 %	39 — 45,3 %
31-35	16 — 4,8 %	12 — 6,9 %	11 — 12,8 %
36-40	15 — 4,5 %	14 — 8,0 %	10 — 11,6 %

Na wyżej zamieszczonej tablicy widzimy trzy grupy: grupa oznaczona 1. to 334 osoby, które odpowiedziały na pytanie dotyczące ich wieku. Podzieliliśmy tych respondentów na 5 podgrup: wyszczególnionych w rubryce „Wiek”: 15-19; 20-25; itd. Mamy więc 132 osoby, czyli 39,5 % całości respondentów w wieku 15-19 lat.

Rozpatrując następnie grupę oznaczoną numerem 2 zobaczymy że mamy tu 175 osób, które odpowiedziały, że czytają jedno lub więcej pism emigracyjnych. Wśród młodzieży pomiędzy 15-19 rokiem życia tylko 49 osób, to jest 28,0 % całości czyta jedno lub więcej pismo emigracyjne. W grupie numer 3 mamy respondentów — a jest ich 86 — którzy czytają *Kulturę*.

Wśród młodzieży pomiędzy 15-19 rokiem życia tylko 7 osób, 8,1 % całości, czyta *Kulturę*. Studiując dalej tabelę zobaczymy, że czytelnictwo *Kultury* osiąga największe nasilenie w grupie ludzi pomiędzy 26-30 rokiem życia — *Kulturę* czyta tu 39 osób. Nasuwa się jeszcze jeden wniosek, że respondenci niekoniecznie są czytelnikami *Kultury*, przeciwnie tylko niecała jedna czwarta grupy badanej to czytelnicy *Kultury*. Dokładna analiza tablic przynosi ciekawe wnioski, które ze względu na ograniczoną i *self-selective* grupę respondentów mogą nam służyć raczej jako hipotezy do dalszych badań niż jako stwierdzenia. Na przykład: według tablicy analizującej Sienkiewicza, Prusa i Żeromskiego jako ulubionych pisarzy, stwierdzamy, że popularność Sienkiewicza

zmniejsza się u czytelników *Kultury* podczas gdy popularność Prusa i Żeromskiego u tych czytelników raczej wzrasta. Sienkiewicz najbardziej popularny jest u tych, którzy „czytają więcej niż jedno pismo emigracyjne”.

Gombrowicz i Miłosz zyskują swoją popularność dzięki czytelnikom *Kultury*, podczas gdy Iwaszkiewicz jest „ulubionym pisarzem” tych, którzy nie koniecznie czytają *Kulturę*.

Tabela dotycząca miejsca urodzenia stwierdza, że chociaż Kanadyjczycy i Nowozelandczycy tworzą 12,6 % i 6,3 % całości respondentów, tylko 6,3 % Kanadyjczyków i 0 % Nowozelandczyków wchodzi w skład grupy, która czyta chociażby jedno polskie pismo emigracyjne. Tylko 4 % respondentów urodzonych w 4 krajach anglojęzycznych czyta *Kulturę*. A ci właśnie respondenci z „nowego świata” tworzą 40 % całej grupy badawczej. Bardziej niż prasa emigracyjna interesuje „młodzież polską na Zachodzie” obecna i przyszła polityczna sytuacja Polski i stosunek z jej sąsiadami. Przyjrzyjmy się temu zagadnieniu którego wnioski oparłam na odpowiedziach na sześć różnych pytań.

Jaki jest pogląd młodzieży polskiej na Zachodzie na obecny i przyszły stosunek Polski i jej sąsiadów?

Na pytanie dotyczące zjednoczonej Europy odpowiedziało 292 respondentów i większość z nich, to jest 64,7 % podpisuje się pod tą ideą. Już 10 osób mniej (282) odpowiedziało na następne pytanie dotyczące realności takiej idei. I tu 122 osoby stwierdziły, że idea taka wydaje im się realna, ale większość nie wierzy w zjednoczoną Europę. W sprawie stosunku do ZSSR zabrało głos 271 osób. Zarysowało się tu pięć różnych kategorii odpowiedzi. Większość (68,6 %), 186 osób, ma do Rosji stosunek negatywny; tylko 10,3 % ma stosunek pozytywny, 13,3 % odpowiadających wyraziło swój stosunek do ZSSR jako „ostrożny”, 18 osób stwierdziło, że stosunek ich do wschodniego sąsiada Polski jest neutralny, a 3 osoby rozróżniły pomiędzy narodem, za którym się opowiedziały i rządem do którego mają stosunek negatywny.

Nieco mniej, bo 227 osób wzięło udział w odpowiedzi na pytanie jak wyobrażają sobie przyszłe stosunki Polski z ZSSR. I tu, większość widzi ten stosunek w świetle bardziej optymistycznym: 42,3 % (96 osób) wyraziło się pozytywnie o przyszłych stosunkach Polska - Rosja, 3,5 % odpowiedziało, że stosunki będą możliwe, 6 osób pozostało neutralnych, 30 osób nakazywało ostrożność, 35,2 % całości (80 osób) widzi stosunki Polska - Rosja w przyszłości jako negatywne, a 8 osób wręcz niemożliwe.

Przyjrzyjmy się teraz tym samym odpowiedziom tylko w stosunku do naszego zachodniego sąsiada — Niemiec.

Wśród 264 osób odpowiadających na to pytanie zarysowały się podobne jak w stosunku do Rosji kategorie, ale proporcja ich jest inna. Tylko 38,6 % odpowiadających ma do Niemiec stosunek negatywny, ale 21,6 % nakazuje ostrożność, spory stosunkowo odsetek, bo 20,8 % (55 osób) ma do Niemiec stosunek neutralny albo obojętny, jedna osoba jest za narodem niemieckim ale przeciwko rządowi, a 18,6 % ma do Niemiec stosunek pozytywny. Porównując ten ostatni wynik z pozytywnym stosunkiem do Rosji widzimy, że „młodzież na Zachodzie” z większą sympatią odnosi się do Niemiec (49 osób ma stosunek pozytywny) niż do Rosji (28 osób ustosunkowuje się pozytywnie). Ta sama tendencja widoczna jest w ocenianiu przyszłych stosunków pomiędzy Polską i Niemcami. Na 226 respondentów, 122 osoby ocenia przyszły stosunek dwóch państw jako pozytywny, a tylko 23 % całości (52 osoby) jako negatywny. Ostrożność nakazuje tylko 31 osób, a tylko 8 osób uważa, że stosunek z Niemcami będzie niemożliwy.

Nasuwać się na podstawie tych odpowiedzi dwa pytania: Dlaczego stosunek badanej grupy młodzieży jest bardziej pozytywny do Niemiec niż do Rosji i dlaczego zarysowują się tendencje większej ostrożności i większej neutralności w stosunku do Niemiec?

Odpowiedzi na te pytania mogłyby stać się przedmiotem ciekawych dyskusji. Moja osobista interpretacja jest raczej formą hipotez, które mogą być użyte w przyszłych podobnych badaniach. Po pierwsze, młodzież odpowiadająca na pytania (przeszło 90 % w wieku 15-30) to osoby, które nie przeszły okupacji niemieckiej. Nie chcą już słyszeć o okropnościach drugiej wojny światowej, ale raczej wyciągają rękę do porozumienia z młodzieżą niemiecką, aby zmienić bieg destruktywnej w przeszłości polityki. Mimo to, zapamiętane lub utrwalone tylko w podświadomości wrażenia z opowiadań rodziców czy dziadków o doświadczeniach niemieckiej okupacji, nakazują wielu z naszych respondentów ostrożność, albo też niezdecydowanie czy neutralność. Możliwe, że podobnie czuje młodzież niemiecka i że obserwujemy nowe tendencje zasługujące na osobne studium.

Wschodni nasz sąsiad, Rosja jest w chwili obecnej dynamicznie aktualna i agresywna. Ingerencja Rosji w życie prywatne człowieka i jej totalitaryzm odrzucone są jako obce i drażniące przez młodzież polską na Zachodzie. Wpływ rosyjski zagraża tożsamości jednostki, a ucisk niemiecki podczas okupacji do tej tożsamości nawet nie dotarł, przeciwnie umocnił ją i zahartował.

Pogląd młodzieży polskiej na Zachodzie na obecny i przyszły

stosunek Polski i jej sąsiadów ma tendencje unifikacyjne i liberalne. W swej ocenie sytuacji młodzież ta zachowuje ostrożność i neutralność ciążąc raczej ku kulturze zachodniej odsuwając się od bizantyjskiej kultury wschodniej.

Wspominałam wcześniej o trzech grupach na które podzieliłmy respondentów do analizy czytelnictwa pism emigracyjnych. Pierwszą grupą, przypominam, byli ci wszyscy, którzy na dane pytania odpowiedzieli, drugą, ci, którzy czytają jedno lub więcej pism emigracyjnych i trzecią, czytelnicy *Kultury*. Otóż stosunek pozytywny do sąsiadów, Niemiec i Rosji, zwiększa się idąc od grupy pierwszej do trzeciej: najbardziej pozytywny jest u czytelników *Kultury*.

Respondenci ankiety urodzeni, wychowani, albo dorastający na Zachodzie mogli sobie wyrobić nieskrępowany niczym stosunek do ustroju kapitalistycznego, którego doświadczają i socjalistycznego, który obserwują na odległość. Zarysowują się też wśród nich pewne tendencje sympatii do lewicy czy też prawicy w krajach osiedlenia (a u niektórych obejmuje to i partie polityczne emigracyjne). Przyjrzyjmy się teraz

Jakie są tendencje polityczne u „młodzieży polskiej na Zachodzie”?

Na podstawie odpowiedzi na trzy pytania mogłam wytypować pewne tendencje wśród tych, którzy na pytania odpowiedzieli. Na ogół młodzież polska na Zachodzie to ludzie pragmatyczni, realni i sędzę, że można ich określić jako konserwatystów z sympatiami socjalistycznymi albo lewicowymi. Chociaż większość z nich (53,8 %) przyznaje, że socjalizm jako forma gospodarki współczesnej wydaje im się słuszniejszy, to jednak 84,8 % uważa kapitalizm za efektywniejszy.

Cała grupa badawcza i ci, którzy czytają jedno albo więcej pism emigracyjnych, sympatyzują raczej z konserwatystami, ale więcej niż połowa czytelników *Kultury* przyznaje się do sympatii socjalistycznych. Pomimo to ci sami czytelnicy *Kultury*, którzy tak sympatyzują z socjalizmem, więcej niż pozostałe grupy — bo w 90,8 % opowiedzieli się za formą gospodarki kapitalistycznej jako bardziej efektywną.

Warto tu jeszcze wspomnieć o odpowiedziach na pytanie dotyczące Polski piastowskiej, wolnej od mniejszości narodowych. Wśród 250 osób, którzy na nie odpowiedzieli, 46,8 % jest za Polską bez mniejszości narodowych, 53,2 % — przeciwko, to znaczy za Polską pluralistyczną. Narodowościowe tendencje wśród niemal połowy respondentów są zastanawiające wobec współczesnej monolitycznej Polski. Czyżby więc, tradycje jagiellońskie

Polski pluralistycznej traciły na znaczeniu? A może tradycje te będą się mogły przechować tylko na emigracji?

Jak „młódzież polska na Zachodzie” ustosunkowuje się do swojej polskiej tożsamości?

Pytanie to, niezmiernej wagi, należałoby w przyszłości rozpracować tak, aby otrzymać wyniki pozwalające na większą wrażliwość i wnikliwość analityczną. Z odpowiedzi na niektóre pytania zarysowują się tylko ogólne tendencje. Pytania te jednak musiały poruszyć jakąś strunę w podświadomości respondentów, bo liczba osób odpowiadających na nie jest stosunkowo większa niż na inne pytania. I tak, na pytanie dotyczące konfliktu lojalności odpowiedziało 301 osób. Wśród nich 73,8 % a więc prawie trzy czwarte całości nie odczuwa konfliktu lojalności. Jedna trzecia przyznała się do konfliktu. Należałoby teraz spytać czy dlatego nie odczuwają konfliktu lojalności ponieważ lojalność ich jest zdecydowanie po stronie Polski, czy też po stronie kraju osiedlenia? Odpowiedź taką przynosi nam pytanie następne dotyczące wyboru kraju ale odpowiedziały na nie tylko 83 osoby więc tylko o cztery osoby więcej niż liczba osób (79) przyznająca się do konfliktu w pytaniu poprzednim. Wśród nich 52 osoby wybrały Polskę, a 31 kraj osiedlenia. Ciekawszy i bardziej miarodajny wydaje mi się brak odpowiedzi 218 osób na pytanie dotyczące wyboru pierwszeństwa. Jest to, jak myślę, wystarczający dowód na to, że konflikt lojalności istnieje. Konfliktem lojalności nie jest zdecydowanie przyznanie pierwszeństwa jednemu z dwóch krajów, ale niemożność decyzji, która nieraz jest męcząca, a nieraz też prowadzi do wytworzenia „trzeciej wartości” nowej formy tożsamości i związanej z nią lojalności. A czy młódzież polska na Zachodzie znajduje szybko wspólny język z młódzieżą w kraju? Na ogół tak. Na 295 odpowiadających, tylko 83, niecałe 30 % odczuwa trudności w kontakcie z rówieśnikami z kraju.

Większość naszych respondentów odczuwa niechętnie próby ze strony swoich kolegów w krajach osiedlenia zatarcia w nich poczucia polskości. Tylko 35,3 % z 278 odpowiadających na to pytanie zdobywa się na wyrozumiałość wobec swoich kolegów, którzy starają się ich „asymilować”. „Asymilować” umieściłam w cudzysłowie ponieważ proces asymilacyjny zachodzi podświadomie, a „pokusy asymilacyjne” o które redaktor *Kultury* pytał w kwestionariuszu mogły być raczej zrozumiane jako lekceważenie przez kolegów pochodzenia polskiego, uznawanie je za gorsze niż kultura otoczenia, a jeśli nie za gorsze to za sprawiające nie-

potrzebne — według nich — konflikty i niejasności. Jest to jednak, muszę przyznać, *double talk*, gdyż na przykład, osoba pochodzenia polskiego, uznawana przez otoczenie za Amerykanina czy Amerykanę, w chwilach decydujących lub kryzysowych nagle nabiera barwy swego pochodzenia. „Widzisz — powiedziała mi w chwili szczerości dziekan mojej szkoły — jacy my teraz jesteśmy liberalni. Dawniej uczyli tu tylko Irlandczycy. To był uniwersytet irlandzki, a teraz ty, Polka jesteś tu profesorem”. Było to pierwszy raz, po wielu latach uczenia, kiedy wyraźnie zaznaczyła, a raczej odróżniła mnie od otoczenia, które tyle razy zapewniało mnie, że uważają mnie tylko za Amerykanę.

Drugim przykładem z bliskiego otoczenia jest wywiad syna mego, Jacka, wychowanego i wykształconego w Ameryce, z profesorem psychiatrii. Jacek, szereg lat temu, zainteresowany był specjalizacją w psychiatrii i jako student medycyny zgłosił się wtedy do profesora, który prowadził grupę studentów w tym kierunku. Profesor zainteresował się imieniem mego syna, a gdy dowiedział się, że to polskie imię, zdziwił się: „Ty Polak i interesujesz się psychiatrią! Polacy rzadko kiedy, albo wcale się w tym dziale nie specjalizują!”. Jacek odczuł to bardzo boleśnie i nigdy już do psychiatrii nie wrócił specjalizując się w chirurgii.

Na pytanie dotyczące zainteresowania kolegów w kraju osiedlenia sprawami polskimi odpowiedziało 307 osób. Tylko jedna czwarta respondentów nie występuje (naturalnie od czasu do czasu) w roli adwokatów polskości. Większość na pytanie to odpowiedziała afirmatywnie. Pytanie to, którego intencją jest sondowanie podświadomości zostało postawione zbyt *directly*. Bardziej miarodajną odpowiedź przyniosłoby omówienie tej sprawy przytaczając na przykład szereg sytuacji i dając respondentowi możliwość wyboru jednej z nich. Jedną z takich sytuacji mogłoby być, na przykład:

W czasie wykładu profesor mówi o pracy odkrywcy Kopernika omijając jego polskie pochodzenie. Jak zachować(a)byś się w podobnym wypadku? Zakreśl jedną z odpowiedzi.

1. Bez reakcji. To nie ma znaczenia. Kopernik należy do nauki, a nie do narodu.
2. Bez reakcji, ale czu(a)bym się bardzo nieprzyjemnie.
3. Po wykładzie spyta(a)bym profesora czy wie, że Kopernik był Polakiem.
4. W czasie wykładu podniós(a)bym rękę prosząc o głos, aby wytłumaczyć (dodać) że Kopernik był Polakiem i studiował na polskim uniwersytecie.
5. Zaproponowa(a)bym klasie wygłoszenie referatu o pochodzeniu Kopernika.

Analiza kilku podobnych pytań przyniosłaby odpowiedź na

pytanie jakie istnieją tendencje wśród młodzieży polskiej na Zachodzie, dążące do zainteresowania swego otoczenia sprawami polskimi, a także pozwoliłaby nam wejrzeć w proces tworzenia się tożsamości. Ale nawet te pięć pytań w kwestionariuszu *Kultury* pozwala nam na postawienie hipotez i wyciągnięcie pewnych początkowych wniosków dlatego uważam tę inicjatywę redaktora za bardzo ważną.

Polonia i emigracja polska na Zachodzie mało interesują się analizą przemian tożsamości. W rezultacie nie wiemy dobrze co myśli, co czuje i jak zareaguje na zdarzenia albo odezwy obywatel milionowej diaspory polskiej na świecie. Jest to stale niewiadoma. Niewiadoma o ogromnym, niewykorzystanym potencjale, niewiadoma sama siebie nie znająca.

Społeczeństwo żydowskie mające ogromną i długoletnią tradycję wędrówek po całym świecie i współzycia z narodami całej kuli ziemskiej, doceniało i docenia znaczenie studiów nad tożsamością jednostki. W ostatnich tygodniach dwóch moich studentów obroniło prace doktorskie, których byłam dyrektorem. Obie te prace badały tożsamość Żydów amerykańskich. Chciałabym wspomnieć o jednej z nich badającej różnicę pomiędzy tożsamością (i zachowaniem się) Żydów amerykańskich pochodzenia niemieckiego i pochodzenia wschodnioeuropejskiego. Badania przyniosły ciekawe wnioski dotyczące różnic pomiędzy tymi dwoma grupami uważanymi potocznie za monolityczną grupą Żydów amerykańskich pochodzenia europejskiego. Żydzi niemieccy, na przykład, na pierwszym miejscu umieścili *Boga* wybierając określenie: — „Jestem Żydem który uważa, że Tora jest objawionym słowem bożym” — jako najważniejsze. Na drugim miejscu postawili *Izrael* z punktu widzenia politycznego („Jestem Żydem, który myśli, że Izrael powinien być popierany”) i na trzecim wartość *asymilacji* („Uważam, że Żydzi mogą wymieniać prezenty na Boże Narodzenie”).

Żydzi pochodzenia wschodnioeuropejskiego (wielu z nich polskiego) postawili na pierwszym miejscu *tradycję* („Ważne jest, aby Żydzi żenili się pomiędzy sobą”). Na drugim *poczucie przynależności do grupy żydowskiej* („Czuję przynależność do Żydów amerykańskich”). Na trzecim, *tabu* („Jestem przeciwny(a) tańcom urządzanym w szkołach publicznych w piątek wieczorem”).

Teza ta przynosi nowe sformułowanie żydowskiej tożsamości etnicznej, które w polskim tłumaczeniu brzmi mniej więcej w ten sposób: Żydowska tożsamość etniczna jest to mistyczny i psychospołeczny proces w którym odbywa się interakcja pomiędzy wartościami i tendencjami wspólnymi wszystkim Żydom, a wartościami i tendencjami nabytymi przez różne grupy żydowskie w różnych systemach kulturalnych świata (według tezy doktorskiej

Melvina Shandlera pt. „A Study of The Attitudes Toward Psychotherapy of American German Jews and Selected Groups of American East European Jews”, Catholic University, 1979).

Definicja ta mogłaby być zastosowana do określenia tożsamości „młodzieży polskiej na Zachodzie” i do badania, jako hipoteza, tożsamości polskiej diaspory. Badanie takie musiałoby pójść w dwóch zasadniczych kierunkach. Pierwszy: jakie są podstawowe wartości i tendencje wspólne wszystkim Polakom? i drugi: Jakie wartości poszczególne grupy polskie w różnych krajach osiedlenia nabyły od otaczających je systemów kulturalnych?

Dopiero takie badanie mogłoby nam dać odpowiedź na niewiadomą dotyczącą Polaka na świecie. W tym widzę jeden z ważniejszych celów „Polonii Jutra”, która następną swoją konferencję ma odbyć w Paryżu w roku 1982.

Omówienie stosunku „młodzieży polskiej na Zachodzie” do polskiej tożsamości zamyka dział analizy ankiety oparty o *frequency* czyli częstotliwość odpowiedzi respondentów. Pozostaje nam teraz zapoznanie się z zależnościami zmiennych od siebie, czyli, mówiąc językiem potocznym, jakie układy warunków wpływają na takie, a nie inne zachowanie się (w sensie odpowiedzi na pytanie) młodzieży polskiej na Zachodzie.

Omawiając czytelnictwo prasy emigracyjnej, wymieniałam przeszło siedemdziesiąt różnych „zmiennych” (*variables*) na podstawie których możemy wydedukować pewne nastawienia i tendencje wśród naszej grupy badawczej. Zmienne te czasem są niezależne, to znaczy nie zależą od wpływu innej zmiennej lub zmiennych. Na przykład taką zmienną niezależną jest *wiek* w stosunku do zmiennej zależnej, *ilość pism emigracyjnych czytanych przez respondenta*. Mówimy wtedy: w zależności od wieku respondentów ilość pism czytanych zmienia się. Znaczy to, że wiek odpowiadających na ankietę wpływa decydująco na stopień czytelnictwa pism emigracyjnych. „Zonglowanie” zmiennymi, odkrywanie zależności to najciekawsza faza badania. Nie wszystkie te zależności odkryte przez badacza mają naukowe znaczenie, to znaczy są *significant*, albo miarodajne. Niektóre zależności mogły się po prostu zdarzyć przypadkowo (*by chance*) i takie zależności nie dają nam podstawy do wyciągania wniosków. Mówimy wtedy, że nasz test zależności nie jest statystycznie miarodajny. Tylko wtedy, gdy odkrywamy, że nasze zmienne wykazują na pewnym ustalonym przez nas poziomie statystycznym, że zależność ich nie jest przypadkowa, a systematyczna — stwierdzamy, że odkryliśmy tendencję a nie przypadek. Na przykład: Znajomość języka polskiego (zmienna zależna) jest ściśle uzależniona od następujących zmiennych niezależnych wymienionych w kolejności stopnia zależności:

1. stopień znajomości języka polskiego zależy od miejsca urodzenia respondenta (urodzeni w Polsce znają język polski lepiej niż urodzeni poza Polską);
2. stopień znajomości języka polskiego zależy od miejsca osiedlenia respondenta (w tym wypadku potwierdza się, że kraje mające więcej respondentów urodzonych w Polsce, jak np. Stany Zjednoczone, mają również większy procent osób, które znają dobrze język polski);
3. Stopień znajomości języka polskiego zależy od wieku respondentów, im starszy respondent tym bardziej należy się spodziewać, że jego znajomość języka polskiego będzie dobra.

Wykształcenie respondenta tylko w małym stopniu wpływa na jego znajomość języka polskiego (jest to czynnik najslabiej wpływający na stopień znajomości języka) chociaż od tych, którzy ukończyli *college* można się raczej spodziewać, że będą mówili po polsku lepiej niż ci, którzy mają wykształcenie niższe.

Jaki układ warunków wpływa na decyzję „młodzieży polskiej na Zachodzie” wzięcia udziału w ewentualnych ruchach rewolucyjnych przeciwko reżymowi w Polsce?

Wzięliśmy pod uwagę wszystkie 75 zmiennych i okazało się, że 16 wśród nich wykazuje stosunek zależności z badaną przez nas zmienną. Mieszkańcy Stanów Zjednoczonych, Niemiec i krajów Skandynawskich mają większe tendencje przyłączenia się do rewolty niż ci zamieszkali w Kanadzie, Wielkiej Brytanii, Australii i Nowej Zelandii. Urodzeni w Polsce, ci co czytają polską prasę i ci, którzy śledzą ruchy opozycji w Polsce są bardziej niż inni zainteresowani w przyłączeniu się do ruchów rewolucyjnych. Wśród tych, którzy uważają, że w kraju potrzebne są zmiany radykalne 40 % przyłączyłoby się do rewolty, a tylko 16-17 % tych, którzy sytuację w Polsce oceniają jako znośną lub dobrą. Z poprzedniej tablicy wiemy już, że na ogół starsi wśród badanej grupy wykazują tendencje przyłączenia się do ruchów rewolucyjnych. Ci, którzy jeżdżą do Polski regularnie i ci, którzy nie jeżdżą wcale do kraju są raczej skłonni do wzięcia udziału w rewolcie (jeśli taka by wybuchła) niż ci, którzy do kraju jeżdżą od czasu do czasu. Druga ewentualność jest zrozumiała. Są to prawdopodobnie ci, którzy ze względów politycznych do kraju jechać nie mogą. Pierwszą ewentualność można tłumaczyć pewną bliskością i silnym zaangażowaniem w sprawy krajowe na skutek częstego kontaktu. Natomiast wizyty od czasu do czasu są raczej dla przyjemności i bez wielkiego zaangażowania. Negatywny sto-

sunek do Rosji, ocenianie zmiany sytuacji krajowej poprzez rewolucję wpływa na decyzję w kierunku przyłączenia się do rewolty.

Ze wszystkich pisarzy wysunął się tu tylko Mickiewicz. Przyszło połowa tych, którzy wymienili Mickiewicza jako ulubionego pisarza skłonna jest do wzięcia udziału w rewolucji. Więcej niż połowa wielbicieli Piłsudskiego jest gotowa przyłączyć się do ruchów rewolucyjnych. Będą tu też ci (a raczej większość tych), którzy nie są zadowoleni z kraju swego osiedlenia, ci, którzy czytają prasę krajową i emigracyjną i ci, którzy swój język polski ocenili jako „dobry”.

Okazuje się, że wielbiciele Marii Curie-Skłodowskiej to ludzie raczej spokojni, tylko 20 % wśród nich przyłączyłoby się do rewolty. Stosunek do religii jest tylko słabo zależny od badanej zmiennej. Na ogół pozytywne ustosunkowanie się do religii sprzyja ewentualnemu przyłączeniu się do ruchów rewolucyjnych.

Z opisanych „tendencji” i „zależności” wysuwa się profil człowieka, który gotów byłby podjąć próbę przedostania się do Polski gdyby wybuchła tam powszechna rewolta przeciw ustrojowi.

Jest to profil literacki ma jednak swoje uzasadnienie naukowe w badanej przez nas grupie. Nasz bohater(ka) jest w wieku średnim, lat około 36-ciu (nie wiemy czy kobieta czy mężczyzna), urodzony w Polsce, osiedlony w Stanach Zjednoczonych, Niemczech lub Skandynawii, czytany w prasie krajowej i emigracyjnej, ustosunkowany negatywnie do Rosji i śledzący pilnie zmiany i działalność grup opozycyjnych w kraju. Jest to człowiek religijny lub ustosunkowany do religii przychylnie, ideowy niepodległościowiec czerpiący natchnienie z Mickiewicza i Piłsudskiego i wierzący w zmiany poprzez rewolucję.

Rozpatrzymy teraz pytanie podobne, a mianowicie:

Jaki układ warunków wpływa na gotowość „młodzieży polskiej na Zachodzie” zaciągnięcia się do ochotniczych wojskowych jednostek polskich na Zachodzie, gdyby powstały w razie wybuchu wojny?

Wiemy już, że 129 osób odpowiedziało pozytywnie na to pytanie w Ankiecie i że są to osoby nie tylko urodzone w Polsce. Przyjrzyjmy się jak wygląda skład „ochotników” według miejsca urodzenia. W Polsce urodzili się 52 osoby. Druga prowadzi Wielka Brytania — 31 osób, następne Stany Zjednoczone — 16 osób, Australia — 15, Kanada — 5, Niemcy — 4, Argentyna i Nowa Zelandia „wystawiły” po dwóch ochotników.

Miejsce osiedlenia, ocena sytuacji w kraju, czytelnictwo prasy polskiej, uwaga zwrócona na opozycję w kraju, pozytywny stosunek do religii, kontakt z organizacjami emigracyjnymi, przekonanie o wyższości rewolucji nad ewolucją i zapatrywania konserwatywne — to układ warunków wpływający na gotowość zaciągnięcia się do armii ochotniczej. Ale wysuwają się jeszcze cztery postacie. Są to modele których wielbiciiele wykazują większe tendencje przystąpienia do szeregów armii polskiej na Zachodzie. Obok znanych nam z „rewolty” Piłsudskiego i Mickiewicza, zjawiają się Anders i Hłasko.

Prawie dwie trzecie tych, którzy wspomnieli Piłsudskiego jako fascynującą postać w historii, przystąpi do armii na Zachodzie, a więcej niż 60 % tych, którzy wymienili Mickiewicza. Pojawienie się nazwiska Andersa jest zrozumiałe i przeszło 75 % tych, którzy wymienili nazwisko Generała gotowych jest zaciągnąć się do armii. Ale dlaczego Hłasko? Jest to jedyny pisarz współczesny (wśród wymienionych ulubionych pisarzy) którego czytelnictwo i gotowość zaciągnięcia się do oddziałów polskich na Zachodzie (mierzone odpowiedziami respondentów) okazały miarodajną (*significant*) zależność. Na 16 osób, które wymieniły Hłaskę jako ulubionego pisarza, 12 wyraziło gotowość zaciągnięcia się do „polskich oddziałów na Zachodzie”. Kontrowersyjność Hłaski i jego poszukiwanie przygody przemawiają widocznie do osób pod tym względem mu podobnych.

Spróbujmy teraz nakreślić profil literacki ochotnika (ochotniczki) który(a) zaciągnąłby się (albo zaciągnęła, bo odpisywały dziewczęta, które zaznaczały swoją płeć, a nawet jedna dyskutowała pytanie że „tak, zaciągnęłabym się, ale ponieważ urodziłam się w Anglii...” do ochotniczych wojskowych jednostek polskich na Zachodzie.

Jest to człowiek stosunkowo młody, młodszy niż „rewolucjonista”, miejsce jego urodzenia nie decyduje o jego motywach zaciągnięcia się do wojska, ale nie szukajmy tu młodzieży urodzonej w Kanadzie albo Nowozelandii (tylko 14,3 % Kanadyjczyków i 11,1 % Nowozelandczyków zaciągnęłoby się do ochotniczych szeregów), zamieszkały w Stanach, Anglii lub Australii. Jest on zainteresowany sytuacją w Polsce, przekonany, że zmiana w kraju jest potrzebna. Przemawia do niego idea Piłsudskiego, Mickiewicza i Zeromskiego. Jest religijny, zna język polski, jest w kontakcie z organizacjami emigracyjnymi i politycznie sympatyzuje z prawicą.

Chociaż zakres pytań, przewidywań i kalkulacji na przyszłość jest w tym pytaniu ograniczony, chciałabym zaryzykować pytanie (zdając sobie sprawę, że nasza grupa badawcza daje mi tylko małe ku temu podstawy):

Gdzie leży przyszłość polskiej diaspory? czyli: Jak wygląda mapka rozmieszczenia respondentów według ich wieku, wykształcenia i kraju urodzenia?

Większość najmłodszych (15-19 lat) pochodzi z Anglii, w której się urodzili, są tam też przeważnie ci, którzy jeszcze gimnazjum nie skończyli. Następną to Australia, większość respondentów to nastolatki, a prawie 39 % z nich to uczniowie gimnazjalni, dla dwóch trzecich zamieszkałych w Australii to kraj rodzinny. Najliczniejsza grupa naszych respondentów pochodzi ze Stanów Zjednoczonych i tu mamy aż 30 % najmłodszych (15-19 lat) z których dwie trzecie nie ukończyło jeszcze High School.

Z Kanady odpowiedziało najwięcej młodzieży w wieku 20-25 lat, jest tam też najwięcej studentów. Drugie co do liczby studentów to Stany Zjednoczone; następnie Anglia i Australia.

Podczas gdy z krajów anglosaskich, USA, Kanady, Australii, Anglii i Nowej Zelandii odpowiedziały 274 osoby, Europa zareagowała dużo słabiej na Ankietę *Kultury*. Z Niemiec, Szwajcarii, Francji, Belgii i Holandii, ze Szwecji i Danii odpowiedziało tylko 58 osób (z Argentyny jedna i z „innych krajów” — dwie).

Europa też reprezentuje element stosunkowo starszy, ale prawdopodobnie bardziej politycznie czynny.

Widzimy więc, że pytanie nasze: Gdzie leży przyszłość polskiej diaspory? — nie emigracji politycznej, ale wzrastającego młodego lasu, który w sposób dla nas nieprzewidywany, ale przejmując podświadomie to co dla nas cenne, przechowa wartości kultury polskiej, ideę wolnościową i zasady Polski jagiellońskiej — powinniśmy przyjrzeć się raczej krajom anglosaskim. Polonia anglosaska, ten nieruchliwy i często krytykowany olbrzym, któremu daleko do błyskotliwej zapalczowości Europy, oddalona geograficznie od kraju pochodzenia, potrzebuje jednak polskich wartości do osobistego rozwoju, ale sama, w sposób uparty i konserwatywny chce decydować o tym co jest dla niej najważniejsze.

Kierownictwo Polonii światowej powinno więc być oparte o szczegółowe rozeznanie grup polskich w krajach anglosaskich i na zbadań, które wartości polskie pomagają im w ich ludzkim rozwoju i w współżyciu z otoczeniem. W ostatecznym rozrachunku zależy nam przecież, albo powinno zależeć, nie na wpływach jednostek albo grup, ale na ratowaniu i przechowywaniu zagrożonych wartości kultury polskiej i na rozpowszechnianiu i wprowadzaniu w życie praw ludzkich.

Chciałabym raz jeszcze zaznaczyć, że powyższe hipotezy dopiero wtedy stałyby się miarodajne, gdyby zostały poparte przez badania zespołu naukowców polskich, którzy mogliby badania nad

młodzieżą polską na Zachodzie przeprowadzić w sposób swobodny, to jest niezależny od wpływów politycznych.

Pytanie 32-gie w Ankiecie *Kultury* dotyczy stosunku do antysemityzmu. Pytanie to, jak zaznaczyłam wcześniej, postawione zostało zbyt wyraźnie aby dać prawdziwe pojęcie o ustosunkowaniu się badanej grupy. Ponieważ jednak zagadnienie to jest niezmiernie ważne, postaram się zanalizować grupę odpowiedzi i zaryzykować odpowiedź na pytanie:

Kto spośród „młodzieży polskiej na Zachodzie” odczuwa niechęć w stosunku do Żydów i czym można by sobie tłumaczyć tendencje antysemityczne?

Rozważania moje opieram na tablicach statystycznych. Kategoria odpowiedzi, która mnie interesuje to ani „potępiam”, ani „podzielam” ale właśnie brak decyzji co do antysemityzmu, to jest odpowiedź „nie mam zdania”. Sądzę, że ci którzy odpowiedzieli „nie mam zdania” mają tendencje antysemityczne, których dla jakichś powstrzymujących ich powodów nie chcieli wyrazić nie zadokumentować w kategorii „podzielam”. Nie mogli jednak wpisać się w kategorię „potępiam” ponieważ byli w nich opory przeciwko wyraźnemu zadeklarowaniu. Ta grupa, wydaje mi się, warta jest bliższych studiów i zastanowienia się, po obu stronach polskiej i żydowskiej, w jaki sposób powstrzymać mogący rozwinąć się antysemityzm.

Kraj urodzenia nie wydaje się tu być czynnikiem decydującym. Podczas gdy tylko 19 osób urodzonych w Polsce „nie ma zdania”, urodzeni poza Polską mają procentowo większy odsetek tych, którzy nie wyrazili zdecydowanie swojej opinii. Są to ludzie na ogół młodszy (na 132 osoby w wieku 15-19 lat, 43 „nie ma zdania”, a 4 „podziela”), o niższym wykształceniu. Chociaż większość tych, których stosunek do religii „nacechowany jest wiarą” potępia antysemityzm, to jednak 26 % wśród nich „nie ma zdania”, a 5 % „podziela”. Antysemityzm w badanej grupie wzrasta w miarę wzrostu pozytywnego stosunku do religii. Jest to wniosek, który powinien być wzięty pod uwagę przez duszpasterstwo polskie na emigracji. Czy stosunek do Żydów jest przedmiotem nauczania w szkołach parafialnych? Czy ta bolesna sprawa jest dyskutowana na zebraniach parafialnych? Czy jest tematem kazań niedzielnych? Przykładem tu powinien być papież Jan Paweł II i jego osobisty stosunek do Żydów.

Zastanawiające jest to, że stosunek do antysemityzmu zależy od kraju osiedlenia i że „nie mam zdania” wpłynęło od osób ze Stanów Zjednoczonych w większej ilości niż z innych krajów.

Sumując „nie mam zdania” i „podzielam” ze Stanów Zjednoczonych mamy 32 osoby na 80 czyli 42 % całości odpowiadających z tego kraju, następnie 32,6 % z Australii i 27 % z Anglii.

Wydaje mi się, że tendencja, którą obserwujemy wśród naszej grupy badawczej, to jest pewna niechęć wśród 42 % Amerykanów polskiego pochodzenia w stosunku do Żydów, jest wynikiem reakcji na klimat oskarżający Polaków o tragedię Żydów w Polsce i o ich prześladowania. Oskarżenia te, zwykle wyrażone w publikacjach, nie zawsze są słuszne i dlatego często wywołują chęć odwetu osobistego, pogłębiając wzajemne żale polsko-żydowskie i co gorsza, podsycają albo pogłębiają uczucia antypolonizmu i antysemityzmu.

Chciałabym tu jako odświeżający motyw zacytować kilka zdań z książki mego byłego profesora bakteriologii i dziekana z Akademii Medycznej im. Marii Curie w Lublinie (w roku 1945), Ludwika Hirszfelda, który jako Żyd-chrześcijanin znalazł się w warszawskim getcie*.

„Byłem tam z opaską na ramieniu. Ci biedacy nie mogli wiedzieć (ci którzy wracali ze strony aryjskiej w poszukiwaniu pracy i chleba i wracali opowiadając o pomocy jaką otrzymali od Polaków) że mi serce rośnie na myśl, że mój naród, któremu opinia świata zarzuca antysemityzm, jest dobry. Mimo kary śmierci za pomoc i mimo odziedziczonej antypatii do Żydów. I myślę, że jeśli Jehowa prowadzi rejestr wszystkich krzywd żydowskich, to skreśli i Przytyk, i bójki uniwersyteckie, i ławki, bo antypatia Polaków trwała tak długo, jak długo trwała wizja potężnego Żyda. A ustąpiła litości, gdy przyszedł nędzarz. Tak było w czasie męczeńskiej śmierci Żydów”.

Stany Zjednoczone, bardziej niż inne kraje, powinny stać się platformą rozsądnego, ludzkiego dialogu pomiędzy Żydami i Polakami. Rozumieją to kierownicy organizacji społecznych i rozmowy i akcja w tym kierunku i na kilku płaszczyznach zostały już rozpoczęte.

Konkluzja i sugestie

Artykuł powyższy jest rezultatem pracy wielu osób w różnych stronach świata. Zapoczątkował go redaktor *Kultury*. Wiele pism polonijnych przedrukowało tekst Ankiety. Przepisywano ją na maszynie i ręcznie. Działacze społeczni rozprawiali Ankietę wśród młodzieży, pomagali wypełniać tym, którzy nie zupełnie dobrze czytali po polsku, a wypełniane formularze niejednokrotnie

* Ludwik Hirszfeld, *Historia Jednego Życia*, Instytut Wydawniczy Pax, 1967, strona cytowana 260.

nie zostawały grupowo przesyłane do redakcji *Kultury*. Respondenci poświęcili swój czas, aby odpowiedzieć na pytania. Prawie rok trwało opracowywanie wyników ankiety. W innych warunkach praca ta mogłaby się stać pracą doktorską, albo też badaniem naukowym na który uzyskuje się *grant* w wysokości kilkudziesięciu tysięcy dolarów. W warunkach emigracyjnych praca ta jest dokumentem akcji społecznej, świadectwem zbiorowego wysiłku wielu polskich emigrantów rozrzuconych po świecie. Czy ten wysiłek i czas został stracony? Zanim skrytykujemy lub pochwalimy badanie młodzieży polskiej na Zachodzie, zastanówmy się czy poprzedzająca tę konkluzję dyskusja mogłaby mieć miejsce bez oparcia się o wyniki Ankiety?

Wydaje mi się, że pomimo wielu niedociągnięć, badanie młodzieży polskiej na Zachodzie należy uznać za udane. Dlaczego? Przede wszystkim sprawy dotyczące młodego i średniego pokolenia emigracyjnego przestały być niewiadomą. Terytorium, po którym poruszaliśmy się dotąd po omacku, bez kompasu i bez mapy nabrało wyraźniejszych kształtów. Możemy w nim rozróżnić punkty zaczepienia, drogi i kierunki. Po drugie, na podstawie tego próbnego badania możemy określić które okolice naszego terytorium bardziej nas interesują i tym samym wymagają dokładniejszego badania. A po trzecie, Ankieta ta jest doskonałym wstępem do dalszych, bardziej zdyscyplinowanych i szerszych poczyniń. Myślę tu o badaniu Polonii światowej. Polonia ta, rosnąca, rozprzestrzeniająca się jest tworem luźnym o niezbadanej strukturze i chociaż jest w pewnym sensie społeczeństwem o którym mówimy i piszemy, do którego nieraz apelujemy, to jednak jest społeczeństwem nieznanym. Nikt bowiem, o ile mi wiadomo, nie badał Polonii światowej jako układu, którego składniki pozostają w wzajemnej interakcji i który w pewien sposób odróżnia się od otoczenia.

Cóż wiemy, na przykład, o zadowoleniu z pobytu w kraju osiedlenia drugiego pokolenia emigrantów polskich w Nowej Zelandii w stosunku do zadowolenia z kraju pobytu tego samego pokolenia w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli i Niemczech Zachodnich? A jeśli istnieje to dlaczego? Jakie jest ustosunkowanie się do emigrantów polskich i ich dzieci i wnuków w różnych krajach polskiego osiedlenia? Jak wygląda sprawa antysemityzmu wśród emigracji polskiej w Australii w stosunku, na przykład do Argentyny, Stanów i Europy? Na jakie dziedziny życia emigrantów polskich na świecie wpłynął wybór papieża Jana Pawła II-go? Jaki jest potencjał polski na świecie w dziedzinie intelektualnej, artystycznej ekonomicznej i społecznej? Wiemy o tym dużo, ale wiadomości te, o ile mi wiadomo, nie zostały zbadane systematycznie i to na skalę światową.

Toronto 1978 zadokumentowało, że diaspora polska na świecie jest ważna. Polonia światowa jest ważna dla ludzi ją tworzących jako struktura społeczna do której należą, i ważna jako moralne i ekonomiczne oparcie dla Polski. Społeczność ta, ciało osobne chociaż jeszcze niezbadane, o strukturze dopiero się zarysowującej jest połączone z Krajem macierzystym pomostem kulturalnym. Pomost ten tworzą wartości i tendencje wspólne wszystkim Polakom i osobom pochodzenia polskiego na całym świecie. Na przykład: wartość honoru, wartość wolności, cecha gościnności, przywiązanie do własnego miejsca i domu.

Proces emigracyjny, osiedlenie się w różnych systemach kulturalnych prowadzi do interakcji wartości polskich z wartościami kulturowymi krajów osiedlenia. Wpływa to naturalnie na zmiany w psychice emigrantów i na sposób ich postępowania. Łatwo rozróżnimy Polaka-Anglika od Polaka-Francuza i od Polaka-Amerykanina chociaż wszyscy trzech znajdują wspólny język, w sensie wspólnych, łączących ich cech mających swoje podłoże w kulturze polskiej.

Chociaż Toronto 78 stwierdziło entuzjastycznie, że Polonia światowa jest ważna, nie powstał jak dotąd projekt jej zbadania w sposób naukowy.

Jest sprawą niewątpliwą, że plany przyszłościowe dotyczące Polonii światowej byłyby łatwiejsze do przeprowadzenia w oparciu o dane statystyczne dotyczące nie tylko ilości członków organizacji, ale ustosunkowania się grup polonijnych do podstawowych zagadnień życiowych.

Wyniki Ankiety „Młodzież Polska na Zachodzie” mogłyby posłużyć jako wskaźniki do opracowania badania zakrojonego na skalę Polonii światowej.

Dlatego też wartość Ankiety *Kultury* polega nie tylko na zorientowaniu się w niewiadomej jaką jest młodzież polska na Zachodzie, ale na odważnym oświetleniu terytorium emigracyjnego o którego obywatelach wiemy tak niewiele.

Danuta MOSTWIN

POD AUSPICJAMI
TOWARZYSTWA HISTORYCZNO-LITERACKIEGO W PARYŻU
z KOMITETEM WYDAWNICZYM w składzie:

Czesław Miłosz z University of California — Berkeley, Piotr Wandycz z Yale University, Henryk Wereszycki z Uniwersytetu Jagiellońskiego, Jacek Woźniakowski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i Czesław Zgorzelski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego — KSIĘGARNIA „LIBELLA” W PARYŻU, rozpoczęła nową serię wydawnictw pod nazwą ogólną: „HISTORIA I TERAŻNIEJSZOŚĆ”.

Druga książka tej serii (nosząca numer I-szy) ukazała się właśnie w druku. Jest to:

HENRYK WERESZYCKI
„HISTORIA POLITYCZNA POLSKI”
1864-1918

Stron: 336.

Cena F.fr. 60,00 (lub równowartość).

Poprzednio ukazała się książka z tej serii (nosząca numer 2-gi):

ANDRZEJ MICEWSKI
„WSPÓŁRZĄDZIĆ CZY NIE KŁAMAĆ”
Pax i Znak w Polsce 1945-1976

Stron: 269.

Cena F.fr. 50,00 (lub równowartość).

Następna książka z tej serii (nosząca numer 3-ci) jest już w druku. Będzie to:

MARCIN KRÓL
„STYLE POLITYCZNEGO MYŚLENIA”



Książki do nabycia we wszystkich polskich księgarniach na Emigracji u Przedstawicieli Pism, lub bezpośrednio u Wydawcy:

„LIBELLA”
12, rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris.
Métro: Pont Marie lub Saint-Paul.
Telefon: 326-51-09.

Kraj

Tak i nie

Co zrobiliby Polacy, gdyby Rosjanie zaczęli bić się z Amerykanami na przykład w Jugosławii? To pytanie brzmi dziś egzotycznie, choć taki wariant światowej konfrontacji demokracji z totalitaryzmem, mogący nastąpić po śmierci Tito, rozważany był nie od dziś. Z zachodniej perspektywy, w obliczu kolosalnych zbrojeń, które przedsięwzięły Sowiety w latach siedemdziesiątych i przewagi jaką im to w tej chwili zapewnia nad Zachodem nie można wykluczyć ciosu w „miękkie podbrzusze Europy” (by użyć terminu Churchilla). Tymczasem problem kotła bałkańskiego, jak i dziesiątków innych egzotycznych kotłów, w świadomości politycznej przeciętnego Polaka po prostu nie istnieje. Nie niepokoi mnie fakt, że polski zawodowy oficer dawno otrzymał na ten temat partyjne wytyczne, określające jego zadania w obronie sowieckiego imperializmu. Niepokoi mnie, że środowisko, w którym ten oficer się obraca już zapomniało, że nawet w austriackim mundurze Piłsudski mógł walczyć o niepodległość Polski. Nie jest więc bez znaczenia, gdzie otwiera się nowy front walki demokracji z totalitaryzmem. I nie jest bez znaczenia, że Polska pod nazwą PRL może jednak mieć własną armię i własną administrację. Nie wierzę w zaplanowany wallenrodyzm, ale wierzę w to, że *świadomy* żołnierz-obywatel zwraca broń przeciwko tym, którzy są wrogami jego narodu, gdy tylko historia daje mu po temu sposobność.

Na straży imperiów najpierw stoi wojsko, potem tylko gwardia. Dlatego polskim „nieśmiertelnym”, którzy wczoraj strzelali do tłumów na Wybrzeżu, a dziś metodami bojówek faszystowskich walczą z Uniwersytetem Latającym należy przypomnieć proste fakty. „Nieśmiertelni”, którzy bronili tronu Pahlevich w Iranie palili się żywcem jak polscy „nieśmiertelni” z MBP w

Poznaniu w 1956 roku. I uciekali jak SB z płonącego Komitetu Wojewódzkiego w Szczecinie. Taktyka władz jest dziś jasna. Nie mogąc pozwolić sobie na oficjalny terror, na stalinowską maszynę do urzędowego miażdżenia kości, partia przeszła na terror bandycki. Nie ma niestety dowodów na to, żeby jakkolwiek ruch nastawiony na legalizm przetrwał konsekwentne stosowanie terroru, jeśli nie stanie w jego obronie świadome społeczeństwo. Czy traktować bojówkarzy jako obywateli *in spe* czy jako psalnicuchowe komunizmu? Czy, przynajmniej w wypadkach jaskrawego sadyzmu, na siłę odpowiedzieć siłą, czy nadal bronić się tylko biernym oporem? Doświadczenia dotychczasowych walk z komunizmem wskazują, że w czasach pokojowych ludzie „po prostu chcą żyć” i na dłuższą metę nie potrafią mobilizować się do samoobrony, która faktycznie oznacza odwet z całym ryzykiem eskalacji obustronnego terroru. Na tym zawsze polegała bezbronność demokracji wobec totalitaryzmu. Dlatego walka o przetrwanie i rozwój opozycji ma miejsce i, jak sądzę, nadal będzie miała głównie w świadomości rządzących i rządzonych.

Rozważania te są ilustracją białych plam w polskiej świadomości politycznej, takich luk które ciążyą na rozwoju wydarzeń. I przykładem oczywistych związków między sprawą niepodległościową a świadomością społeczną.

Wydaje mi się, że Jacek Kuroń zarówno w swoich opracowaniach jak polemikach zbyt lekko przechodzi nad każdym z tych problemów do porządku dziennego, postulując samoorganizację społeczeństwa „wokół konkretnych, dających się doraźnie realizować celów”. Nazywa to programem zarazem maksimum i minimum. Nie widzi możliwości prowadzenia na skalę znaczącą społecznie działań podnoszących otwarcie kwestię niepodległościową. Twierdzi, że wszystkie działania pośrednie między celami konkretnymi a celem ostatecznym: niepodległością i demokracją są albo złudne, albo elitarne, albo są jałową spekulacją, którą określa lekceważąco jako medytowanie o „żółtym niebezpieczeństwie, światłym sekretarzu, wuju Samie”. Rozumowanie to ma istotną słabość. Z jednej strony Kuroń otwarcie i samokrytycznie przyznaje, że skrajna lewica odpowiada za zniszczenie nurtu demokratyczno-niepodległościowego w polskim życiu politycznym i uważa to za wielką stratę, a z drugiej strony samego faktu upowszechniania świadomości niepodległościowej nie uważa za rzecz mogącą być celem politycznym samym w sobie. „Czym bowiem jest nurt niepodległościowy, jeśli swoim wyłącznym planem ideowym uczyni odzyskanie niepodległości?” — pyta Kuroń. I odpowiada: „Niczym więcej jak jednolitym frontem wszystkich Polaków-patriotów”. To „nic więcej” oznacza dla dużej części spo-

czeństwa bardzo dużo, nieosiągalnie dużo. Nie jest to jedyne wieloznaczne pytanie, na które Kuroń próbuje dać jednoznaczną odpowiedź. Bo na każdą prawie wątpliwość opozycji: Czy pierwszeństwo ma walka z totalitaryzmem czy walka o niepodległość? Uznawać władzę za legalną czy odmawiać jej tego? Liczyć na siły zewnętrzne czy wewnętrzne? Walczyć o sprawy ogólne czy konkretne? można odpowiedzieć: i tak, i nie; zależnie od sytuacji ludzkiej, społecznej, międzynarodowej.

Obecnie sytuację organizacyjną ruchu określa jeden podstawowy fakt: aktywiści opozycji stanowią ułamek promille naszego społeczeństwa. Razem z sympatykami, tzn. tymi, do których docierają niezależne wydawnictwa, którzy podpisują protesty i listy otwarte do władz, może kilka promille. Różne środowiska angażują się, każde na swój sposób, w ruch opozycyjny. Znajdują konkretne cele i konkretne metody, które tu i teraz — by sparafrazować Kuronia — im odpowiadają.

Trudno nie zgodzić się z Kuroniem, gdy pisze w odpowiedzi Socjuszowi: „Zamiast apelować o jedność — co wszyscy chętnie czynią — trzeba sobie uświadomić, że jeżeli dwie różne organizacje podejmują to samo zadanie, w tym samym środowisku — chociażby się nawet składały ze świętych Pańskich — to albo zrezygnują w tej konkretnej sprawie ze swojej odrębności, albo stanie się ona przedmiotem konfliktu — walki o ludzi i wpływy. Trzeciego wyjścia nie ma”. Rzeczywiście trzeciego wyjścia z tego dylematu nie ma. Ale dylemat jest czysto teoretyczny. Środowisko, w którym ma miejsce ta „walka o ludzi i wpływy” liczy sobie 35 milionów, w tym ponad 20 milionów dorosłych obywateli, w tym 3 miliony członków partii. Do większości z nich głos opozycji w ogóle nie dociera. Do tego stopnia, że nie wiedzą nawet *co to jest* Ruch Obrony lub KSS „KOR”. Tego faktu Kuroń w ogóle nie zauważa. Jest rzeczą naturalną, że w warunkach olbrzymiej jeszcze bierności społeczeństwa jedyny podział głęboki, istotny i czytelny wyznacza kryterium TAK — niepodległości Polski i NIE — komunizmowi. Rozróżnienia między metodami legalnymi i nielegalnymi, utopijnymi i realistycznymi — noszą bardziej charakter etykiet niż konstatacje faktów. Rywalizacja, którą głosi Kuroń jako naturalną konieczność, zamienia się w prowadzoną *par force* walkę sekt. Jest naturalne, że Kuroń uważa cele i metody, które stawia przed opozycją za najlepsze. Nie jest już natomiast tak naturalne następstwo tego przekonania: metody i formy działania innych grup opozycyjnych muszą być gorsze, mniej skuteczne etc. Choć realizują je inni ludzie, w innych środowiskach i trudno znaleźć dowody na to, że nie szerzą oni nonkonformizmu społecznego i narodowego. Dyskusje Kuronia z inaczej myślącymi, w których co pewien czas

koronnym argumentem jest fakt, że ktoś nie stosuje metod „najlepszych”, wykroczyły już w moim odczuciu poza granice zdrowego rozsądku, bez którego nie ostoi się żaden demokratyzm i pluralizm (szczególnie przy przysłowiowej polskiej kłótności). W dyskusjach ideologicznych łatwo jest robić sztuczny ruch. Jak w cytowanym na wstępie dylemacie: rezygnacja z odrębności lub walka o ludzi i wpływy, gdy problem sprowadza się na razie do kilku lub kilkunastotysięcznego środowiska. Ruch Obrony operuje argumentacją odwołującą się bardziej do uczuć narodowych, KOR — do hasła sprawiedliwości społecznej. Ruch Obrony jest bardziej populistyczny, ma rozleglejsze wpływy na prowincji, KOR jest silnie związany z elitą intelektualną kraju. O co jednak nam chodzi? Czy, żeby do kolejnego obywatela dotarła taka myśl antytalitarna i niepodległościowa i takimi kanałami, które odpowiadają danej grupie działaczy i oczekiwaniom ich środowiska? Czy, żeby przekonywać współobywateli do metody najlepszej, która — gdy bliżej przeanalizować różnice — sprowadza się do tonów i niuansów a nie różnicy w swoim TAK i NIE? Właśnie ten sztuczny ruch i sztuczny tłok powoduje zapewne brak oddechu w naszych dyskusjach, skupienie się na przeszłości, szukanie odniesień do schematów, które nie mają wiele związków z rzeczywistością. Kuroń sugeruje, że jego przeciwstawienie KOR — ROPCiO jest odpowiednikiem konfliktu PPS — Endecja. ROPCiO widzi różnicę jako konflikt PPS — SDKPiL. Choć obie strony wspomniałybyśmy, że uznają historyczne zasługi PPS i ND, dyskusja o teraźniejszości zmieniła się w straszenie się widmami przeszłości.

Jeszcze raz w fazie embrionalnej możemy się przekonać o podstawowej słabości demokracji. Zaczyna się ona od jednostki i konsensusu społecznego, którego żadną miarą zadekretować nie można. Istota tego konsensusu polega, jak sądzę, na tym, by stosując wszystkie dostępne metody objąć aktywnością antytalitarną i niepodległościową jak najszerzy krąg ludzi. Po to nie trzeba dochodzić pierwszeństwa hasła antykomunizmu w stosunku do hasła niepodległościowego. Po to trzeba wyłącznie solidarnie pracować, wyszukując wszelkie luki, w które wolna myśl i wolne działanie może się wcisnąć. Nie według fałszywego dylematu albo — albo, a według zasady i — i.

Chciałbym odwołać się tu do paradoksalnego przypadku mojego polemisty. Gdyby nie zdrowy instynkt społeczny, który w ciągu trzydziestu lat kazał popierać wszystko, co było choćby częściowym i prowadzonym w ramach ustroju i doktryny marksistowskiej oporem przeciw dyktaturze monopartii, w przeszłości nikt nie poparłby Kuronia z wyjątkiem rewizjonistów, nie mają-

cych żadnego szerszego zaplecza w społeczeństwie. Tymczasem w myśl zasady, iż by być sojusznikiem wystarczy być przeciwnikiem naszych wrogów, przekonani demokraci antykomuniści w kraju i za granicą solidaryzowali się z Kuroniem — zbuntowanym komunistą. Kuroń przeszedł ewolucję i dziś znalazł się po antytalitarnej stronie barykady. I cóż się dzieje? Przeciwno czemu występuje? Przeciw consensusowi, któremu tak wiele zawdzięcza, między innymi — przynajmniej częściowo — własną ewolucję?

Działalność KOR-u i jego sukcesy są wystarczającym dowodem na nośność zasad ideowych, które formułuje Jacek Kuroń. Ale nie są dowodem ich wyłączności. Pluralizm nie polega na deklaracjach, tylko na pewnej praktyce politycznej, którą da się sprowadzić do prostego stwierdzenia, że nawet w najbardziej zacieklej polemice ideologicznej nie traci się z oczu faktu, że własna droga nie jest jedyną.



„Czy *ethos* lewicy zawiera przesłanki totalitaryzmu? Dla polskiej myśli programowej jest to pytanie bez przesady najważniejsze” — stwierdza Jacek Kuroń. „Bez rzetelnej analizy problematyki, którą ona niesie, nie będziemy w stanie rozwiązywać myślowo podstawowych problemów współczesnych społeczeństw: planowania i inicjatywy; wolności obywatelskich i praw opartych na protekcjonizmie państwowym; niepodległości i tendencji do integracji itd. Będziemy tedy skazani na deklaracje o niepodległości, które z punktu widzenia współczesnego świata i Zachodniej Europy, do której przynależymy, są właśnie zaściankowe i anachroniczne. Z takim programem będziemy więc zawsze samotni, egzotyczni i, co najwyżej, budzący litość. Nic tu nie pomoże mędrkowanie o globalnej polityce Stanów Zjednoczonych, Chin i Związku Radzieckiego”. Jest to pytanie bardzo istotne dla Kuronia. Niewątpliwie istotne dla wielu ludzi identyfikujących się dziś, lub mających w przeszłości związki z lewicą marksistowską lub komunistyczną. Ale odpowiedź na nie udzielona została już dawno. W polskiej myśli politycznej wyznaczył ją podział PPS — KPP, podział na socjalistów i komunistów. Komunizm był w Polsce zawsze zagrożeniem totalizmem i symbolem utraty niepodległości. Odkrywanie tego problemu na nowo jest niewątpliwie wielkim życiowym dramatem byłych i aktualnych komunistów, ale nie jest dramatem społecznym ani europejskim. Można boleć nad tym, że Polacy nie przeżyli przygody intelektualnej, jaką był marksizm. Jak każde ciężkie doświadczenie mógł on jednostkę spustoszyć lub, gdy umiała się ona z marksizmu wyrwolić, wzbogacić ją. Historii nie można jednak cofnąć i przeżyć

jako przygody intelektualnej tego, co dla nas było i jest więzieniem. Polskie „nieprzeżycie rewolucji” zostało wspaniale przeanalizowane w „Dzienniku” Gombrowicza. Warto ten fragment przytoczyć:

„Ich nieprzeżycie rewolucji. — A zatem cóż przedostało się z wojny do ich świadomości — co zostało sformułowane? Jakaś luźna myśl o „okropności” i nieco kulawego moralizatorskiego patosu. W rzeczywistości ukończenie wojny zastało ich przewróconymi, ogłupiałymi, wypróżnionymi. Byli jeszcze zdolni do rozmaitych akcji zbiorowych, brali udział w organizacjach, ale to dlatego, że chwytali się czegokolwiek aby się utrzymać, aby się ruszać, miotał nimi instynkt walki i życia — ale byli ogłuszeni. I na tę pustkę w nich spadł marksizm. Marksizm, wyobrażam sobie, spadł na nich zanim zdążyli całkowicie przyjść do siebie, to jest do siebie z czasów przedwojennych. Toteż myślę, że oni nie przeżyli rewolucji, ponieważ nie mieli czym jej przeżywać. Gdyby marksizm osiedlił się w Polsce samorzutnie, stopniowo, przezwyciężając opory... ale on został na kraj nałożony, jak się nakłada kłatkę na odurzone ptaki, jak się nakłada ubranie na człowieka nagiego.

Z chwilą gdy znaleźli się w klatce, wszelka polska dyskusja z rewolucją stała się niemożliwa. Dotyczy to także tajnego dialogu duszy indywidualnej z marksizmem — gdyż Polak był zupełnie nieprzygotowany do stawienia czoła temu naporowi. [...] Kiedy ich spętano już było za późno, aby mógł się organizować świadomy indywidualizm polski, więc oni, pozbawieni broni intelektualnej, niepewni swej racji moralnej, walcząc w pojedynkę raczej opędzali się bezładnie niż walczyli, odrzucali to, nie przyjmowali do wiadomości” (*Dziennik 1953-1956*, str. 304).

Wówczas wytworzył się podział, do którego dziś wracamy. Na tych, którzy mówili komunizmowi TAK i milczącą większość. Wystarczało wówczas, żeby milczenie było *zbyt głośne*, by być skazanym na publiczną lub fizyczną śmierć.

Tak wyglądała sytuacja do Października 56. Od tego momentu podział się skomplikował. Wielu komunistów mówiło głośno „Tak, ALE” i to „ALE” wydawało się bardziej skutecznym czynnikiem rozkładu systemu niż milczenie „niezłomnych”. Powstał problem, czy ci, którzy mówią publicznie „tak, ALE” nie robią więcej dla wolności niż ci, którzy powtarzają jednoznaczne „nie” w czterech ścianach swojego pokoju. Sytuacja taka trwała co najmniej do początku lat siedemdziesiątych. Wówczas dopiero zaczęły się formować niewielkie grupy opozycji o nastawieniu coraz wyraźniej antykomunistycznym i niepodległościowym. Spory między KOR-em a ROPCiO mają w tle stary pro-

blem kontekstów słowa TAK i kontekstów słowa NIE. Każda ze stron może bez trudu wskazać przykłady konformizmu jak i nonkonformizmu wyrastającego do dziś z każdej z tych postaw. Ponieważ jednak każdy kierunek myślenia politycznego potrzebuje oparcia w tradycji, bez większych skrupułów porządkuje się przeszłość TAK i NIE. Obie strony pomijają często problem podstawowy: nad pasywnością NIE i aktywnością „tak, ALE” ciążył okres Wielkiego Terroru. Nietrudno zauważyć, że pierwsze generacje, które go nie zaznały (mające dziś poniżej czterdziestki) mogły dużo łatwiej stać się zarzewiem buntu. Nie powinno być to jednak powodem interpretowania przeszłości pod kątem własnych politycznych narodzin: „My działamy, a co robiliście wy?”.

Milcząca większość w Kraju miała zawsze swojego wyrażiciela w niepodległościowej emigracji politycznej, z której dorobku korzystają dziś wszyscy.

Na tle wieloznaczności postawy „tak, ALE” i potwierdzonej przez czas sensowności jasnego określenia stosunku do komunizmu, rozważania Kuronia i „jego” lewicy robią na mnie wrażenie biblijnych sporów o starszeństwo myśli. Kuroń chciałby udowodnić, że to co robi jest od lat służeniem tym samym ideałom, mimo różnych popełnianych błędów, do których jako człowiek lewicy się poczuwa. Dokonuje przy tym jednak dwóch przeskoków nad zagadnieniami bardzo istotnymi. Po pierwsze: przedstawia ethos lewicy jako swoiste *continuum* szlachetnych intencji. Jak wiadomo, dobrymi intencjami piekło jest wybrukowane, więc dowodów ewangelicznej czystości swoich intencji byli komuniści nie powinni podawać, jeśli chcą uważać się nadal za polityków. Po drugie: lewica miała dwa nurty już od ponad wieku — socjaliści i socjaldemokraci byli zawsze związani z demokracją — komuniści z totalitaryzmem. Operowanie przez byłych komunistów środowiskiem lewicowym *tout court* musi budzić zastrzeżenia. Nie sądzę też by problematyka, którą niesie pytanie: „Czy *ethos* lewicy zawiera przesłanki totalitarne?” — było najistotniejsze dla polskiej myśli programowej. Bowiem w państwie suwerennym i demokratycznym dychotomie: planowanie — inicjatywa prywatna, protekcjonizm — liberalizm, niepodległość — ponadnarodowy federalizm są dylematami praktycznymi, wyznaczonymi okolicznościami, a nie zasadami ideologicznymi. Nic bardziej zaściankowego i anachronicznego niż myśl, że program niepodległościowy jest zaściankowy i anachroniczny. Wręcz przeciwnie: przeważający odłam społeczeństw zachodnich odnosi się z szacunkiem do problemu suwerenności narodowej jako postulatu samego w sobie. Stany Zjednoczone wycofały się z Wietnamu, bo stwierdziły, że nie mogą bronić przed komunizmem narodu, który sam nie umie się przed nim obronić. Podobnie Carter

nie interweniował w Iranie, bo to do społeczeństwa Iranu, a nie Zachodu, należy określenie, co oznacza dla niego postęp i wolność.

Niemożliwe jest rozstrzygnięcie pytania czy ważniejsza jest dziś walka z totalitaryzmem czy walka o niepodległość. Wszyscy są zgodni, że obie są jednakowo ważne. A terminarza wydarzeń nikt i tak nie poda. Ważne jest natomiast z czym do kogo. Otóż mało jest prawdopodobne byśmy mogli wyciskać wciąż łzy z Zachodu na skutek powtarzania jaki *my* mamy straszny ustrój. Ten sam ustrój, totalitaryzm, spływa w innych krajach potokami krwi. Polityka jest sztuką oceny i wybierania mniejszego zła. Dla większości więc krajów zachodnich Polska ma *znośny totalitaryzm*, szczególnie że ci co go za taki mają, nie muszą go znosić. Może to twierdzenie wydać się brutalne, ale nie sądzę byśmy mieli w takich warunkach jak obecnie szansę na wygranie przetargu bezprawia, który daje wstęp na łamy światowej prasy. Nie odbiera to wagi sprawie praw człowieka. Umieszcza ją natomiast w kontekście międzynarodowym, w którym przejście od praw człowieka do praw narodu do wolności wydaje się dużo mniej płynne niż w „Myślach o programie działania” Kuronia.

Przykładem względności obu tych problemów może być Jugosławia, niepodległy kraj komunistyczny. Z okazji Konferencji Belgradzkiej podnoszono fakt, że w Jugosławii jest około sześciuset więźniów politycznych. Choć dla czytelnika zachodniego może to obojętne, dla nas nie powinno. Jugosławia utrzymuje swoją niezależność dzięki względnej równowadze sił wewnątrz federacji i wykazuje czujność wobec sowieckiej infiltracji. Ma to i swoje drastyczne konsekwencje: chorwaccy separatyści i polityczni czy wojskowi agenci Moskwy wtrącani są do więzień. W kategoriach społecznych należałoby to bez namysłu potępić. W kategoriach myślenia państwowego można tylko skonstatować i ocenić czy lekarstwo nie będzie przyczyną jeszcze większej choroby.

Oto klasyczne rozdarcie: myślenie społeczne *versus* myślenie państwowe. Stanowisko Kuronia w polemikach z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela powinno mi być bliskie jako socjaldemokracie, a więc człowiekowi tak czy inaczej rozumianej lewicy. Jest mi jednak dalekie przez ideologiczne przeciwstawienie sobie dwóch członów każdego niemal dylematu politycznego, którego z natury rzeczy rozstrzygnąć jednoznacznie nie tylko nie sposób, ale w dodatku nie warto. Zawsze nam bowiem grozi to, że rozstrzygniemy powyższe rozdarcie myślenia politycznego w myśl komunistycznej zasady: jeśli życie przeczy naszym zasadom, tym gorzej dla życia.

Nie wydaje mi się, żeby odnowa lewicy mogła się odbyć przez wypracowanie nowych formuł teoretycznych. Tragedią lewicy

od czasu jej rozbitcia na nurt socjaldemokratyczny i komunistyczny jest fakt, że w wielu krajach droga reform społecznych została zablokowana przez pakt konserwatyzm-komunizm. Wyjście ze ślepego zaułka wymaga głównie uznania nagich faktów. Kuroń w zasadzie je uznaje, ale próbuje stare wypróbowane rozwiązania (tzn. o znanych zaletach i wadach) ubrać w nowe słowa. Nie widzę specjalnych zalet ujęcia demokratycznego, pluralistycznego życia społecznego w formułę „współpracy społecznej”. Rodzi to, jak sądzę, mylne i niezgodne z poglądami samego autora skojarzenia z nieantagonistycznymi stosunkami społecznymi, jakimi socjalizm komunistów miał różnić się od kapitalizmu reformowanego przez socjaldemokratów (w którym stosunki społeczne były oczywiście złe, tzn. antagonistyczne).

Kuroń pisze: „Działanie organizacji samorządowej jest [...] w wielkim stopniu zbliżone do działalności indywidualnego twórcy: rzemieślnika, albo poety, którzy zarazem tworzą idee tego, co ma być wykonane i nadają tej idei kształt materialny, wytwarzając: but, poemat, stół. Tylko w warunkach samorządności możliwa jest twórczość zbiorowa, a więc samorząd jako forma organizacji życia społecznego najpełniej realizuje suwerenność i twórczość każdego człowieka”.

Czy w sytuacji, w której znane są z licznych eksperymentów granice demokracji bezpośredniej kolejna abstrakcyjna idea wyzwolenia pracy jest nam potrzebna? Samorządność społeczna jako forma pracy-twórczości wydaje mi się podstawieniem nowego słowa do starego marksowskiego marzenia o wyzwoleniu pracy. Propozycja Kuronia grzeszy jedną, ale poważną wadą. Dźwiga ona konkretne problemy ekonomiczne i społeczne na taki poziom abstrakcji, że tracą one związek z rzeczywistością. Błąd pierwotny marksizmu polegał właśnie na utworzeniu takiej przepaści między utopią (której twórczego znaczenia w życiu społeczeństw nikt nie neguje) a życiem, że przepaść ta nawet w teorii musiała być zapełniona orwellowską nowo-mową.



Kuroń wprowadza dość rygorystycznie podział na cele i działania. W praktyce politycznej nie jest to wcale takie proste do przeprowadzenia, a rygoryzm znowu skierowuje nas ku modelom teoretyzmu podczas gdy „rzeczywistość skrzeczy”.

Jeśli zejdziemy na poziom faktycznych działań opozycji, to okaże się, że w gruncie rzeczy działania te nie wyszły poza sferę incydentalnych interwencji. Jeśli przyjąć za niezwykle zwartym wywodem PPN, że dialog z władzą jest faktycznie niemożliwy,

największy pożytek z tej rozmowy głuchych stanowi — kolosalny na tle ubiegłych trzydziestu lat — wzrost świadomości politycznej. Jeśli porównać wagę jednego dnia: 26 czerwca 1976 roku — spontanicznego wybuchu w Ursusie i Radomiu — z wszystkim, co opozycja później w środowisku robotniczym zdziałala, to trudno powiedzieć, byśmy przekroczyli w dziedzinie kierowania masowymi demonstracjami jakiś próg jakościowy. Decydujące o całych okresach najnowszej historii Polski działania polityczne, takie jak duże strajki czy demonstracje uliczne, nigdy jeszcze nie były świadomie organizowane. Najwyżej żywiołowe lub wręcz prowokowane. (Nie znaczy to oczywiście, by społeczeństwo nie mogło nawet w prowokowanej rozgrywce — *vide* Grudzień — przeważać szali na swoją stronę).

Trzeba sobie jasno powiedzieć: Boże Ciało, 1 Sierpnia, ostatnio 11 Listopada to nie są demonstracje, na których opozycja zgromadziła tysiące ludzi. Milcząca większość demonstrowała zawsze w takie święta swoją tożsamość narodową i nie warto w tym wypadku samooszukiwać się i dodawać na nowo ideologię do faktów tam, gdzie ona od lat w samych faktach się przejawiała.

Wydaje się, że jak każdy zamknięty krąg — bo jak nie nazwać zamkniętym kręgiem grupy ludzi liczącej kilka czy kilkanaście tysięcy w społeczeństwie 35-milionowym — Kuroń przecenia zasięg transmisji społecznej jaki ma w tej chwili opozycja. Kilka tysięcy egzemplarzy jakiejś książki, to jest w tej skali wszystko i nic. Wszystko — jeśli pomyśleć gdzie byliśmy jeszcze trzy lata temu, ale nic — jeśli pomyśleć, dokąd w kategoriach politycznego pragmatyzmu doprowadzają ruchy o szlachecko-inteligenckim, elitarnym przywództwie. W Polsce nie jest problemem — dodajmy, że nie jest od dwóch wieków problemem — odwaga, wyjście społeczeństwa na ulice, zdolność do oporu, choćby były to pięści przeciw czołgom. Problemem jest natomiast stan świadomości politycznej narodu i kanały transmisji. Z robotnikami nie tyle inteligencja musi się *bratać*. Ile jest fałszu w każdym brataniu i jak niechętnie przyjmuje się grymasy jednych lub drugich, powinni nas już nauczyć komuniści. Inteligencja musi natomiast wypracować sobie kanały transmisji, którymi świadomość polityczna czyli niezależna prasa i wszelkiego rodzaju prohibity opuściłyby zakłętą krąg inteligentów i zaprzyjaźnionych z nimi robotników. Mieć swoich robotników, mieć swoich Żydów, mieć swoich Polaków, to signum izolacji, *nieświadomej izolacji*. Kłania się tu Gombrowicz ze swoim ostantacyjnym obstawianiem za tym, by niższy grał z wyższym, ale by go nie małpował. („Snobem nie jest hrabia, snobem jest lokaj udający hrabiego”).

W tej sytuacji, w której opozycja bardziej czerpie siłę z soli-

darne przyłączenia się do spontanicznych działań niż jest w stanie tymi działaniami kierować w skali 35-milionowego narodu, wyrokowanie o metodach organizacyjnych, uznawanie jednych za skuteczne, drugih za utopijne — wydaje mi się ryzykowne. Teksty i dokumenty Polskiego Porozumienia Niepodległościowego zostały zakwalifikowane przez Kuroń jako „działalność wychowawcza i programotwórcza”, będąca „pomysłem społecznego programu działania — tyle, że ze względu na swój charakter — przeznaczonego wyłącznie dla bardzo wąskiej grupy intelektualistów. Program ten proponuje przeciw działalności wyłącznie intelektualną, a przy tym nie związaną w zasadzie z problemami, którymi żyje społeczeństwo. Ponieważ zaś — konkluduje Kuroń — jedynym skutecznym środkiem wychowania społecznego, i co za tym idzie kształtowania się jego świadomości, jest społeczne działanie, więc program powyższy skazany jest na wyjątkową wprost nieskuteczność”.

Każdy program zmierzający do szerszej syntezy będzie zawsze mniej związany z konkretnymi akcjami rewindykacyjnymi. Kuroń sam o tym pisze we wstępie do „Zasad ideowych”, trudno więc założyć, że nie rozumie odmienności celów takiego programu. Nie mogę więc dopatrzeć się logiki między deklarowaniem przez Kuroń pluralizmu, faktem rozpowszechniania tekstów PPN przez samych działaczy KOR-u i stwierdzeniem o „wyjątkowej wprost nieskuteczności”. W tym momencie nastąpiło właśnie oderwanie polemiki ideologiczno-organizacyjnej od życia. Program PPN-u jest widać komuś potrzebny (choćby i KOR-owi) skoro jest przez niego czytany i rozpowszechniany.



W „Uwagach o strukturze ruchu demokratycznego” Kuroń kolejną proponowaną równoległość działań: jawnych i tajnych, zamienia w dylemat, na który podejmuje się dać zdecydowaną odpowiedź. Przecistawiając się tajnej strukturze organizacyjnej Kuroń z problemu czysto organizacyjnego robi problem ideologiczny. Trudno nie dopatrzeć się sprzeczności w jego rozumowaniu: „W całkowitej dyskrekcji musi pracować obsługa powielaczy, a więc ze względu na inwigilację powinni to być ludzie policji nieznani [...]. To prawda, że dyskretnie narady powszechnie znanych działaczy opozycji najtrudniej ukryć właśnie przed policją, zaś niezbędne przeciwieństwo kontaktów tych działaczy z obsługą powielaczy znakomicie ułatwiają działalność policyjną...”. Trudno już powiedzieć ile w tych sformułowaniach jest naiwności, a ile chęci zrationalizowania za wszelką cenę własnych doświadczeń organizacyjnych. Jeśli Kuroń uznaje, że część działań z natury

rzeczy musi być niejawną to znaczy, że akceptuje podstawowy postulat „Polski Walczącej” — podwójną strukturę organizacyjną. Rozważania zaś cytowane poniżej są raczej nieporozumieniem wynikłym z dowolnego ekstremizowania przez Kuronia poglądów w omawianej przez niego broszurze: „Nie można budować konspiracyjnych organizacji ze względu na ludzi, którzy nie chcą się zdecydować na działalność jawną. Dążą oni bowiem do minimalizacji ryzyka, zaś konspiracja spełnia ten postulat tylko pozornie [...]. Kiedy więc proponujemy konspirację ludziom, którzy chcą uniknąć ryzyka, to oszukujemy ich i siebie. Oszustwo takie srogo mści się w śledztwie. To właśnie z takich niezdeterminowanych konspiratorów rekrutują się policyjni konfidenti, fałszywi świadkowie, ludzie publicznie opluwający siebie i przyjaciół. Kroniki ojczystych spisków pełne są takich nieszczęśliwych, zeszmacowanych zdrajców, a na ich zeznaniach opierają się wyroki sądów carskich, stalinowskich, bierutowskich i tych najbardziej współczesnych”.

Jawność jest potrzebna tylko i wyłącznie w dwóch dziedzinach: demonstracji masowych i dyskusji, zmierzających do podjęcia w demokratyczny sposób pewnych decyzji. Można uprawiać tajny demokratyzm i jawny brak demokratyzmu. Cóż bardziej demokratycznego niż tajne głosowanie albo publiczna dyskusja autorów piszących pod pseudonimami! W pierwszym liczy się tak samo każdy głos (w tym w końcu siła i słabość demokracji: każdy ma prawo decyzji, choć nie każdy ma obowiązek wiedzieć o czym decyduje). W dyskusji publicznej liczą się argumenty i myśli, a nie autorzy, tego typu tajność jest ideałem demokracji. W jawnej dyskusji nie można dokonać prowokacji, bo w końcu zakładamy, że ci co czytają nie są dziećmi, które trzeba wciąż uświadamiać. Czym innym są natomiast demonstracje publiczne. Siłą rzeczy zanim decyzja o ich czasie i miejscu dojdzie do zainteresowanych upływa sporo czasu. Po drodze dochodzi ona także do władz, które mają — jak w wypadku Łatającego Uniwersytetu — możliwość przygotowania kontrakcji. Zwrócić jednak należy uwagę na fakt następujący. Obywatele demonstrujący w liczbie paru tysięcy to coś zgoła innego niż konkretny obywatel, który poszedł do drugiego, by ustalić z nim sposób zorganizowania demonstracji. Odnoszę wrażenie, że cała ta dość skrajna w swoim ujęciu definicja jawności zrodziła się bardziej jako racjonalizacja doświadczeń i przeszłości „komandosów” niż koherentna koncepcja, którą proponuje Kuroń jako jedyną sprawdzoną i dobrą bazę samoorganizowania się społeczeństwa. Passus o „zeszmacowanych zdrajcach” jest też o tyle nie na miejscu, że jeszcze w Marcu działający otwarcie Kuroń musiał przeżyć wokół siebie nie jeden a dziesiątki przykładów zdrady i tchórzostwa. Wie więc sam

dobrze, że na brak odwagi i godności nie ma tak prostych recept, jakie daje innym.

Jeśli wierzyć zapewnieniom Kuronia, że jest za pluralizmem, to trudno pogodzić z tą deklaracją takie na przykład rozumowanie z „Uwag o strukturze ruchu demokratycznego”: „Jestem przeciwko konspiracji [...], ponieważ odciąga się w ten sposób ludzi od działania jawnego, a więc osłabia opozycję”. Kuroń polemizuje tu z nami, „Polską Walczącą”, grupą która działa konspiracyjnie od początku 1974 roku. Gdy w więzieniach siedzieli ludzie z „Ruchu” i „taternicy” P.W. protestowała w rozsyłanych i rozrzucanych w Warszawie ulotkach przeciwko policyjnym represjom, przeciwko totalitaryzmowi i przeciwko sowietyzacji Polski. Przeciwwstawiała komunizmowi socjaldemokratyzm oparty o system parlamentarny. Gdy Kuroń i inni działacze KOR-u zostali aresztowani, w pierwszą rocznicę Czerwca na domach w centrum Warszawy, „Za Żelazną Bramą” powiesiliśmy transparenty m.in. z żądaniem wypuszczenia ich na wolność. Paradoks polega na tym, że P.W. od pewnego czasu współpracuje także z KOR-em, tyle że Kuroń o tym nie wie, ponieważ nie widzimy celu zostawiania wizytówki po wykonaniu określonego zadania. Byliśmy i jesteśmy przekonani, że łączenie jawnego działania z niejawną strukturą gwarantuje większą sprawność organizacyjną i niezależność od stopnia tolerancyjności władzy. Główne przeszkody na drodze racjonalnej konspiracji są zupełnie inne niż te, które podaje Kuroń; są to: niedyskrecja, bałaganiarstwo, przesadna centralizacja decyzji, niesolidność, pijaństwo, samochwalstwo. Są to potoczne przeszkody życia publicznego w Polsce i nic dziwnego, że nie omijają one opozycji. Wojenna konspiracja nie polegała, szczególnie w niższych ogniwach, na tajności wszystkich i wszystkiego. Trudno ją też było ukryć przed bliskimi, tak była masowa. Konspiracja wojenna polegała głównie na ukrywaniu powiązań czyli lokalizowania wszelkich wpadek do możliwie małej skali. System organizacyjny, którego *who is who* nie jest żadną tajemnicą dla władz faktycznie zdaje się na ich łaskę w każdej fazie, w której nie może jeszcze liczyć na masowe poparcie. Wszystkie organizacje niepodległościowe były budowane na bazie mniej czy bardziej oficjalnych organizacji społecznych, ale to nie oficjalne cele tych organizacji, a ich druga struktura przyniosła najpierw ideę wyzwolenia a potem wyzwolenie. To nie „Strzelec”, ani „Towarzystwo Gimnastyczne Sokół” przejmowało władzę w 18-tym roku, a ludzie wyszkoleni i wychowani w tych organizacjach, które służyły jako parawan działalności niepodległościowej. I nie było w tym żadnej niemoralnej manipulacji. Gdy ktoś chciał się tylko gimnastykować, zapisywał się na kurs gimnastyki szwedzkiej dla pań lub panów.

Odwolywanie się przy przedstawianiu koncepcji ruchów samorządowych do tradycji Polskiego Państwa Podziemnego 1939-1945 jest zupełnym nieporozumieniem. Państwo to było przykładem trzech formuł, od których Kuroń starannie się odcina:

Było hierarchicznie zorganizowane i miało centralny system podejmowania decyzji: było kierowane przez Delegaturę, o której demokratycznym wyborze nie mogło być mowy; uznano po prostu, że w warunkach wojny kooptacja paru stronnictw zaspokoi wymogi pluralizmu.

Oparto było o podwójną strukturę wszystkich agend jawnych, czy była to Rada Główna Opiekuńcza, czy szkolnictwo ogólne i wyższe, ukrywające się pod szyldami prywatnych kursów i szkół zawodowych.

Działalność tego państwa sprowadzała się w co najmniej 80 % do tworzenia zaplecza organizacyjnego do nielicznych otwartych działań zbrojnych lub propagandowych. Nakład samego tylko *Biuletynu Informacyjnego* wynosił ok. 60 tysięcy egzemplarzy.

Podkreślona przez anonimowego rozmówcę w rozmowie z J. Nowakiem (*Kultura* Nr 3/378, 1979 r.) sprawa równoległości ostentacyjnej jawności rosyjskich dysydentów i (części) polskiej opozycji też zdaje się przeskakiwać nad paroma istotnymi uwarunkowaniami.

Rosja jest i była krajem, gdzie wiekowa bierność narodu i autorytatywność władzy tworzyły nieustanne błędne koło. Ruchy odnowy były zawsze niemal kadrowe, oderwane od otumanionego narodu i ze względu na swą małą liczebność jeszcze w fazie embrionalnej atakowane przez prowokatorów. Prowokacja jest *alter ego* równowagi strachu i terroru. Nawet wśród tych, którzy „zdecydowali się na wszystko” można pokazać, że ich „wszystko” i „wszystko” policyjnej represji są niewspółmierne. W fazie, która obowiązywała w Polsce do 1976 roku sypanie było nagminne. Jawna organizacja marcowych „komandosów”, którzy obradowali w kawiarni Bristolu, by nie posądzano ich o coś więcej niż bycie kręgiem towarzyskim, poufne kontakty „taterników”, czy tajne spotkania „Ruchu” — wszystkie te trzy formuły nie sprawdziły się. Ale nie znaczy to, że koncepcja czwarta już na tyle się sprawdziła, by sugerować zwolennikom innych dróg, że łatwiej ich załamać.



Uwagi moje nie pretendują do roli spójnego systemu poglądów. Nie tyle bowiem o krytykę koncepcji Kuronia jako takich mi tu chodzi, ile o szczegółowe wykazanie jak ciągłe pozbawianie

naszych działań kontekstów społecznych prowadzi do wyjałowienia zarówno zasad ideowych, które wnoszą się ku oderwanym od realiów politycznych abstraktom, jak i żywej działalności, którą wyjaławia dzielenie metod walki na równe i równiejsze.

Maciej POLESKI

Do kraju tego...

Jan Paweł II jest w Polsce. Przywarci do telewizji widzimy tak wiele i wciąż za mało. Widzimy Jego twarz z bliska, jakbyśmy byli przy nim na Placu Zwycięstwa. Tłumy niezliczone, Warszawa, Gniezno, Częstochowa, Nowy Targ, Kraków i twarze, twarze, twarze skupione, szczęśliwe.

„To radość ponad nasze siły” — pisze mi ktoś najbliższy z Krakowa.

Zdziwienie dziennikarzy zagranicznych, że to jest jak święto rodzinne, żadnych zamieszek, hysterii — skąd ten ład? Ta cisza, przerywana tylko salwami oklasków. Dziennikarze zapomnieli, że procesja to nie wiec, że tłum ten jest przeszyty modlitwą, a dno modlitwy to milczenie.

Punkt kulminacyjny całej pielgrzymki to Oświęcim.

Papież przemawia ponad milionowym morzem głów, szczer-niałe kominy pieców tych fabryk zagłady są tuż.

Golgota narodów na polskiej ziemi.

Papież przemawia bez jednego gestu, jakby z trudem wymawiał zdanie po zdaniu, coraz to urywając, jakby schodził stopień po stopniu w głąb ciemności i męki. Czy żyzy tłumy?

Mówi o Ojcu Kolbe, który odniósł „zwycięstwo miłości” umierając za towarzysza, mówi o Edith Stein — w krematorium spalonej niemieckiej zakonnicy żydowskiego pochodzenia. Papież wylicza tu wszystkie tablice grobowe z napisami we wszystkich językach narodów skąd wieziono te 4 miliony zgładzonych istot. Mówi o tym, że tu zginęło wielu, którzy — jak Ojciec Kolbe — świadczyli o zwycięstwie miłości, ludzi wszystkich wiar, jak również ludzi niewierzących — zatrzymał się przed trzema płytami, pierwszą z napisem hebrajskim — świadectwo najokrutniejszej tragedii Żydów, bo chodziło tu o wytępienie na zawsze

całego narodu. Dotyka to głęboko nas samych, bo my, chrześcijanie, jesteśmy również synami Abrahama.

Potem wskazał tablicę z napisem rosyjskim, gdzie nie dodając komentarzy podkreślił, że ten kamień świadczy o ofierze ogromnej narodu rosyjskiego „dla wolności narodów poniesionej”.

„Nie ten najlepiej służy, co rozumie” — pisze poeta — iluż tu padło nie wiedząc nawet w imię czego giną.

Zakończył słowami miłości przed płytą, gdzie po polsku widnieje napis o 6 milionach zgładzonych w tej wojnie Polaków; jeszcze jeden rachunek walki wielowiekowej o prawa podstawowe narodu. Zaznacza na końcu, że chciałby przed każdą płytą grobową się zatrzymać, bo wszystkie płyty każą się zastanowić nad tym, dokąd sięgać może granica nienawiści i okrucieństwa.

Słowa Papieża mają wymiar tak szeroki, mają taką miarę myśli otwartej i temperaturę, że każdy kto tych słów słuchał czuł, że ta pielgrzymka po Polsce jest wydarzeniem historycznym, którego nam zaprzepaścić nie wolno.

„Jestem wasz brat, kość z kości waszej, krew z krwi waszej” — mówi Papież, a w innym przemówieniu — „Otwórzcie granice wasze...” i cytuje Norwida — „Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba...”.

Słuchając jego słów na Placu Zwycięstwa nie umiałem oderwać myśli od starego człowieka, który prawie sto lat temu umierał nie usłyszany, zapomniany w przytułku dla starców w Paryżu.

O Warszawie myślał o kamieniach Warszawy, po których teraz siedzi Jan Paweł II, gdy szukał „kamienia, na którym łąza nie świeci”.

Tu, tak blisko Placu Zwycięstwa — runął na bruk kształt podobny do trumny — fortepian Chopina.

*Ciesz się późny wnuku,
jękły głuche kamienie
ideał dotknął bruku.*

Ta Polska, którą Norwid żył, o której marzył, nie sekta wypojedynczenia i zeschnięcia, ale siła twórcza, ta Polska cała przyjmowała tu, w Warszawie, pierwszego polskiego, pierwszego słowiańskiego Papieża, z wzruszeniem ogromnym.

Czy Norwid w najśmielszych marzeniach mógł sobie wyobrazić, że tym późnym wnukiem będzie Jan Paweł II?

Józef CZAPSKI

400 lat Uniwersytetu Stefana Batorego

- Uroczysty obchód czterechsetletniej rocznicy założenia Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie
- pod patronatem J. Em. Ks. Stefana Wyszyńskiego, Prymasa Polski
- pod kierunkiem Księży Jezuitów
- przy współudziale byłych Pracowników i Wychowanków tejże Uczelni”.

Ten uroczysty obchód odbył się w dniach 29.11-1.12.1978 r. w archikatedrze Św. Jana w Warszawie. Zaproszenia imienne wraz z programem rozesłane były do ludzi związanych z Uczelnią. Zjazd Wilnian był nadzwyczaj liczny, najliczniejszy od 1939 roku. Staranne przygotowanie uroczystości sprawiło, że z chwilą wejścia do Katedry wkraczano w dawny świat.

W ołtarzu głównym pod gotyckimi łukami jaśniał obraz Tej „co w Ostrej świeci Bramie”*. Wzdłuż nawy głównej chwiały się bratnie sztandary z Orłem i Pogonią, sztandar Młodzieży akademickiej USB i rząd chorągwi korporacji studenckich.

Obszerna Katedra i przyległy do niej kościół Ojców Jezuitów wypełnione były do ostatniego miejsca. Gęsty tłum stał na ul. Świętojańskiej.

29.11 o godz. 18-tej msza św., celebrowana przez ks. arcbp. Jerzego Strobę, z kazaniem Księdza Prymasa, w asyście całego Episkopatu Polskiego, miała niezwykle uroczysty charakter.

W ciągu dwóch następnych dni wygłoszono 11 referatów na temat historii Uniwersytetu Wileńskiego.

Na sesjach przedpołudniowych omawiane były dzieje od roku 1578 do 1919. Oba popołudnia w tych dniach poświęcono działalności Uniwersytetu Stefana Batorego w okresie Polski Niepodległej: w latach 1919-1939, z uwzględnieniem losów i wkładu w kulturę polską ludzi z USB w czasie wojny i po wojnie (po przymusowej ewakuacji z Wilna), zarówno w PRL jak i za granicą.

Rozpoczęcie obrad poprzedził hejnał: ten, który przed laty w każde południe rozbrzmiewał z wileńskiej wieży katedralnej.

Otwarcia sympozjum naukowego dokonał Ks. arcbp H. Gulbinowicz. Po czym wygłaszano kolejno referaty zgodnie z programem.

O. Rabikauskas, wicerektor Uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie, przekazał referat, w którym na podstawie przeanalizo-

* Kopię obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej wypożyczono z kościoła Sióstr Sakramentek w Warszawie (Nowe Miasto).

wanych dokumentów uzasadniał datę założenia Akademii Wileńskiej na 1579 r., gdyż wtedy uzyskano właściwy przywilej królewski, opatrzony pieczęciami z Orłem Polskim i Pogonią Litewską. W tymże roku przywilej zatwierdziła bulla papieska.

Nie negując słuszności poglądów prelegenta, zaznaczyć jednak trzeba, że po raz pierwszy dokument uprawniający do założenia Akademii Król Stefan Batory podpisał w roku 1578. Był to owoc wieloletnich trudów bp. wileńskiego Waleriana Protasewicza i wielki sukces Ojców Jezuitów. Rok 1578 to właściwe narodziny Akademii Societatis Jesu.

Następny temat „Rozkwit Akademii w wieku XVII” omówił Ojciec Piechnik z Krakowa.

Po południu o „USB w latach 1919-1939 i jego dziedzictwie dziś” mówiło, zgodnie z programem, 4 prelegentów.

Prof. dr Stanisław Stomma — „Wskrzeszenie w roku 1919”. W krótkiej i odważnej prelekcji sięgnął do historii Akademii, do jej znakomitych tradycji naukowych i wartości duchowych wyrosłych w ciągu wieków. Wskrzeszenie przez Józefa Piłsudskiego Uniwersytetu po prawie 100 latach niewoli odbyło się w atmosferze radości i szczęścia z odzyskania niepodległości. „Życzmy Uczelni i Braciom Litwinom, by utrzymali godność i pozycję tej Uczelni. Nie jest nam obojętne, co się dzisiaj w jej prastarych a drogich nam murach dzieje...”

Prof. dr Czesław Zgorzelski z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego przedstawił zwięzłe dzieje Wydziału Humanistycznego USB.

Dr Janina Ruszczyk, pracownik naukowy Muzeum Narodowego w Warszawie, omawiała historię Wydziału Sztuk Pięknych, utworzonego i prowadzonego przez jej ojca — Ferdynanda Ruszczyka.

Prof. Ks. Witold Pietkun przedstawił rozwój i działalność Wydziału Teologicznego.

Wieczorem w klasztornych korytarzach i salach Ojców Dominikanów przy ul. Freta odbyło się spotkanie towarzyskie przy lampce wina, żartobliwie nazwane „bankietem”. Trudną sprawę przygotowania jadła i napoju na nieokreśloną ilość gości wzięło na siebie grono osób ze Lwowa, Hrubieszowa, Nieświeża, Poniewieża. Duża grupa młodzieży warszawskiej włączyła się do pracy pomocniczej.

Obszerny refektarz, rozległe korytarze przypominające wystrojem architekturę Gmachu Głównego USB, zgromadziły przeszło 500 osób. Przyjacielskie spotkanie przeciągnęło się do późnych godzin nocnych.

1.12 o godz. 10-tej ks. arcybp H. Gulbinowicz mówił o odrodzeniu Akademii Wileńskiej w wieku XVIII.

Z wielkim zainteresowaniem oczekiwano referatu „Uniwersytet w okresie rozbiorów”. Ten okres to najbogatszy rozkwit nauki i wzlotu duchowego. Okres znakomitych profesorów i jesz-

cze znakomitszych uczniów: Filomatów i Filaretów z Mickiewiczem i Zanem. O okresie tym mówił Staszic: „Gdyby światło nie zapłonęło w Wilnie, zgaszłoby w całej Polsce”.

Temat ten powierzony został doc. dr Skowronkowi z Uniwersytetu Warszawskiego. Prelegent nie przybył. Luka w programie Sympozjum ma swoją wymowę.

W czasie przymusowo długiej przerwy w obradach duża grupa, z arcybp. H. Gulbinowiczem, bp. W. Dąbrowskim, OJ St. Dzierżkiem i OJ Bielawskim, udała się na Powązki, gdzie zapalono znicze i złożono kwiaty na grobach profesorów Opoczyńskiego, rekt. ks. Falkowskiego, St. Małkowskiego, oraz przy symbolicznym grobie ostatniego rektora USB prof. Stefana Ehrenkreutza, który zmarł w roku 1945 w sowieckim więzieniu w Wilnie.

Po południu prof. dr Wilhelmina Iwanowska i dr doc. Ludmiła Roszko z UMK w Toruniu, omówiły dzieje Wydziału Matematyczno-Przyrodniczego. W skład tego Wydziału wchodziły liczne katedry o różnorodnych kierunkach nauki: matematyka, fizyka, chemia, astronomia, meteorologia, geografia, geologia, mineralogia, rolnictwo, botanika, zoologia...

Rozległość tematu nie pozwoliła na jego wyczerpanie. Każda katedra to odrębna historia pracy, dorobku, wkładu w naukę i w dzieje wojenne Wilna, oraz w budowę kultury polskiej po wojnie.

Wydział Medyczny przedstawił prof. dr Tadeusz Ginko. Po omówieniu rozwoju i dorobku naukowego Wydziału przedstawił sylwetki szeregu profesorów i studentów, a także lekarzy wileńskich, którym tak wiele Wilno zawdzięczało w czasie wojny.

Prof. dr Andrzej Święcicki, mówiąc o Wydziale Prawnym, nie tylko scharakteryzował działalność naukową tego najliczniejszego Wydziału USB, lecz i strukturę narodowościową, ścierał się poglądów politycznych, postawy moralne i polityczne, które miały tak wielkie znaczenie w czasie wojny i w Polsce powojennej.

W przerwach między referatami z wysoka, z galerii ponad stallami, spływały słowa Skargi, Sarbiewskiego, Kochanowskiego, Staszica, Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Wyspiańskiego, Ruszczyca. Dużo było poezji wileńskiej z okresu Polski Niepodległej: Hulewicz, Miłosz, Zagórski, Rymkiewicz.

Całość tych „przerywników artystycznych” reżyserowali Irene i Tadeusz Byrscy. Recytowali zaś aktorzy warszawscy: H. Miłkołajska, Z. Mrozowska, D. Nagórna, T. Bogucki, M. Rajzacher, A. Szczepkowski, W. Wysocki.

Oprawę muzyczną stworzył chór akademicki pod kierownictwem prof. Dąbrowskiego. Nad częścią muzyczną czuwał OJ. ks. Wysocki.

Całością prac nad przygotowaniem tych uroczystości kierował OJ. ks. Stefan Dzierżek, przy pomocy OJ. ks. Bielawskiego i przy niestrudżonym udziale grupy absolwentów USB.

Uroczysta Msza św. koncelebrowana, której przewodniczył

Arcybp H. Gulbinowicz, zakończyła to niezwykle trzydniowe mis-
terium.

Opuszczaliśmy Katedrę, wracając jak gdyby z innego świata, ze świata w którym każde słowo, każda nuta brzmiały najczystsza prawdą. Przez trzy dni byliśmy w kręgu naszej najprawdziwszej utraconej Ojczyzny, w piękności jej wspianego rozkwitu i w bólu jej kłęski.

(Dopiero teraz otrzymaliśmy relację z obchodu 400-lecia USB od jednego z uczestników tej uroczystości. (Redakcja).)

Centrum Zdrowia Dziecka

Do wielu skandali znanych niewielkiej części społeczeństwa polskiego, a z rzadka szerzej sygnalizowanych opinii światowej, dochodzi obecnie jeden z najbardziej oburzających. Mowa tu o aferze budowy Centrum Zdrowia Dziecka oraz, nieporównanie mniej głośniego, Centrum Zdrowia Partii, czyli nowego szpitala klinicznego i ośrodka zdrowotnego dla bonzów partyjnych.

Budowa Centrum Zdrowia Dziecka rozpoczęta z fanfarami i przy masowej propagandzie zyskała poparcie społeczeństwa polskiego, szeroki oddźwięk oraz pomoc zza granicy. W kraju entuzjazmu społeczeństwa nie zmroziły nawet bezwzględne metody zdzierania pseudodobrowolnych „datków” przy pensjach i wy-
płatach.

Budowa Centrum Zdrowia Partii miała zupełnie inny początek. Sygnalizuje to bardzo wymowna informacja w materiałach cen-
zury:

„Nie należy zwalniać materiałów krytykujących fakt wycięcia fragmentu leżącego w granicach Warszawy lasu anińskiego. Na terenie tym powstaną obiekty rekreacyjne. (5. III. 1975).

(Czarna księga cenzury PRL, Aneks, Londyn, 1977, str. 99).

Centrum Zdrowia Dziecka, którego budowa rozpoczęta została w 1972 roku zostało zlokalizowane w Międzyzlesiu pod Warszawą, na piaszczystej równinie w odległości kilkuset metrów od cherlawego zagajnika. W ciągu 7 lat budowa ślimaczyła się, znane kłopoty inwestycyjne oraz jeszcze lepiej znane „społeczne akcje pracy” przynosiły dobre znane efekty.

Budowa Centrum Zdrowia Partii ruszyła 3 lata później, lecz zarówno lokalizacja jak i realizacja wyglądały zupełnie inaczej. W Aninie, w odległości zaledwie 2 km od CZD, lecz w miejscowości o zaletach klimatycznych, wśród pięknego, kilkudziesięcio-
letniego lasu sosnowego wycięto dużą polanę pozostawiając

ochronny pas drzew zasłaniających widok. Całość otoczono wy-
sokim ogrodzeniem uniemożliwiającym prawie obejrzenie i ocenę, dookoła ustawiono posterunki wojskowe. Przy doborze lokalizacji nie bez znaczenia był fakt, iż bezpośrednim sąsiadem jest premier Jaroszewicz, zamieszkujący willę na skraju lasu. Budowa Centrum Zdrowia Partii postępowała szybko, przy użyciu najnowocześniejszego sprzętu. Mimo trzyletniej różnicy przy starcie, otwarcie Centrum Zdrowia Dziecka nastąpiło w pierwszych dniach czerwca, a CZP ma ruszyć w sierpniu lub wrześniu. Personel do Centrum Zdrowia Partii pozyskiwany jest pensjami mniej więcej dwukrotnej wysokości — przy znacznie łatwiejszych warunkach pracy.

Dotychczasowe fakty mieszczą się doskonale w normach socjalistycznego współzycia partii i narodu.

Faktem zasługującym na napiętnowanie i na nadanie jak największego rozgłosu jest wykorzystywanie i okradanie CZD z pieniędzy i darów dla niego przeznaczonych.

Z użycia otrzymanych i wyciągniętych od społeczeństwa oraz nadesłanych zza granicy sum nikt nie potrafi rozliczyć czynników odpowiedzialnych — a już na pewno nie marionetkowy Komitet Budowy. Według zgodnych opinii licznych specjalistów wyłącznie za te sumy można byłoby wybudować niejedną taki ośrodek, ze znacznie większą ilością miejsc szpitalnych. Łatwiejsze jednak jest stwierdzenie, iż dzieci okradane są z aparatury przesyłanej dla nich zza granicy. Fakty tu też nie są łatwe do ustalenia, niekiedy tylko to i owo przesiąka do stosunkowo niewielkiego grona.

Wśród tych informacji na podkreślenie zasługuje fakt, iż wszelkie dary dla Centrum Zdrowia Dziecka deponowane są w magazynach, a odbiór ich przez miejscowych lekarzy możliwy jest po oględzinach komisji partyjnej z CZP, która po pobraniu haraczu resztę łaskawie przekazuje do użytku. Według zgodnych poglądów znaczna część przekazywana jest do anińskiego CZP — lecz nie wyłącznie. W połowie grudnia 1978 roku przybyła do Międzyzlesia delegacja lekarzy szwajcarskich wraz z dziennikarzami. Chcieli obejrzeć aparaturę przesłaną przez nich w darze polskim dzieciom. Okazali się wyjątkowo konsekwentni w swoich żądaniach i nie dali się zbyć kilkugodzinnym krążeniem po budynkach oraz opowieściami o zagubionych kluczach od magazynu. Po kilku godzinach okazało się, iż aparatura zawędrowała do Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi.

Centrum Zdrowia Dziecka, które według oficjalnej propagandy i według pragnień społeczeństwa miało być pomnikiem męczeństwa dzieci polskich w okresie wojny staje się pomnikiem zmar-
nowanych szans oraz bezwzględności władz komunistycznych. Jeszcze raz w historii PRL potwierdza się, iż władcy jej, nie licząc się absolutnie ani z opinią krajową, ani zagraniczną, kierują się wyłącznie własnymi i partykularnymi interesami. Dewiza, iż „wszyscy są równi, ale niektórzy równiejsi” powinna być arty-

kułem pierwszym konstytucji PRL — i innych państw komunistycznych.

Afera CZD jest w pełni związana z szerszą polityką zdrowotną w PRL. Komunikat KOR-u opublikowany w Nr. 25 *Biuletynu Informacyjnego* zwracał uwagę na powszechnie znany fakt braku lekarstw przeznaczonych dla społeczeństwa — powodujący katastrofalną sytuację zdrowotną. Czerwona burżuazja braków tych nie odczuwa dzięki systemowi poliklinik, wewnętrznych aptek, wewnętrznemu importowi leków. Natomiast dla społeczeństwa w wielu dziedzinach medycyny sytuacja jest krytyczna. Obciążenie funduszy na leki, ograniczenie importu, zatrzymanie inwestycji oraz wyprzedaż polskich leków za granicę spowodowały kolosalne braki — odczuwane od waty i witamin począwszy, poprzez płyn do kroplówek, na lekach hormonalnych kończąc. Niejednokrotnie powodowało to konieczność odkładania ważnych operacji. Zeszłoroczny Zjazd Endokrynologów oficjalnie zaprotestował przeciw brakom uniemożliwiającym leczenie — efekty są oczywiście żadne. Wydano natomiast ostatnio szereg zarządzeń zwiększających biurokratyzację. Lekarze nie mają prawa zapisywania na receptę dwóch opakowań jednego leku. W rezultacie chorzy lub członkowie ich rodzin po długotrwałych kolejkach do lekarzy zmuszani są do ciągłych wędrówek po mieście — lub do wyjazdu do innych miejscowości — w poszukiwaniu danego medykamentu.

Jeszcze bardziej oburzające jest wewnętrzne zarządzenie zakazujące lekarzom zapisywania szeregu lekarstw na bezpłatne recepty dla emerytów.

Dla władców naszego Folwarku ważna jest tylko praca mieszkańców — natomiast rencistom utrudnia się leczenie — choć nie wysyła się ich do rzeźni. Selekcja naturalna jest znacznie bardziej humanitarna.

Afera obu Centrów: Partii i Dziecka raz jeszcze potwierdza, iż sytuacja zdrowotna w Polsce nie jest spowodowana „trudnościami obiektywnymi”, lecz przede wszystkim konsekwentną polityką partii.

P.S. System wypróbowany przy budowie Centrum Zdrowia Dziecka okazał się tak sprawny, iż na jesieni władze ogłosiły „społeczną akcję” budowy tak niezbędnego dla społeczeństwa Centrum Onkologii. Należałoby jednak stworzyć komisję między-narodową mającą uprawnienia kontroli losów oczekiwanych darrowizn. Dary dla społeczeństwa winny jednak służyć społeczeństwu, a nie tylko elicie partyjnej.



Z korespondencji mediolańskiego *Il Giornale* z 5 czerwca br. wynika, że prasa warszawska usiłowała zrównoważyć wpływ podróży Jana Pawła II opisami inauguracji Centrum Zdrowia Dziecka...

Sąsiedzi

Spotkanie z W. Morozem

Z pięciu więźniów sowieckich, zwolnionych w zamian na dwóch sowieckich szpiegów skazanych w Stanach Zjednoczonych, najaktywniejszy jest chwilowo Walentyn Moroz. Jest on zresztą najbardziej i najgłębiej zaangażowany w politykę i to w najszerszym tego słowa znaczeniu. Drugi *homo politicus*, Aleksander Ginzburg, zaszył się na farmie Sołżenicyna, gdzie zapewne obaj zastanawiają się nad dalszymi krokami. Duchowny kościoła baptystów Georgij Wins działał na Ukrainie, żona jego jest Ukrainką a syn jest czynny w ukraińskim Komitecie tzw. grupy Helsinek, ale on sam ograniczył się do działalności religijnej, misyjnej i za tą był prześladowany i karany. Obecnie zajęli się nim współpracownicy i ulokowali go w ukraińskim zborze baptystów w Chicago. Dwaj żydowscy aktywiści Mark Dymshyc i Edward Kuźniecowa po krótkim pobycie w USA odlecieli do Izraela.

Moroz jest postacią najbardziej znaną. Toczyły się o niego przez 10 lat boje polityczne. Emigracja ukraińska organizowała wielkie manifestacje i demonstracje, gdyż Moroz w wyniku swojego zachowania się w więzieniu — stał się symbolem postawy niepodległościowej i widomym dowodem istnienia w młodym pokoleniu ukraińskim, wychowanym w systemie komunistycznym, nie tylko świadomości narodowej, ale również gotowości walki o własny byt narodowy. Stąd też wyjście Moroz na wolność, na Zachód, posiada dla przyszłości ukraińskiej emigracji politycznej doniosłe znaczenie. On sam zresztą — jak mogliśmy stwierdzić — jest przygotowany do odpowiedniej działalności. Akcja przygotowawcza jest w pełnym toku, rozpoczęła się z dniem jego lądowania w Nowym Jorku. Odtąd jest w stałym ruchu. Organizacje ukraińskie — ściślej specjalny komitet — opracował dokładny program zajęć na cały ten okres do lipca br.

Za pośrednictwem przyjaciół staraliśmy się ustalić termin spotkania z Morozem w jakimś mieście w Stanach Zjednoczonych. Nie obeszło się bez nieporozumień. Termin pierwszy oka-

zał się błędny. Rozminęliśmy się w Nowym Jorku. Druga próba była udana. Przyjaciele umówili nas w podmiejskiej miejscowości Passaic, N.J., w mieszkaniu — ściślejszej rezydencji — państwa Bychów.

Dr Bych, lekarz-urolog, absolwent uniwersytetu lwowskiego, pochodzi ze Stanisławowa. Do Stanów Zjednoczonych przybył po wojnie, w 1949 roku. Dom jego mieści się w zagajniku. Wnętrze przypomina bardziej galerię aniżeli prywatną rezydencję. Wszystkie ściany szczelnie pokryte obrazami, w kątach rzeźby — amfory i stylowe meble uzupełniają całość. Oboje są kolekcjonerami dzieł sztuki, w szczególności artystów ukraińskich, zarówno dawnych jak i współczesnych. Mają więc prace Trusza, Hryszenki, Hołuszenki, Michajła Moroza i wielu innych. W zbiorach ich są też dzieła znakomitych polskich artystów jak Aleksandra Orłowskiego, Juliusza Kossaka, Józefa Chełmońskiego i Teodora Axentowicza. Wielkich rozmiarów pastel tego ostatniego zajmuje honorowe miejsce w salonie. Gospodarze opowiadali o swojej kolekcji, kiedy i jak nabyli poszczególne obiekty, aż do chwili kiedy dzwonek w drzwiach oznajmił przybycie gości. Obeszło się bez procedury przedstawiania jakoż każdy z nas wiedział kogo ma spotkać.

Mój rozmówca jest średniego wzrostu, szczupły, mizerny, krótko ostrzyżone ciemne włosy, w których występuje już siwizna. Jest opanowany, mówi spokojnie, cicho, chwilami niemal szepem, co może oczywiście wynikać ze zmęczenia. Odpowiedział na wszystkie kolejne pytania i nad każdą odpowiedzią zastanawiał się, niejako ważył słowa.

Na wstępie Moroz przeprosza za nieporozumienie, które spowodowało, iż nie spotkaliśmy się przed tygodniem. Mówił iż przygotowano mu w tym samym czasie dwa spotkania i w różnych miejscowościach. Rad jest, iż spotykamy się teraz, bo będziemy mieli dla siebie sporo czasu. Przystępuję do stawiania pytań.

— Czy znany jest Panu miesięcznik *Kultura*?

— Pismo to zobaczyłem dopiero w USA, natomiast o kierunku jaki reprezentuje wiedziałem od lat. Ukraińskie niepodległościowe, inteligenckie środowisko — a myślę, iż również inne sfery dysydenckie — ma informacje o *Kulturze*, o wpływie tego czasopisma na Polaków. Nie waham się twierdzić, że Ukraińcy odnoszą się ze szczególną nawet atencją do *Kultury* z powodu jasnego stanowiska wobec zagadnienia naszej niepodległości.

— Czy będąc na wolności znał Pan jakichś Polaków, którzy pozostali na terenach dawnej RP, wcielonych obecnie do ZSSR?

— Chyba nie. W każdym razie nie pamiętam. Natomiast mogę stwierdzić, że zainteresowanie kulturą polską jest bardzo duże na Ukrainie. Śledzi się również pilnie prasę polską. Dla nas wiele krajowych publikacji polskich jest niemal rewelacją. Nie

potrafię powiedzieć jakie publikacje pozacenzuralne przenikają na Ukrainę, ale zapewniam iż wiadomo nam doskonale o polskim ruchu dysydenckim i o postawie Polaków wobec systemu sowieckiego.

— Czy znane jest Panu stanowisko tego ruchu wobec problemu ukraińskiego?

— Poznałem je dopiero teraz. Napawa mnie zadowoleniem fakt, że polska opozycja ustosunkowała się należycie do problemu niepodległościowego wszystkich narodów, które znajdowały się, mieszkają, częściowo na obszarach Rzeczypospolitej Polskiej, oraz do innych.

Przez 9 lat byłem w zamknięciu i nie miałem bezpośrednich kontaktów z moimi przyjaciółmi, rodakami. Brak mi więc ścisłych danych odnoszących się do ostatnich lat. Moje informacje to zarówno własne spostrzeżenia i wrażenia z poprzednich lat jak i otrzymane z zewnątrz w różnych formach i okresach. Nie waham się powiedzieć, że powszechny jest podziw do Polaków. Osobiście przyznaję, że ogarnia mnie często zazdrość, gdy myślę, ile zdołali sobie Polacy zapewnić w obecnej rzeczywistości, i z jakim rozmachem i skutkiem prowadzą dalej walkę o swoje ideały narodowe i wolnościowe. Podziwiamy naród, który zdołał zachować niezależność ducha. Kościół w Polsce jest równocześnie rzecznikiem narodowych dążeń narodu, przewodzi mu w tych zmaganiach. Jeśli idzie o zasadnicze, podstawowe postulaty, gdy chodzi o poszanowanie praw ludzkich, wolności osobistej i narodowej, nie ma różnic między społeczeństwem polskim, grupami opozycyjnymi a Kościołem. I to wywołuje nasz podziw. Pytał Pan kilkakrotnie o mój stosunek do Polski. Odpowiadam: jak najbardziej pozytywny.

— Co to znaczy? Proszę się wypowiedzieć konkretniej.

— Polska jest i będzie naszym sąsiadem, nie jest ona jakimś Madagaskarem. I ten fakt już narzuca pewne rzeczy. Nie będziemy wracać do przeszłości, jakkolwiek historia naszych wzajemnych stosunków to nie tylko walki. Uważam iż ścisłe związki między oboma narodami są nieodzowne i konieczne. Leżą w ich wspólnym interesie. Nie trzeba nam więcej ani walki ani rywalizacji. Oczywiście istnieją jakieś problemy sporne czy też odmienne podejście do różnych spraw, ale to są zagadnienia drugorzędne. My zmierzamy do możliwie najbliższej współpracy, współdziałania. Będziemy dyskutować nad rozbieżnymi zagadnieniami, ale będziemy jednocześnie i przede wszystkim ustalać płaszczyzny współpracy.

Apeluję do polskiej strony, by stanęła na gruncie rzeczywistości, by zechciała nas traktować jak równorzędnym naród. Trzeba wreszcie skończyć z nastawieniem Mickiewicza, który głosił iż Ukraina jest źródłem poezji. Nie godzimy się z tym, by umieszczać nas w ozdobnych ramkach. Jesteśmy konkretną rzeczywistością.

tością, narodem o własnej historii i tradycji, który dąży, jak każdy inny naród, do własnego niezależnego i suwerennego bytu państwowego.

Jestem pod urokiem polskiej literatury, całej kultury. Sądzę zresztą iż nie jestem w tych odczuciach odosobniony. Zapewne wiele zawdzięczamy kulturze polskiej, ale też wiemy o wpływach ukraińskich na polską kulturę. Były procesy polonizacyjne i ukraiinizacyjne. Nasz wspaniały poeta Rylskij był przecież pochodzenia polskiego i został najgenialniejszym tłumaczem „Pana Tadeusza”. To tylko jeden przykład, nie chcę jednak podejmować zbyt szeroko problematyki kulturalnej, bo ona jest jednym z elementów, składników wzajemnych stosunków i odnoszeń.

— Jak ustosunkowuje się Pan do programu grupy rosyjskich dysydentów skupionych w czasopiśmie *Kontinent*?

— Poznałem je dopiero tutaj. Oczywiście cieszy mnie dążność tych Rosjan do obalenia ustroju komunistycznego, ich deklaracje demokratyczne. Przyjmuję je w dobrej wierze, natomiast nie mogę zgodzić się z ich oświadczeniami dotyczącymi narodów znajdujących się pod jarzmem imperializmu rosyjskiego.

— Ma Pan na myśli postulat odnośnie plebiscytu na Ukrainie?

— Jak najbardziej! Przecież to obraźliwe, nie tylko nonsens. Dlaczego np. nie propagować plebiscytu — po obaleniu ustroju sowieckiego — czy Rosja chce przyłączyć się do Chin? Na miły Bóg, Ukraińcy mieszkają na swoim etnicznym obszarze, mają świadomość narodową, własną tradycję, tak bardzo różną od rosyjskiej, odmienną kulturę, tryb życia i jakże można się do nich odnosić jak do zacofanych, nierozwiniętych dostatecznie grup i zapytywać czy chcą mieć własne państwo?

Dla nas Rosjanie są okupantami a wobec tego nie można i nie należy z nimi prowadzić żadnych rozmów. Sugestie niektórych o prowadzeniu dialogu są dowodem naiwności. Nic więcej.

— Czy rusyfikacja nie dokonała wyłomów w społeczeństwie ukraińskim?

— To bardzo złożony proces. Rusyfikacja jest przede wszystkim orężem imperializmu i oczywiście komunizmu. Myślę jednakże iż ów typowy rosyjski imperializm przeważa. Rusyfikację prowadzi się wieloma środkami. Olbrzymią rolę odgrywa szkolnictwo. Skoro w Charkowie istnieją tylko trzy szkoły z ukraińskim językiem wykładowym, to chyba trudno o bardziej jaskrawy dowód przymusowej rusyfikacji. Można więc zapytać gdzież ów narodowy ruch ukraiński?

Otóż władze zmuszają rodziców, by zapisywali swoje dzieci do szkół rosyjskich. Prowadzi się z nimi odpowiednie rozmówki przed rozpoczęciem roku szkolnego. Każdy zdaje sobie sprawę iż odmowa zapisania dziecka do szkoły rosyjskiej będzie miała przykre konsekwencje: od zmiany warunków pracy aż do jej

utraty, stałej inwigilacji, różnych administracyjnych dokuczliwości. Stąd poddają się wychodząc z założenia, że w domu dziecka będzie miało książki ukraińskie a rodzice poświęcą mu więcej czasu aniżeli gdyby uczęszczało do szkoły ukraińskiej. Władze sowieckie stosują wobec opornych rodziców również drastyczniejsze środki w postaci przesiedlania. Odnosi się to zresztą nie tylko do jednostek, ale do grup. Na miejsce wysiedlonych Ukraińców przychodzi inna grupa narodowościowa.

Rosjanie sądzą np., że Ukraińcy będą czynnikiem rusyfikacyjnym wobec ludności niektórych okręgów republik azjatyckich, ale zawiedli się. Imperializm rosyjski jest w swej komunistycznej szacie groźniejszy od wszystkich dawnych imperializmów. Niestety świat zachodni nie rozumie tego. Angielska polityka imperialistyczna, np. w Indiach, nie łamała, nie niszczyła ani nawet nie naruszała kultury, nie zmieniała trybu życia, szanowała obyczaje i tradycje tubylców, zainteresowana była wyłącznie sprawami gospodarczymi i militarnymi, podczas gdy rosyjski imperializm konsekwentnie zmierza do fizycznej likwidacji wszystkich narodów poprzez zniszczenie ich kultury i tradycji narodowych, ich właściwości obyczajowych, całego trybu życia. Różnymi sposobami narzucają jednolity „zglajchszaltowany” tryb i styl życia.

— Jak przedstawia się ruch dysydencki na Ukrainie? Czy jest liczebnie duży?

— Liczba aktywnych dysydentów jest ograniczona. I nie może być inaczej. Oni są zapłonem, mobilizują świadomość społeczeństwa. Publikacji podziemnych „samizdatowych” jest sporo. Rozbudowany jest szeroko kolportaż, co jest bardzo istotne dla naszej walki. Na terenach zachodnich ruch organizacyjny jest silniejszy, natomiast na wschodnich notuje się szereg dużych rozmiarów udanych, improwizowanych akcji protestacyjnych.

— Na obszarze etnicznej Ukrainy obok różnych mniejszości narodowych znajdują się enklawy rosyjskie. Skoro uważa Pan iż z Rosjanami nie będzie dialogu, to jak zamierzacie w przyszłości rozwiązać ten problem?

— Chciałbym zaznaczyć że zakładamy, iż niezależna Ukraina będzie państwem demokratycznym i zapewni wszystkim mniejszościom równe i pełne prawa. Natomiast Rosji proponujemy wymianę ludności to znaczy, że Rosjanie z obszaru Ukrainy wyjadą a na ich miejsce przybędą Ukraińcy znajdujący się w różnych częściach Rosji. Jest to jedyne racjonalne rozwiązanie. Nie chcemy mieć u siebie „Sudetów” — załączka zbrojnego zatargu.

— Nie zamierzam podejmować dyskusji na tematy terytorialne, gdy chodzi o aspiracje ukraińskie, ale problematyki Krymu nie sposób przeoczyć.

— Ma Pan rację. Ja też nie wytyczam granic, ale istotnie

Krym to inna i bardzo zasadnicza sprawa. Przede wszystkim chcę stwierdzić, że to Moskwa rozmyślnie rozpala ten problem. Propaganda rosyjska czyni z Ukraińców wrogów Tatarów a wobec tego, że Krym jest częścią Ukrainy to naturalnie różne dyskryminacje obarczają ukraińską administrację. W istocie jednak wykonuje ona jedynie i wyłącznie nakazy Moskwy. Co prawda Ukraińcy byli na Krymie przed Tatarami, ale to nie znaczy, że będziemy zmierzać do ich wysiedlenia. Tatarzy, podobnie jak my, mają pełne prawo do samodzielnego bytu.

— Jak przedstawia się życie religijne na Ukrainie?

— Jest bardzo silne, ogromnie żywe, ale podziemne gdy chodzi o organizację. Nie jesteśmy w stanie pojąć dlaczego nie ma żadnej akcji Rzymu na rzecz kościoła grekokatolickiego na Ukrainie? Dlaczego — o ile inne wyznania, jakkolwiek zwalczane, prześladowane, mają formalny status, mogą mieć gdzieś jawne nabożeństwa, mają nielicznych ale uznanych duchownych — kościół grekokatolicki oficjalnie nie istnieje. Nie dysponuje ani jedną świątynią, ani jednym kapłanem. Jestem pełen podziwu, głębokiej czci dla papieża Jana Pawła II, wiemy przecież ile Kościół w Polsce zdołał zdziałać dzięki prymasowi kardynałowi Wyszyńskiemu i jemu, i dlatego wierzymy iż podejmie kroki mające na celu uznanie kościoła grekokatolickiego, umożliwienie mu pracy. Teraz, gdy chodzi o nabożeństwa, życie religijne ma charakter zamknięty. Odbywają się w mieszkaniach przy udziale małej ilości osób, by nie budzić podejrzeń władz. W niektórych wsiach odbywają się jednak procesje. Milicja próbowała kilka razy interweniować, ale spotkawszy się z wroga postawą ludności, wycofała się. Powstała katolicka sekta „pokutników”. Główny ośrodek znajduje się we wsi Serednie (wieś ta położona jest między Stryjem a Stanisławowem). Członkowie sekty wędrują po kraju, głoszą hasła mesjanistyczne, przewidujące kierowniczą rolę Ukraińców w odrodzeniu chrześcijaństwa. Ja jestem prawosławny, ale nie sądzę, by różnice wyznaniowe miały rozdzielać Ukraińców. Nie znam się na zagadnieniach liturgicznych natomiast wiem, iż jesteśmy chrześcijanami, że wiara jest nam wspólna, winna nami kierować, łączyć a nie dzielić. W naszych dążeniach narodowych kościół — jak sądzę — odegra wielką rolę. Symbolem dotychczasowych naszych wysiłków w tej mierze jest ks. kardynał Slipyj, który jest naszym patriarchą. I gorąco pragniemy, by papież Jan Paweł II ustosunkował się do tego przychylnie.

— Nie wspomniał Pan o życiu religijnym, prawosławnym, na Wołyniu skąd Pan pochodzi...

— Rzeczywiście, ale nie miałem zamiaru przemilczeć tej sprawy. A więc kościół prawosławny na Wołyniu, podobnie zresztą jak na innych terenach, teoretycznie może działać — aczkolwiek z wielkimi trudnościami. Pozostały nieliczne cerkwie, ale nie

dopuszcza się do korzystania z nich, brak jest duchownych. Podziemny ruch religijny jest raczej sekciarski aniżeli ortodoksyjny, natomiast silna jest świadomość narodowa.

— Nie wchodząc w szczegóły, czy może Pan powiedzieć jak działa podziemna sieć komunikacyjno-organizacyjna?

— Po prostu nie wiem, przecież 9 lat byłem w zamknięciu. Zapewniam jednak iż nasza siatka jest rozbudowana i funkcjonuje raczej dobrze, zważywszy warunki w jakich działa. Jestem przekonany iż sieć ta będzie rozbudowana. Przywiązuję do niej duże znaczenie. Stwierdzono bowiem, iż dzięki informacjom tej siatki można było prowadzić różne akcje nacisków i że okazały się one skuteczne. Kiedy na Zachodzie konsekwentnie protestuje się, staje w obronie ciemionych czy też piętnuje się poszczególne akty władz sowieckich — to po pewnym czasie Moskwa wycofuje się. Stąd też przywiązuję duże znaczenie do tego: naciski to skuteczna droga. To — jak dotychczas — najlepsza pomoc Zachodu. O te naciski jak najbardziej proszę, apeluję.

— Czy w swojej akcji politycznej uwzględni Pan konflikt chińsko-sowiecki?

— Naturalnie. Moim zdaniem — i taka jest opinia w ZSSR — posiada on kapitalne znaczenie dla wszystkich ujarzmionych narodów. Przecież celem polityki chińskiej jest osłabienie Moskwy i dlatego Pekin w jakiejś formie będzie popierał na arenie międzynarodowej postulaty różnych narodów, wchodzących w skład imperium sowieckiego. Niczego innego nie oczekujemy ani od Chin ani od innego narodu.

— Dziękuję.

— Ja również serdecznie dziękuję za zainteresowanie się moją osobą i przekazuję za Pańskim pośrednictwem wyrazy uznania i szacunku dla redaktora *Kultury* i zespołu redakcyjnego.

Wywiad przeprowadził Benedykt HEYDENKORN

Wdzięczność dla Brzezińskiego

Rokowania w sprawie wymiany dwóch sowieckich szpiegów na pięciu dysydentów otoczono ścisłą tajemnicą. Prowadziło je przez blisko rok dwóch wtajemniczonych ludzi: Zbigniew Brzeziński i ambasador Anatolij Dobrynin. Zamknięcie sprawy w kręgu tych dwóch negocjatorów pozwoliło zachować sekret do momentu, gdy sowiecki samolot z pięcioma więźniami politycznymi wylądował na amerykańskim lotnisku.

Ledwie prasa podała że sprawa była od początku w rękach Brzezińskiego, Ukraińcy zrozumieli wydobycie Moroza i Winsa jako gest przyjaźni Polaka wobec narodu zapomnianego przez innych. Runęła lawina listów i depeš ze strony kilkudziesięciu organizacji i kilkuset Ukraińców piszących pod pierwszym wrażeniem. Na prośbę przedstawiciela *Kultury* sekretariat prof. Brzezińskiego zgodził się udostępnić teczkę 305 listów i depeš, nie noszących charakteru poufnego. Otwiera je depeša Moroza, wysłana wkrótce po wyładowaniu: „Niech mi wolno będzie wyrazić szczerą wdzięczność za rolę, jaką Pan odegrał w wydobyciu mnie z sowieckiego więzienia. Mam nadzieję, że pozwoli mi Pan złożyć osobiście słowa podzięków w bliskiej przyszłości”. Wśród trzystu przeszło listów i depeš wiele jest napisanych po polsku.

Brzeziński otrzymał również list z podziękowaniem za wydobycie więźniów żydowskich od prezesa *B'Nai B'Rith International*, oraz depešę dziękczynną od Rady Żydowskiej w Nowym Jorku zrzeszającej 27 organizacji.

W sowieckiej prasie

Amerykańscy kremlinolodzy od dziesiątków lat nie mieli takiej radości. Plac Czerwony 1 maja br. wyglądał różnie w różnych pismach. W gazecie *Wieczernaja Moskwa*, która ukazała się 1 maja br., sekretarz moskiewskiego komitetu partii, Wiktor Griszyn, przybliżył się do Breżniewa o jedno miejsce, a Andriej Kiriłenko zniknął z fotografii. Ale w *Prawdzie*, która ukazała się 2 maja br., Kiriłenko znów pojawił się na fotografii, a Griszyn odskoczył od Breżniewa. Bizantyjskie obyczaje kremłowskich przywódców dają niewątpliwie ciekawy materiał do obserwacji. W 1953 roku pozwoliły one przewidzieć upadek wszechmocnego Berii, gdyż nie zjawił się w teatrze, gdzie powinien był być. Amerykańscy obserwatorzy widzą w grze kremłowskich fotografów świadectwo walki o tron breżniewowski. Walka o ten tron niewątpliwie toczy się już od dawna. Manipulacje z fotografiami pierwszomajowymi są tym ciekawsze, że bardzo dobrze oddają psychikę sowieckich przywódców. Zasada realizmu socjalistycznego — przedstawianie chęci zamiast rzeczywistości — stała się podstawą ich sposobu myślenia. Towarzysz Griszyn zatem, nie mając jak dotąd możliwości zmienienia rzeczywistości, zmienia jej obraz. Używa magicznych zaklęć.

Jest bardzo wątpliwe, czy tego rodzaju magiczne sztuczki naruszają stabilizację sowieckiego kierownictwa. W okresie ostatnich dziesięciu lat Breżniew wyrzuca kolejno z Politbiura „młodzież”: w 1971 r. — Genadija Woronowa (61 lat), w 1975 r. — „żelaznego Saszę” — Szelepina (57 lat), w 1977 r. — Dymitrija Polańskiego (60 lat), w 1978 r. — Konstantina Katuszewa (51 lat), w tymże 1978 roku — nagle umarł (mówią, że się zastrzelił) Fio-

dor Kułakow (60 lat), w kwietniu br. — został usunięty ze stanowiska sekretarza KC Jakow Riabow (51 lat). Do Wiednia, na spotkanie z Carterem przybędzie ciężko chory, 72-letni Breżniew, reprezentujący swoich rówieśników, którzy ze swego grona wybierają nowego Generalnego Sekretarza.

Jak będą wyglądały te wybory, jakie czynniki będą miały wpływ na decyzję — pytania te zaprzatają dziś umysły wszystkich mężów stanu świata.

Jeden z możliwych wariantów przyszłych wydarzeń przedstawia powieść „W Moskwie panuje spokój”, która ukazała się w Paryżu. Dymitr Sesemann, autor tej powieści, spędził dzieciństwo i młodość we Francji, w 1937 roku powrócił z rodzicami do ojczyzny, do ZSSR gdzie rodziców czekał zwykły los reemigrantów — więzienie i łagier. Potem Sesemann został zrehabilitowany, był tłumaczem „na szczycie”, ale w 1976 roku przyjeżdżając do Paryża z wizytą, tu pozostał. Doskonale zna życie sowieckiej góry, mechanizm systemu, psychikę wodzów. Jednocześnie zaś zna i drugi świat. „W Moskwie panuje spokój” mówi o spisku, zorganizowanym w stolicy Związku Sowieckiego. Jego koncepcję daje inteligencja, nowe pokolenie, 50-latk, „którzy doszli do przekonania, że jeśli walczyć, to walczyć za swoją wolność, a nie za wolność dla narodu, który o niej nie myśli”. Tę ideę przyjmują i biorą na siebie jej realizację wojskowi: grupa pułkowników i generałów. Armia, jej dowództwo, dochodzi do przekonania, że bałagan w kraju przeszkadza siłom zbrojnym, przeszkadza rozwojowi państwa. Autor uważa, że w Związku Sowieckim jedynie wojsko widzi świat realistycznie, gdyż tylko ono miało i ma do czynienia z realnym przeciwnikiem. Wszystkie nici spisku ma w rękach osobisty pomocnik Generalnego Sekretarza. Jeśli bowiem Generalny Sekretarz, Nikołaj Iljicz to chory starzec, który od dawna nic nie robi, jeśli wszyscy inni członkowie Politbiura, są również starcami którzy nic nie robią, to ich pomocnicy, są ludźmi młodymi, energicznymi, ambitnymi. Przywódca spisku, zręcznie manewrując, przekonuje przewodniczącego KGB Jurija Mantropowa, aby zachował życzliwą neutralność.

Przewrót odbywa się bez żadnego wysiłku, całkowicie spokojnie: wystarczyło aresztować Generalnego Sekretarza, który będąc również marszałkiem brał udział w manewrach.

Przewrót pozostawia na miejscu wszystkie instytucje sowieckie — jedynie (!) pozbawia partię jej dominującej roli w kraju.

Przewrót odbył się lekko, problemy zaczęły wyłaniać się potem. Przede wszystkim okazało się, że kierujący krajem koszmarny aparat biurokratyczny był potworem — gigantycznym ciałem bez mózgu. Partia zaś była pasożytem aparatu państwowego, ale bez niej aparat ten nie podejmował żadnej decyzji. Stosunkowo łatwo udało się rozwiązać sprawę krajów socjalistycznych. Generał Masłow, reprezentujący w rządzie wojsko, przedstawił wojskowy punkt widzenia: jako barierę wolę Austrię, której w 1955 rok daliśmy niezależność, od Węgier, które nie zapomnieli

1956 roku. Kraje socjalistyczne stały się neutralnymi. Znacznie trudniejszym problemem były sowieckie republiki związkowe. Pisarz nie potrafił go rozwiązać: na ostatniej stronie powieści generał Masłow przystępuje do czytania *dossier* poświęconego Ukrainie.

No, ale jak to się śpiewa w starej rosyjskiej pieśni: „Łatwo było na papierze...”. Sesemann lekko wyrzucił partię z życia sowieckiego. Partia zaś nie zamierza zrezygnować ze swojej dominującej roli. W 1979 roku przeszła do kolejnej ofensywy. Postanowienie KC KPZS „O kolejnym wzmocnieniu ideologicznej, polityczno-wychowawczej pracy”, ogłoszone w *Prawdzie* z 6 maja br., jest wezwaniem do wzmocnienia roli partii przede wszystkim w świadomości społeczeństwa.

W każdej kolejnej ofensywie ideologicznej zasadniczy program jest ten sam: „Formowanie komunistycznej świadomości społeczeństwa” — „kształtowanie nowego człowieka”. Zmianie ulegają tylko wrogowie, służący jako instrument przy wypracowywaniu „nowego człowieka”. Każda kampania ideologiczna daje materiał dla kolejnych „lekcji nienawiści”, które tak dokładnie opisał George Orwell.

Do tej nowej kampanii ideologicznej dobrano dwie książki, które można by nazwać „podręcznikami nienawiści”. „Biała księga”, wydana przez moskiewskie wydawnictwo literatury prawniczej, jest poświęcona zagadnieniom dysydenctwa: przedmowa przewodniczącego Najwyższego Sądu ZSSR, Lwa Smirnowa, wywiad z wiceministrem Spraw Wewnętrznych ZSSR Borysem Szumilinem, przedstawienie procesów Jurija Orłowa i Władimira Slepaka, donos prowokatora Sani Lipawskiego na Aleksandra Szczarańskiego — wszystkie te materiały zmierzają do jednego celu: dysydenci to Żydzi, to agenci amerykańskiego wywiadu. Jako ilustrację zamieszczono fotografie dziennikarzy amerykańskich pracujących w ZSSR i uznanych za agentów C.I.A. Książka ta została wydana w nakładzie 150 tysięcy egzemplarzy, ale w sprzedaży znalazła się tylko niewielka część nakładu. Większość została rozdana jako pomoc naukowa dla współpracowników KGB, milicji itp. Natomiast „Krótki słownik polityczny”, wydany w nakładzie 300 tysięcy egzemplarzy w „Wydawnictwie Literatury Politycznej”, obliczony jest na szeregowego sowieckiego obywatela. „Słownik polityczny” ukazuje się w Związku sowieckim regularnie. Każde nowe wydanie odzwierciedla zmiany zachodzące w kierownictwie i wylicza kolejnych wrogów.

Poprzednie wydanie „Krótkiego słownika politycznego” ukazało się dokładnie 10 lat temu — w 1969 roku. Tak w nim, jak i w nowym wydaniu czytamy: „Słownik daje wyjaśnienia słów, terminów, poglądów o charakterze społeczno-politycznym najczęściej spotykanych w periodykach, audycjach radiowych i telewizji”. Porównując treść obu wydań „Słownika” przede wszystkim nasuwa się uwaga: wielu nowych wrogów ma władza sowiecka! W wydaniu z 1978 roku znalazły się słowa, których istnienia nie

podejrzewali autorzy wydania z 1969 roku. Przede wszystkim włączono nieznane przed 10 laty określenie „dysydenci”. Nie można nie zacytować definicji: „słowo *dysydenci* jest wykorzystywane przez propagandę imperialistyczną dla określenia poszczególnych odszczepieńców, którzy oderwali się od społeczeństwa socjalistycznego, tj. osób występujących czynnie przeciwko budownictwu socjalistycznemu, schodzących na drogę działalności antysowieckiej, naruszających prawo i nie mających oparcia w społeczeństwie, które zwracają się o pomoc za granicę, do imperialistycznych ośrodków wywrotowych — propagandowych i wywiadowczych”. Jako ostatni gwóźdź do trumny dysydentów podana jest cytata z L.I. Breżniewa, który określa ich jako „wspólników, jeśli nie agentów imperializmu”. Paragraf z „Krótkiego słownika politycznego” jest napisany tak, jak paragrafy Kodeksu Karnego. Zresztą niewątpliwie w niedługim czasie Kodeks Karny zostanie uzupełniony artykułem pt. „Dysydenci”. W liczbie nowych paragrafów — nowych wrogów znajdują się: maoizm, eurokomunizm, nowa lewica, sowietologia.. Do kategorii „ośrodków oszczerczej propagandy” na równi z „Głosem Ameryki”, „Niemiecką Falą” i „Wolną Euroją”, które znajdowały się już w poprzednim wydaniu, zaliczono nadto radiostację „Swoboda”, która „prowadzi wywrotową działalność przeciwko Związkowi sowieckiemu”. Bardzo rozszerzono hasło pt. „syjonizm”. Przedstawiony on jest jako „zbankrutowany, w naukowym tego słowa znaczeniu” rasizm związany z imperializmem i łączący się z antykomunizmem. W wydaniu z 1969 roku w hasło „ludobójstwo” podano szereg przykładów — od wyniszczenia Indian, linczowania Murzynów, do hitlerizmu i południowoafrykańskiego rasizmu. W nowym wydaniu podano tylko dwa przykłady: hitlerizm oraz politykę Izraela na okupowanych terytoriach. Po raz pierwszy włączono do „Słownika” określenie — „trzeci koszyk”, komentując je, że „imperialistyczne koła Zachodu próbują wykorzystać... do ingerencji w wewnętrzne sprawy krajów socjalistycznych i do dywersji ideologicznej”.

Nowe wydanie „Krótkiego słownika politycznego” wyraża strach ideologów sowieckich przed światem nowych zjawisk i pojęć — wrogów. Słownik może służyć jako znakomity materiał dla psychiatrów zajmujących się paranoją. Paranoik przejawia agresywność wobec otoczenia, przekonywuje sam siebie, że jest otoczony wrogami, spiskami, zdrajcami. Dochodzi do wniosku, że może się uratować tylko wtedy, kiedy sam pierwszy zaatakuję. W wydaniu z 1969 roku był artykuł pt. „Wojna ideologiczna, walka klasowa”. W każdym z tych haseł główne miejsce zajmują wezwania do walki, walki, walki...

I wzmaga się bezlitosna walka ze wszystkimi przejawami odmiennego myślenia, ale nie udaje się zlikwidować ruchu dysydentów. Rozbity, przyjmuje inne postacie. Aresztowania i zamykania w zakładach psychiatrycznych bardzo poderwały ruch demokratyczny, ruch o przestrzeganie uchwał w Helsinkach. W so-

wiekiej i zachodniej prasie główna uwaga skierowana jest na problem żydowskiej emigracji. Emigracja ta stała się nawet problemem polityki zagranicznej: odkręcając czy przykręcając kurek emigracji żydowskiej Breżniew reguluje swoje stosunki z USA.

Ale ludzie chcą wyjeżdżać ze Związku Sowieckiego. Ci, którzy zostają i ci, którzy chcą walczyć o Prawa Człowieka szukają drogi do organizowania ludzi tak samo myślących, zachowując przy tym zawsze formy legalne.

Idea organizowania Wolnych Związków Zawodowych ciągle znajduje nowych zwolenników. Doniecki górnik W. Klebanow, który stworzył „Wolny Związek Zawodowych Sowieckich Pracowników”, został aresztowany i umieszczony w zakładzie psychiatrycznym. Aresztowano także członków tego związku. W końcu 1978 roku powstała nowa organizacja „Wolne Międzyzwiązkowe Zjednoczenie Pracujących” (SMOT). Ujawniono nazwiska zarządu SMOT-u, ale nazwiska członków zachowane są w tajemnicy. W ten sposób po aresztowaniu członków zarządu ich miejsca mogą być obsadzone przez innych działaczy tego ruchu. Ta ostrożność okazała się potrzebna. W chwili obecnej wszyscy członkowie zarządu SMOT są aresztowani. Jeden z organizatorów, geolog Władimir Skwirsij, został skazany w maju br. na 5 lat zsyłki, inni oczekują procesów.

Zupełnie nowym zjawiskiem jest masowy ruch młodzieżowy w Leningradzie, który nazwał siebie „Lewą opozycją”. Nowością jest tu zwrócenie się ku ideałom lewicowym, które jakby się mogło wydawać są już całkowicie skompromitowane, oraz wiek opozycjonistów — 18-20-letni studenci, 16-18-letni uczniowie.

Młodzież skupiła się wokół samizdatowego pisma *Perspektywy*. „Grupa młodzieży — czytamy w programowym artykule — przystępując do walki politycznej nie dla zabawy w rewolucję i osiągnięcie celów egoistycznych, ale kieruje się jedynym pragnieniem uratowania kraju przed nadciągającą katastrofą i wprowadzenia go z tragicznego położenia, w którym znajduje się w okresie ostatnich 60-ciu lat. Jesteśmy głęboko zaniepokojeni przyszłością tak narodu rosyjskiego, jak i innych narodów imperium sowieckiego. Od losów narodów Rosji zależy obecnie przyszłość wszystkich narodów świata”. Program podaje przeciwko czemu młodzież występuje. Ale co robić dalej? Wszyscy są zgodni w jednym: jedyną drogą całkowicie niemożliwą i dla nich, i dla kraju jest przemoc. Zdecydowano zorganizowanie wszechzwiązkowego zlotu w październiku 1978 roku. Inicjatorem stworzenia tej grupy jest 19-letni Aleksander Skobow, który w swoim mieszkaniu zorganizował *komunę*. Komunardzi dyskutowali o przeszłości i przyszłości, czytali Krapotkina, Bakunina, Cohn-Bendita i „Prawdę o powstaniu kronsztadzkim”.

W przededniu zlotu Aleksander Skobow został zaaresztowany. Następnie aresztowano jego towarzysza 19-letniego studenta Arkadija Curkowa oraz członków *komuny*. 5 grudnia 1978 roku na placu przy kazańskim soborze w Leningradzie zebrało się około

200 studentów i uczniów protestujących przeciwko tym aresztowaniom.

Aleksander Skobow 19.4.br. został skazany na bezterminowe leczenie w zakładzie psychiatrycznym. Arkadij Curkow, uznany za poczytalnego, był sądzony za autorstwo jednego artykułu w *Perspektywach* i za ustne wypowiedzi w kręgu przyjaciół, krytykujące politykę partii. Wyrok — 5 lat łagrow i 2 lata zsyłki.

„Wojna ideologiczna” zakończyła się wybitnym zwycięstwem „jedynie prawdziwej” nauki. Ale czy została ona wygrana?

Po raz pierwszy od wielu lat walka „ideologiczna”, „psychologiczna”, która prawie zawsze odnosi zwycięstwa i nie przestaje być rozdmuchiwana przez partię, przekształca się w prawdziwą wojnę, na której zaczyna ginąć coraz więcej sowieckich wojskowych. Nie ma wątpliwości, że były ofiary wśród sowieckich doradców w Angoli, w Abisynii, na Bliskim Wschodzie. Tego wszystkiego nie można jednak porównać z tym, co dzieje się w Afganistanie. Prosowiecki reżym Taraki-Amina trzyma się jedynie dzięki pomocy sowieckiej. Sowiecka prasa przedstawia powstanie ludności afgańskiej przeciwko rządowi komunistycznemu jako spisek Pakistanu, Iranu i Chin. 1.6.br. *Prawda* znów uprzedziła Pakistan, że sprawa dotyczy „konfliktu w pobliżu naszych granic, a konflikt ten jest sam w sobie agresją przeciwko państwu, z którym ZSSR ma wspólną granicę”. Oprócz tego, jak wiadomo, została podpisana umowa między Związkiem Sowieckim i Afganistanem, przewidująca wspólne „działanie dla zapewnienia bezpieczeństwa, niezawisłości i całości terytorialnej obu krajów”.

Przed kierownictwem sowieckim stoi problem niełatwy do rozwiązania. Niezbędne jest zdławienie powstania, które — według informacji prasy zachodniej — przekształca się w ruch ogólnonarodowy. Na stronę powstańców przechodzą regularne oddziały armii afgańskiej. Straty wśród doradców sowieckich oblicza się na setki. Po raz pierwszy po 50-letniej przerwie, w zbrojnym konflikcie zderzyli się komuniści i muzułmanie. Wojna z „basmaczami”, wojna o utrzymanie władzy sowieckiej w Środkowej Azji zakończyła się dopiero w 1927 roku. Ale wówczas wojna toczyła się w granicach byłego imperium rosyjskiego. Obecnie zaś przeciwnikiem reżymu prosowieckiego są sami Afganie, których religijna nienawiść do komunizmu wzmogła się w związku ze zrywem religijności muzułmańskiej na świecie. Trudność zdławienia antykomunistycznego ruchu w Afganistanie wynika z wojowniczości ludności, górzystego położenia i istnienia plemion pokrewnych w Pakistanie.

Historia niewątpliwie niczego nie uczy. Ale, powtarzając się, daje materiał do przemyśleń. W 1928 roku sytuacja w Afganistanie przypominała obecną: przeciwko władzy Amanuły-Chana wzniecił powstanie Baza-Sakka, który wyszedł z ludu. Związek Sowiecki utrzymywał z Amanułą przyjacielskie stosunki, podpi-

sał szereg umów, a w ich liczbie w 1926 roku o nieagresji i neutralności. Gdy w kraju rozpoczęła się wojna domowa OGPU proponowało podtrzymanie buntownika, zakładając że przy jego pomocy można będzie „zsowietyzować” Afganistan. Narodowy Komisarjat Spraw Zagranicznych przeciwstawił się temu, argumentując że Bacza-Sakkał opiera się na plemionach północnego Afganistanu i dlatego niewątpliwie będzie prowadził politykę agresywną, dążąc do rozszerzenia wpływów na sowiecki Turkestan. Amanuła zaś, który opiera się na plemionach południowych, powinien — według ocen sowieckich dyplomatów — prowadzić agresywną politykę przeciwko Indiom. Politbiuro przyjęło punkt widzenia dyplomatów. Ponieważ sytuacja Amanuły była trudna, więc rząd sowiecki zdecydował udzielić mu zbrojnej pomocy. Uderzeniowa grupa Armii Czerwonej pod dowództwem głośnego w czasie wojny domowej komendanta „Czerwonych Kozaków” Primakowa, przeszła granicę i weszła w głąb kraju. W spotkaniu armia Bacza-Sakkała została rozbita. Droga do Kabulu została otwarta. Ale w tym samym czasie podano do wiadomości, że Amanuła-Chan abdykował. Wojska sowieckie zostały odwołane.

Pół wieku temu Związek Sowiecki nie był jeszcze supermocarstwem, nie dysponował takimi możliwościami, jak obecnie. I nie ma wątpliwości, że przywódcom sowieckim nie drgnie ręka, tak jak drgnęła ręka Amerykanów w Wietnamie. Ale podtrzymanie rządu, który całkowicie stracił zaufanie ludności, będzie wymagało ogromnych wydatków i pociągnie za sobą ofiary, od których armia sowiecka się odzwyczaiła. Wyjście z Afganistanu będzie klęską, jakiej Związek Sowiecki od dawna nie przeżywał i możliwe, że głos armii będzie odgrywał dużą rolę przy podejmowaniu decyzji rozwiązania problemu Afganistanu.

Zresztą jakaby to nie była decyzja, naród sowiecki otrzyma w gazetach, radio i telewizji tylko optymistyczną interpretację, gdyż — „czas pracuje dla nas”.

Pisarz sowiecki Siergiej Dawłatow, który bardzo niedawno otrzymał zezwolenie na wyjazd ze Związku Sowieckiego, po aresztach i szpitalach psychiatrycznych — dał ważny przyczynek do wiecznego sporu na temat optymizmu i pesymizmu. Do Tyflisu — opowiada Siergiej Dawłatow — przyjechał redaktor miesięcznika *Nowyj Mir*, Siergiej Narowczatow, który pierwszy winał Breżniewowi literackiej nagrody leninowskiej. Występując przed pisarzami gruzińskimi Narowczatow długo im opowiadał o szczęśliwym i radosnym życiu, o nadchodzącej świetlanej przyszłości. „Jestem optymistą” — zakończył swoje przemówienie. I wtedy wstał pisarz gruziński i poprosił o pozwolenie zadania mu kilku pytań. Proszę bardzo — odpowiedział uprzejmie moskiewski literat. „Czy Byron był młody?” — Tak — odpowiedział Narowczatow — gdy umarł miał 36 lat. „Czy był piękny?” — Tak, wszyscy znamy jego portrety. „Czy był utalentowany?” — Niewątpliwie to był genialny poeta.

A więc — konkluduje gruziński pisarz — Byron — młody,

piękny, genialny — był pesymistą, a ty — stary, pokraczny i bez talentu — jesteś optymistą.

S. Dawłatow nie podaje co odpowiedział Narowczatow. Ale mógłby rzec: cóż ma robić stara, obrzydliwa, bez talentu — choć potężna — władza, jeśli nie wierzyć w świetlaną przyszłość?

Adam KRUCZEK

Jan Paweł II żąda wolności religijnej dla unitów Ukrainy

Osservatore Romano zamieścił w sobotę, 16 czerwca br., długie orędzie Jana Pawła II do unitów Ukrainy — mniejszości katolickiej obrządku wschodniego — która od końca wojny nie istnieje oficjalnie w Związku Sowieckim.

W tym liście, zaadresowanym do 87-letniego Kardynała Jospa Slipyja, arcybiskupa (na wygnaniu) lwowskiego, Papież żąda wolności kultu dla unitów, wolności religijnej — zasadniczego elementu *praw człowieka proklamowanych przez Narody Zjednoczone i włączonych do konstytucji Państw*.

List przypomina 1000-lecie przyjęcia chrztu przez Ukrainę. Jest on datowany 19 marca br., ale nie był dotychczas ogłoszony. Jego istnienie ujawnił Jan Paweł II 3 kwietnia br., podając z niego wyjątki w czasie swojego przemówienia. Według źródeł watykańskich Patriarchat moskiewski zaraz po tym anulował wizytę delegacji prawosławnej w Rzymie.

(Po 18 latach uwięzienia Kardynał Slipyja został uwolniony w 1963 roku na skutek interwencji Jana XXIII. Kardynał zalił się publicznie szeregiem na ostrożność, jakiej dowody daje dyplomacja watykańska jeśli idzie o problem ukraińskiego Kościoła katolickiego. Na Ukrainie było około 5 milionów unitów w chwili, kiedy zostali siłą przyłączeni do prawosławnego Kościoła rosyjskiego. Istnieje również duża „diaspora” unitów na Zachodzie i silna mniejszość w Rumunii. Opublikowanie listu Jana Pawła II do Kardynała Slipyja nastąpiło zaraz po powrocie Papieża z Polski, gdzie zaapelował o solidarność chrześcijan — Słowian).

Le Monde, 20 czerwca 1979 r.

Chiny o Ukrainie

W majowym numerze oficjalnego pisma chińskiego *Beijing Zhoubau* — czyli *Przegląd Pekijski* — które ukazuje się po angielsku, francusku, japońsku, niemiecku, hiszpańsku i arabsku ukazał się artykuł o polityce Rosji wobec Ukrainy. Zarówno treść jak i ton tej publikacji przeczą pogłoskom o rzekomej zmianie kursu kierownictwa chińskiego jeśli idzie o stosunki chińsko-rosyjskie. Artykuł nosi tytuł „Hegemoniści sowieccy o nowi carowie kontynuują politykę dawnych carów” i dotyczy problemu kontynuacji zaborczej polityki rosyjskiej w stosunku do Ukrainy. Asumpt

Wołanie na puszczy

Szkoła debilizmu, czyli WTD

Warszawa w maju.

Czytanie naszej prasy, której to czynności oddaję się z absurdalną, masochistyczną pilnością, budzi we mnie uczucie nienawiści. Aż mi czasem wstyd, że nie budzą we mnie takich uczuć obrzędowe, idealnie wyprane z wszelkiej treści pienia rządzących dygnitarzy, a wściekam się na wynajętych i dyrgowanych z góry, bezwolnych prasowych piesków. Ale cóż — nienawiści sobie nie wybieramy — podobnie jak i miłości.

Nienawiść zresztą to nie jest uczucie budujące, ani godne polecenia, zwłaszcza dla człowieka wkorzonego w swój kraj, który chciałby, uprawiając zasadniczą krytykę i opozycję pozostać jednak tegoż kraju organiczną częścią, zauważalnym składnikiem, tak choćby jak odcisk jest składnikiem nogi (o usuwaniu odcisków serce na razie milczy). Nienawiść moja jednak ma podłoże, nie tkwi tylko w nerwach. Bierze się ona z przekonania, iż nasza statystyka, ekologia, planowanie, wszystko to jest wielką SZKOŁĄ DEBILIZMU, mającą na celu odzwyczajanie ludzi od ogólnego i dialektycznego myślenia, aby zaś nie dostrzegli, że król jest nagi a marksowsko-polski socjalizm nie ma sensu. I cóż będzie z narodem, gdy ludzie całkiem oduczą się od samodzielnego myślenia i wnioskowania a życie publiczne zmieni się w kompletny już dom wariatów?! Co będzie wówczas ze świętym polskim narodem, tak patetycznie hołubionym na emigracji przez różnych wykorzenionych i wykolejonych oddaleńców?!

Narzędziem szkoły debilizmu jest cenzura. Baczy ona pilnie, aby ludzie utracili pamięć, zdolność kojarzenia przyczyn ze skutkiem, aby każdą rzecz rozpatrywali osobno, bez kontekstu historycznego, krytykując, owszem, szczegóły ale strzegąc się jak ognia jakichkolwiek uogólnień czy ocen całościowych. Pisałem kiedyś o owym plemienu murzyńskim, które nie dostrzegło związku między stosunkiem erotycznym a rodzeniem się dzieci. Otóż

takich murzynów prasowa szkoła debilizmu chce dziś zrobić z Polaków i, co tu gadać, często jej się to udaje. Smutno, panowie — ale prawda.

Powiodło się na przykład naszej prasie czy telewizji oddzielić w świadomości ogółu problemy gospodarcze od zagadnienia gestii politycznej, o której się w ogóle nie wspomina, tymczasem właśnie jedność tych dwóch stron sprawy stanowi w komunizmie istotę rzeczy. Kto nie pojmie istoty rzeczy, ten nie będzie mógł przeciw niej występować, gdy zaś usunie się pewne definicje i słowa, zanikną z czasem i odpowiadające im pojęcia, jak choćby właśnie odpowiedzialność władzy przed społeczeństwem. Likwidacja słów i pojęć powoduje zmianę myślenia — tak dokładnie, jak to opisał genialny Orwell.

Nasz rodzimy orwellizm czyli debilizm wciska się codziennie, więc już niewidocznie, wszystkimi szparami do duszy, oglupiając nas niewidocznie i bezboleśnie jak ów medykament, co przyczynia się nie przerywając snu. Podnosi się np. olbrzymi samochwalczy krzyk o „rewaloryzacji” walącego się Krakowa, aby odwrócić uwagę od faktu, że walą się stare dzielnice kilkudziesięciu historycznych miast, a to na skutek 35 lat socjalizmu, który, upaństwowiwszy wszystko, zablokował możliwość remontów zarówno prywatnych jak samorządowych, niszcząc w dodatku w ramach „walki ideologicznej” bezcenną warstwę indywidualnych rzemieślników budowlanych. I cóż powiecie?! Najuczciwsze, najszacowniejsze profesory dały się na to nabrać, piejąc z zachwytem i ze wzruszenia nad dobrocią rządu i partii, które raczyły łaskawie zająć się sprawą „rewaloryzacji” Krakowa, czyli — mówiąc po polsku — powstrzymaniem przez siebie zawinionego procesu zniszczenia, co wobec umieszczenia w Krakowie huty jest w ogóle trudem syzyfowym. Ale odwrócenie uwagi od własnych win i wystrzyganie dudków z profesorskiej elity dokonane zostało bezbłędnie. WTD — Wielki Triumf Debilizmu!

WTD odnosi też wielkie sukcesy w poruszanej już powyżej sprawie rzemiosła. Dnia 11 kwietnia zwołano plenum KC, poświęcone wygłaszaniu absolutnie pozbawionych treści frazesów na temat znanej nawet szczerom i myszom pożyteczności rozwijania rzemiosła. Nikomu jednak z tej okazji nie przyszło do głowy, że oto obraduje przecież ta sama partia, która przez 35 lat konsekwentnie i na różne sposoby niszczyła i wykorzeniała w Polsce owe rzemiosło, raczyła zaś sobie o nim przypomnieć dopiero, gdy nonsens stał się tak widoczny, jak słoń w menażerii, gdy np. zabrakło malutkich części do olbrzymich maszyn, których plan obliczony w milionach ton z triumfalnym klangorem wykonano, ale które bez zamiennych części stoją nieczynnie. Uderzono więc nagle po ratunek do rzemieślników, lecz cóż się okazało?! Że takowych nie ma! A gdzie się podziali? Kto ich zniszczył?! Winnych też nie ma...

Brak pamięci, brak kojarzenia skutków z wieloletnią przyczyną to wielkie WTD nad myślącym (niegdyś) społeczeństwem. Za Bieruta prześladowano rzemieślników i drobnych producen-

tów jako wroga klasowego, bo innego akurat w zdewastowanym wojną kraju nie było, a według Marksa być musiał. Za Gomułki, po chwilowej amnestii, znów wzięto się do rzeczy w ramach walki z nadmiernymi zarobkami i nadużyciami — przy czym przepisy dla rzemiosła stworzono tak skomplikowane, aby każdego można było nimi uderzyć. I wreszcie, po latach, niedobitki rzemiosła dały za wygraną: rozplynęli się w państwowych przedsiębiorstwach a „usługi” świadczą potajemnie, na lewo, o co teraz nikt nie ma do nich pretensji, bo wszakże nie są już wrogiem klasowym...

Taka jest historia i całokształt sprawy, ale WTD polega właśnie na tym, aby wyizolować każdą sprawę z jej kontekstu ogólnego i czasowego, dokładnie odwrotnie niż to zaleca dialektyka. Zwłaszcza niebezpieczna jest ekonomia, bo wszakże proponuje ona właśnie ogólne spojrzenie na rozwój gospodarczy, na zyski i straty. Stąd też z instytucji centralnych, zarządzających gospodarką usuwa się ekonomistów a przyjmuje inżynierów — inżynier widzi część a nie całość, jest więc z punktu widzenia WTD przydatniejszy. Psychoza omijania całości, wymuszanego zresztą częstokroć przez cenzurę, nie oszczędza nawet wybitnych skądinąd reportażystów i krytyków gospodarczych. Tak na przykład Andrzej K. Wróblewski opisując drobiazgowo jak eksportuje węgiel nasz, zmarnowany zresztą, Port Północny w Gdańsku, pomija zupełnie najbardziej wszystkich interesujące sprawy ekonomiczne: po ile i w jakich dewizach sprzedajemy tonę węgla, ile tego idzie, jakie mamy koszty własne i zyski, czy i jakie płacimy kary etc. O tym czytelnik w dobie WTD niczego wiedzieć nie powinien. I zresztą z zasady nie wie, nawet wysoko w hierarchii społecznej ustawiony intelektualista. Przykład: dwaj wybitni publicyści kulturalni, dyskutując publicznie na temat wyższych studiów w Polsce i za granicą, podają m.in. dane, iż dochód narodowy na głowę mieszkańca w roku 1960 wynosił w Japonii 510 dolarów a w Polsce 570 dolarów. Ci, nigdy całościowo nie informowani ludzie nie zdają sobie sprawy z absurdałności porównywania tego rodzaju niewspółmiernych cyfr. W kraju marksistowskim dochód narodowy to wartość, w cenach interwencyjnie i arbitralnie ustalanych przez państwo, całego wyprodukowanego towaru, bez względu na to, czy był on sprzedany czy też poszedł do magazynu. W krajach kapitalistycznych natomiast do dochodu narodowego, obok realnego zysku, wlicza się również wszelkie usługi, decydujące w istocie o poziomie życia. Zestawiać jedno z drugim, to jakby porównywać konia z zającem, ale skąd mogą o tym wiedzieć ludzie nie informowani, którzy odwykli (a raczej nigdy nie przywykli) do całościowego oglądania i oceniania spraw własnego systemu.

WTD obserwujemy oczywiście na całego w telewizji. Drobny przykładem może tu być serial o budowie huty, gdzie pracownicy dokonują niesamowitych wysiłków, połączonych z tragediami i atakami serca, aby huta zaczęła działać w wyznaczonym terminie. O ile jednak wiem, nikt spośród milionowej wi-

downi nie zadał pytania, jakie to przyczyny ekonomiczne (poza wyznaczoną uroczystością i bankietem) sprawiają, że obliczona na kilkadziesiąt lat działania huta musi być otwarta akurat w określonej minucie i sekundzie. Czyż nie lepiej, jeśli są komplikacje, odłożyć rzecz na parę dni czy tygodni, a za to wykonać ją solidnie?!

Pytanie takie nie padło, to wszakże skutek WTD. Podobnie, z innej beczki, gdy pisarz Andrzej Szczypiorski został, z racji swej przedmowy do niemieckiego wydania „Rozmów z katem” Moczarskiego, ogłoszony w naszej prasie renegatem czy antynarodowym przestępcą, nikt się nie zapytał co właściwie w tej przedmowie było napisane i dlaczego oskarżony Andrzej Szczypiorski milczy jak zakłęty, zamiast się bronić. Oczywiście, gdyby nawet pytanie takie padło, czuwająca na straży WTD cenzura sprawiłaby, że nie zostałoby ono usłyszane.

W osobiwy sposób ofiarą WTD padli zagraniczni korespondenci krajowej prasy. Zostali oni „oddialektycznieni” bez swej wiedzy, całkiem nieświadomie. Jak wiemy dialektyka poucza, że należy wziąć pod uwagę wszelkie elementy każdej sprawy. Ważne jest nie tylko co się mówi ale kto, skąd, kiedy i do kogo mówi. O dialektyce jednak zapomina całkowicie ten np. zagraniczny korespondent, który opowiada ludziom w kraju o ciężkim losie „gastarbeiterów”, czyli robotników obcokrajowców w krajach Zachodu. Zapomina on, że mówi do ludzi w Polsce, którzy wiedzą, że robotnicy zagraniczni przybyli do krajów kapitalistycznych DOBROWOLNIE i wcale nie chcą stamtąd wyjeżdżać, że natomiast nigdy nie słyszano, aby jakiś zagraniczny robotnik przybył dobrowolnie na pracę i zarobek do kraju... socjalistycznego. Albo inny korespondent, opowiadający Polakom drobiazgowo i z dużym znanstwem o trudnościach monetarnych czy celnych państw EWG, zapominał z kretelem, że mówi do ludzi, którzy chcąc wyjechać do NRD czy na Węgry mają trudności z zakupem pieniędzy a rewidowani są na cło jak przemytnicy. I z czym do gościa?!

Niepełna, nie całościowa informacja, czyli dezinformacja, czyli w rezultacie kłamstwo praktykowane na co dzień, wrasta nam w krew, staje się drugą naturą, ba, nieraz wręcz powinnością moralną czy narodową. Ludzie, co konwencję kłamstwa przyjęli na stałe, uważają ją wręcz za patriotyczno-historyczny obowiązek. Bardzo też bywają zdziwieni oraz zawiedzeni, gdy solidarność w kłamstwie zostaje przez kogoś nieopatrznie złamana — tak choćby, jak przez... Chruszczowa w roku 1956. To jest decydujący w skali narodowej WTD! Nie ma o nim pojęcia rozmawiający z nami prywatnie człowiek Zachodu, choćby czytał Orwella. Nie domyśla się, że to już, że rozmawiając z nim, nawet sami o tym nie wiedząc, mówimy wrośniętą już w nas Nowomową.

Co gorsza nie zawsze domyśla się tego nawet Redaktor Kultury. Dowód — artykuł Jana A. Szpondera „Węgiel”, zamieszczony w numerze 1/2 z br. Artykuł napisany niewątpliwie przez kogoś z Kraju, z dużą wiedzą o przedmiocie i mnóstwem słu-

ných uwag, ale całkowicie antydialektyczny: wyizolowany z ekonomiczno-politycznej całości, pozbawiony związku z tą całością, bez konkretnych danych materialno-ustrojowych, w sumie myślący plakat. Po prostu paryski WTD, dokonany, jak to się często dzieje, rękami człowieka dobrej woli. A dobrymi chęciami piekło brukowano!

I tu końcowe słowa kieruję do Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, który w numerze 5-tym tegorocznej *Kultury* wzywa pisarzy krajowych, aby odkłámali wszystko, w tym również siebie samych. Przyjacielu, to nie taka prosta sprawa wobec WTD! Miliony ludzi w Polsce nie wie już co jest, a co nie jest prawdą i na czym polegać ma „szczerść świadków”. Przez długie dziesięciolecie zmieniono nam nie tylko mowę, ale i kryteria myślowe — myśmy już inni ludzie, choć, jak rozmawiasz z nami na Zachodzie myślisz, żeśmy tacy sami jak Ty. My masę rzeczy robimy bez przymusu, instynktownie już i tu jest cała tragedia, gorsza i dotkliwsza niż to, co Ty sobie w Twoim Neapolu wyobrazić możesz. Nas teraz nikt nie przymusza, my już sami, dla świętego spokoju i codziennego ładu zapracowujemy na nasz codzienny WTD. I stąd może moja nienawiść do sprawców pomniejszych, tych nie wiedzących, co czynią!

KISIEL

TOM 288 — BIBLIOTEKI « KULTURY »

ALEKSANDER SOŁŻENICYN

ARCHIPELAG GUŁAG

Tom III

w przekładzie Michała KANIOWSKIEGO

Str. 544.

Cena F.110,00.

Książki

Problemy gospodarcze Polski

Jedna rzecz, na którą gospodarka polska nie może się obecnie uskarżać, to brak zainteresowania w świecie; ogromne spiętrzenie trudności i doświadczenie związku kryzysów ekonomicznych z wybuchami politycznymi w przeszłości powodują, że sytuacja Polski znajduje stosunkowo szerokie echo nie tylko w prasie fachowej i analizach specjalistycznych instytutów, lecz również w publikacjach natury ogólnej. Nie brak więc na Zachodzie ani informacji, ani obszernych komentarzy, m.in. pióra ekonomistów polskich.

Mimo to niezależne opracowania krajowe posiadają walor szczególny. W odróżnieniu od oficjalnej prasy krajowej, której wzmożony ostatnio krytycyzm niezmiennie ogranicza się do pojedynczych przejawów (jak mawiał kiedyś Władysław Bieńkowski, wolno u nas od czasu do czasu wskazywać liczne ślady ospy na twarzy, ale nigdy nie wolno powiedzieć, że twarz jest ospowata), opracowania niezależne z natury rzeczy mają możliwość koncentracji na kwestiach ogólniejszych i czynnikach sprawczych. W odróżnieniu natomiast od najbardziej nawet kompetentnych analiz zagranicznych, mogą uwzględniać nie tylko aspekty wymierne, lecz również jakże doniosłe aspekty niewymierne — codzienne realia, postawy ludzkie, rzeczywiste spłoty i konflikty interesów, podskórne zjawiska polityczne itp., bez znajomości których precyzyjnie wyliczane zależności ilościowe i trendy zawiązają najczęściej w powietrzu. Oczywiście, niezależność — w obecnym polskim systemie politycznym — pociąga za sobą również nieuchronne słabości, gdyż nie daje względu w „kuchnię” powiązań gospodarczych krajowych i międzynarodowych, bez czego trudno liczyć na opracowanie w pełni uzasadnionej alternatywnej strategii gospodarczej; dlatego też niezależne krajowe środowiska ekonomiczne — nawet jeśli dysponują odpowiednim potencjałem intelektualnym — nie są dziś w stanie zastąpić ekonomistów *establishment'u*, na których z tego tytułu spoczywa ogromna społeczna i moralna odpowiedzialność.

Te uwagi wstępne wydały mi się niezbędne dla zakreslenia właściwej perspektywy w omawianiu kilku krajowych opracowań i wypowiedzi na tematy gospodarcze. Chodzi o: „Uwagi o sytuacji gospodarczej kraju”, opracowane przez „paru zawodowych ekonomistów” i opublikowane przez Niezależną Oficynę Wydawniczą NOWA ze słowem wstępnym prof. Edwarda Lipińskiego (będę ją określał skrótem „Uwagi”); artykuł „Diagnoza i Program” — stenogram spotkania ekonomistów Walentego Niedbała, Krzysztofa Ostańca i Andrzeja Skrzętnego z członkami zespołu redakcyjnego pisma *Droga*, które opublikowało tekst w numerze 1 (będę go określał skrótem „Droga”); „Dzień dzisiejszy i jutro polskiej gospodarki” — wywiad z profesorem Karolem S., „znanym specjalistą od problematyki zarządzania i polityki gospodarczej”, opublikowany w r. 7 czasopisma *Głos* (skrót — „Głos”); wszystkie wymienione pozycje zostały przedrukowane w nr. 20 *Aneksu*; wreszcie ostatnim, ale wcale nie najmniej ważnym, przedmiotem tego omówienia jest opracowanie Jerzego Barteckiego „Gospodarka na manowcach”, powielone w kraju jako 24-ta publikacja Polskiego Porozumienia Niepodległościowego (PPN) i wydane w formie książkowej (wraz z „Uwagami na marginesie Pawła Tenczyńskiego) w Bibliotece „Kultury”, tom 302 (skrót — „Manowce”).

Omawiane teksty, pochodzące z okresu marzec-październik 1978, nie są jednolite w swym charakterze: „Uwagi” (ok. 30 stron druku małego formatu) są próbą oceny sytuacji i zarysowywania ogólnych kierunków naprawy; „Droga” i „Głos” to wypowiedzi dyskusyjne (po 11 stronich każda) w związku z „Uwagami”; natomiast „Manowce” są odrębną, stosunkowo obszerną (ponad 70 stron opowiadających 100 stronicom *Aneksu*) pracą o „przyczynach ciężkich schorzeń gospodarki polskiej” bez „ambicji szkicowania programu naprawy”. Wspólne omówienie tych tekstów różnorodnego typu następuje nieuchronnie mnóstwo trudności, które podejmuję z nadzieją, że zarówno Czytelnicy *Kultury* jak i autorzy potraktują ten przegląd nie jako cenzurki dla poszczególnych wypowiedzi, lecz jako próbę wydobycia postawionych problemów oraz zbieżności i rozbieżności stanowisk.

Zbieżności

Zbieżność poglądów występuje przede wszystkim w odniesieniu do stanu faktycznego.

Żadne z omawianych opracowań nie neguje, przynajmniej wprost, pewnych pozytywnych pozycji w bilansie gospodarczym. „Manowce” ujmują rzeczy najszerszej, poświęcając niewielki rozdziałek początkowy dorobkowi trzydziestolecia: „dynamiczny wzrost ludności..., pełne zatrudnienie, likwidacja analfabetyzmu, upowszechnienie oświaty, znaczny wzrost kadry z wyższym wykształceniem, większa egalitaryzacja, znaczna jednolitość narodowa i wyznaniowa społeczeństwa, poprawa warunków bytu i likwidacja siedlisk nędzy. Polepszyła się w sposób wyraźny po-

zycja ekonomiczna naszej ojczyzny” (str. 11). Dorobek ten jest jednak następnie odniesiony do osiągnięć innych krajów, a co najważniejsze konfrontowany z szeroko pojętymi kosztami jego uzyskania; wprawdzie konfrontacja ta nie wszędzie jest jednako przekonująca (np. porównania tempa wzrostu dochodu narodowego i akumulacji na str. 48 pomijają odstęp czasowy między efektami a nakładami poniesionymi w fazie przyspieszenia), ale ogólne wnioski pozostają w mocy, a stwierdzona rozpiętość między stworzonym za cenę wielkich wyrzeczeń potencjałem a uzyskiwanymi efektami słusznie wzięta zostaje za punkt wyjścia analizy krytycznej. „Uwagi”, nie siłąc się na ocenę trzydziestolecia, wymieniają elementy postępu w pierwszej połowie lat 70-tych (wzrost płac realnych i innych czynników wpływających na poziom życia — wprawdzie na skalę mniejszą niż wynikałoby to z oficjalnych danych statystycznych — niemniej jednak istotny; to samo odnosi się do wzrostu majątku produkcyjnego i jego nowoczesności). „Droga”, odnotowując realne podwyżki płac w pierwszej połowie lat 70-tych, akcentuje późniejszy wzrost cen i utrzymuje — bez przytoczenia dowodu — że wzrost ten „zepchnął płace realne na poziom 1973 r.” (w 1978 r.).

Konstatacja pewnych pozytywów nie stoi w sprzeczności z ostrą oceną sytuacji obecnej: termin „kryzys” używany jest bez żadnych wahań we wszystkich opracowaniach, przy czym jasne, że nie chodzi o rezultat okresowej fluktuacji, lecz o kryzys strukturalny. Opis objawów kryzysu w „Manowcach” i w „Uwagach” jest wszechstronny i obejmuje nie tylko zjawiska ściśle gospodarcze, lecz również społeczne, ideowe i moralne. Najbardziej bodaj godne uwagi jest szerokie ujęcie braku równowagi gospodarczej: nie ogranicza się ono do stwierdzenia załamania równowagi rynkowej ze wszystkimi znanymi jej konsekwencjami (pogoń za towarami zzerająca czas odpoczynku, życia rodzinnego i samej pracy; wydłużające się kolejki mieszkaniowe! spekulacja i korupcja; rosnące ceny i pogarszająca się jakość dóbr i usług itp.), lecz włącza coraz powszechniejszy proces rozprzęgania się więzi ekonomicznych, utratę sterowności gospodarki. Jest gorzkim paradoksem fakt, że gospodarka broniona w imię planowości przed wprowadzeniem jakichkolwiek elementów samoregulacyjnych, chociażby typu węgierskiego, w coraz większym stopniu wydaje się dryfować pod wpływem procesów niekontrolowanych ani przez plan, ani przez rynek. Szczególnie drastyczną ilustrację tego stanu rzeczy przytacza „Głos” pisząc o sposobach zapewniania priorytetu zaopatrzenia w budowie huty „Katowice”: „Milicja zatrzymywała samochody ciężarowe wiozące materiały budowlane (jakikolwiek i dokądkolwiek) i kierowała na plac budowy huty, gdzie zwalano to wszystko bez żadnego ładu i składu...”. Zasięg łamania proporcji, ustalonych uprzednio w planie, stał się w latach 1971-1975 tak wielki (podniesiono to do godności „zasady otwartego planu”), że autorka artykułu w nr. 4 *Ekonomisty* z 1978 r. („Plany wieloletnie a plany roczne w polskiej praktyce planistycznej lat 1950-

1975"), stwierdzając stałą „prawidłowość” poważnych odchyśleń, nie mogła w gruncie rzeczy kontynuować swej analizy dla okresu 1971-1975 z powodu zanikania porównywalności w ogóle: nie które plany roczne po prostu nie uwzględniały szeregu istotnych zmiennych planu pięcioletniego. „Planowy chaos” tego okresu mógł się wydawać nawet przyjemny — wszystkie wskaźniki, napędzane rosnącymi kredytami zagranicznymi, odchodziły się w górę. „Planowy chaos” bieżącego pięcioletcia zrzucił różowe pozory: wszystkie wskaźniki odchylają się w dół od planu mimo że jego autorzy usiłowali z góry już uwzględnić hamulce „manewru gospodarczego”. Jeśli do oficjalnie ogłoszonych wyników katastrofalnego roku 1978 (autorzy omawianych opracowań nie dysponowali jeszcze nimi) dodać dane planu na 1979 rok i założyć, że zostanie w pełni osiągnięty (mimo doświadczeń tegorocznej zimy), to otrzymuje następujący obraz statystyczny:

Przeciętne roczne stopy wzrostu
(w %%)

	1976-1980 plan	1976-1978 fakt.
Dochód narodowy wytworzony —	7-7,3	4,2
Dochód narodowy podzielony —	4,8	2,9
Produkcja przemysłowa	8,2-8,5	6,8
Produkcja rolnicza	3-3,5	3,3
Eksport	11,8	9,4
Import	4,7	6,4
Płaca realna	3-3,4	1,2

Nie chcę wdawać się w komentowanie tej tabliczki, by nie naruszać znanego konceptu przeglądu; zresztą komentarz jest w gruncie rzeczy zbyteczny. Przypomnieć jednak wypada, że dzieje się to nie w sytuacji spłacania długów, lecz tylko *zmniejszania tempa wzrostu zadłużenia*. Najbardziej ostrożne źródła szacują deficyt w walutach wymiennych w 1978 r. na 1,7-1,8 miliarda dolarów, a więc mniej niż w 1977 r. (2,2 mld dolarów) i w 1976 r. (prawie 3 mld); a przecież był to nie tylko kolejny przyrost długu, lecz w dodatku znacznie większy niż zakładano (1 mld) i osiągnięty nie na drodze planowanego wzrostu eksportu, lecz drastycznych cięć importowych, które utrzymały wartość importu z krajów nie socjalistycznych („kraje pozostałe” — według polskiej nomenklatury statystycznej) na niezmienionym poziomie 1977 r. Na koniec 1978 r. oficjalnie podana wysokość zadłużenia Polski w walutach wymiennych wyniosła 15 mld dolarów (prawdopodobnie brutto, tj. bez uwzględnienia aktywów zagranicznych, które nie mają większego znaczenia); spłaty i oprocentowanie przypadające na 1979 r. wynoszą 4,1 mld dolarów, czyli 2/3 planowanych wpływów z eksportu i 54 % ogólnych wpływów w walutach wymiennych. Oczywiście, spłaty te muszą być pokryte nowymi kredytami, podobnie jak przewidywany deficyt rachunku bieżącego (ponad 1 mld dolarów) co odpowiednio zwiększy stan zadłużenia na koniec 1979 r.; jak dotąd Polska

nie ma jednak trudności z lokowaniem pożyczek na zachodnich rynkach pieniężnych, a napięta sytuacja płatnicza znajduje wyraz głównie w wyższej stopie procentowej*.

Powróćmy do przeglądu. Zbieżne we wszystkich omawianych pracach jest stanowisko w sprawie *charakteru* przyczyn kryzysu: urzędowa teza o dominującej roli tzw. czynników obiektywnych, zewnętrznych wobec systemu i polityki państwa jest zdecydowanie odrzucana, bądź bezpośrednio (jeśli podejmuje się problem), bądź po prostu przez wskazywanie decydującego wpływu czynników wewnętrznych. Nikt nie neguje więc klimatycznych fluktuacji produkcji rolnej, ale podstawowa przyczyna straconej pogruźniowej szansy w tej dziedzinie — to błędy i dwuznaczność polityki rolnej; podobnie, recesja na Zachodzie i pewien wzrost tendencji protekcyjnych nie są bez znaczenia, ale podstawowe źródło trudności z eksportem na Zachód (i dokąd indziej też...) tkwi w tym, że gospodarka nie potrafi sprostać wymogom rynku ani pod względem ilości i jakości towarów (zwłaszcza wyższego stopnia przerobu), ani pod względem opłacalności i aktywności handlowej. Jeśli zaś chodzi o ogólne zmiany cen w handlu zagranicznym (*terms of trade* — stosunek cen w eksporcie do cen w imporcie), do których od czasu do czasu (ale nie w prasie fachowej) czyni się w Polsce aluzje jako do rzekomego winowajcy naszych kłopotów, to „Manowce” bez trudu dowodzą, na podstawie danych z *Rocznika Statystycznego*, że — mimo fluktuacji — kształtowały się one dla nas w latach 70-tych korzystnie, a wskaźnik *terms of trade* zawsze przewyższał poziom z 1970 roku*. Ogólna diagnoza daje się, jak sądzę, z łatwością

* Informacje o stanie zadłużenia PRL i o harmonogramie przechodzenia od deficytów do stopniowo rosnących spłat (punktem zwrotnym ma być 1981 rok, co oznaczałoby, że dochód narodowy podzielony miałby odtąd przez szereg lat kształtować się na poziomie niższym od dochodu narodowego wytworzonego w wielkościach absolutnych) zostały oficjalnie udzielone przez rząd PRL przedstawicielom zachodnich sfer finansowych na początku 1979 roku jako spełnienie postulatów konsorcjów bankowych, zaangażowanych w lokowanie polskich pożyczek na rynku eurodolarowym. Informacje te obiegły prasę zachodnią (odnotowała je też *Kultura* w „Wydarzeniach miesiąca” w numerze 5 z br.) — natomiast zostały całkowicie przemilczane w oficjalnych publikacjach krajowych. Koronnym uzasadnieniem cenzury informacji jest „ochrona tajemnicy państwowej” przed zachodnimi ośrodkami imperialistycznymi; w rzeczywistości głównym celem było zawsze ukrywanie prawdy przed własnym społeczeństwem, ale trudno chyba o bardziej jaskrawy przykład urzędowej obłudy jak ta historia. Pozostaje tylko liczyć na kolejne artykuły o wzajemnym zaufaniu, jakim darzą się kierownictwo partii i „dojrzałe przecież” społeczeństwo polskie...

* Dodać tu można nawiasem, że *Rocznik Statystyczny* podaje ogólny indeks *terms of trade*, podczas gdy w latach 70-tych zmiany układu cen w handlu z krajami „nie-socjalistycznymi” były dla nas znacznie korzystniejsze niż w handlu z krajami socjalistycznymi m.in. pod wpływem nowej zasady ustalania cen, przyjętej przez RWPG w wyniku „rewolucji cen” na rynku światowym zapoczątkowanej przez OPEC w 1973 roku. Informacje na ten temat za lata 1970-77 znaleźć można w artykule P. Bożyka w *Ekonomiście* nr 4 z 1978 roku. W roku 1978 tendencje te utrzymywały się nadal, jak

wyprowadzić ze wszystkich omawianych opracowań: gospodarka polska wciąż rozwija się głównie dzięki przyrostowi rozporządzalnych czynników produkcji, nie zaś dzięki postępowi w ich wykorzystywaniu; co więcej, w miarę jak problemy ekonomiczne — w skali krajowej i międzynarodowej — stają się bardziej skomplikowane, efektywność naszej gospodarki zamiast wzrastać maleje, co wymaga zwiększonego przyływu środków na każdą jednostkę przyrostu rezultatów. Próby wymuszenia większej efektywności przez silne ograniczanie środków — jak w drugiej fazie rządów Gomułki — prowadziły do stagnacji; pogrudniowe próby zdynamizowania gospodarki przez potężny zastrzyk środków z zewnątrz dały, jak dotąd, wyniki krótkotrwałe, a w sensie ekonomicznym pozorne: dynamizm trwał tak długo, jak długo rósł przyływ ekstra-środków, nie zostały natomiast uruchomione wewnętrzne siły napędowe gospodarki. Nie rozwijam tej, dziś na ogół powszechnie uznanej, tezy, jak również nie przytaczam materiału dowodowego, który zainteresowany Czytelnik z łatwością odszuka w oryginalnych tekstach — w formie najbardziej rozwiniętej w „Manowcach”.

Byłoby przesadą twierdzić, że zbieżność poglądów autorów omawianych opracowań ogranicza się tylko do ogólnego stwierdzenia dominującej roli czynników wewnętrznych i do odrzucenia zewnętrznych usprawiedliwień kryzysu. Każdy z autorów widzi istotne źródło niesprawności ekonomicznej w systemie politycznym — autokratycznym, pozbawionym mechanizmów regulowania i hamowania, wywołującym nieuchronnie postawy „wielkiej odnowy”, o której barwnie piszą „Manowce”; zawarta w „Uwagach” szczegółowa analiza związku między systemem politycznym a arbitralną polityką gospodarczą, która doprowadziła do zaprzepaszczenia pogrudniowej szansy, też wydaje się zgodna z poglądami innych autorów. Podobnie w każdym opracowaniu znajdujemy ostrą krytykę rozmaitych stron obecnego systemu funkcjonowania gospodarki — centralizacji, nakazowości, wadliwego układu cen, jednostronnego nastawienia na wielką skalę produkcji itp. — wraz z ukazaniem ich negatywnego wpływu na potencjał innowacyjny, wydajność pracy, gospodarowanie zasobami materialnymi. Zarazem jednak wiele elementów wspólnych występuje tu w odmiennych kontekstach interpretacyjnych i w rozmaitej hierarchii ważności, co z natury rzeczy prowadzi często do różnych wniosków „terapeutycznych”. Różnice poglądów zarysowują się najwyraźniej między „Uwagami” a „Drogą”, co jest zrozumiałe ze względu na bezpośrednio polemiczny cel publikacji „Drogi”; „Głos” jest znacznie mniej polemiczny bezpośrednio, a „Manowce” zupełnie nie — ale poglądów różniących

wynika z danych w nr. 4 dodatku *Ekspert - Import* tygodnika *Polityka* (kwiecień 1979). Dla uniknięcia nieporozumień zaznaczyć trzeba, że mowa o tendencjach zmian, a nie o porównaniu absolutnych poziomów cen w handlu na jednym i na drugim rynku; wnioski o opłacalności przesunąć z jednego obszaru na drugi wypracowane na podstawie obserwacji zmian samego tylko wskaźnika *terms of trade* byłyby zbyt pochopne.

się od siebie zawierają niemało. Oczywiście nie zamierzam tu omawiać różnic we wszystkich sprawach, skoncentruję się na kilku najważniejszych.

Rozbieżności

Główna rozbieżność — a przynajmniej wyraźna różnica w rozłożeniu akcentów — dotyczy stosunku między rolą *systemu funkcjonowania* (zarządzania) a rolą *długookresowych proporcji gospodarczych* jako przyczyn kryzysu gospodarki polskiej. Jest to punkt, który szczególnie mocno podkreśla „Droga” w krytyce „Uwag”. Nie należy chyba rozumieć tej krytyki jako stwierdzenia, że „Uwagi” w ogóle pomijają kwestię zmian proporcji między poszczególnymi dziedzinami gospodarki, a więc i zmian w rozdziale nakładów inwestycyjnych (sformułowany na str. 37 postulat redukcji ogólnej kwoty nakładów jest sam przez się równoznaczny z żądaniem takich zmian) — niemniej jednak sposób, w jaki stawia ten problem „Droga” i ranga jaką mu przypisuje są odmienne: zespół celów („preferencji i priorytetów”) realizowany przez PZPR, a polegający na prymacie przemysłu ciężkiego jest pierwotnym „czynnikiem kryzysogennym”, natomiast „centralistyczny i dyrektywny system tzw. zarządzania jest czynnikiem walnie pogłębiającym kryzys naszej ekonomiki, ale nie jest to czynnik samodzielny, (lecz) ... służebny wobec stosowanej polityki gospodarczej, którą narzucił polskiej gospodarce Związek Radziecki” (str. 63). „Głos” zajmuje w pewnym sensie stanowisko pośrednie, stawiając oba aspekty obok siebie („Gierek mógł przeprowadzić zasadniczą sanację gospodarki, sanację systemową w zakresie jej funkcjonowania i sanację strukturalną w zakresie proporcji i kierunków rozwoju. Nie zrobił ani jednego ani drugiego” (str. 74). „Manowce” przypisują długookresowym celom polityki gospodarczej i kształtowanej (czy ukształtowanej...) pod ich wpływem strukturze bardzo poważną rolę i czynią je jednym z zasadniczych punktów odniesienia całej dalszej analizy: „Wiele przemawia za tym, że rządzący ponad celami głoszonymi (wzrost dobrobytu) mają cel nadrzędny, jakim jest maksymalizowanie potencjału ekonomicznego jako bazy dla potencjału politycznego i militarnego. Mnóstwo niezrozumiałych i pozornie nielogicznych działań gospodarczych w świetle tak sformułowanego celu nadrzędnego znajduje częściowe 'racjonalne' wyjaśnienie” (str. 13). Tezę tę próbuje się następnie weryfikować na podstawie materiału faktycznego z różnych dziedzin (w tym również z dziedziny stosunków gospodarczych w ramach RWPG), a także powiązać w sposób bardziej generalny z sowiecką koncepcją industrializacji, zwłaszcza w podrozdziale zatytułowanym „Strategia wzrostu dysharmonijnego”. Równocześnie jednak autor „Manowców” podkreśla, iż „nie można dowodzić, że wielce prawdopodobna sprzeczność między tym, co się chce osiągnąć, a tym co się mówi, stanowi jedyną przyczynę nieefektywności naszej polityki gospodar-

czej. Istnieje wiele przejawów nieładu w naszej gospodarce, których przyczyny nie dają się sprowadzić do oddziaływań zewnętrznych ani do tego, że cele głoszone są tylko celami pozorowanymi" (str. 13). Również to twierdzenie jest następnie dowodzone zarówno przy pomocy danych o niskiej efektywności wewnątrz poszczególnych dziedzin produkcji (zwłaszcza zbyt wysokiej materiałochłonności i energochłonności) jak i przez analizę systemowych przyczyn nadmiernej skłonności do inwestowania; przyczyny te (m.in. ślepotą gałęziowych partykularizmów) splatają się z intencjami tych „grup nacisku, dla których potencjał ekonomiczny służy w pierwszym rzędzie celom 'obronnym'" (str. 46). „Manowce” wydają się z powodzeniem unikać uproszczeń także przez uwzględnianie uwarunkowań historycznych (str. 20).

W sumie, niezależnie od tego kto jakie poglądy podziela, jest rzeczą oczywistą, że podniesiony został problem pierwszorzędnej wagi, obok którego nie powinien przejść obojętnie nikt zainteresowany stanem gospodarki polskiej i możliwościami jej naprawy.

Drugim zagadnieniem natury zasadniczej, ujmowanym odmiennie przez poszczególnych autorów, jest postulowany *zakres zmian w systemie zarządzania*. „Uwagi” wydają się stać na pozycjach, które — w uproszczeniu oczywiście — nazwać można „węgierskimi”: rynku regulowanego i autonomii przedsiębiorstw (z realnym samorządem robotniczym) w ramach gospodarki centralnie planowanej, zwłaszcza w odniesieniu do podstawowych inwestycji. „Głos”, który bardzo mocno podkreśla znaczenie przywrócenia pieniądzu jego właściwej roli w gospodarce, uważa iż konsekwentna reforma ekonomiczna powinna polegać przede wszystkim na nadaniu przedsiębiorstwu prawa dysponowania przeważającą częścią wytworzonych nadwyżek, a więc również podejmowania decyzji określających kierunki inwestowania: „Strukturotwórcze decyzje inwestycyjne będą podejmować branżowe zrzeszenia (spółki) przedsiębiorstw w trybie samofinansowania zasilanego oczywiście kredytem bankowym, na własny rachunek i ryzyko” (str. 81). Finansowanie gospodarki narodowej miałyby być wyłączone z budżetu państwa, w którym pozostałoby jedynie finansowanie tzw. konsumpcji społecznej (oświata, ochrona zdrowia, kultura itd.). Centralnemu planiście, od którego miałyby także być uzależniony bank centralny w zakresie emisji oraz (w pewnym stopniu) w zakresie bieżącej polityki kredytowej, pozostałoby planowanie perspektywiczne, czyli — w tym ujęciu — prognozowanie generalnych trendów rozwojowych. „Droga” nie wypowiada się wprost na temat programu reform systemu zarządzania, co więcej — wysuwa tezę, iż popaźdiernikowe i późniejsze „dyskusje modelowe” odwracały uwagę od tego, co najważniejsze (od proporcji gospodarczych), a więc w tym sensie odpowiadały interesom partii; niemniej jednak z różnych zawartych w tekście postulatów można wnosić, że „Droga” opowiada się za bardzo radykalnymi zmianami w tej dziedzinie, obejmującymi nie tylko system zarządzania (odrębność przedsiębiorstw, walka konkurencyjna i „cała gra rynko-

wa”), lecz również stosunki własności (str. 66-67). Zmianom w systemie zarządzania (obok zmian w polityce gospodarczej) „Droga” przypisuje dużą rolę w uruchomieniu bezinwestycyjnych źródeł wzrostu dochodu narodowego (szkoda, że przy tej okazji następuje przykry w formie atak przeciwko „Uwagom”, moim zdaniem powiązany z merytorycznie niesłuszną interpretacją pozycji teoretycznych Michała Kaleckiego).

Trzecią grupą rozbieżności, które można by zaliczyć do rzędu pryncypialnych, jest *kwestia rozpiętości dochodowych*. Autorzy „Uwag” są wyraźnie wyczuleni na tę sprawę i to zarówno w kontekście postulatów doraźnych (przewidując konieczność posunięć hamujących czasowo wzrost ogólnego poziomu dochodów sądzą, że warunkiem akceptacji tych posunięć musi być ograniczenie szczególnie wysokich dochodów), jak i w kontekście ogólnym („nie znamy żadnych racjonalnych argumentów, dla których rozpiętość płac miałyby być wyższa niż 1:6, czy maksymalnie 1:8”; „podstawowym instrumentem (ograniczania nadmiernych dochodów inicjatywy prywatnej i pewnych grup zatrudnionych w gospodarce uspołecznionej) powinien być system progresywnych podatków” — str. 35; „w system (powstały w wyniku reformy zarządzania) powinny być wbudowane rozwiązania przeciwdziałające nadmiernemu różnicowaniu dochodów płacowych między poszczególnymi organizacjami gospodarczymi i wewnątrz nich” — str. 39). „Droga” podziela stanowisko „Uwag” w sprawie konieczności zwalczania jawnych i ukrytych przywilejów aparatu biurokratycznego, przeciwstawia się natomiast tendencjom wyrównawczym wobec wysokich dochodów uzasadnionych „wkładem pracy do gospodarki narodowej”, a nie wynikających z pozycji politycznej. Podobnie „Głos”, który uważa rozwarstwienie dochodów za nieunikniony element naprawy gospodarczej, m.in. dlatego, że „trzeba otworzyć możliwości tworzenia przedsiębiorstw poza układem państwowym, w szerokiej sferze usług, drobnego przemysłu, rolnictwa itd.” (str. 82). Nawiasem mówiąc, problem roli sektora niepaństwowego (pod tą niezgrabną nazwą podstawiam zarówno przedsiębiorstwa ściśle prywatne, jak i agencyjne oraz prawdziwe przedsiębiorstwa spółdzielcze) pojawia się zaskakująco rzadko w omawianych opracowaniach, poza wspomnianym wyżej kontekstem. Być może oznacza to — podobnie jak w przypadku rolnictwa, gdzie wszyscy autorzy wypowiadają się za stworzeniem warunków rozwoju nowoczesnego sektora prywatnego — że otwarcie w tym kierunku traktowane jest jako bezsporne, niezależnie od różnic w koncepcji polityki dochodów.

Wracając jeszcze do tej ostatniej sprawy, odnotujmy interesujący pogląd autora „Manowców”. Jego zdaniem znaczny i stale rosnący wpływ dochodów ze źródeł pozaoфіcjalnych (legalnych, półlegalnych i nielegalnych) sprawia, że rozpatrywanie rozpiętości dochodowych tylko w ramach zarobków oficjalnych utraciło sens, a polityka na tej podstawie wypracowana i zmierzająca do powiązania pracy i płacy, skazana jest z góry na niepowodzenie. Jak wynika z dalszych rozważań autorowi nie chodzi o rugowa-

nie pozapaństwowych źródeł dochodów, ale o eliminację demoralizujących konsekwencji załamania globalnej równowagi rynkowej i ogólnego rozprzężenia, które nie tylko podważają bodźcową funkcję wynagrodzeń, lecz także sprawiają, iż coraz ważniejszym wyznacznikiem różnic w sytuacji życiowej staje się podział na „zaradnych” i „niezaradnych”. Trzeba ten moment uwzględnić przy wszelkich poczynaniach w dziedzinie cen i płac zmierzających do przywrócenia równowagi rynkowej (ochrona interesów grup społecznych o mniejszej sile przebicia — str. 31-32).

Przywrócenie równowagi rynkowej występuje jako wyjściowy warunek naprawy gospodarczej u wszystkich autorów; niejednolite są natomiast poglądy w sprawie metod realizacji tego warunku (chodzi w tym przypadku o elementy programu *doraźnego*). Dwie kwestie wydają się tu godne poruszenia: nacisk na płace i tempo reformy systemu zarządzania; tu bardziej umiarkowanej pozycji „Uwag” przeciwstawia się radykalizm „Drogi”.

Autorzy „Uwag” sądzą, że potrzeba przywrócenia równowagi rynkowej w trudnej sytuacji gospodarczej, w jakiej znalazła się Polska (m.in. w związku z perspektywą spłaty długów zagranicznych w następnej dekadzie) zmusza do ograniczenia wzrostu płac, co powinno być zrozumiane przez społeczeństwo pod warunkiem, że będzie to element konsekwentnego i energicznego realizowanego programu reform, a nie po prostu kolejny zabieg zmierzający do rozwiązania kryzysu kosztem ludności. „Droga” kategorycznie przeciwstawia się sugestiom samoograniczania zarówno ze względu na wciąż niski poziom dochodów (również w stosunku do poziomu wydajności pracy i w porównaniu z innymi krajami Europy Wschodniej), jak i ze względu na to, iż „nawoływanie przez opozycję do rezygnacji z podwyżek płac oznaczałoby rezygnację z jedynej narzędzia, przy pomocy którego można wymusić na partii pewne, tak konieczne, zmiany gospodarcze” (str. 68). Jak zapewne Czytelnicy zauważyli, staram się w tym przeglądzie unikać zajmowania stanowiska w sprawach spornych; poza innymi przyczynami również dlatego, że rozwinięte uzasadnienie własnej pozycji wymagałoby odrębnego artykułu dla niejednego problemu. Trudno mi jednak powstrzymać się przed paroma dodatkowymi komentarzami w tej ważnej kwestii, zwłaszcza że od czasu powstania obu tekstów zaszły fakty, które — jak się wydaje — usuwają źródło sporu. Otóż w tak skomplikowanych sprawach jak problem postulatów płacowych wiele zależy od ilościowej interpretacji pojęć „nadmierny”, „ograniczony” itp. Autorzy „Uwag” wspominali na początku 1978 roku o konsekwencjach zadłużenia dla braku możliwości wzrostu płac realnych powyżej 3-4 % rocznie, a oficjalne wyniki 1977 roku (2,2 %) wzbudzały już u nich wyraźny niepokój. Tymczasem 1978 rok przyniósł zjawisko nieznane w oficjalnych statystykach od 1960 roku, mianowicie spadek przeciętnej płacy realnej w stosunku do roku poprzedniego: 5,7 % wzrostu płacy nominalnej przy 8,5 % wzrostu kosztów utrzymania (jak najbardziej oficjalne dane ze sprawozdania GUS-u, a więc pomijające najrozsowniejsze wątpliwości co

do ścisłości wskaźników) dał spadek przeciętnej płacy realnej o prawie 2,6 %. Plan na 1979 rok wykazał zdumiewającą zdolność adaptacyjną w tej dziedzinie, przewidując wzrost wskaźnika płacy realnej o 1,5-2 % w stosunku do 1978 roku, co oznaczałoby — według planu! — że oficjalny poziom przeciętnej płacy realnej w 1979 roku miałby pozostawać wciąż poniżej poziomu 1977 roku. Wpływ na ogólną dynamikę wskaźnika płacy realnej w czterolecie 1976-1979 pokazany został w naszej tabliczce powyżej: 1,2 % rocznie, co jeszcze silniej przemawia na rzecz sceptycyzmu „Uwag”, słusznie podkreślających rolę ułomności statystycznych przy interpretowaniu wielkości tego rzędu. Ale jeśli tak, to mamy do czynienia z niewątpliwym — zamierzonym, czy nie — to bez znaczenia — wzrostem obciążenia społeczeństwa kosztami kryzysu, przy czym żadnego wychodzenia z kryzysu, ani nawet programu, jak dotąd, nie widać. Trudno więc przypuszczać, by autorzy „Uwag” podtrzymywali swe sformułowania sprzed roku w stosunku do sytuacji z połowy 1979 roku, tym bardziej że — mimo wszystko — nie ma powodu zakładać, iż inne drogi postępowania w perspektywie najbliższych lat są zamknięte. Potencjał przemysłowy, budowany tak wielkim wysiłkiem, może być, choćby z opóźnieniem, lepiej wykorzystany; ponowne osłabienie niektórych doktrynerskich aspektów polityki rolnej już zaczęło przynosić rezultaty, a bardziej konsekwentne zmiany, m.in. w kierunkach wskazywanych w omawianych opracowaniach, powinny je umocnić i rozwinąć. Śmiało i wolno od destabilizujących zrygawków polityka popierania drobnej wytwórczości, w tym również prywatnej, mogłaby stosunkowo szybko przynieść efekty rynkowe. Harmonogramy zmian w stanie zadłużenia za granicą też nie powinny być traktowane jako nadrzędne, a już na pewno nie powinny wywoływać arbitralnych cięć importowych, przynoszących więcej strat niż korzyści zarówno w sferze stosunków państwo — ludność, jak i bezpośrednio w zdolnościach produkcyjnych gospodarki. Wreszcie, rezerwy na wielką skalę tkwią w obciążeniach militarnych gospodarki polskiej. Pisał o nich w listopadowym (1978) numerze *Kultury* Józef Lewandowski i choć artykuł jego zawiera pewne przesadne szacunki (autor padł ofiarą pułapki terminologicznej, utożsamiając *Gross National Product* — dochód narodowy brutto w polskiej terminologii statystycznej — z produktem globalnym), wagę zagadnienia pokazał. Nie ma potrzeby powtarzać, że żadna z tych, i wielu innych zapewne, możliwości nie urzeczywistni się automatycznie, ale nie o to przecież chodziło w różnicach zdań na temat postawy wobec płac.

Druga z wymienionych kontrowersji na temat programu doraźnego dotyczy tempa reformy systemu zarządzania w warunkach braku równowagi rynkowej. Autorzy „Uwag” reprezentują pogląd, że przy silnej przewadze popytu nad podażą, reforma zwiększająca samodzielność przedsiębiorstw i wiążąca system bodźców z wynikami finansowymi, przyniosłaby prawdopodobnie rezultaty odwrotne od zamierzonych; stąd postulat ustabilizo-

wania na okres przejściowy obecnego systemu zarządzania z korektą jedynie najbardziej szkodliwych form po to, aby przygotować materialne (równowaga rynkowa) i koncepcyjne przesłanki reformy kompleksowej. „Droga” gwałtownie atakuje to stanowisko, zgodnie ze wspomnianym uprzednio poglądem o ścisłym związku systemu zarządzania z zasadniczymi kierunkami polityki gospodarczej, a więc niemożności zmian na jednym odcinku bez równoczesnych zmian na drugim. Problem ma w sobie istotnie wiele cech błędnego koła, co nie raz podnoszono w przeszłości. Jego rozwiązanie wygląda prawdopodobnie na płaszczyźnie pragmatycznych kompromisów w okresie przygotowawczym, pod warunkiem istnienia konkretnego programu generalnej reformy i zdecydowanej woli wyprowadzenia jej w życie. Jedyne w ramach bloku sowieckiego węgierskie doświadczenie przeprowadzenia reformy (umiarkowanej i ograniczonej ściśle do systemu funkcjonowania gospodarki, bez zmian politycznych) świadczyłoby na korzyść tej tezy. Jednak niektórym autorom omawianych opracowań chodzi zapewne o reformę innego typu.

I tak dochodzimy do sedna problemu stojącego przed niezależną opinią ekonomiczną w Polsce: czy można coś istotnego naprawić w ramach generalnych założeń istniejącego systemu polityczno-gospodarczego i zależności od ZSSR? W tym przecież tkwią korzenie rozbieżności, które szczególnie wyraźnie występują między „Uwagami” a „Drogą”: autorzy „Uwag” niewątpliwie odpowiadają „tak” na postawione pytanie, co zresztą *explicite* stwierdza prof. Lipiński w słowie wstępnym. Zespół ekonomistów dyskutujący na łamach „Drogi” wydaje się reprezentować odmienne stanowisko, choć nie stwierdza tego wprost. Dwa pozostałe opracowania trudniej sklasyfikować z tego punktu widzenia, co nie powinno być uważane za zarzut, chociaż po „Mamowcach” z ich ambitnymi zamierzeniami analitycznymi można było oczekiwać odpowiedzi, a co najmniej rozważenia kwestii na ile specyficznie polskie, a na ile „ogólnoobozowe” są źródła naszych słabości. Porównania zawarte w książce, a także powszechnie znane różnice w sytuacji poszczególnych krajów RWPG, uzasadniają postawienie takiego zagadnienia.

Włodzimierz BRUS

28 maj 1979 r.

Nadesłane nowości wydawnicze

BASSET (B.). *Zacznijmy znów modlić się*. Tłumaczył z języka angielskiego Edward Zwolski. Okładka: Roman Cieślewicz. Str. 151 i 9 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Seria: Znaki czasu, Paryż, 1979).

GRZEGORCZYK (Andrzej). *Filozofia czasu próby*. Str. 219 i 5 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1979).

BILLIG (Piotr). *Przypadki Saula Vogla*. Opowiadania. Str. 78 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1979).

DUSZA (Edward L.). *Odeszli z różą w sercu*. Str. 15 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1979).

WÓJCIK (Stanisław). *„W imieniu Rzeczypospolitej” — Polskie Państwo Podziemne w świetle faktów*. Str. 34. (Nakładem Autora, Toronto, Ontario, 1979).

Nasze drogi w Australii. 1947-1977. Redaktor Andrzej Raciński. Str. 185 i 3 nlb. (Wyd. Klub Karpatczyków w Hobart, 1978).

Jednodniówka zjazdu kawalerów orderu Virtuti Militari. Materiał zebrali: Tadeusz Kempa, Piotr Połacik, Michał Soszyński i Mieczysław Drelich. Str. 69 i 3 nlb. (Wyd. staraniem Piotra Połacika przy współpracy uczestników zjazdu, Hobart, 1975).

Komunikat Informacyjny. Rok XXX, styczeń-luty 1979. Str. 10 (powielacz). (Wyd. Związek Polaków w Hobart).

Drogi do niepodległości. Wybór, redakcja, słowo wstępne Krzysztof Kozłowski. Str. 295 i 1 nlb. (Wyd. Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK, Kraków, 1978; cena zł 90,00).

Wartości pedagogiki Janusza Korczaka. Praca zbiorowa pod redakcją ks. Piotra Poręby. Str. 101 i 3 nlb. (Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, seria: Rozprawy Wydziału Teologiczno-Kanonicznego — 49; Lublin, 1979; cena zł. 92).

BENDER (Ryszard). *Spółeczne inicjatywy chrześcijańskie w Królestwie Polskim 1905-1918*. Str. 175 i 13 nlb. (Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, seria: Rozprawy Wydziału Historyczno-Filologicznego — 41; Lublin, 1978; cena zł 95).

STYCZEŃ (Tadeusz). *Problem możliwości etyki jako empirycznie uprawomocnionej i ogólnie ważnej teorii moralności*. Studium metaetyczne. Str. 220 i 4 nlb. (Wyd.

Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego; seria: Studia z Filozofii Teoretycznej — zeszyt 4; Lublin, 1972; cena zł 70).

ZIELIŃSKI (Zygmunt, ks.). *Kościół katolicki w Wielkim Księstwie Poznańskim w latach 1848-1865*. Str. 440. (Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego; seria: Rozprawy Wydziału Teologiczno-Kanonicznego — 34; Lublin, 1973; cena zł 140).

MÜLLEROWA (Lidia). *Sieć parafialna Kościoła katolickiego w Polsce w 1970/72 r.* Str. 240 i 2 nlb. (Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego — Instytut Geografii Historycznej Kościoła w Polsce; seria: Materiały do atlasu historycznego chrześcijaństwa w Polsce — tom III; Lublin, 1975; cena zł 135).

Roczniki Humanistyczne, Filologia polska. Volume XVIII, fasc. 1, 1970. Tom poświęcony pamięci profesora Stanisława Pigonia opracowany przez polonistów KUL-u. Str. 174 i 2 nlb. (Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin, 1970, cena zł 40).

Roczniki Humanistyczne, Volume XIX, fasc. 1, 1971. O sztuce literackiej. Prace ofiarowane Czesławowi Zgorzelskiemu w czterdziestolecie pracy naukowej i nauczycielskiej przez przyjaciół, kolegów i uczniów. Str. 384 i 4 nlb. (Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin, 1971; cena zł 95).

Roczniki Humanistyczne, Tom XXIV — zeszyt 1, 1976. O literaturze i teatrze. Prace ofiarowane prof. Irenie Sławińskiej przez przyjaciół, kolegów i uczniów. Str. 331 i 3 nlb. (Wyd. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin, 1979; cena zł 90).

Humor krajowy

PYTANIA I ODPOWIEDZI

- Dlaczego w Polsce od dwóch miesięcy są takie upały?
- Bo odmrażają ceny...
- Co to jest kibitka?
- Prototyp pociągu Przyjaźni!
- Co się dzieje w Polsce jeśli nadchodzi „klęska żywiołowa”?
- Najpierw panika, potem szukanie winnych, następnie ukaranie winnych i w końcu pochwała Partii!
- Kto porwał Aldo Moro?
- Kpt. Jewsiejew. W zasadzie miał porwać Mussoliniego, ale zbyt długo czekał na paszport...
- Co by to było gdyby nagle całą milicję przeniesiono z Polski do Związku Sowieckiego?
- W obu krajach od razu podniósłby się współczynnik inteligencji...
- Jakże są trzy stadia budowy komunizmu w erze Gierkowej?
- PEWEXizm, komercjalizm, kanibalizm.
- Marks miał długą brodę, Engels o wiele mniejszą, Lenin bródkę, Stalin wąsy, Breżniew brwi — a co będzie miał jego następca?
- Warkoczyk...
- Dlaczego w Związku Sowieckim zabrakło papieru?
- Bo po wypuszczeniu Sołżenicyna — wszyscy piszą...
- Ile izb przypada na jednego Polaka?
- Pięć: trzy i pół izby wytrzeźwień, jedna — matki i dziecka i pół — mieszkaniowej...

- Na czym stoi RWPG.
- Na radzieckiej praworządności, polskiej organizacji, czeskiej odwadze, rumuńskiej uczciwości, bułgarskiej inteligencji i węgierskim języku...

JESZCZE O HERMASZEWSKIM

Nie ma mięsa ani gnata
Tylko Hermaszewski lata!

- Jaką korzyść mieli Polacy z lotu Hermaszewskiego?
- Taką samą jaką miały psy z lotu Łajki...

Socjalistyczne prawo Archimedesesa: ciało zanurzone w gównie traci na odwadze!

Mówią, że godło Polski zostanie zmienione: zamiast Orła — kangur — z pustą torbą do socjalizmu...

Nowy paragraf w Kodeksie karnym: 5 lat bez znajomości...

Jak wiadomo w czasie pobytu Papieża w Polsce masy ubeków paradowały w komżach udając księży ze służby porządkowej. Jeden z zagranicznych dziennikarzy zapytał Polaka: — Panie, jak rozpoznać, że to nie ksiądz? — Bardzo proste — brzmiała odpowiedź — trzeba tylko obejrzeć brewiarz. Jak nowy, to ubek...

W czasie wizyty Papieża Polak z zagranicy pyta szofera taksówki: — Panie, czy to już plac Bankowy? — Jeszcze Dzierżyńskiego — padła odpowiedź.

W tymże czasie spotyka się dwóch księży. — Księżu, mówi jeden, skąd ja księdza znam? — To jasne — odpowiada drugi — przecież pracujemy w tym samym komisariacie...

— Tato — zapytał dwunastoletni chłopiec — czy AL-owcy są nieśmiertelni?

— ???

— No, bo w gazetach ciągle w nekrologach podają: AKowiec, AKowiec, a nigdy nie piszą ALOWiec...

NOWY WIERSZYK

Jeden Polak jest Papieżem,
drugi ważny przy Carterze,
kilku przed Breżniewem klęczy,
reszta się w kolejkach męczy..

Facet wchodzi do wędliniarni i mówi: — Proszę o 2 kg. cwaniaka. — Jakiego cwaniaka? — pyta sprzedawczyni. — O, tego, co tam leży. — Przecież to salceson! — No właśnie, to cwaniak — nie dał się wywieźć do Rosji!

Stoi ogromna kolejka po mięso. Przejeżdża samochodem Gierek i widząc ją zatrzymuje się i pyta: — Towarzysze, po co tu stoicie? — Jakto po co — po mięso i to od wczoraj... — Na to Gierek: — Wyście mi pomogli, to i ja wam pomogę... — Po pół godzinie przed sklepem zajeżdża duża ciężarówka. Wszyscy się do niej rzucają, a tu wynoszą... krzesła.

(Dalszy ciąg na str. 239)

KRAJ — BLOK WSCHODNI

3-5-79

Zmarł w Warszawie prof. dr Bolesław Habdank-Dunikowski, historyk; był filistrem korporacji „Patria”.

21-5-79

Zmarł w Inowrocławiu, w wieku 63 lat, Eugeniusz Pauksza, pisarz. Debiutował w Wilnie, ale był związany z Poznaniem. W okresie powojennym wydał 34 tomy prozy. ■ W bież. roku na rynku wewnętrznym PRL znalazł się 140 tys. „Polskich Fiatów 126p”, 34 tys. „Syren”, kilkanaście tysięcy „Polskich Fiatów 125p”, „Polonezów” i „Zastaw 1100p”. Nie planuje się importu „Skoda”, „Wartburgów” i „Trabantów”. Z ZSSR Polska sprowadzi około 10 tys. samochodów osobowych.

25-5-79

W Warszawie obradował V zjazd towarzystwa „Polonia”. Prezesem towarzystwa wybrany został ponownie Tadeusz Młyniak.

2-6-79

Nabywca 100-milionowej książki sowieckiej otrzymał w upominku od „Miedzianarodnoj Knigi” bezpłatną wycieczkę do Związku Sowieckiego. 100-milionową książkę kupił dr Romuald Wojna. ■ W ciągu roku rejestruje się w PRL około 12 tys. przerw w dostawie energii na liniach średnich 4 go. dziny. Możliwości energetyki pozwalają na planową naprawę odcinka sieci raz na 30 lat. Ok. 125 tys. odbiorców energii na wsi otrzymuje stale prąd niższej jakości. Informacje te podaje *Przegląd Techniczny* wskazując związek między wydajnością rolnictwa o jego zaopatrzeniem w energię elektryczną.

3-6-79

Zmarł w Warszawie, w wieku 55 lat, znany poeta Tadeusz Kubiak, wieloletni redaktor działu literackiego Polskiego Radia.

ZACHÓD — EMIGRACJA

13-5-79

Szwajcarski oddział Towarzystwa Przyjaciół Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie (PUNO) zorganizował w Rapperswilskim Muzeum Polskim popularną sesję naukową. Obradom przewodniczyli kolejno: prof. J. Vanulet z Genewy i dr A. Łuczak z Bazylei. O muzyce tradycyjnej mówił prof. Z. Estreicher, o architekturze prof. J. Stryjeński, prof. J. Mond mówił o problemie romantyzmu i realizmu w polskiej myśli niepodległościowej. Na zakończenie został zreferowany dorobek Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. W sesji tej wzięło udział przeszło 80 osób.

15-5-79

W Brukseli zmarła, w wieku 76 lat, Jadwiga Maria Pomorska, działaczka społeczna, redaktorka *Polaka w Belgii* i *Nowin Brukselskich*.

20-5-79

W Sztokholmie powstał polski klub dyskusyjny „Via”. Przewodniczącym Klubu został Michał Moszkowicz, w zarządzie są: Rita Tronborg i Natan

Tenenbaum. Na pierwszym zebraniu Klubu N. Tenenbaum wygłosił odczyt pt. „Nieoficjalna literatura w Kraju”. ■ Zmarł w Rzymie, w wieku 66 lat, ks. prałat Kazimierz Sołowiej, proboszcz kościoła św. Andrzeja Boboli w Londynie. Ks. prałat Sołowiej niezmiernie popularny wśród Polaków w Londynie, był naczelnym kapłanem S.P.K. i Z.A.S.P.

25-5-79

W Kopenhadze miał miejsce odczyt red. Tadeusza Podgórskiego z Monachium pt. „Klasa robotnicza a opozycja demokratyczna w PRL i jej baza społeczno-ekonomiczna”. Odczyt ten został zorganizowany przez Polską Księgarnię Wysyłkową naszego przedstawiciela, O. T. Zalewskiego.

28-5-79

W Galerie Montpensier w Paryżu została otwarta wystawa J. Kulczyckiego, znanego ukraińskiego malarza, grawera i ceramika.

29-5-79

W Rzymie, w siedzibie *Istituto Accademico di Roma*, przedstawiona została wydana świeżo przez *Edizioni Studium* książka Dominika Morawskiego *La Polonia è cristiana — Documenti e testimonianze di una comunità viva*. Mówili o niej Angelo Gaiotti, Armando Rigobello i Angelo Tamborra. Książka wywołała naturalne szczególne zainteresowanie w związku z podróżą Jana Pawła II do Polski.

30-5-79

Gal-Ed — tak, w nawiązaniu do pamiątkowego biblijnego kopca, nazywa się Towarzystwo Badania Dziejów Żydostwa Polskiego przy Uniwersytecie w Tel Avivie. (Powstało ono w 1972 roku z inicjatywy Uniwersytetu w Tel Avivie oraz Światowej Federacji Żydów Polskich. Celem Towarzystwa jest praca badawcza nad dziejami Żydów polskich we wszystkich aspektach: życie ekonomiczne kulturalne, społeczne, polityczne). Jego sekretarzem jest od początku bieżącego roku Dr Szlomo Netzer, rodem z Sosnowca. Izraelskie *Nowiny Kurier* ogłosiły wywiad z dr. Netzerem, zakończony jego apelem: „Kto posiada jakies dokumenty czy książki, które wydają mu się ciekawe dla naszych badań, proszony jest o napisanie na adres: Gal-Ed, Uniwersytet, Tel Aviv. Wypożyczone dokumenty będą po sfotokopiowaniu zwracane”.

7-6-79

Financial Times z końca maja prosi, że podany przez pismo polski deficyt w twardej walucie za pierwszy kwartał br. w wysokości 311 milionów dolarów był nieścisły. W rzeczywistości deficyt ten wynosił 139 milionów dolarów (trzykrotnie wyższy od deficytu 49 milionów dolarów w pierwszym kwartale 1978). Eksport twardo walutowy spadł o 12,2 % w pierwszym kwartale br. do 1,14 miliarda dolarów, natomiast import o 5,1 % do 1,28 miliarda dol. Polska zanotowała nadwyżkę 386,7 milionów dolarów w całym swoim handlu zagranicznym (włączając w to Comecon) za pierwszy kwartał br.

8-6-79

Fragment homilii Jana Pawła II o żydowskich ofiarach Oświęcimia zrobił wielkie wrażenie wśród Żydów amerykańskich. Rabin Marc Tanenbaum, dyrektor *American Jewish Committee*, wysłał depeszę do papieża, zaczynającą się od słów: „Jesteśmy głęboko wzruszeni i podniesieni na duchu słowami i symbolicznymi aktami Waszej Świątobliwości”. Tenże rabin Tanenbaum oświadczył w wywiadzie na łamach *New York Post*: „Jan Paweł II jest nie tylko nadzwyczajnym przywódcą duchowym, jest on również wielkim humanistą o głębokim sumieniu. Według mnie będzie on

w nadchodzących dziesięcioleciach jednym z wielkich przywódców moralnych społeczności międzynarodowej”.

11-6-79

Le Monde z 11-12. 6 br. w artykule swego specjalnego korespondenta Alain Woodrowa podaje, że 8 czerwca o godz. 8-ej rano papież na zebraniu zamkniętym, trwającym 35 minut, przyjął ok. 40 intelektualistów katolickich, związanych z czasopismami *Tygodnik Powszechny*, *Znak* i *Więź* oraz przedstawicieli Klubów Inteligencji Katolickiej z Krakowa, Warszawy, Wrocławia i Torunia. W odpowiedzi na powitalne przemówienie Jerzego Turowicza, nac. red. *Tygodnika Powszechnego*, który wręczył papieżowi list podpisany przez 3-ch redaktorów naczelnych i 4-ch przewodniczących KIK'ów, przedstawiający sytuację intelektualistów katolickich w Polsce w świetle praw człowieka — Jan Paweł II mówiąc o roli intelektualistów w Kościele i Kraju miał oświadczyć: „Nie zawsze podzielając wasze stanowisko, aprobuję waszą pracę jako jedynej grupy działającej legalnie, w sposób autentyczny, bez maski, w Europie Wschodniej”. „To bardzo dobre co robicie. Lecz można zrobić jeszcze lepiej: samizdat”.

12-6-79

Jiří Pelikan, czeski działacz emigracyjny i redaktor wydawanego w Rzymie miesięcznika *Listy* (podczas Praskiej Wiosny dyrektor telewizji w Pradze i przewodniczący komisji spraw zagranicznych parlamentu czeskosłowackiego), został wybrany do parlamentu europejskiego z listy włoskiej partii socjalistycznej (PSI). Pelikan odniósł duży sukces, zajmując (pod względem ilości głosów preferencyjnych) drugie miejsce po przywódcy partii Bettino Craxi. W wywiadzie udzielonym mediolańskiemu *Il Giornale* Pelikan zapowiedział, że będzie w Strasburgu reprezentował wszystkich, którzy „walczą o prawa człowieka w sposób jasny, bez oglądania się na względy taktyczne i dyplomatyczne”. Jeszcze przed wyborem Pelikana moskiewskie *Izwestia* i praskie *Rude Pravo* zaatakowały ostro jego „kandydaturę zimnowojenną”. ■ Jury nagrody im. Kościelskich przyznało w bież. roku jedyną nagrodę, którą otrzymał ks. J. Mirewicz za zbiór esejów „Trzy minuty filozofii”. Nie przyznano żadnej nagrody krajowej.

14-6-79

Na zakończenie sezonu Polska YMCA w Paryżu zorganizowała dwa odczyty: 6. 6. br. prof. Louis Leprince Ringuet pt. „Mes motivations pour l'Europe” i 14. 6. br. p. B. T. Lesiecki, dyrektor Polskiej YMCA na Zachodzie Europy, omówił „Polskie życie społeczne w Londynie i w Wielkiej Brytanii”.

16-6-79

W Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów w Paryżu odbył się odczyt płk. Mieczysława Jurkiewicza pt. „Bohaterowie warszawskiego getta”. ■ Na ważnym zebraniu Institut Français d'Histoire Sociale Henryk Wroński, maître de recherche w Centre National de la Recherche Scientifique wygłosił odczyt „La petite entreprise en Union Soviétique”.

21-6-79

Kard. Basil Hume, arcybiskup Westminsteru, został wybrany przewodniczącym Rady Konferencji Episkopalnych Europy. W przededniu Papież odprawił mszę św. z 70 biskupami, przybyłymi z 24-ch krajów. W swym przemówieniu zaapelował do Rady, aby do swych prac włączyła również „nieobecnych”. „Ich nieobecność nie może być przemilczana lub usprawiedliwiana oklepanymi frazesami”.

22-6-79

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się wieczór autorski Czesława Miłosza, na którym był jednocześnie wernisaż wydanej przez Edition du Dialogue O.O. Pallotynów „Księgi psalmów” w przekładzie Czesława Miłosza z hebrajskiego oryginału (cena książki F. 45,00).

24-6-79

W czasie dorocznej pielgrzymki na cmentarz Montmorency (ok. Paryża) została poświęcona tablica ku czci ofiar katyńskich na pomniku polskim, znajdującym się na tym cmentarzu. ■ Radio włoskie nadało trzykrotnie (jak dotąd) sztukę A. Jewienia (Karola Wojtyły) pt. „Przed sklepem jubitera”. Sztukę tłumaczyli Aleksandra Kurczab i Jerzy Pomianowski, reżyserowała Aleksandra Kurczab. Wydawnictwo watykańskie opublikowało ten przekład i w ciągu trzech miesięcy ukazało się już 4-te wydanie. Aleksandra Kurczab ponadto przetłumaczyła i wydała tom poezji tegoż Autora pt. „Pietro di luce”.

29-6-79

W Centre du Dialogue w Paryżu ks. bp Bronisław Dąbrowski wygłosił odczyt pt. „Konferencja Episkopatu Polski — struktura i zakres działania”.

30-6-79

W kołach partyjno-rządowych PRL panuje duże zaniepokojenie jeśli idzie o tegoroczne zbiory, które na skutek trwającej już dwa miesiące suszy zapowiadają się fatalnie. Zaniepokojenie jest tym większe, że również w ZSSR zbiory zapowiadają się bardzo źle. ■ Zwraca uwagę fakt, że listy czy apele J. Giertycha, wysyłane pocztą mają charakter masowy. Podobno przyczynił się do tego Przetakiewicz z PAX'u. Tak samo w antykwaratach dobrze widzianych przez władze można kupić (co prawda za drogie pieniądze) broszurę O. Warszawskiego pt. „Studia nad wyznaniowością religijną Marszałka Piłsudskiego”. Tłumaczy się to tym, że władze są coraz bardziej zaalarmowane rosnącym w kraju kultem Marszałka Piłsudskiego. ■ *Le Point* z 18-24 bm. Nr 352 pisze pt. „Racket à Varsovie”: Dziennikarze zagraniczni, którzy towarzyszyli Papieżowi w Polsce byli obiektem prawdziwego gangsterstwa ze strony polskiej agencji Interpress, która praktykując łapankę jeśli idzie o obowiązujące ceny kazała na przykład płacić 120 dolarów za jednoosobowy pokój w warszawskim hotelu Victoria-Intercontinental.

225

A P E L
NA RZECZ ZACHODNIEJ EDYCJI „PULSU”

PULS, nieregularny kwartalnik literacki, jest drugim obok *Zapisu* ukazującym się w Kraju nieocenzurowanym pismem, w całości poświęconym tematyce kulturalnej. *PULS* powstał przed dwoma laty, ponieważ jak mówią jego redaktorzy:

„...brak wolności słowa i swobody krytyki paraliżuje rozwój kultury, niszczy jej bogactwo i różnorodność ponieważ przymus milczenia, bądź przymus mówienia rzeczy niezgodnych z przekonaniem, niszczy poczucie godności własnej człowieka i pisarza
ponieważ gdy znika możliwość publicznego wyrażania myśli i swobody dyskusji, znikają także skłonności i ochota do myślenia w ogóle”.

Ta wstępna deklaracja młodej łódzko-warszawskiej redakcji *PULSU* była dla pisma punktem wyjścia. Dzisiaj pięć kolejnych numerów, ambitnie zamierzonych i starannie opracowanych, świadczy o wysiłku przewartościowania współczesnej oficjalnej twórczości i odświeżenia łączności ze źródłami nieskażonej polskiej tradycji, by znaleźć kryteria pozwalające pisarzom dokonać konfrontacji z otaczającą ich rzeczywistością. W pracy tej *PULS* nierzadko sięga do dorobku pisarzy żyjących poza Krajem.

PULS to część imponująco rozwijającego się niezależnego ruchu wydawniczego w Polsce, i mimo stałych szykan policyjnych jego ukazywanie się będzie kontynuowane. Jest jednak istotne by maszynopisy i rękopisy, pracowicie w kraju odbijane na ukrytych powielaczach, zamieniały się na Zachodzie w drukowane tomy, rozchodziły się szeroko i wracały do Polski. Niestety *PULS* dotychczas nie znalazł na Zachodzie stałej bazy wydawniczej. Przyjaciele pisma na emigracji gotowi są zrealizować to przedsięwzięcie, jeśli zdobędą konieczne środki finansowe.

Niżej podpisani, pragnąc poprzeć tę inicjatywę, zwracają się do społeczności polskiej poza Krajem o wpłaty na fundusz wydawniczy *PULSU*.

Józef CZAPSKI
Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Leszek KOŁAKOWSKI
Czesław MIŁOSZ
Bolesław SULIK

Wpłaty w postaci *International Money Order* prosimy wystawiać na *PULS Publications* (Nr konta 01914213) oraz przekazy bezpośrednio na *Lloyd Bank, Wigmore Street, London W1 H9LA*.

Kultura przekazuje na *PULS* F.1.000,00.

Listy do Redakcji

Wiedeń, 13 czerwca 1979.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W nawiązaniu do artykułu p. Romana Breszka pt. „Nowi” — *Kultura* nr 6/381 z czerwca 1979 r. — w części dotyczącej krytycznych uwag pod adresem klubu SPK, wyjaśniam co następuje:

1) klub SPK w Austrii działalność swoją prowadził dwutorowo:

- a) działalność z otwartym wstępem dla wszystkich,
- b) działalność kulturalno-polityczną dla członków SPK, sympatyków i zaproszonych gości.

O efektywności działania świadczy najlepiej frekwencja na zebraniach i wieczorach, oraz opinia jaką ta działalność wśród Polonii austriackiej cieszy się od 15 lat;

2) biorąc pod uwagę zaistniałe ostatnio negatywne przejawy w samym klubie jak i wokół niego, Zarząd uznał dalsze prowadzenie klubu na dotychczasowych zasadach, z politycznego punktu widzenia za niewskazane i niemożliwe, i w kwietniu br. zawiesił działalność klubu.

Obecnie Zarząd jest w trakcie poszukiwania nowego rozwiązania, które w oparciu o zdrowe podstawy ekonomiczne, gwarantować będzie politycznie właściwe życie kulturalne, godne miana SPK.

Byłbym wdzięczny za umieszczenie niniejszych wyjaśnień i z góry dziękując, pozostaję z wyrazami szczerego szacunku i oddania,

Za Zarząd
Andrzej BALKO
Prezes

Neapol, 22 maja 1979.

Drogi Panie Redaktorze,

W jednym z zeszłorocznych dzienników wspominałem o Adolfie Sowińskim, poecie i tłumaczu, autorze książek o Żeromskim i księdzu Ściegienie, oraz moim starszym koledze z gimnazjum kieleckiego. Pisałem tam, m.in.: „Umarł w Wiedniu na ostry atak nostalgii (umiera się i na taką chorobę)... Jego zwłoki przewieziono z Wiednia do kraju, bodaj to on

właśnie zapoczątkował (przynajmniej w dziedzinie literatury) żałobny powrót emigrantów na ojczysty łono”.

Dziś otrzymałem w tej sprawie z Ottawy list od Ryszarda Matuszewskiego. „Dopiero teraz, w czasie mojego pobytu w Kanadzie, wpadł mi w ręce numer *Kultury* (7-8 z 1978 roku), w którym Pan, w swoim *Dzienniku*, pisze o moim przyjacielu Adolfie Sowińskim i jego śmierci. Otóż w związku z tym Pana tekstem czuję się w obowiązku zasygnalizować Panu nieścisłość informacji, jaką Pan, niewątpliwie w dobrej wierze, czytelnikom *Kultury* podał. Adolf Sowiński nie umarł w Wiedniu, lecz w Warszawie, do której go, ciężko już chorego, na siedem tygodni przed jego śmiercią z Wiednia przewiozłem. Mogłem to zrobić dzięki życzliwości i pomocy nieodżałowanej pamięci Karola Kuryluka, dawnego redaktora *Sygnatów*, a później *Odrodzenia*, wówczas zaś ambasadora PRL w Wiedniu. Kuryluk zasygnalizował mi już latem 1963 roku, że Adolfem trzeba się zająć i, jeśli to możliwe, przewieźć go do Polski, gdyż inaczej grozi mu śmierć w Wiedniu, w opuszczeniu i bez należytej opieki. Właśnie wybieraliśmy się z żoną w jesieni do Włoch... I właśnie wtedy, wracając, przewiozłem z Wiednia do Warszawy Adzia. Kuryluk pomógł mi załatwić dla niego wizę wjazdową do PRL (Adolf miał paszport konsularny, ale Kuryluk musiał tu przełamać opory własnego personelu ubeckiego). Niestety stan Adolfa był już bardzo niedobry. W Warszawie po dwóch dniach przewiozłem Adzia do szpitala, z którego już nie wyszedł... Bardzo żałuję, że nie mogłem zająć się nim wcześniej, co może mogłoby odroczyć jego śmierć. W każdym razie umarł nie w opuszczeniu i nie na obczyźnie, ale wśród bliskich i kochających go ludzi”.

Do ogłoszenia fragmentów listu Matuszewskiego upoważnia mnie jego zakończenie: „Oczywiście sprawa nie ma dużej publicznej wagi i nie mam pewności, czy warto nieścisłość Pana informacji w *Kulturze* prostować. To już pozostawiam Pana uznaniu. W każdym razie do Pana wiadomości podaję jak rzecz się miała faktycznie, bo dotyczy człowieka, który nam obu był jakoś bliski”.

W moim uznaniu nieścisłość informacji powinna być sprostowana. Dodam tylko, że w ostatnim okresie swego życia Adzio przestał się ze mną komunikować. Kłopotów materialnych nie miał, ale (jak mi po jego śmierci opowiadał Jerzy Stempowski) spędzał z butelką dnie przy odborniku radiowym nastawionym na Warszawę. Stąd moje zdanie, że „umarł na ostre ataki nostalgii”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Warszawa, 3 czerwca 1979.

Drogi Panie Redaktorze!

W Paryżu, nakładem *Editions Cana* wyszła ostatnio książka „*Nous chrétiens de Pologne*”. Na książkę składają się prace 8 autorów polskich z *Tygodnika Powszechnego* i warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej oraz przedmowa, której autorem jest francuski redaktor całości p. Jean Offredo. Przedmowa ta to po prostu skrócony nieco mój esej „*Stosunki Kościół-Państwo w Polsce Ludowej*”, który czytelnicy *Kultury* przeczytali w czerwcowym numerze Pańskiego miesięcznika. P. Offredo zaopatrzył francuski tekst (23 strony) przypiskiem, iż dziękuje mi za dostarczenie mu *l'essentiel des éléments historiques de ce texte*, nie zechciał jednak stwierdzić, że jest to w 90 % po prostu mój własny tekst, przetłumaczony na francuski jeszcze w Warszawie i przez nas obu wspólnie skontrolowany.

Zagadka wyjaśnia się prosto, choć dziwnie. P. Offredo zaproponował mi napisanie do książki owego eseju, odebrał go ode mnie w Warszawie

po francusku i, podpisawszy umowę, powrócił do Paryża. Jednakże w parę dni później zjawili się u mnie współautorzy pp. Jerzy Turowicz, Andrzej Świąciecki, Andrzej Wielowieyski i oświadczyli mi, że szkic mój, choć zawiera relacje prawdziwe, napisany jest zbyt ostro, co narazić może na represje ze strony władz PRL reprezentowane przez nich instytucje (*Tygodnik Powszechny*, warszawski KIK). Zaproponowali przeredagowanie eseju według ich propozycji.

Odpowiedziałem, że stosowanie autocenzury wobec czytelnika francuskiego uważam za upokarzający absurd i że zgodzić się na to nie mogę, uznając jednak ich argumentację, decyduję się na wycofanie mojej pracy z książki, rezerwując sobie oczywiście prawa do tekstu polskiego. Na tym rzecz stała, nikt więcej się do mnie nie zwracał i dopiero teraz ze zdumieniem ujrzałem w druku mój esej, podpisany przez p. Offredo.

Takie są więc osobliwe skutki nadmiernego oportunizmu. Rozumiem, że francuski wydawca nie chciał się wyrzec mojego eseju i postanowił przełożyć go pod innym nazwiskiem. Naruszone zostały jednak dotkliwie moje prawa autorskie. Nie mówiąc już o moralności chrześcijańskiej. W tej sprawie zresztą się nie wypowiadam: trafiłem wszakże na specjalistów!

Łączę wiele pozdrowień,

Stefan KISIELEWSKI

Artykuł o którym pisze Stefan Kisielewski, nie mógł ukazać się w nrze czerwcowym *Kultury* ponieważ przyszedł za późno — natomiast ukaze się — jak sobie tego życzył Autor — w 49 (sierpniowym *Zeszycie Historycznym*). (Redakcja).

Lund, 8 czerwca 1979.

Szanowny Panie Redaktorze!

Chroniczną chorobą emigracji jest patologiczna podejrzliwość. Rozmowy na temat dziwnych trzasków w telefonie, podejrzanych samochodów czy też dziwnych zachowań bliższych i dalszych znajomych należą do ulubionych tematów na wszelkich spotkaniach towarzyskich. Czasem trafiają się również sprawy poważniejsze, czyli bezpośrednie już oskarżanie konkretnych osób o działalność agenturalną. Ludzie rzucający takie podejrzenia zazwyczaj nie zdają sobie nawet sprawy z faktu, że ściśle współpracują z komunistyczną bezpieką, dla której podtrzymywanie atmosfery strachu i podejrzliwości jest celem pierwszoplanowym. Nie oznacza to, że wości wśród emigrantów jest celem przed infiltracją agentów w życie emigracji. Dobrze by nie należało się bronić przed zachowaniem pewnych form moralnych i racjonalnych. Jednak było aby ta obrona zachowała pewne formy moralne i racjonalne. Wiemy, że władze PRL interesują się bardzo tym, kto pracuje w charakterze tłumacza w policji, sądach, biurach imigracyjnych, itp. Zdajemy sobie sprawę z faktu, że tłumacze posiadający polskie paszporty mogą być szantażowani i nakłaniany do współpracy. Na ten fakt wielokrotnie zwracano władzom szwedzkim uwagę. Niestety bez większych skutków. Staraliśmy się również rozpowszechniać informację, że zarówno na policji jak i w biurach imigracyjnych można zażądać aby ta a nie inna osoba była tłumaczem i że dysponujemy listami zaufanych tłumaczy.

Inną drogę wybrał ktoś ukrywający się za pseudonimem K. Leb oraz Jan Bek. 12 maja br. w kanadyjskim *Czasie* ukazały się podpisane tymi pseudonimami donosy w stylu przypominającym krajowe donosy prasowe. W owych „korespondencjach” wskazano z imienia i nazwiska trzy osoby z Lundu jako agentów PRL. Jak wiadomo tego typu zarzutów nie można ani udowodnić ani obalić. Szkody moralne spowodowane takim donosem

są nie do naprawienia, a bezpieka zaciera ręce, że ktoś inny wykonuje jej robotę. Trudno mieć za ten wybryk pretensje do autora (czy też autorów) tych anonimów. Ten nie wydaje się bowiem grzeszyć ani rozległością horyzontów umysłowych ani moralnymi skrupułami. Redaktorzy niektórych pism emigracyjnych winni jednak pamiętać, że cel nie uświęca środków, natomiast przyjęcie zasady odwrotnej, często oddala nas od celu.

Z poważaniem,

Andrzej KORASZEWSKI

Paryż, 12 czerwca 1979.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z głębokim zainteresowaniem przeczytałem w rubryce „Sprawy i troski” ostatniego numeru *Kultury* (Nr 6/381) artykuł Andrzeja Koraszewskiego pod tytułem: POLSCY PROTESTANCI. Cieszyć by się należało, że *Kultura* podejmuje tematy dotyczące kultury religijnej kraju, gorzej tylko jeżeli sprawy te omawiane są przez ludzi chyba niewiele mających rzeczowo do powiedzenia, a jak wносить można korzystających z okazji, do wyrażania swych, bardzo osobistych zapewne, resentymenów. Tak się bowiem składa, że w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych znajdowałem się blisko życia naszych wspólnot protestanckich w Polsce, więcej — bezpośrednio w życiu tym uczestniczyłem. To co wypisuje pan Koraszewski wydaje mi się być z jednej strony dowodem braku orientacji w sprawach polskiego protestantyzmu, a z drugiej zakrawa to nieco na niepotrzebne sianie zamętu. Choćby już wstępna informacja, iż polskich ewangelików ma być dziś na emigracji ponad pół miliona, a w kraju tylko niespełna 200 tysięcy, wyraźnie zmierza do stworzenia wrażenia, iż chodzi tu o grupę prześladowaną, zmuszaną do opuszczania Polski. W dodatku czynnikiem mającym powodować presję w tym kierunku mają być nie partyjne władze, ale katolicka hierarchia i odpowiednio przez nią urobione szerokie kręgi społeczeństwa. Tymczasem rzeczywistość, z którą miałem możliwość stykać się przez lata na co dzień, jest mocno inna. Oczywiście wiadomość o pół milionowej polskiej wspólnoty ewangelickiej na emigracji zaliczyć trzeba do legend. Nawet gdybyśmy usiłowali za polskich ewangelików na obczyźnie uważać wszystkich Volks-deutsch-ów którzy po wojnie z Polski zwiali (choćby w większości nie byli oni ewangelikami) oraz Mazurów, którzy ewakuowani do Niemiec w roku 1945 do ojczyzny nie powrócili, to i tak trudno byłoby 50.000 rzeszy doliczyć się!

Gdy chodzi natomiast o rzeczywistą sytuację w kraju, a szczególnie na terenach wyznaniowo mieszanym jak np. Mazury czy Śląsk Cieszyński, czy też zachodnia część województwa Łódzkiego, trudno mi twierdzić, czy katolickie duchowieństwo w latach pięćdziesiątych i na początku lat sześćdziesiątych przygotowane było do ekumenicznego dialogu, ale, co chyba ważniejsze, zdawało ono sobie w pełni sprawę z konieczności obrony wspólnych wartości. Jako jeden z licznych przykładów przytoczę tu działalność proboszcza kolegiaty w Łasku, udostępniającego miejsca kultu dla nabożeństw ewangelickich celebrowanych pod przewodnictwem dojeżdżającego pastora, czy podobne wypadki w innych częściach kraju. Dodam, iż tego typu działalność w latach pięćdziesiątych nie była przez władze mile widziana, a nie mogła się też chyba dokonywać bez wiedzy i zgody Episkopatu!

Dzisiaj, sytuacja polskiego ewangelicyzmu, przynajmniej gdy chodzi o jego główne historyczne odłamy to jest Kościół Ewangelicko-Augsburski (luterński) oraz Kościół Reformowany (kalwiński), jest chyba całkowicie ustabilizowana i zgoła inna niż w relacji Andrzeja Koraszewskiego! Oprócz wy-

mienionych kościołów działają w Polsce także małe wspólnoty i protestantyczne stowarzyszenia — głównie niedawnego, amerykańskiego rodowodu, których sytuacja jest bardziej trudna. Ale i tu, w każdym razie gdy chodzi o społeczność, nie można chyba mówić o jakiejś jawnej dyskryminacji. Niestety nieścisły charakter ma też to, co Koraszewski pisze o Chrześcijańskiej Akademii Katolickiej w Warszawie oraz o czasopiśmie *Zwiastun* organie naszego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. Porównanie ich do Teatru Żydowskiego musiałyby oznaczać, iż jacyś pseudo-awaneglicy — zapewne funkcjonariusze Wydziału Wyznań — fabrykują jakieś pseudo-religijne pismo dla nie istniejącego czytelnika. Na marginesie, chciałbym również dodać, iż inne, na pewno autentyczne, pismo jakim jest *Jednota*, organ konsystorza Kościoła Reformowanego, jest bezsprzecznie obok *Tygodnika Powszechnego* najlepszym, w moim pojęciu, w Polsce organem religijnie zorientowanej inteligencji. Dodam, iż w *Jednocie* ukazują się także często artykuły wybitnych przedstawicieli inteligencji katolickiej. W sumie więc atmosfera daleka od rzekomego kultywowania przez polski Kościół Katolicki tradycji kontrreformacji! Jeśli Andrzej Koraszewski za wszelką cenę pragnie znaleźć nieistniejące analogie między losami polskiego protestantyzmu i polskiego judaizmu, warto może przypomnieć, iż zniknięcie tego ostatniego z mapy religijnej Polski dokonało się *de facto* na długo przed *exodus*em partyjnych tak zwanych „syjonistów”, i że było to „zasługą” bynajmniej nie hierarchii katolickiej, ale komunistów — sowietyzatorów, najbardziej tych z tak zwanej „nie-polskiej nomenklatury”.

Korzystam z okazji by wyrazić swe żywe zadowolenie, iż *Kultura* zechciała podnieść ważki problem naszego ewangelickiego wyznania i łączyć wyrazy szacunku,

dr Adam SUTKOWSKI
Muzykolog

Londyn, 28 maja 1979.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W majowym numerze *Kultury*, w redakcyjnym artykule pt. „Nowy Prezydent R.P.” zastanowiło mnie ostro sformułowane, wybitnie negatywne stanowisko wobec stronnictwa politycznych. Zaliczone one zostały do gatunku „efemeryd”, mimo to, że istnieją i działają m.in. na terenie międzynarodowym, a proponowana w tym artykule Rada, widocznie rozumiana, jako instytucja pseudoparlamentarna miałyby się składać przeważnie z wirylistów mianowanych przez Prezydenta. Ciało to powołane byłoby zapewne do formułowania myśli politycznej emigracji.

Pozostawiając bez komentarza resztę wywodów artykułu, pragnę rozważyć ten jedynie aspekt. Rzeczywistości krajowej, dyktaturze rządzącej partii, kierowanej przez jej pierwszego sekretarza, strukturze politycznej w której Sejm może jedynie wtórować głosowi tego nieodpowiedzialnego w praktyce dygnitarza — pragniemy przeciwstawić koncepcję inną, koncepcję która mogłaby przemówić do wyobraźni i przekonania społeczeństwa. Najbardziej przekonujący jest jednak przykład praktyczny, w tym wypadku byłby to przykład organizowania życia politycznego emigracji.

W zachodniej Europie życie polityczne przebiega po liniach głównych partii politycznych a zestawienie ich programów orientuje w kierunkach ich politycznego myślenia. Zjawiskiem godnym szczególnej uwagi jest, że po długim nieraz okresie rządów dyktatorskich (Mussolini, Hitler, Franco) życie polityczne, powracając do form demokracji parlamentarnej, wracało zarazem do tradycyjnych układów partyjno-politycznych.

W ujęciu omawianego artykułu, stronnictwa polityczne (a w szczegól-

ności stronnictwa historyczne) znalazłyby się poza nawiasem politycznej dyskusji w ciele pełniącym funkcje zbliżone do parlamentarnych a zastąpione zostałyby „mianowaniami” każdorazowego Prezydenta.

Mam poważne wątpliwości, czy tego rodzaju praktyka przekonałaby opinię krajową o rzetelnej demokratyczności emigracji, natomiast mogłaby wzbudzić przypuszczenie, iż emigracja „niczego nie zapomniła i niczego się nie nauczyła”.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku i poważania,

Stanisław WASIK
Przewodniczący Centralnego
Komitetu Zagranicznego
P.P.S.

List p. St. Wąsika zawiera szereg nieścisłości — mam nadzieję że nieświadomych. Przede wszystkim nie zaliczyliśmy tzw. stronnictw historycznych do efemeryd. Napisaaliśmy wyraźnie: „Trzeba skończyć już z schematem i monopolem 'stronnictw historycznych' na emigracji I Z EFEMERYDAMI”.

Nie postulujemy wyeliminowania „stronnictw historycznych”, proponujemy jedynie, by reprezentację polityczną wyłoniły wybory. Nie wiemy innego realnego kryterium wyborcy jak legitymacja Skarbu Narodowego. Jest to chyba dziś jedyne kryterium, które może odróżnić emigrację polityczną od tzw. Polonii czy etników (co zresztą w naszym pojęciu nie jest dyskryminacją tych grup). Nikt nie kwestionuje ogromnej roli „stronnictw historycznych” w okresie Drugiej Rzeczypospolitej i w okresie wojny. Ale w kilka lat po wojnie oddziaływanie stronnictw na Kraj całkowicie zanikło. Ich działalność ograniczyła się do terenu emigracji, z tym tylko że działały jedynie na zasadzie przeszłości nie konfrontując jej w sposób demokratyczny z poglądami mas emigracyjnych.

Od kilku lat jesteśmy świadkami odrodzenia się w Kraju myśli politycznej i szeregu kierunków politycznych, co przejawia się nie tylko w organizacjach jak KSS „KOR” czy ROPCiO ale i w ilości niezależnych pism, których liczba rośnie z każdym miesiącem i które w większości mają charakter polityczny. Jest to odradzanie się życia politycznego bez nawiązywania do „stronnictw historycznych”, bo który z tych ruchów nawiązuje do PPS, a który do PPS emigracyjnego?

Mówienie o działaniu stronnictw politycznych na terenie międzynarodowym jest typowym *wishful thinking*. Gdzie i jak się to przejawia? Czy w listach do redakcji pism zachodnich, więcej niż skąpo zamieszczanych i kiedy to ukazanie się takiego listu traktowane jest jako triumf? Czy w należeniu formalnym do kilku organizacji międzynarodowych w charakterze ubogich krewnych, którzy nic nie mają do powiedzenia a najwyżej mogą pisać memoriały, których nikt nie czyta? Bądźmy szczerzy: dopiero pojawienie się nowej emigracji spowodowało zainteresowanie świata. Które ze „stronnictw historycznych” zdobyło sobie taką pozycję jak Leszek Kołakowski i kilku innych? — Nikt.

Powtarzamy: „stronnictwa historyczne” są dziś stronnictwami emigracyjnymi i muszą w sposób demokratyczny budować swoje wpływy i pozycję.

Nie ma, jak dotąd — powtarzamy — innej drogi demokratycznej jak wybory. Nie jest najlepszym chwytem atakowanie sugestii odnośnie wirylistów. Jest na emigracji kilka instytucji o charakterze ogólnodemokratycznym, jak chociażby POSK czy SPK, które mają rzeczywisty wpływ na społeczność emigracyjną. Czy je należy wyeliminować, bo nie są „historyczne”?

Myślę, że najwyższy czas spojrzeć trzeźwo na rzeczywistość i wyciągnąć z tego wnioski. Inaczej skazuje się na izolację i całkowite już oderwanie od Polski.

REDAKTOR

Na Zachodzie, 25 maja 1979.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z zainteresowaniem przeczytałam list jednego z pracowników Wolnej Europy, p. Machniewicza, w sprawie stosunków panujących w tej radiostacji. Jako stała słuchaczka Wolnej Europy — muszę mu niestety przyznać rację — od pewnego bowiem czasu stacja ta nie cieszy się już dawną popularnością w Polsce. Mam na myśli oczywiście społeczeństwo nie władze. Audycje są pod względem politycznym i ideowym mdłe — letnia zupka — nawet niektóre programy naszych rozgłośni odcinają się korzystnie. Czuje się, że redaktorzy nie pracują dla słuchaczy w Polsce lecz dla przełożonych amerykańskich. My tutaj mamy ucho subtelne i czujemy cenzurę na trzy mile. Ktoś widać skrupulatnie kontroluje każdy tekst i usuwa z niego oryginalne, swobodne myśli. Tak się przedstawiało u nas radio w złych okresach politycznych (teraz też nie jest lepiej, ale nieco popuścili). Jedyłą odpowiedzią Wolnego Świata na propagandę komunizmu radzieckiego może być pluralizm i niekonformizm. Zupełnie bez przerwy cytuję się prasę i to w sposób wyraźnie manipulowany — usuwanie akcentów antykomunistycznych. Co innego jest podjudzać, czy mieszać się w wewnętrzne sprawy Rosji czy PRL — a co innego zanudzać słuchaczy bepciowym werbalizmem bez cienia własnej inwencji politycznej. Przykre to, lecz prawdziwe — BBC, Voice of America i nawet Deutsche Welle dają dziś słuchaczowi więcej niż Free Europe, niegdyś nasza ulubiona, ceniona rozgłosnia. Paryska Kultura powinna zbadać kto za to ponosi odpowiedzialność i czy to prawda, że usadowiła się tam grupa zwolenników obecnego systemu politycznego w Europie Wschodniej?

(Nazwisko znane Redakcji)

22 kwietnia 1979.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 3/378 *Kultury* na str. 51 jest zdanie: „Dwieście tysięcy ludzi przyjeżdża do Polski z Zachodu. Każdy mógłby zabrać książkę albo czasopismo. Tymczasem na tego rodzaju 'bohaterstwo' umie się zdobyć garstka”.

To zdanie powinno być sformułowane jako apel: przywoźcie nam literaturę, czasopisma polskie, książki takie jak Michnika, Micewskiego. Jest ogromny głód tego rodzaju rzeczy, Michnika czytam w kseroksi, książka krąży niezmordowanie wśród dziesiątków czytelników, pożyczamy od i pożyczamy znajomym znajomych, książki krążą całymi łańcuskami. Radio Wolna Europa nie może zastąpić książki i czasopisma a przede wszystkim nie wszyscy mają możność słuchania toteż wiele osób jest pozbawionych informacji i wobec tego głodu jest wprost bezmyślnością przyjeżdżać tutaj z pustymi rękami. Wielu Polaków z polskimi paszportami jeździ ale oni nie mogą nic przewozić, dla nich ryzyko jest zbyt wielkie, natomiast ci, którzy posiadają paszporty zachodnie nie nie ryzykują, najwyżej literatura zostanie zatrzymana i zwrócona im przy odjeździe z Polski, ale na ogół nie są przecież rewidowani i przewiezienie nie jest wcale tak bardzo ryzykowne. Udało mi się zdobyć książkę Micewskiego, poprosiłam nieznana cudzoziemkę

z którą miałam się zobaczyć, poprosiłam listownie gdyż nie miałam innej możliwości. Udało się, przywiozła, doręczyła (jako dar oczywiście) i teraz dla kilkudziesięciu osób będzie ta książka źródłem informacji. Teraz zaczyna się okres wakacji i wzmożonej turystyki, jeszcze tym bardziej w związku z przyjazdem papieża, proszę Pana Redaktora o apelowanie do wszystkich jadących tutaj aby przyjeżdżali z czymś „dla ducha” i zaspakajali o ile się da nasz głód.

List ten powierzam znajomej i pomimo wszystko nie mogę go podpisać, tak jest rozsądniej i proszę o wyrozumiałość dla mojej anonimowości.

CZYTELNICZKA Z POLSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

- P. K. Styś, Kanada. — List Pana przekazaliśmy Natalii Naruszewicz.
 J. K., Barcelona. — Pana listu nie zamieścimy. Myślę, że jest bezcelowe ciągle wypominanie krzywd wyrządzonych Polakom przez Żydów i odwrotnie.
 A. W., Arthus (Dania). — Listu nie zamieścimy.
 Dr W. S., Kanada. — Nie zamieścimy. O różnych przejawach „antypolonizmu” w Stanach pisaliśmy szereg razy. Bardziej celowe — wydaje się nam — byłoby pisanie w tych sprawach listów do prasy anglojęzycznej.
 R. J. O., Milan, Mich., USA. — „Listu otwartego do Adolfa Rudnickiego” nie zamieścimy. Tekst jest dla nas zupełnie niezrozumiały.
 Sz. L., Paryż. — Nie zamieścimy.

SPROSTOWANIE

W nr. 1/376-2/377 *Kultury*, str. 203 „Nadesłane nowości wydawnicze”, Zolobka (Vincent) *Polonica canadiana...* zakradł się błąd: zamiast cumulative supplement 1948-1957 — winno być: cumulative supplement 1848-1957.

Dokumenty

Z A S A D Y AKREDYTACJI DZIENNIKARZY POLSKICH I OBSŁUGI PRASOWEJ WIZYTY PAPIEŻA W POLSCE

1. Zasady akredytacji

Cała ekipa dziennikarzy polskich akredytowanych przy wizycie papieża w Polsce składać się będzie z następujących podstawowych grup:

a) *ściśły pool (pool nr 1)*. W skład tej grupy proponuje się włączyć dziennikarzy polskich i zagranicznych zabezpieczających bezpośrednio obsługę informacyjną z pobytu papieża w Polsce. Wielkość pool'u traktowana będzie elastycznie według odrębnych ustaleń dla każdego punktu programu. Ekipa dziennikarzy wchodzących w skład ścisłego pool'u towarzyszy papieżowi na trasie jego podróży obsługuje spotkania oficjalne, uroczystości w miejscach zamkniętych. Przewiduje się preferencje dla prasy polskiej (z prasy katolickiej dla Pax i ChSS), a także dla służb fotografujących i filmujących.

Proponuje się, aby w skład pool'u nr 1 wchodził dziennikarze następujących agencji i redakcji: PAP, CAF, PKF, RTV (polska) PA Interpress (fotoreporter), prasa katolicka i diecezjalna.

Pozostałe miejsca w Pool'u nr 1 proponuje się pozostawić w dyspozycji Dyrektora Centrum i ewentualnie część miejsc w gestii rzecznika prasowego Watykanu Ks. Pancirolli dla zagranicznych agencji, redakcji i ośrodków radiowo-telewizyjnych.

Uwaga: do Belwederu przewiduje się rotacyjnie 2 pool'e (łącznie do 40-50 dziennikarzy).

Przewiduje się, że szefem pool'u nr 1 będzie tow. T. Kucharski z DPWKN-MSZ.

Służba Centrum Prasowego PA Interpress w przypadkach kościelnych imprez zamkniętych (w kościołach) doprowadza dzien-

nikarzy z pool'u nr 1 jedynie do pierwszych punktów kontroli przepustek sprawowanych przez służby kościelne. Po zakończeniu imprezy, analogicznie służba Centrum Prasowego przejmuje pool nr 1 w uprzednio wyznaczonym miejscu.

Zaproponowana wyżej liczebność pool'u nr 1 limitowana jest możliwościami organizacyjno-technicznymi.

b) *pool nr 2.* W skład tej grupy będzie wchodziło 80 polskich dziennikarzy (50 z prasy świeckiej i 30 z prasy katolickiej), którzy w okresie wizyty papieża w Polsce stale będą towarzyszyli ekipom dziennikarzy zagranicznych. Zadaniem dziennikarzy prasy świeckiej — przy uwzględnieniu ich doświadczenia ideowo-politycznego i znajomości języków obcych — będzie zwłaszcza zapewnienie kompetentnej, operatywnej informacji dla dziennikarzy zagranicznych o problemach współczesnej Polski oraz o aktualnej problematyce wyznaniowej, a także stworzenie swego rodzaju przeciwwagi dla niektórych, z góry do nas wrogo nastawionych, korespondentów zachodnich. Zadaniem ich będzie również ewentualna pomoc w sprawach programowych, organizacyjnych i porządkowych — w zależności od trudnych do przewidzenia okoliczności.

Dziennikarze polscy wchodzący w skład pool'u nr 2 korzystają — podobnie jak dziennikarze z pool'u nr 1 — ze wszystkich świadczeń (transport, zakwaterowanie, wyżywienie, wstęp do wydzielonych sektorów w miejscu odbywania uroczystości) zabezpieczonych przez Centrum Prasowe.

Zakłada się, że polscy dziennikarze świeccy z pool'u nr 2 nie będą pełnili w czasie wizyty w zasadzie żadnych obowiązków związanych ze służbą informacyjno-prasową na rzecz macierzystych agencji i redakcji.

Jeśli chodzi o 30-osobową grupę dziennikarzy prasy katolickiej — to proponuje się przyjąć następujące zasady podziału miejsc:

- pisma PAX: 5 miejsc,
- pisma CHSS: 5 miejsc,
- ODISS: 2 miejsca,
- *Tygodnik Powszechny*, miesięcznik *Znak*: 5 miejsc.

Co do pozostałych 13 miejsc dla prasy katolickiej w pool'u nr 2 proponuje się, aby w tej sprawie zajął stanowisko Ks. Orszulik wskazując tytuły, które winny być uwzględnione. Decyzja co do nazwisk pozostaje w gestii Wydziału Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR.

c) *pool nr 2a.* W skład tego pool'u wchodzi dziennikarze PAP, CAF, PKF, radia i telewizji polskiej (poza dziennikarzami z pool'u nr 1), którzy korzystają z analogicznych świadczeń ze strony Centrum Prasowego, jak to ma miejsce w wypadku pool'u nr 2 (poza transportem), gdyż zakłada się, że dziennikarze ci będą obsługiwać roboczo wizytę w poszczególnych miastach na trasie podróży papieża po Polsce, bez konieczności przejazdów z miasta do miasta.

Ilość osób ze strony wyżej wymienionych agencji i redakcji zabezpieczających roboczo wizytę papieża w poszczególnych miastach jego pobytu wynikała będzie z potrzeb merytorycznych i organizacyjno-technicznych. Poza tym do pool'u nr 2a proponuje się włączyć 5 dziennikarzy miejscowych z Poznania (obecnych w Gnieźnie) i 5 z Katowic i Częstochowy (obecnych w Częstochowie), którzy pracować będą na rzecz lokalnych redakcji, przygotowując materiały do ewentualnego wydania.

d) *pool nr 3.* W skład tego pool'u wchodzi wszyscy pozostali polscy dziennikarze prasy katolickiej akredytowani przy wizycie Centrum Prasowe zapewnia im jedynie karty wstępu na imprezy na wydzielone miejsca dla prasy oraz wstęp do Centrum Prasowego (żadnych innych świadczeń nie przewiduje się).

Ponadto przewiduje się w składzie pool'u nr 3 obecność dziennikarzy prasy świeckiej według następujących zasad:

- w Warszawie — 30 dziennikarzy miejscowych,
- w Krakowie — 30 dziennikarzy miejscowych

Dziennikarze ci odpowiadając przyjętym kryteriom doboru będą pełnili identyczne obowiązki jak dziennikarze świeccy włączeni do pool, u nr 2.

Przyjęcie zaproponowanego wyżej rozwiązania (pool nr 3) wynika z ograniczonych możliwości transportowych, kwaterekowo-aprowizacyjnych itp. jakimi dysponuje Centrum Prasowe PA Interpress.

U w a g a

Ze względu na charakter wizyty, proponuje się, aby akredytować nawet te osoby z kręgów etatowych pracowników prasy katolickiej, które współpracują z ośrodkami dysydenckimi (Mazowiecki, Kisielewski)*. Natomiast w żadnym wypadku nie dopuścić do akredytacji przedstawicieli nielegalnych pism oraz przedstawicieli środowisk dysydenckich, którzy współpracują z prasą katolicką (np. Bartoszewski). W związku z tym przyjąć zasadę, że akredytuje się jedynie tych etatowych dziennikarzy katolickich, którzy zostali zatrudnieni przed 5.V.br. *Tę ostatnią dyspozycję należy traktować jako tajną.*

Ponieważ koszty utrzymania dziennikarzy polskich pracujących w pool'ach nr 1, 2, 2a niewątpliwie będą znacznie przekraczały obowiązujące limity diet dziennikarskich, należy zobowiązać RSW „P-K-R” do wyliczenia przypuszczalnych wydatków związanych z utrzymaniem dziennikarzy polskich i unifikacji ich, po rozmowach z pozostałymi zainteresowanymi jednostkami (PRiTV, prasa ZSL i SD, PKF). Powyższe odnosi się jedynie do dziennikarzy prasy świeckiej. Świeccy dziennikarze polscy, biorąc udział w obsłudze wizyty papieża zostaną tuż przed przyjaz-

* Nie dostali akredytacji Tadeusz Mazowiecki i B. Cywiński. (Red.).

dem papieża poinformowani o zadaniach ideologiczno-propagandowych jakie pełnić powinni w trakcie całej wizyty.

Proponuje się, aby spotkanie to zorganizować w przeddzień przyjazdu papieża do Warszawy i do Krakowa.

Spotkanie krakowskie objęłoby jedynie dziennikarzy miejscowych (30 osób), gdyż wszyscy pozostali otrzymają powyższe informacje w Warszawie.

2. Zasady obsługi

a) *Zakłada się konsekwentne przestrzeganie scentralizowanego systemu zatwierdzania wszystkich materiałów prasowo-publicystycznych związanych tak bezpośrednio jak i pośrednio z wizytą przez cały okres jej trwania.* Funkcję tę będą pełniły zespoły pracowników Wydziału Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR. W związku z tym proponuje się powołać 2 pięcioosobowe grupy dyżurne pracowników Wydziału, które w czasie trwania wizyty realizować będą wyżej wymienione zadania w zasadzie w godzinach 8.00-2.00 dnia następnego.

Proponuje się także powołać kilkusobowy zespół wybitnych publicystów specjalizujących się w problematyce wyznaniowej jako konsultantów i komentatorów do wydarzeń związanych z przebiegiem wizyty. Zespół ten stanowiłby dyspozycyjną grupę wspomagającą w razie potrzeby poszczególne redakcje. Propozycje co do obsady personalnej grup dyżurnych pracowników Wydziału Prasy, Radia i TV KC PZPR oraz zespołu doradczego publicystów i komentatorów jak i tryb ich działania, przedstawione zostaną w oddzielnym dokumencie.

b) *Ustala się zasadę — poza wyjątkami niżej określonymi — wyłączności PAP w zakresie obsługi informacyjnej wizyty papieża.* (Powyższe nie dotyczy prasy wyznaniowej, która nadzorowana będzie według obowiązującego trybu cenzorskiego).

Proponuje się następujący system publikacji w trakcie wizyty:

Prasa codzienna

a) W dniu rozpoczęcia wizyty — 2. VI — prasa czytelnikowska i popołudniowa zamieści zdjęcie papieża, informację o rozpoczynającej się wizycie, życiorys oraz komentarz za PAP (*Życie Warszawy* — komentarz własny), natomiast prasa partyjna nie zamieszcza zdjęć, a jedynie informację, życiorys i komentarz za PAP (*Trybuna Ludu* — komentarz własny).

Uwaga:

W czasie normalnych wizyt głów państw obowiązuje w całej prasie model: zdjęcie, informacja, życiorys i komentarz dotyczący wizyty.

b) *PAP* — codziennie przygotowywał będzie 3 wersje materiałów informacyjnych z podróży papieża po Polsce i z uroczystości związanych z tą wizytą:

Wersja A — prasa czytelnikowska (najszersza),

Wersja B — prasa partyjna (znacznie skrócona, inaczej redagowana),

Wersja C — prasa popołudniowa (skrócona wersja A).

Dopuszcza się ewentualną możliwość zamieszczenia własnych materiałów przez te tytuły prasy terenowej (migawki foto, komentarz — po uprzednim zatwierdzeniu), które znajdują się na trasie podróży papieża. Zakłada się, że w trakcie wizyty *Trybuna Ludu*, *Życie Warszawy* zamieszczą własne komentarze.

PAP w zależności od przebiegu i atmosfery politycznej wizyty przygotuje 3 wersje komentarzy, celem publikacji w określonym czasie i przez określone tytuły w trakcie wizyty.

Obok tego PAP przygotuje komentarz dla prasy lokalnej i prasy zakładowej, który będzie ewentualnie opublikowany w czasie wizyty.

c) *CAF* — wszystkie zdjęcia związane z pobytem papieża w Polsce i przedkładane do zamieszczenia na łamach prasy świeckiej zatwierdzone będą w Wydziale Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR. Pozostałe zdjęcia (prasa wyznaniowa) w normalnym trybie cenzorskim — do konsultacji z Wydziałem.

Tygodniki

Zakłada się, że wszystkie tygodniki, których ukazanie się na rynku jest zbieżne z rozpoczęciem wizyty *nie zamieszczą żadnych okolicznościowych materiałów.*

Centralne tygodniki społeczno-polityczne i niektóre terenowe w trakcie wizyty, każdorazowo na podstawie decyzji Wydziału i po zatwierdzeniu, zamieszczą ewentualnie komentarze własne. Nie przewiduje się żadnych zdjęć. Wykaz proponowanych tytułów z tematów do podjęcia w poszczególnych tygodnikach zostanie przedstawiony w oddzielnym materiale. Można jedynie sugerować, że materiały te winny odnosić się do teraźniejszości papieża Jana Pawła II, do szczytnych aspektów stosunków państwo-Kościół, natomiast unikać należy tematów nawiązujących do przeszłości politycznej kardynała Wojtyły.

Nie przewiduje się publikacji w czasopiśmie utworów literackich podpisywanych nazwiskiem A. Jawień.

Tygodniki ilustrowane — nie będą zamieszczać komentarzy własnych do wizyty papieża. W wypadku zaistnienia takiej potrzeby każdorazowo podejmowane będą w tym względzie oddzielne decyzje w Wydziale Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR.

Proponuje się natomiast, aby wszystkie tygodniki ilustrowane zamieściły w trakcie wizyty na kolumnach kroniki od 1 do 3 zdjęć,

związanych z pobylem papieża w Polsce (głównie ze spotkania w Belwederze i ewentualnie z uroczystości gnieźnieńskich).

Proponuje się, aby fotoreportaże zamieściły jedynie: *Perspektywy* — fotoreportaż ze spotkania w Belwederze i *Przekrój* z uroczystości w Oświęcimiu (objętość 1,5 kolumny).

Po wizycie — w zależności od jej przebiegu przewiduje się w *Trybunie Ludu* i w *Życiu Warszawy* — komentarze własne bilansujące wizytę.

Pozostała prasa codzienna — za PAP.

Proponuje się, aby *Polityka* zamieściła reportaż z pobytu papieża w Oświęcimiu.

Pozostałe tygodniki społeczno-polityczne w zależności od dyspozycji Wydziału podejmą określone tematy związane z podsumowaniem wizyty Jana Pawła II w Polsce.

Zakłada się podobny tryb postępowania wobec miesięczników i wydawnictw periodycznych.

Tygodniki kolorowe zamieszczą po wizycie w kronikach kilka zdjęć (2-4) odnoszących się do omawianego tematu. Proponuje się natomiast, aby *Perspektywy* opublikowały dodatkowo fotoreportaż.

Zakłada się natomiast, że pod koniec i bezpośrednio po wizycie papieża w Polsce zostanie nasiloną publicystyka międzynarodowa, odnosząca się zwłaszcza do zbliżającego się terminu podpisania SALT II (określona zostanie w oddzielnym dokumencie).



Proponuje się, aby powyższy materiał (poprawiony i wstępnie akceptowany) przedstawiony został na zebraniu pracowników Wydziału Prasy, Radia i TV KC.
Maj 1979 r.

WYDZIAŁ PRASY, RADIA
i TELEWIZJI KC PZPR

(Dokończenie ze str. 219)

Szwejk znalazł się na Kremlu. Breżniew go przyjmuje, oprowadza i mówi: Widzicie — tutaj są trzy guziki. Jak nacisnę pierwszy — cała Europa wyleci w powietrze; jak nacisnę drugi — cała Ameryka wyleci w powietrze, a jak trzeci — to cały świat — z wyjątkiem Związku Radzieckiego — zostanie zmieciony z powierzchni ziemi.

— To mi coś przypomina — odpowiedział Szwejk. — U nas, pod Budziejowicami, mieszkała pewna hrabina, która miała trzy kłozety: jeden złoty, drugi srebrny a trzeci porcelanowy. No i cóż załatwiła się w majtki...

AUTENTYCZNE

Tadeusz Łopalewski spotkał w Łodzi, w 1946 roku Pruzana, ze starej aptekarskiej żydowskiej rodziny wileńskiej, którego znał sprzed wojny.

— Co Pan tu robi, — zapytał — gdzie Pana rodzice, rodzeństwo?

— Wszyscy zginęli w getcie — odpowiedział. — Ja się przypadkiem uratowałem i czekam tutaj na wyjazd za granicę.

— Ależ po co. Przecież teraz może Pan tu spokojnie żyć, założyć aptekę, są na to kredyty państwowe...

— Oj, nie — odpowiedział Pruzan — Polska to za mały kraj, żeby wyżywić takiego kolosa...

I NA ZAKOŃCZENIE HUMOR EMIGRACYJNY

„Agencja Prasowa Wolnej Polski”, w Londynie, w powielanym biuletynie z 12 maja br. podaje: „Generał broni Antoni Zdrojewski — marszałkiem Polski: Prezydent Rzeczypospolitej Juliusz Sokolnicki w uznaniu niezwykłych zasług w walce zbrojnej o wolność Ojczyzny mianował w dniu 3 maja 1979 generała broni Antoniego Józefa Zdrojewskiego — Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych — Marszałkiem Polski.

Marszałek Antoni Zdrojewski był twórcą Polskiej Armii Podziemnej we Francji w ostatniej wojnie, a następnie Głównym Dowódcą Polskiej Armii we Francji. Jest jedynym dowódcą polskim, który posiada także stopień generała armii francuskiej. Jest on po Marszałku Józefie Piłsudskim i Marszałku Edwardzie Rydzu-Śmigłym III Marszałkiem Polski. Po blisko 38 latach Wolna Polska na obczyźnie ma znów swego Marszałka, nie możemy bowiem liczyć „marszałków” mianowanych w Polsce przez narzucony jej reżym komunistyczny”.

Zebrała Zofia HERTZ

(Ciąg dalszy Wpłat ze str. 2-giej)

WPŁATY NA ROPCİO

J.M. Cieśliński, Adelaida (Płd. Australia) F. 145,50
Od Czytelników Pomostu, Chicago, Ill. F. 220,00

Zawiadamiamy naszych Czytelników, że w ROPCİO nastąpił podział na dwie grupy: Rada Sygnatariuszy Ruchu Obrony (Andrzej Czuma, Marian Gołębiowski, Józef Janowski, Bogumił Studziński) oraz Radę Funduszu Praw Człowieka (Leszek Moczulski, Marian Marek Skuza). Prosimy zatem, aby przy wpłatach na Ruch Obrony zaznaczać dla kogo dary są przeznaczone. Pieniądze zebrane dotąd na ROPCİO, a które jeszcze nie zostały podjęte, zostaną podzielone w myśl porozumienia obu organizacji.

REDAKCJA

W bieżącym miesiącu ukaze się
w „BIBLIOTECE KULTURY”
nowa książka

CZESŁAWA MIŁOŚZA
OGRÓD NAUK

Jesienią br. ukaze się wznowienie (3-cie wydanie)

George'a ORWELLA

1984

w tłumaczeniu JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO
ze Wstępem M. BRONSKIEGO.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt Légal : 3^e Trimestre 1979.

Imprimé en France

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-rocza	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 19,50	R. 37,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 4,00	\$ A 20,00	\$ A 38,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Pocobut, Wien I, Schönla-ternegasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 160,00	F.B. 900,00	F.B. 1 700,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czeków do adm. „Kultury”	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
DANIA : O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 17,00	F. 90,00	F. 170,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vilssingen. Tel. (01124) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 8,50	Fl h. 50,00	Fl h. 90,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tél. (514) 465-2362; B. Krauski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiastkowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 5,00 DM 9,00 F. 17,00	\$ Can 26,00 D.M. 50,00 F. 95,00	\$ Can. 50,00 D.M. 90,00 F. 180,00
NIEMCY : St Mikicluk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.			
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss			
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 8,50	F.S. 50,00	F.S. 90,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 17,00	F.S. 95,00	K.S. 180,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009, Tél. 475-8886. Ada Dziwanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tél. 871-48-47 Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, Tel. 886-2128; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103.	\$ US 4,00	\$ US 22,00	\$ US 42,00
POLONIA, Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618, tel. (312) 489-2554; R.J. Sas-Babczynski, 776 N. Van Ness Av., apt. 27, Los Angeles, Cal. 90038, tél. (213) 483-1817; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich, 48211	£stg. 2,15	£stg. 12,00	£stg. 22,50
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 86 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 17,00	F. 95,00	F. 180,00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241			

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 180; półroczna — F. 95.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

TOM 303 — SERIA „BEZ CENZURY”
STANISŁAW BARAŃCZAK

ETYKA I POETYKA

SZKICE 1970-1978

Str. 272.

Cena F. 65,00.



TOM 304 — SERIA „BEZ CENZURY”
BRONISŁAW KRZYŻANOWSKI

WILEŃSKI MATECZNIK

1939 - 1944

Wspomnienia z Ruchu Oporu na Wileńszczyźnie a przede wszystkim
z działalności „Wachlarza” i Armii Krajowej.

Str. 264.

Cena F. 65,00.



TOM 305 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT CZTERDZIESTY ÓSMY

Zawiera m.in. prace: Prof. Władysława Kulskiego — *Zachód a Polska od czasów rozbiorowych*; Wiktora Sukiennickiego — *Wojna? — Nie, dialog*; A. Nowak-Przygodzkiego — *Wojskowa Służba Społeczna* (Warszawa sierpień-wrzesień 1944); Jana T. Grossa — *Okupacja sowiecka i deportacje do Rosji w oczach dzieci*; „Wolność i Niezawisłość” — *Wytoczne ideowe*; Anieli Steinsbergowej — *Ze wspomnień obrońcy: kariera art. 23*; Bronisława Krzyżanowskiego — *Kampania Wrześniowa w oczach D-cy plutonu* oraz bogatą dział RECENZJI i LISTÓW DO REDAKCJI

Str. 240.

Cena F. 40,00.